

Sarah - Kate Lynch

Błogosławieni, którzy robią
ser

Cóż jest tak nadzwyczajnego w tych, co robią ser?

„Życie Briana" Monty'ego Pythona

Dla Sandry i Marka Robinsa - z miłością

Podziękowania

Będąc z natury ciekawą, zawsze się zastanawiałam, za co inni pisarze dziękują rozmaitym ludziom.

Aby nikt nie musiał zastanawiać się na temat tych podziękowań, wymienię wszystko bardzo dokładnie, więc wybaczenie, jeśli trochę ponudzę...

Dziękuję Veronice i Normanowi Steele z Milleens w Zachodnim Cork, gdzie po raz pierwszy spotkałam serowarów artystów, i trudno byłoby chcieć lepszego wprowadzenia. Wyobrażałam sobie, że ci, którzy robią ser, są inni (oczywiście, w dobrym sensie) niż reszta tego świata, a Veronica i Norman udowodnili to wspaniale.

Podobnie wiele zawdzięczam rodzinie Fergusonów, szczególnie Gianie z Gubbeen Cheese w pobliżu Schull. Nigdy nie byłam w gorętszej kuchni niż ich i nie mówię tu o zwykłej temperaturze. To ona stanowiła inspirację domku w Coolarney. Zanim spotkałam Gianę, wiedziałam, że ser jest czymś magicznym, ale nie wiedziałam dlaczego.

Także dzięki Kevinowi Sheridanowi z Dublina za odpowiadanie z ogromną cierpliwością na moje, bez wątpienia, idiotyczne pytania. Teraz wiem na ten temat dużo więcej, niż wiedziałam, powinien być ze mnie zadowolony.

Chciałabym też podziękować Edowi Needhamowi i Bridget Freer z Nowego Jorku za Nielimitowane pozwolenie używania kanapy w ich mieszkaniu, a dodatkowo jeszcze Bridget za niezmordowaną pracę nad centrami handlowymi z ich sklepami z jedzeniem i piciem.

Głęboki ukłon przed Dale'em i Stuartem Blunsome'ami, bez których nie skorzystałabym z dobrodziejstwa reprezentacji przez Agencję Williama Morrisa, a w szczególności przed Stephanie Cabot w Londynie i Ginger Barber w Nowym Jorku. I jaka to była korzyść! Oczywiście dla mnie. Dziękuję również Elyse Green, która przysłała mi taki miły e - mail, i

Jamiemu Raabowi, Colinowi Foxowi i entuzjastycznemu serdecznemu zespołowi w Warner Books.

Chciałabym też podziękować już nieżyjącej Theresie Roberts, niech spoczywa w pokoju, za mój pobyt w Irlandii, szczególnie w Ratooragh, gdy reszta jej rodziny wyprowadziła się do dalekiej Nowej Zelandii. Gdybym nie spotkała jej oraz cudownych Mary i Connie Lucey, nie napisałabym dwóch książek.

Och, i jest jeszcze ktoś. Ktoś, kto gotuje i sprząta, i dba o to, bym siedziała na ergonomicznym krześle. Ktoś, kto uważa, że ja potrafię wszystko. Ktoś, kto nazywa się Mark Robins, kogo zwabiłam do małżeństwa ze mną i wychowałam tak dobrze, że przestał zauważać, iż drzwi są otwarte i może przez cały czas wyrwać się na wolność. Bez niego nic nie miałoby sensu.

Na końcu, choć nie dlatego, że jest najmniej ważna, chciałabym podziękować mojej najdroższej najśłodziej przyjaciółce Yetti Redmond, która namawiała mnie całe lata, bym spędziła kiedyś zimę w Dublinie zamiast wyjeżdżać do Turcji.

I tak nie opaliłam się, ale poznałam i pokochałam jej rodzinne miasto i otaczające je tereny, i właśnie za to i jej nieprzemijającą przyjaźń jestem prawdziwie wdzięczna.

1

Nie wolno pośpieszać sera.

Wszystko musi się zdarzyć w swoim własnym czasie, a jeśli ci to nie odpowiada, po prostu go nie rób.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Księżna Grace Blue siedziała na stole przed Abbey, jakby wzywając, by ta ją zjadła. Abbey uśmiechała się jak zwykle marzycielsko, z półprzymkniętymi oczyma i z lekka odrzuconą w tył głową, jakby właśnie szykowała się do zdmuchnięcia świecy i wypowiedzenia życzenia. Ostatecznie to były jej dwudzieste dziewiąte urodziny i powinny być świeczki, chociaż Księżna Grace nie była przesadnie wymyślnym serem, jeśli wziąć pod uwagę wydzielany pikantny acz drażniący zapach. Trzeba przyznać, że właśnie ta szczególna cecha stanowiła o jej wyjątkowości. Robiona ze świeżego mleka, dojonego ręcznie o świcie każdego 19 kwietnia, traktowana była po królewsku od pierwszego pociągnięcia wymienia w chwili rozpoczęcia obróbki do ostatniej okruszyny na końcu języka. Upierała się przy tym. Już takim była serem.

Jej twórcy, Joseph Corrigan i Joseph Feehan, lepiej znani jako Corrie i Fee, nie mogli oderwać od niej oczu. Udało im się zrobić ten ser pewnego dnia, na rok zanim Grace Kelly (w której obaj się ówczasie kochali) złamała ich serca, poślubiając księcia Rainiera z Monako, 19 kwietnia 1956 roku. Sery, które wcześniej produkowali, stały się poszukiwane i cenione w świecie, ale tak naprawdę znani byli tylko w swej okolicy.

- To jest dopiero ser - powiedział Fee, oblizując nieco pożądliwie usta, z policzkami poczerwieniałymi w oczekiwaniu przyjemności.

- Całkiem w porządku - zgodził się Corrie, unosząc brwi w wyrazie oczekiwania. Abbey przypatrywała się temu z uśmiechem.

Księżna Grace wyrastała ponad przeciętny coolarney blue. Jej kolor przynależał do jasnej blondynki, przypominając odcień włosów słynnej imienniczki, gdy ta znalazła się u szczytu sławy, a żyłki stanowiły doskonałą mieszankę błękitu i morskiej zieleni, momentami pobłyskujących srebrem, a czasami czarnych, w zależności od nastroju.

Jej wielbiciel siedzieli w palarni już od dwóch godzin, po prostu czekając, aż ser osiągnie odpowiednią temperaturę. Bardzo lubili to pomieszczenie, które w odróżnieniu od pozostałych w ich chaotycznym, miłym domostwie, leżało poza szlakiem nieustannie wchodzących i wychodzących ludzi. Palenie nie wymagało słońca, a niewiele go tu wpadało. Dwie ściany zajmowały półki wypełnione pismami i książkami, niektóre miały ponad sto lat. Dwie pozostałe pomalowano ciemnozieloną farbą, a stolarkę polakierowano na jeszcze ciemniejszy odcień, co nadało pomieszczeniu posępny, nieco nawiedzony wygląd.

Corrie rozsiadł się w brązowym skórzanym fotelu bujanym z rozkładanym oparciem, Fee zaś w fotelu obitym brokatem, bardzo już zużyтым i połatanym. Pomiedzy nimi, na małym nasuwającym skojarzenia z ołtarzem, okrągłym stoliku, którego zawsze używali podczas uroczystości próbowania sera, zajmowała miejsce cudowna Grace. I oczywiście Abbey.

W wieku siedemdziesięciu trzech lat Corrie był tak samo podobny do Jimmy'ego Stewarta jak w czasach swojej młodości (choć dzisiaj dziewczęta rzadziej to zauważały, skoro Jimmy pozostał już tylko wspomnieniem, od wielu lat wypieranym przez Melów, Harrisonów i Bradów). Jego błękitne oczy wciąż się skrzyły, siwe włosy były nadal gęste,

nosił je zaczesane do tyłu. Kiedyś mierzył sześć stóp i dwa cale, ale teraz zmalał, za co obwiniał lata spędzone nad kadziami z serem. Zawsze nieskazitelnie ubrany, dziś miał na sobie jasnoniebieski wełniany sweter na śnieżnobiałej bawełnianej koszuli i ciemnobrązowe spodnie w stylu lat pięćdziesiątych, z wysokim stanem.

Fee, całkiem przeciwnie, ubrany był w rozpaczliwie zgniłozielone sztruksy, przewiązane w jego nie najszczuplejszym pasie kawałkiem starego szpagatu. Sprana brązowa koszula i szary sweter pasowały do siebie jedynie dziurami, które występowały w tych samych miejscach, jakby go kiedyś pokłuto wielkim naostrzonym ołówkiem.

Fee był mały i pękaty, Corrie zaś wysoki i szczupły, więc gdy stali koło siebie, co się dość często zdarzało, z pewnej odległości wyglądali jak literka d lub b - w zależności od tego, po której stronie akurat znajdował się Fee.

- Dwadzieścia dziewięć lat - powiedział Fee, potrząsając głową w stronę Abbey. W jego głosie pobrzmiwała nuta pewnego zdziwienia. - W życiu byś jej tyle nie dał.

Corrie przytaknął, przenosząc wzrok z Abbey na Księżną i z powrotem. Bóg świadkiem, że kochał swoje sery, ale z tym, co czuł do Abbey w tym właśnie momencie, czy też w każdym innym, kiedy o niej myślał, żaden mleczarski produkt, nawet taki klejnot bez skazy jak Księżna Grace, nie miał nawet szans konkurować. A jednak nadal było mu smutno. Poruszył rozżarzone węgle, a potem skoncentrował się na tykaniu zegara, który kiedyś należał do jego dziadka, i tak siedzieli, czekając w przyjaznym milczeniu.

- Już czas, Josephie - powiedział wreszcie Fee, kiedy czas nadszedł. Wyprostował się w fotelu i sięgnął po nóż do sera.

- Na Grace? - zapytał nieco zaskoczony Corrie. Jemu wydawało się, że jeszcze trochę, ale to Fee był ekspertem i nie było tu miejsca na dyskusję.

- Na wiele rzeczy - powiedział tajemniczo Fee, zasysając kawałek Księżnej z noża do ust. Poczul ją na języku, smakując doskonałą gładkość i wyborny zapach.

- Zgoda - potwierdził Corrie, delikatnie odkrawając kawałek Grace nożem z nierdzewnej stali. Znał Josepha Feehana od siedemdziesięciu trzech lat i przez pierwsze sześćdziesiąt pięć próbował nadać sens temu, co od niego usłyszał. Jednak ostatnimi czasy z tego zrezygnował, uświadomiwszy sobie, że dla obcych nie miało to żadnego znaczenia, a w jakiś sposób stanowiło o uroku Feehana. A Feehan potrzebował jak najwięcej wdzięku.

Corrie wzniosł nóż, wskazując jego doskonale wyważonym kremowym trzonkiem Abbey i wznosząc toast.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Abbey - powiedział. - Mam nadzieję, że dobrze się bawisz, i mam nadzieję, że z pomocą boską za rok będziesz z nami.

Abbey spoglądała na nich z rozmarzonym uśmiechem, oczami lekko przymkniętymi i głową nieco odchylną w tył.

Corrie zapomniał o ogarniającej go melancholii i całkowicie skupił się na Księżnej Grace. Nie chciała oderwać się od jego warg. Czul już ją w całych ustach, jego kubki smakowe tańczyły ze szczęścia. Kiedy po ostatniej okruszynce nie było już śladu, Corrie zwrócił się w stronę wnuczki, sięgnął ponad stołem, podniósł ją i ucałował jej uśmiech. Przez chwilę przyglądał się zdjęciu, ścierając gładkim palcem serowara smugę, którą pozostawił na szkle jego pocałunek, potem westchnął i odstawił Abbey na stół.

Idealny czas, pomyślał sobie Fee, sięgając po następny kawałek.

Dawno, dawno temu, zanim jeszcze światem zaczęli rządzić mężczyźni w eleganckich garniturach, trawa rosła tylko na pastwiskach.

I od tego wszystko się zaczęło.

Nie uda się zrobić dobrego sera, gdy trawa nie jest dobra.
„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Miesiąc lub dwa później, po drugiej stronie Atlantyku w Nowym Jorku, inna Księżna Grace prowadziła zdecydowanie mniej uprzywilejowany żywot. Co prawda zajmowała miejsce w lodówce, wykonanej zgodnie z najnowszymi technologiami, stojącej w apartamencie wynajmowanym za siedem tysięcy dolarów miesięcznie, w modnej dzielnicy So - Ho, ale towarzystwa dotrzymywały jej tylko dwie butelki budweisera i pół starej, wręcz trudno już rozpoznawalnej pizzy.

Księżna z pewnością nie była z tego zadowolona. Emanował z niej gniew. Psuła się wewnątrz. Dosłownie. A kiedy dobry ser się psuje, łza się w oku kręci. Spędziła w tym miejscu prawie trzy tygodnie, zawinięta w woskowany papier i włożona do papierowej torby ze sklepu mleczarskiego Murraya, a przez ten czas jej woń przeszła wszystkie etapy. Ale w tym właśnie momencie jej czas dobiegł końca. Stała się kwintesencją zepsucia.

W sypialni na końcu korytarza kompletnie nieświadomy tego Kit Stephens otworzył oczy i w tej samej chwili usłyszał tysiące małych młoteczków uderzających w jego czaszkę.

- Idźcie sobie - wymruczał. - Zostawcie mnie w spokoju.

Pukanie nie ustawało. W pokoju panowały ciemności, ale niewiarygodnie drogie rolety, jakby przeniesione wprost z Wallpaper, zakrywające trzy ściany, potrafią to zaoferować nawet na Manhattanie. Nie oznacza to zupełnie nic. Równie dobrze mogło być już południe (choć miał nadzieję, że nie).

Ale sama myśl, że miałby podnieść ramię, by spojrzeć na zegarek, wywoływała wrażenie kołysania.

Poprzez uderzenia młoteczków starał się dotrzeć do tych zakątków mózgu, gdzie znajdowałyby się jakaś informacja o wydarzeniach minionego wieczoru. Na pewno miało to coś wspólnego z wypitymi po pracy wieloma kieliszkami martini w Chińskim Grillu, to pamiętał na pewno. Potem było jeszcze jakieś niejadalne paskudztwo w jednej z tych etnicznych restauracji, których ostatnio pojawiło się zatrzęsienie na Manhattanie. Jak przez mgłę pamiętał przedzieranie się przez koreańską knajpę do baru tylko dla wtajemniczonych, na zapleczu i, Jezu, czy ktoś tam proponował jakiś towar?

Kit odrobinę przesunął głowę, tak by móc zerknąć na drugą stronę łóżka. Ktoś tam leżał. I tym kimś nie była Jacey. Jacey miała długie blond włosy, ciało modelki i twarz anioła. Kimkolwiek była ta osoba, miała krótko obcięte czarne włosy, ciało modelki i niewiadomą twarz, ponieważ leżała na brzuchu, tyłem do niego. Kit prawie podniósł głowę mimo stanu, w jakim się znajdował. Spadziste ramiona, a jej szyja... Uch. Ten karczek aż się prosił o pieszczotę i pocałunek.

W gardle rosła mu gęsia skórka, kiedy pomyślał o szyi Jacey. Zamknął oczy i opadł znowu na poduszkę. Czy kiedykolwiek przyzwyczai się do jej braku obok niego w chwili porannego przebudzenia? A jeszcze gorzej, do budzenia się obok kogoś całkowicie nieznanego, i zastanawiania, skąd ta kobieta znalazła się w ogóle w jego łóżku? Nie zdarzało się to często, ale zdarzało. Przyglądał się pięknej szyi należącej do nie wiadomo kogo i nie czuł nic poza przeogromnym smutkiem i wstydem. Często się tak czuł ostatnio.

Kit wziął głęboki oddech, przekręcił się na skraj łóżka i zsunął nogi. W głowie mu się zakręciło, choć usiłował poruszać się w zwolnionym tempie. Ostrożnie stanął, czekając, jak się zachowa zawartość jego żołądka. Prawie w

tej samej chwili żołądek się zbuntował, więc Kit chwiejnym krokiem ruszył do łazienki, gdzie opadł na kolana i uczeplił się muszli toalety jak starego przyjaciela, po czym zwrócił półroczne wyżywienie Etiopczyka.

Co za klasa, pomyślał Kit, czując się po tym lepiej. Prawdziwa klasa. Z jękiem pozwolił swemu ciału zsunąć się w dół, aż twarzą uderzył w kafelki, a potem, ukojony chłodem i coraz wolniejszym wirowaniem świata, usnął.

- Hej, facet. Ty. Facet. Obudź się.

Z perspektywy czasu trudno o bardziej zabawne doświadczenie. Dziewczyna, która wcześniej spała w jego łóżku, stała teraz nad nim, opierając stopę na jego ramieniu. Stopę z purpurowymi metalicznymi paznokciami i srebrną obrączką na drugim palcu.

- Jezu. Myślałam, że nie żyjesz. - Tkwiła nad nim naga, z rękami opartymi na krągłych biodrach, nie spuszczać zeń wzroku. - Masz papierosa? Piwo? Działkę? Cokolwiek?

Kit powoli podciągnął kolana do piersi siadając i przysunął się do ściany za toaletą, nagle irracjonalnie zawstydzony swoją nagością wystawioną na widok obcej kobiety.

- Jasne - ironicznie skwitowała jego nagłą skromność, po czym usiadła na toalecie. - Nie martw się - oświadczyła znudzonym głosem, podczas gdy jej dłoń poszukiwała wokół niego papieru toaletowego. - Nie zrobiliśmy tego, nic nie zrobiliśmy. Po prostu przez dwie godziny rozmawialiśmy o twojej zmarłej żonie. - Podtarła się, pociągnęła nosem i spuściła wodę, podczas gdy jej słowa docierały do zmaconego umysłu Kita.

Jacey nie żyła? Młoteczki w jego głowie zaprzestały swej pracy, ale nagle ogłuszył go inny dźwięk: to serce biło mocniej i mocniej w piersi. Jacey nie żyje. Jacey nie żyje. Jeśli powtórzy to wystarczającą ilość razy, może... Puściły mu

hamulce. Łatwiej było znieść uderzenia dzwoneczków niż wspomnienie o Jacey. Przyciągnął jeszcze bliżej do siebie kolana i chociaż naprawdę, naprawdę tego nie chciał - szczególnie na oczach tej dziewczyny, kimkolwiek była - rozplakał się.

- Jezu - jęknęła znad umywalki. Przyjrzała mu się z lekką odrazą, po czym zerwała ręcznik z kaloryfera i rzuciła mu do stóp, następnie wróciła do lustra, by przyjrzeć się swojej ślicznej buzi. - Hej, a tak przy okazji, gdzie zaopatrzyłeś się w ten koks? - zapytała, skupiona na jakimś nieistniejącym punkciku swej nieskazitelnej twarzy, nadając całkowicie neutralny ton pytaniu, które było dalekie od naturalnego. - Całkiem niezły towar.

Kit sięgnął po miękki, ciepły ręcznik, okrył nim twarz, wchłaniając czysty, dodający otuchy zapach, i tarł grubym materiałem o policzki, starając się płakać jak najciszej.

- Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym przed wyjściem jeszcze skubnęła odrobinę z twego zapasiku? - zapytała nieznajoma. Kit podniósł na nią wzrok i ujrzał twarz małej dziewczynki dopraszającej się o cukierek. Jej włosy łonowe były wywoskowane, co z jakiegoś powodu zasmuciło go jeszcze bardziej. Poczuł niesmak. Po prostu niesmak. Niesmak do siebie.

- No dobrze - oświadczyła dziewczyna, widząc, jak Kit znowu zanurza twarz w ręcznik. - Nic nie mówiłam.

Wymaszerowała z łazienki. Jakiś czas później, Kit nie miał pojęcia, czy było to pięć czy pięćdziesiąt pięć minut, usłyszał, jak drzwi do jego apartamentu otwierają się i zamykają, i wiedział, że poszła.

- Co się ze mną dzieje?! - wykrzyknął w ręcznik, ale nie potrafił się zmusić do odpowiedzi. Zamiast tego zajął się swym oddechem i kiedy już zapanował nad łkaniem, wpełzł

pod prysznic, gdzie pozwolił, by gorący strumień wody poradził sobie z jego kacem i łzami.

Pół godziny później był ogolony i ubrany. Minęła właśnie ósma, co oznaczało, że opuścił spotkanie handlowe zaplanowane na siódmą, a zdarzyło mu się to kolejny raz w ostatnim czasie. Z pewnością czekało już na niego kilkaset telefonów i e - maili od klientów. George będzie wkurzony.

Obejrzał się w lustrzanej ścianie holu. Poza cieniem pod oczami, wyglądał całkiem w porządku, przynajmniej jego zdaniem. Prostokątna, przystojna twarz, która patrzyła na niego, nie zdradzała, jak spędził ostatnią noc ani - skrzywił się - dzisiejszy poranek. Lecz gdy wpatrywał się w zielonooki wizerunek naprzeciw siebie, czuł, że myśli, których sobie wcale nie życzył, nieustępliwie nachodzą jego umysł, a obrzydliwe uczucie pełźnie przez jego trzewia aż do piersi.

Był pewien, że jego twarz robi się coraz bledsza, a - chyba że to wyobraźnia sobie z nim igra - każdy kolejny oddech staje się płytszy i musi go zaczerpnąć coraz szybciej. W panice złapał za krawędź stojącego w holu stołu, aż zbieleły mu knykcie z wysiłku. I wtedy to zobaczył. Obok kluczy i portfela na srebrnej tacy leżała mała plastikowa torebka zawierająca biały proszek. Więc o tym mówiła dziewczyna. Działka. Ale dlaczego w takim razie jej nie zabrała? Kit stał, dygocąc, w korytarzu własnego mieszkania. To nie należało do niego. On nie zażywał narkotyków. Nigdy tego nie robił i nie zamierzał. Szczególnie teraz, po...

Mętny niczym wspomnienie ze snu obraz pieniędzy, przekazywanych z rąk do rąk w zatłoczonym barze, wdarł się w jego myśli jak nadchodzący sztorm i panika znowu ścisnęła mu żołądek. Usiłował zapanować nad oddechem, ale strach szalejący między jego sercem a żołądkiem był silniejszy. Jeśli miał dać sobie radę nie tylko z obecną chwilą, ale też z całym pozostałym dniem, musiał pozbyć się tego, co go gryzło.

Złapał ze stołu plastikową torebkę z białym proszkiem, wrócił i opróżnił ją do zlewu w kuchni, po czym usunął proszek strumieniem wody. Przepłukał torebkę i wyrzucił ją do śmieci.

W żołądku wciąż czuł rewolucję. Musiał ją stłumić. Potrzebował spokoju i pogody ducha. Jego oczy na chwilę krótszą od uderzenia serca spoczęły na lodówce, otworzył drzwi. Zapach uderzył go jak fala tsunami, ale Kit nie widział wściekłej Księżnej, jedynie leżącą w zamrażalniku grey goose.

Wlał zawartość butelki prosto do gardła, satynowa gładkość wódki uspokoiła szalejące wnętrzości. Uspokojony, wciągnął powietrze i ruszył w stronę drzwi, spoglądając w lustro z zadufanym uśmiechem. Teraz mógł zmierzyć się z dniem.

Na korytarzu dziewczyny Petersonów chichotały, czekając na windę. Albo na niego. Jeśli chodzi o Kita, to dziewczyny Petersonów i chichotanie szły ręką w rękę, chociaż zaczął to dostrzegać, kiedy Jacey mu o tym powiedziała, rozpoczynając niekończącą się kampanię naśmiewania się z niego. Od tego czasu starał się jak mógł, ich unikać, prawdę mówiąc, unikał całej rodziny. To ich matka, Sasha, znalazła Jacey i... Kit nerwowo poprawił krawat. Zamknął oczy i próbował nie myśleć o tym znowu. O niej.

W windzie obie dziewczyny nie przestawały szeptać i chichotać coraz głośniej i głośniej, aż wreszcie starsza, Charlotte, tak popchnęła młodszą, Jessicę, że ta wpadła na niego. Odskoczyła i stanęła sztywno, cała czerwona, wpatrując się z wściekłością w starszą siostrę.

- Zapytaj go - prowokowała Charlotte. - No dalej. Zapytaj. Kit odwrócił się w stronę Jessiki, jakby dopiero w tej chwili ją zauważył.

- O co masz mnie zapytać? - zapytał tak zimno, jak tylko potrafił, nie będąc przy tym niegrzecznym.

Jessica potrząsnęła głową, przyciskając do piersi szkolny plecak.

- Zapytaj go - upierała się Charlotte, z wściekłością wpatrując się w siostrę.

- Zapytać mnie o co? - Tym razem Kit skierował pytanie do Charlotte.

- Zapytać cię, dlaczego Coco Lloyd wychodziła z twojego apartamentu o siódmej trzydzieści rano - powiedziała wprost starsza z sióstr.

Wiara Kita, że poradzi sobie z kolejnym dniem, znikła. Zrobiło mu się niedobrze, ale próbował nie dać tego po sobie poznać. A więc nie mylił się. To modelka. Można było oczywiście przewidzieć, że zafascynowane Pradą dziewczyny Petersonów będą się kręcić po korytarzu w niewłaściwym czasie. (Nie zrobił nic złego, ale to nie znaczyło, że nie czuł się, jakby zrobił. Rozważał przez chwilę, czy nie błagać ich, by nie mówiły o tym matce, ale nie sądził, by go posłuchały). Nie minęły trzy miesiące od śmierci Jacey i nie chciał, by Sasha Peterson myślała, że jest tego rodzaju facetem, bo nim nie był.

- Jeśli już musicie wiedzieć, to przygotowuję coś do jej portfolio, więc wpadła, żeby mi przynieść jakieś papiery - powiedział, zachowując się bardziej nonszalancko, niż się czuł. Podrywanie obcych kobiet w barach nie było jego hobby, chociaż ostatnio kilka razy mu się to zdarzyło. Nie wspominając, że było za wcześnie. On tak myślał i wszyscy wokół pomyślą także. - Chociaż przyznaję, że to piękna kobieta - dodał.

Charlotte i Jess wybuchnęły śmiechem.

- To piękna kobieta - powtórzyła za nim Charlotte między kolejnymi parsknięciami.

- O co ci chodzi? Co w tym takiego śmiesznego? Jest piękną kobietą - powiedział Kit, z lekka poirytowany, kiedy winda stanęła na parterze i otworzyły się drzwi.

- Jest piękną dziewczyną, brendzlarzu - rzuciła Charlotte, przepychając się koło niego na zewnątrz. - Jest na tym samym poziomie w szkole co Jessica.

Poczuł znajomy chłód wędrujący po wnętrzościach. Stał jak zamurowany, przyglądając się dziewczętom, które znikają na ulicy, machając portierowi. W tej samej klasie co Jessica? Ale ona jest w jedenastej klasie. Ile to oznacza lat? Szesnaście? Piętnaście?

- O, Jezu! - jęknął Kit.

- Czy wszystko w porządku, panie Stephens? - Benny, portier, wyraźnie zmartwiony, wyszedł zza biurka, chcąc pomóc Kitowi. - Lepiej niech pan usiądzie. Wygląda pan na całkiem wykończonego. Podać panu szklanekę wody?

Kit skinął głową. Benny zniknął w biurze i w tym samym momencie zadzwonił telefon Kita. Poczucie lęku podwoiło się, potem potroiło, by wreszcie zwielokrotnić się w tysiąckroć.

- Kit Stephens - odezwał się głosem, w którym trudno byłoby odnaleźć jakiś entuzjizm.

- Gdzie ty, u diabła, jesteś? - rozdarł się w słuchawce George. - Chemokorp podpisuje dzisiaj z nami umowę, raport AsiaBank, jeśli w ogóle muszę ci o tym przypominać, mamy o jedenastej, a twoja asystentka zaczęła właśnie przełączać do mnie twoich klientów, bo niektórzy z nich dzwonią dziś już po raz trzeci. Czy wspomniałem, że brakowało nam ciebie na dzisiejszej porannej odprawie? Jezu, to drugi raz w tym tygodniu, Kit.

Zapanowała cisza.

- Kit, jesteś tam?

- Tak, George. Jadę. Coś mi wyskoczyło i...

- Daruj sobie szczegóły. Po prostu przyjeżdż. - George rozłączył się.

- Gówniany poranek, można powiedzieć, czyż nie, panie Stephens? - skomentował pogodnie Benny, pojawiając się ze szklanką wody, którą Kit przełknął chciwie, zanim zaryzykował wstanie i sprawdzenie, czy nogi nie odmówią mu posłuszeństwa.

- Można tak powiedzieć, Benny. Boże, co się ze mną dzieje? - Włożył dłonie do kieszeni, po to tylko, by sprawdzić, czy wciąż jest w garniturze, głęboko wciągnął powietrze i zebrał się w sobie. - Dzięki, chłopie, za wodę. Byłem po prostu, no cóż, zaskoczony tym, co mi powiedziały dziewczynki Petersonów, to wszystko.

Uśmiechnął się słabo do portiera i poklepał go po ramieniu po przyjacielsku.

- Takim jak my te dwie zafundują jeszcze parę niespodzianek - mruknął Benny do pleców Kita, który wychodził już przez drzwi, rozglądając się za taksówką.

Chyba po raz pierwszy Kit nie zatrzymał się, by podziwiać zapierający dech w piersiach widok z dwudziestego siódmego piętra, przez wielką tafłę szkła spinanego stalowymi więzadłami budynku, który nazwali Tosterem, kiedy się tu wprowadzili z firmą.

Asystentka Kita, Niamh, wstała na jego widok zza biurka i zatrzymała go gestem w drzwiach.

- George chce cię widzieć - powiedziała, patrząc na niego uważnie. - I nie sądzę, by chciał ot tak sobie pogawędzić.

Kit zamknął oczy, starając się uspokoić. Niamh podeszła do biurka i wyciągnęła z szuflady tabletki odświeżające oddech.

- Nie spieprz tego, Kit. - Patrzyła na niego swymi uczciwymi oczami. - Przeciągnąłeś strunę.

Przez chwilę Kit miał ochotę położyć głowę na jej ramię i wypłakać się. Ale nawet galareta, którą stał się teraz jego mózg, mówiła mu, że nie jest to dobry pomysł. Teraz był czas, by dać się wykrzyczeć George'owi, jego przyjacielowi i szefowi zarazem, facetowi słynnemu z cholerycznego temperamentu i zjadliwości. Odwrócił się i ruszył między rzędami biurek, przy których jego osiemdziesięciu kolegów wykrzykiwało do słuchawek lub tłukło w klawiatury komputerów. Nikt na niego nie patrzył, ale nie umiał sobie przypomnieć, czy jest w tym coś niezwykłego. Minął drzwi biura Eddiego, które, co nietypowe, były zamknięte. Może Ed też się dziś nie wyrobił do biura. To by było świetnie, pomyślał Kit, gdybym nie tylko ja się wpakował w szambo.

Asystentka George'a, Pearl, fantastyczna Azjatka z nogami, których widok podnosił temperaturę wody w klimatyzatorze na całym piętrze, wskazała, że może od razu wchodzić.

George siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon.

- Zaraz do ciebie oddzwonię - powiedział do słuchawki i starannie ją odłożył.

- To wspaniale, Kit, że dołączyłeś do nas - powiedział, wskazując ręką krzesło.

Jego wzrok był lodowato zimny, podczas gdy usta uśmiechały się szeroko, a na łysej czaszce igrał promień słońca, co powodowało, że George sprawiał wrażenie beztróskiego. Kitowi nagle wydało się, że śni, i też zaczął się uśmiechać. Może uczucie, że to, co się dzieje wokół niego, nie dzieje się tak naprawdę, było usprawiedliwione. Może to w ogóle się nie działo.

- Cieszę się, że odzyskałeś poczucie humoru, Christopher.
- Uśmiech spłynął z twarzy George'a jak błoto splukane deszczem. - I że powaga sytuacji nie psuje twojego dobrego samopoczucia.

Kit odchrząknął. Szansa, by to wszystko okazało się snem, była od początku niewielka, ale z tym się przecież liczył. Nie miał natury marzyciela, zawsze stał mocno obiema nogami na ziemi, wszyscy tak uważali.

- Na Boga, George, jest mi naprawdę bardzo przykro w związku z dzisiejszym rankiem. Tak się składa, że musiałem pomóc sąsiadom. Jedna z ich córek wzięła rano psa na spacer i przepadła w parku. Sasha Peterson - pamiętasz, spotkałeś ją na przyjęciu w Dniu Dziękczynienia. Nieważne, tak czy siak, przyszła poprosić mnie...

George, który nie był w stanie wysłuchać już ani jednej sylaby tego wymyślnego usprawiedliwienia, niespodziewanie trzasnął pięścią w biurko z wściekłością, jaką Kit znał tylko z opowieści, ale nie śniło mu się nawet, że kiedykolwiek jej doświadczy.

- Przestań mi tu pieprzyć, Kit - powiedział głosem zimniejszym i twardszym od najgorszego krzyku. - Mam dość. I słyszałem już też dość. Wystarczająco długo bałaganieś i nie będziesz tego więcej robił na mojej zmianie.

- Twojej zmianie? - Kit roześmiał się, ale trochę nerwowo. - Daj spokój, George, co się tu dzieje?

- Kit, ty chyba naprawdę nie rozumiesz. - George wziął głęboki oddech. - Zdaje się, że zapomniałeś o tych chłopczkach, młodych praktykantach, którzy pracują tu za darmo, żeby tylko pokazać, co umieją. I o tych wszystkich, którzy marzą jedynie o tym, żeby wskoczyć na ich miejsca. A gdy tylko zwolni się tam miejsce, wskoczą na nie inni, ot tak - pstryknął palcami w powietrzu - zajmą je inne dzieciaki, które zrobią wszystko, niczego nie chcąc w zamian, żadnych pieniędzy, byle tylko pokazać, co umieją. Nadążasz za mną?

Kit słuchał w osłupieniu.

- Mówię ci, Christopher, że już nie jesteś niezastąpioną częścią maklerskiego zespołu tutaj, w Fitch, Wright i Ray.

Dziś o ósmej trzydzieści rano twoi klienci zostali przekazani Edowi Lipmanowi, a twój gabinet ma zająć Tom Foster. Zapłacimy ci miesięczną odprawę i będziesz mógł skeszować swoje opcje na udziały, nie ponosząc kary za to, że nie zechciałeś z nami pracować wymaganych dziesięciu lat, chociaż na pieniądze musisz poczekać do końca tego okresu. Z tego, co wiem, szczęśliwie dla ciebie, stanie się to za kilka tygodni. A na razie do widzenia.

Promień słońca wciąż igrał na łysej czaszce George'a, Kit siedział jak skamieniały.

- Jezu, George. Czy ty mnie wyrzucasz? - Jednocześnie chciało mu się śmiać i płakać.

- Nie, Kit, to ty się zwalniasz.

Teraz, kiedy najgorsze było już za nim, George patrzył na przyjaciela już nie tak łodowatym wzrokiem.

- Na Boga, człowieku, spójrz tylko na siebie - dodał łagodniej. - Od czasu kiedy Jacey... nie możesz się pozbierać...

- To nie ma nic wspólnego z Jacey... - wybuchnął Kit, głos mu drżał, ale mimo to brzmiało w nim zdecydowanie. - Nie mów o Jacey.

- Kit, musisz przyjąć do wiadomości fakty - powiedział poirytowany George. - Bez niej zachowujesz się jak siedem nieszczęść. Jezu, a ja myślałem, że to ona ciebie unieszczęśliwiała. Nie nadajesz się już do żadnej roboty, Kit. Nie śpisz. Nie potrafisz się skoncentrować. Nie panujesz nad piciem. Nie mogę ci ufać. Twoi klienci nie mogą już ci ufać. Nie potrafisz się pozbierać, mój przyjacielu. Przynosisz nam wstyd.

- Ale, George - odezwał się Kit, czując, że słowa, które rodziły się w jego gardle mocne i pewne, wychodząc z ust, stają się słabe, żalodne, bardziej jak jęki niż słowa - jesteśmy przecież kumplami. Jestem ojcem chrzestnym twojej córki, na miłość boską. Wygłosiłem mowę na twoim weselu. Spójrz na

naszą wspólną przeszłość. Zawsze byłem twoją prawą ręką. Przecież wspólnie stworzyliśmy tę firmę z niczego - ty, Eddie i ja. Pomyśl o pieniądzach, które zarobiłem dla ciebie, dla nas. Na Boga, czy to się już w ogóle nie liczy?

George popatrzył na niego ze smutkiem.

- Kit, w dniu kiedy spotkałeś Jacey, przestałeś być moją prawą ręką. Było wystarczająco źle, gdy kręciła się koło ciebie, ale kiedy odeszła, stałeś się kimś, kogo w ogóle już nie znam. Spójrz na siebie. Nawet stąd czuję, jak śmierdzisz alkoholem. Kiedy wlałeś w siebie ostatniego drinka? Spałeś potem? Czy ty w ogóle pamiętasz, gdzie byłeś i co robiłeś?

Smród alkoholu? O czym on w ogóle mówi? Kit znowu poczuł, jak żołądek mu się skręca w panice.

- Czy pamiętam, co robiłem? Jasne - powiedział niepewnie. - Wypiłem kilka drinków z chłopakami w Grillu, a potem, no, trochę się włóczyłem tu i tam. Kogo to może obchodzić?

- Mnie - odparł George, znów oficjalny i nieprzyjazny. - A szczególnie interesuje mnie, że wypiliśmy kilka tequili w którymś z tych wystawnych klubów dla bankierów, potem wołałeś o czystą wódkę dla swoich kumpli, a na koniec wciągnąłeś działkę koki na oczach dwóch naszych największych klientów. A wreszcie chciałeś zapłacić rachunek za pomocą karty korporacyjnej, która tak a propos, została unieważniona. Lata dziewięćdziesiąte już się skończyły, Kit. Nikt nie lubi patrzeć, jak ktoś w ten sposób przepuszcza kasę. To obrzydliwe.

Kit stał oniemiały. To, co mówił George, nie mogło być prawdą. Skąd on wziął takie bajki? Wciąganie koki w barze? Może ktoś to robił, ale na pewno nie on. Panika ściągnęła mu mięśnie twarzy. Pomyślał, że nie odmówiłby teraz kielicha. Czuł, że się poci.

- Już nie jesteś tym ślicznym i bystrym chłopcem z Burlington w stanie Vermont, który zrobi wszystko, żeby udowodnić światu swoją wartość, Kit - ciągnął George, znowu pełen gniewu. - Jesteś po prostu kolejnym wypalonym facetem z Wall Street, z problemem alkoholowym, i już nie chcę cię znać. Nie chcę cię więcej widzieć. A teraz, z łaski swojej, wyjdź stąd.

George odprawił Kita, sięgając po telefon i wystukując numer.

- Powiedziałem, wyjdź stąd - powtórzył, czekając na połączenie. - Złap pion, chłopie. Zaczynij się inaczej zachowywać, Kit. Może uda ci się zacząć u kogoś od nowa.

Zanim zdążył się podnieść, George już tłumaczył Neilowi Ryanowi, jednemu z najlepszych klientów z listy Kita, że Ed zabiera go w przyszłym tygodniu na lunch, by omówić nowe inicjatywy. Kit wyszedł z pokoju George'a i rozejrzał się po pomieszczeniu pełnym ludzi za biurkami. Żaden z dilerów nie patrzył w jego kierunku. Nie zgadzał się też poziom hałasu w pomieszczeniu. Zrobiło się zbyt cicho. Lub zbyt głośno. Nie był tego pewien, nie pamiętał. Wszyscy już wiedzieli, ta myśl spadła na niego nagle, poczuł, jak pot spływa mu po plecach. Wszyscy już wiedzieli.

Próbując zebrać się do kupy, ruszył w stronę gabinetu Eddiego. Otworzył drzwi, nie pukając. Eddie siedział na brzegu biurka, zaśmiewając się, odwrócony plecami do drzwi. Naprzeciwko niego siedział Tom Foster.

- O, witaj, Kit - powiedział Eddie. Na widok przyjaciela uśmiech zniknął z jego twarzy. - Tom, mógłbym przeprosić cię na chwilę? Dziękuję.

Tom obrzucił Kita spojrzeniem, zanim sięgnął po teczkę leżącą na biurku, i wyszedł.

- Wiedziałeś? - Kit chciał, by zabrzmiało to zaczepnie, ale wyszło mu to tylko w połowie. - Wiedziałeś, że George chce mnie wywalić?

Eddie obszedł biurko i usiadł na krześle. Kit po raz pierwszy dostrzegł, jak służalczo wygląda. Te zaczesane gładko blond włosy, te okulary. Te usta, zbyt wilgotne, które znów oblizywał. Czy tak naprawdę wyglądał jego najlepszy przyjaciel? Drugi w tej firmie dyrektor zarządzający i drugi rewolwer. Nikt nie miał wątpliwości, czemu George wybrał właśnie jego i Eddiego, by byli jego zastępcami i pomogli mu rozkręcić firmę do obecnego poziomu, razem doprowadzili do osiągnięcia dzisiejszego statusu na rynku banków. Pracowali i bawili się wspólnie przez wiele lat, jednak teraz wydawało mu się, że tak naprawdę nigdy nie przyjrzał się dobrze Eddiemu.

- Posłuchaj, Kit - powiedział uspokajająco jego przyjaciel, starannie dobierając słowa - to nie zdarzyło się z dnia na dzień, sam dobrze wiesz. Chryste, przecież ostatnimi czasy nie potrafiłeś nawet dotrwać do lunchu bez drinka, przestałeś się zachowywać jak dawny ty, a twoi klienci zaczęli reagować nerwowo. Czego się niby spodziewałeś?

Kit opadł na krzesło, ciepłe jeszcze od siedzenia Fostera. Siedzenia, które zajęło jego miejsce.

- Na Boga, czy w dzisiejszych czasach nie dostaje się drugiej szansy? - próbował żartować. - Nie mogłeś ze mną porozmawiać? Ostrzec mnie.

Eddie wyglądał na dotkniętego.

- Kit, drugą szansę dostałeś po wielekroć i równie wiele ostrzeżeń. Jezu, nie możesz nam zarzucić, że nie próbowaliśmy ci pomóc. Pamiętasz ten weekend u rodziny Mary, kiedy przez dwa dni próbowaliśmy cię otrzeźwić? George zorganizował ci terapeutę. Nawet interweniowaliśmy u ciebie w domu. Co jeszcze mogliśmy zrobić?

Kit siedział jak zamurowany. Nie po raz pierwszy czuł się, jakby trafił w ciało kogoś zupełnie obcego. Terapeuta? Trzeźwienie? Interwencja? Czy to możliwe, by mówiono o nim?

- Na litość, Ed. Mówisz do mnie, jakbym miał jakiś ogromny problem ze sobą. Przecież nie chodziłem pić sam. Ty mi zazwyczaj towarzyszyłeś, chyba nie zaprzeczysz. Byłeś też ze mną wczoraj wieczorem. Zawsze tam chodzisz.

- Różnica polega na tym, Kit, że ja w pewnym momencie stopuję i idę do domu. A potem wstaję rano i przychodzę do pracy. - Eddie zamilkł i popatrzył mu prosto w oczy. - Powiedz mi, Kit, o której poszedłem wczoraj do domu?

Kit zastanowił się. Czy Eddie był w restauracji? W sekretnym koreańskim barze? Jezu, może ta opowiadka George'a o kokainie jest prawdziwa? Czy Eddie to widział? W takim razie czemu go nie powstrzymał? Odchrząknął. - Poszedłeś do tej tybetańskiej knajpy - powiedział z całą pewnością, na jaką było go stać. - A potem zadzwoniła Mary i wyszedłeś.

Współczucie - a może był to niesmak - malowało się wyraźnie na twarzy Eddiego.

- Wypiłem jedno martini w Grillu i tobie poradziłem, byś także na tym zakończył - odparł - a potem poszedłem do domu. Nawet nie znam facetów, z którymi byłeś, Kit, a ty ich znasz? Przecież to dupki. Posłuchaj, chłopie, to, co stało się z Jacey i dzieckiem, wstrząsnęło nami wszystkimi. Ale musisz pamiętać, że jej już nie ma. A ty jesteś i teraz ty wszystko pieprzysz, dokładnie tak jak ona wcześniej.

Ściana, którą Kit wybudował w swym umyśle, by bronić się przed bólem po tamtym, co wydarzyło się z Jacey, zaczęła się kruszyć. Dziecko. Nie potrafił tego znieść. Skoncentrował się, by ściana nie runęła. Siedział w gabinecie Eddiego, patrząc poprzez budynki i dźwigi na zieloną plamę Central

Parku, nagle zobaczył też Eda i Mary, George'a i Julię przeszukujących jego mieszkanie. Co to było? Coś okrągłego i srebrnego zaślśniło w jego umyśle. Coś, co leżało na umywalce. Zakrętka od butelki? Jezu.

- Wszyscy chcieliśmy ci pomóc, Kit, ale nie potrafiliśmy nic zmienić, choćbyśmy się nie wiem jak starali. Nie możesz oczekiwać, że firma będzie płacić za to, co zrobiła Jacey.

Kit zamknął oczy, ale już nie mógł pozbyć się wspomnienia Jacey leżącej na podłodze. Jej twarz, blada i pozbawiona wyrazu, ich nienarodzone dziecko już nieżywe w niej. Serce zaczęło mu walić niczym werbel. Jacey odeszła. Jacey odeszła. Jacey odeszła.

- Potrzeba mi tylko więcej czasu, Ed - wyszeptał błagalnie. - Trochę czasu. To wszystko.

- Kit - odparł Ed - to już prawie trzy miesiące. Więcej nie jesteśmy w stanie ci ofiarować. Każdy inny wyleciałby już dawno. Tylko dlatego, że George tak wysoko cię cenił, wstrzymywał się tak długo. Próbowałem już miesiąc temu go przekonać, że powinniśmy... - Urwał. - Przepraszam, stary, ale tak właśnie się rzeczy mają. A teraz dzwonię po Niamh, żeby cię zabrała do domu. Wyjedź na wakacje. Weź się w garść, na litość boską.

Gdy sięgał po telefon i wybierał numer, w murze oddzielającym Kita od rzeczywistości zaczęła się formować szczelina. Siedział w gabinecie swego najlepszego przyjaciela, a mur zaczął pękać, najpierw powoli, potem już nieubłaganie. I po raz drugi tego dnia zapłakał.

Oczywiście trawa to tylko część sukcesu.

Bez słońca, deszczu i leciutko słonej morskiej bryzy i tego czegoś, co sami mamy w sobie, mleko będzie gówniane, podobnie jak ser.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Jeszcze inna Księżna Grace miała się całkiem dobrze i przebywała po drugiej stronie świata, na odległych Wyspach Sulivana. Ta Księżna zajmowała myśli Abbey Corrigan kąpiącej się w błocie na miękkim brzegu strumienia Ate'ate.

Tak naprawdę Abbey uważała, że myśli o Gorgonzoli, ale Księżnej to nie przeszkadzało. Raczej czuła się dotknięta faktem, że musi dzielić marzenia Abbey z pralką automatyczną.

Abbey leżała na plecach w ciepłym błocie, z zamkniętymi oczami, i uśmiechała się do słońca. W myślach nadal puszczała w ruch ubrania jednym naciśnięciem guzika, podczas gdy kremowy ser z błękitnymi żyłkami wirował wokół niej w powietrzu.

Błoto zawsze przypominało jej o serze, to była jedna z tych rzeczy. Nie miała sensu, ale podobnie było z innymi skojarzeniami, więc specjalnie się tym nie przejmowała. Jeśli chodzi o pralki, to myślała o nich, ponieważ musiała spędzać piekielne godziny nad brzegiem Ate'ate, mydląc, namaczając, trąc i wyciskając ręcznie ubrania swoje i Martina. To też nie miało większego sensu, myślała teraz leniwie, leżąc w błocie, ponieważ mieli bieżącą wodę w chacie. Ale Martin nie chciał słyszeć o zużywaniu w ten sposób wody - drogocennej rezerwy, której nie wolno marnować - tak zawsze jej powtarzał i chociaż wcale nie o to chodziło, wiedziała, że nie byłby zadowolony, gdyby mu o tym przypominała. Tak czy siak łatwiejsze wydawało się pranie w trudniejszy sposób.

Otworzyła jedno oko, po czym natychmiast zmrużyła je od blasku bijącego z błękitnego nieba: po porannym deszczu pozostał tylko cień chmurki. Abbey rozłożyła dłonie na miękkiej ziemi i ścisnęła jedwabiste błoto między palcami, wyobrażając sobie, że to wnętrza tysięcy dojrzałych serów camembert. Jednocześnie zastanawiała się, czy stanik typu push up naprawdę unosi biust. Ostatnimi czasy dużo myślała o biustonoszach - w ogóle o bieliznie, ale w szczególności o biustonoszach. Tylko z powodu tej jednej rzeczy żałowała, że wyskoczyła z taksówki, w której siedziała jej matka. Poza tym jednym wcale nie tęskniła ani za światem, gdzie jeżdżą taksówki, ani za swoją matką.

- Czy to jest normalne - zapytała nieba - tak leżeć w błocie i rozmyślać o własnych piersiach?

Ledwie rozpoznawała własny głos z zabawną podstawą angielską, naleciałościami irlandzkimi i slangiem wyspowym. Brzmiał tak, jakby należał do kogoś innego.

- No powiedz - odezwała się znowu. - Czy to jest normalne? Niebo jej nie odpowiedziało, ale Abbey pomyślała, że i tak zna odpowiedź, a brzmi ona „nie”. To nie jest normalne leżeć w błocie i rozmyślać o piersiach. Ale przede wszystkim nie jest normalne leżeć w błocie. Najwyraźniej jednak im dłużej mieszkała na wyspach, tym mniej była normalna; a im stawała się mniej normalna, tym mniej wiedziała, gdzie jest ta norma. Zastanawiała się, czy to się jakoś nie wyrównuje, ale uznała, że chyba nie, choć nie miała do końca pewności. Ostatnimi czasy niczego nie była pewna. To denerwowało Martina, ale jego właściwie wszystko denerwowało, a w każdym razie wszystko, co dotyczyło Abbey.

Kiedy jedenaście lat temu pojawiła się na wyspach, miała ze sobą dwa nowe białe biustonosze, z miseczkami B; doskonale dla jej właśnie rozkwitających piersi. Ale już rok

później z nich wyrosła. Matka zawsze jej powtarzała, że jednego dnia położy się do łóżka jako dziewczynka, a drugiego obudzi jako kobieta, ale matka mówiła także, że Święty Mikołaj molestuje małe dzieci i że fakt, iż nikt nie pamięta o twoich urodzinach, oznacza szczęście, więc Abbey za bardzo na to nie liczyła. Za to charakterystyczne było, że jej biust zdecydował się urosnąć właśnie wtedy, gdy nie miała dostępu do sklepów. Nie wydawało się przy tym, by choć trochę urosła, nadal mierzyła pięć stóp i pięć cali tak jak w dniu, w którym się tu zjawiała. Jej włosy nadal były brązowe z rudym połyskiem, oczy orzechowe, kibić smukła, a uda jędrne. No dobrze, może miała trochę więcej piegów (jak to Irlandka, która dużo przebywa na słońcu), ale poza tym wcale się nie zmieniła - poza biustem. Jak na kogoś jej wzrostu był imponująco wielki, ale przy tym doskonale krągły i sterczący, tak więc po pierwszym okresie, kiedy musiała się do niego przyzwyczaić, bardzo jej się spodobał.

Abbey odwróciła głowę na bok, nie na tyle, by ubrudzić sobie błotem ucho, ale by widzieć kosz z bielizną leżący obok niej na brzegu. Westchnęła i uznała, że pozwoli sobie na jeszcze kilka minut marzeń. Tak naprawdę, do czego niby miała się spieszyć? Zamknęła oczy i pogrążyła się w swych ulubionych rozważaniach na temat damskiej bielizny. Na co dzień od sześciu lat musiały jej wystarczyć trzy skromniutkie sportowe biustonosze, ale w marzeniach to, co na siebie wkładała, było znacznie bardziej prowokujące. Tego poranka wyobraziła sobie swe pełne mlecznobiałe piersi w purpurowym staniku od Yves'a St. Laurenta, zakończonym na samej granicy sutek. Zacisnęła mocno powieki, broniąc się przed światłem dnia, by nie przeszkadzało jej śledzić wzrokiem wyobraźni palca, męskiego palca, gładkiego, jasnego i silnego, przesuwającego się po jednej z jej wypukłości, by potem powędrować w dół w stronę sekretnego

rowka między piersiami i znowu wspiąć się na drugi wzgórek, zanim nie zatrzyma się i z wielką czułością, bardzo powoli, nie przesunie ku...

- Abbey! - Głos Martina tuż nad głową wdarł się w jej marzenia. - Co ty, na litość boską, robisz?

Błyskawicznie usiadła z głośnym „plup”, podrywając się z błota, i odwróciła się w stronę słońca, by ujrzeć w obramowaniu złotych promieni ciemną postać Martina, w rozpiętej na piersi koszuli, bandance na szyi, krótkich spodniach khaki, sandałach i kowbojskim kapeluszu. Wyglądał jak letnia wersja Marlboro Man, nawet jego sylwetka przypominała postać faceta z plakatów.

- Jesteś cała w błocie - powiedział. Jego wyszukany angielski akcent znowu ją zaskoczył. - Co się stało? Upadłaś? Nic ci nie jest? - Zbliżył się do niej brzegiem, a kiedy dostrzegł u jej stóp kosz z bielizną, skrzywił się znacząco, zdjął kapelusz i przetarł czoło rękawem koszuli.

Abbey potarła tył głowy, lepki od błota, starając się nie zachowywać równie głupio, jak się czuła.

- Bolała mnie głowa - skłamała nieprzekonująco - więc położyłam się na chwilę. Nic mi nie jest, naprawdę.

Spojrzała na męża i uśmiechnęła się, po raz tysięczny myśląc, jaki jest przystojny. Włosy z każdym rokiem mu jaśniały i uwielbiała, gdy ich nie obcinał na krótko. Jedenaście lat spędzonych na słońcu wyprawilo mu skórę, ale oczy stały się jeszcze bardziej błękitne, niż były, zęby bielsze, a uśmiech bardziej promienny, gdy tylko zdecydował się ją nim obdarzyć.

- Wyglądasz jak wariatka - stwierdził Martin. - Co, u licha, się z tobą dzieje? Wstawaj. - Złapał ją za rękę i jednym szarpnięciem postawił na nogi. Stali tak, przez chwilę boleśnie blisko, i Abbey poczuła przyływ nadziei. Który zgasł równie szybko.

- Lepiej zabierz się do prania - powiedział Martin, wkładając na głowę kapelusz i odwracając się od niej, by skierować się w stronę Centrum Irygacji, projektu, którym z roku na rok był coraz bardziej owładnięty.

Abbey patrzyła za nim przez chwilę, wreszcie weszła głębiej do strumienia. Położyła się na wodzie tak, by opłukała jej ramiona i kark. Szum przepływającej wody wprowadził ją w stan oczekiwania, jakby miała gdzieś pojechać lub miało się wydarzyć coś, czego nikt ani nic nie może zatrzymać.

Wysychając potem na kamieniach rzecznych i klęcząc nad praniem, wyciągnęła z kosza parę szarych męskich majtek i przez chwilę się im przyglądała. Gdyby wiedziała jako nastoletnia narzeczona, wpatrzona w swego przyszłego męża, że pranie jego bielizny będzie najważniejszym wydarzeniem dnia na wyspie, czy byłaby tak chętna, by uciec z nim na koniec świata? Potrząsnęła głową, jakby próbując się pozbyć niebezpiecznych myśli, i wzięła się drugi raz do szorowania majtek. Kochała go, poza nim nie miała nikogo i tylko to się liczyło.

- Abbey! Abbey! - W jej skłopotane myśli wdarł się nagły krzyk jej przyjaciółki Pepy stojącej na wale nabrzeżnym. - Jezu, Abbey! - krzyczała Pepa, teatralnie wymachując rękami. - Mnóstwo hoo - ha. Proszę. Chodź szybko. Pospiesz się.

Abbey cisnęła pranie z powrotem do kosza i wdrapała się po kamiennej ścieżce, biegnąc z Pepą w stronę budynku będącego miejscem wszystkich spotkań, szkołą i kościołem jednocześnie, wzniesionego w centralnym miejscu wioski. Z zagajnika palm kokosowych na lewo od budynku dochodziły hałasy potężnej awantury i właśnie w tym kierunku zmierzała Pepa. Kiedy była bliżej, zobaczyła przyjaciółkę Pepy, Obę, która klęczała koło drzewa, załamując ręce i usiłując uspokoić swoją siostrę Nan.

Abbey uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że hałas, który do niej dochodził, to płacz Nan - co było dlatego zadziwiające, że Suliwańczycy nigdy nie płakali. Ani wtedy, gdy ktoś tracił w wypadku kończynę, ani gdy poród był długi i trudny, ani gdy ukochanego zabierało nieubłagane morze.

Tego dnia jednak Nan przycupnęła koło domu spotkań, przyciskając do piersi kolana i chowając twarz w spódnicy, i zalewała się łzami.

- Co się stało, Nan? - zapytała Abbey, klękając obok, ale Nan odwróciła się i odpędziła ją machnięciem dłoni.

- Co jej się stało, Oba? - zapytała więc jej siostrę. Tamta potrząsnęła dramatycznie głową.

- Och... o... o... och... Abbey - powiedziała tylko, rzucając Nan ostrzegawcze spojrzenie, pod którym tamta zapłakała jeszcze głośniej, bujając się w przód i w tył w embrionalnej pozycji.

- Co się z nią dzieje, Oba? - zapytała znowu Abbey, zmieszana całą tą sytuacją. - Nie rozumiem.

Oba pochyliła się i wyszeptała coś przenikliwie do ucha siostrze. Abbey wyłowiła tylko „Fafi” - imię najstarszej córki Nan, dobrze rozwiniętej siedemnastolatki, która porzuciła naukę na głównej wyspie, by pomóc matce w opiece nad czwórką młodszych sióstr i braci.

- Czy coś złego stało się Fafi? Czy wszystko z nią w porządku? - zapytała Abbey. - Oba, musisz mi powiedzieć, co się dzieje, bo inaczej jak mogę pomóc.

- Abbey nie móc pomóc i tak - powiedziała Oba, wyraźnie unikając jej wzroku i spoglądając w stronę Pepy, która stała za Abbey, nerwowo obgryzając paznokcie.

- O co chodzi, Nan? - znowu zapytała Abbey, nie zwracając uwagi na pozostałe kobiety i masując jej kark jedną ręką. - Przerażasz mnie. Co się takiego wydarzyło?

Płacz kobiety przeszedł w czkawkę i Nan wreszcie podniosła wzrok na Abbey.

- Abbey zabierze Wodyczłek stąd, co? - zapytała z wahaniem, rozpaczliwie łapiąc powietrze między każdym słowem. Wodyczłek", czyli „Wodny Człowiek" - tak, raczej kpiąco ochrzcili Martina wyspiarze, kiedy po raz pierwszy dotarło do nich jego szaleństwo irygacyjne. Boże w niebiesiech, pomyślała Abbey, co tu się wyprawia. Roześmiała się, mając nadzieję, że uspokajająco, i uścisnęła serdecznie Nan.

- Nie bądź szalona - powiedziała. - Nigdy nie zmuszę Wodyczłek, aby stąd odszedł. Nigdy! Ciiii, nie ma się czym zamartwiać.

Ale Nan rozszlochała się znowu i nic, co mówiła Abbey, nie mogło jej uspokoić. Oba usiadła obok niej, ale nic nie wskazywało na to, by potrafiła w jakiś sposób pomóc, a Pepa cały czas się kręciła, usiłując unikać wzroku Abbey. Wreszcie, kompletnie nic nie rozumiejąc i czując się całkowicie bezużyteczna, zrezygnowała z prób ukojenia Nan lub namówienia Pepy i Oby, by zachowywały się rozsądnie, i ruszyła do domu. Ale płacz kobiety wytrącił ją z równowagi. Jak ktoś mógł w ogóle pomyśleć, że mogłaby zabrać stąd Martina? Jak w ogóle ktoś mógł pomyśleć, że ona miałaby namówić męża do czegokolwiek? Mogła go zmusić do czegokolwiek?

Rozwiesiwszy pranie na sznurze za domem, Abbey usiadła w cieniu na werandzie z najświeższym numerem „Tygodnika Australijskiej Kobiety" i próbowała wzbudzić w sobie zainteresowanie nieznaną gwiazdką telewizyjną. Zza krzaków dochodziły odgłosy zdrowego seksu uprawianego właśnie przez jej najbliższą sąsiadkę, Imi. Mąż Imi, Nunu, od ponad tygodnia przebywał poza domem, na wyprawie kupieckiej, i najwyraźniej kobieta nie mogła dłużej znieść

napięcia wywołanego przymusową abstynencją seksualną. Nunu z pewnością jeszcze nie wrócił, ale odgłosy równie pewnie świadczyły o przeżywanej rozkoszy.

Suliwańczycy wysoce sobie cenili seks, nic bardziej ich nie cieszyło niż dobre pieprzenie, pod warunkiem że partnerem nie był nikt z rodziny. Specjalizowali się w skomplikowanych układach spania z cudzymi mężami i żonami, w zależności od tego, kto pochodził z jakiej wyspy, uważali też, że im więcej osób w tym bierze udział, tym weselej. Abbey i Martina wielokrotnie zapraszano do takiej zabawy. Martin oczywiście był jej absolutnym przeciwnikiem. Nie można też powiedzieć, żeby Abbey gustowała w takich pomysłach, ale nie miałyby nic przeciwko pewnej dawce seksu. Znowu zamknęła oczy i oparła się o ścianę domu skuszona, by powrócić do marzeń o koronkowym biustonoszu i mocnym, jasnym palcu, który sunął jego skrajem, gdy rankiem leżała w błocie.

Tym razem palec błędził po jednej z delikatnych błękitnych żyłek znaczącej gwałtownie teraz podnoszący się i opadający biust. Palec zniknął pod koronką, posuwał się w dół i w dół, cały czas bardzo delikatnie, aż wreszcie dotarł do twardniejącego sutka i...

- Na Boga, Abbey, co ty znowu wyprawiasz? - Głos Martina drugi raz tego dnia wdarł się w jej marzenia, tym razem powodując, że uderzyła głową o klamkę w drzwiach.

Martin stał nad nią, był brudny, spocony i bardziej niż wściekły.

- Nie masz nic lepszego do roboty niż śnić o niebieskich migdałach?

Kiedy rzucił kapelusz na koślawą ławkę koło drzwi, Abbey po raz pierwszy zwróciła uwagę na jego dłonie. Paznokcie, połamane i pogryzione, czarne i brązowe, miejscami pozrywane, pełne odcisków i blizn, były rezultatem

ciężkiej pracy przy „projekcie” realizowanym za wioską. To były dłonie pracującego fizycznie człowieka. Z pewnością nie są to te palce, pomyślała teraz Abbey, które pojawiały się w jej marzeniach. A więc czyje to były palce? - zastanowiła się. Przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz, od którego dostała gęsiej skórki z poczucia winy.

- Nie zapomniałaś chyba, że państwo Fuller przylatują dzisiaj, prawda? - Doszedł ją głos Martina z wnętrza domu. Otworzyła usta w niemym przerażeniu, wznosząc oczy do nieba. Jak mogła zapomnieć? Jim Fuller, który raz w miesiącu przywoził im zapasy z Queensland w Australii, powiedział ostatnim razem, że tym razem przyleci z żoną, Shirley. Abbey mieszkała z Jimem i Shirl sześć lat temu, gdy pojechała do szpitala w Brisbane, i uważała Shirl za najbliższą przyjaciółkę na całej Ziemi. Jak mogło jej to umknąć?

Oczywiście, że mam lepsze rzeczy do roboty, niż marzyć na jawie, pomyślała, zrywając się na równe nogi. Jim i Shirl zamierzali zanoćować na wyspie, a Abbey miała przygotować kolację, niech Bóg jej dopomoże, potem zaś wraz z Shirl przegadają całą noc. Czekala na to od miesięcy. Jak mogła zapomnieć?

Ruszyła z pałającymi policzkami biegiem do kuchni, gdzie stał Martin, spoglądając z kwaśną miną na oczywisty brak jakichkolwiek przygotowań. Naczynia po śniadaniu piętrzyły się w starym zlewie, a drewniana podłoga od tygodnia nie widziała szczotki.

- Abbey, czy ty się dobrze czujesz? - zapytał, a jego opryskliwość zniknęła. - Czy wszystko w porządku?

Kiedy szukała jakiejś rozsądnej odpowiedzi, położył swą spracowaną dłoń robotnika na jej plecach i popchnął ją lekko w stronę krzesła przy kuchennym stole.

- Strasznie się martwię o ciebie - powiedział, nachylając się ku niej i patrząc jej w oczy. - Nie jesteś sobą.

Abbey całkowicie się z tym zgadzała. Nie była sobą. Była kimś podobnym nieco do siebie, ale nieco bardziej szalonym. Nie potrafiła tego wytłumaczyć. W każdym razie nie Martinowi, ale spróbowała.

- Czy kiedykolwiek czułeś się, jakbyś nie był związany z własnym życiem? - zapytała swego męża. - Jakbyś przemieszczał się obok niego i nie był tak naprawdę zaangażowany w to wszystko, co się z tobą dzieje. Tak jakbyś mógł nawet zapaść w sen na parę lat albo polecieć na Marsa lub coś w tym rodzaju, a po powrocie twoje życie nawet nie zauważyłoby twojego braku.

Martin przyglądał się jej, na jego czole zarysowała się zmarszczka zniecierpliwienia.

- Na litość boską, Abigail - powiedział, starając się powstrzymać niezadowolenie. - Dlaczego ty ze wszystkiego musisz zrobić problem? Kobiety na całym świecie, żony na całym świecie, zrobiłyby wszystko, żeby móc prowadzić takie życie jak ty. Leżysz sobie przez cały dzień na słońcu i jedyny twój problem, to jak przyrządzić prosty posiłek. Co się z tobą dzieje?

Abbey miała rację, nie potrafiła mu tego wytłumaczyć. Zrezygnowała.

- Pewnie się trochę denerwuję - oświadczyła radośnie, wymyśliwszy to na poczekaniu. - Tak dawno nikogo tu nie gościliśmy, Mart, a przecież wiesz, że nawet sama bym nie przeżyła na własnym jedzeniu. Może powiedziałeś jednak Jimowi, że jedzenie u mnie jest dość ryzykowne?

Martin zignorował jej próbę dowcipu, westchnął i pomasaował nasadę nosa - widomy znak, że był zirytowany.

- Czy to naprawdę tak trudno upiec kurczaka i zrobić sałatę? - zapytał, wypełniając te słowa po brzegi rozgoryczeniem.

- Wcale nietrudno. Nie wiem, co we mnie wstąpiło - odparła polubownie, przyglądając się, jak mąż znika za zasłoną w ich części sypialnianej, żeby zastąpić brudne ubranie świeżo upranym. Czy kobiety na całym świecie, żony na całym świecie, czują się samotne, puste i niekochane?, zastanowiła się. Czy tylko ona. Roześmiała się sama z siebie. Oczywiście, że nie jest niekochana. Martin ją kochał. Byli dla siebie stworzeni. Wiedzieli o tym od chwili, kiedy ich spojrzenia się spotkały w zakurzonej mrocznym holu kościoła w Wimbledonie, podczas spotkania zapoznawczego wolontariuszy do pracy za granicą. W tej właśnie chwili, kiedy Abbey potrzebowała, by ktoś obronił ją przed samotnością, uleczył jej złamane i zdradzone serce, zjawił się Martin, jej książę w lśniącej zbroi, pełen odwagi, siły i pewności siebie.

Na tydzień zanim stał się ten cud, Abbey dotarła na metę nauki w katolickiej szkole z internatem pod wezwaniem Świętego Ignacjusza w Knightsbridge, nie mając tak naprawdę pojęcia, co dalej robić ze swym życiem. Była dobrą uczennicą, przede wszystkim dlatego, że uwielbiała czytać, ale oceny miała średnie i specjalnie nie marzyła o studiach (choć również nie miała ochoty zostać fryzjerką, co planowała dla niej matka). To, że mama nie stawiała zbyt wysokich wymagań, nie zaskoczyło jej, bo Abbey sama siebie oceniała jeszcze niżej.

Nie miała nic przeciwko włosom, lubiła je, czuła konieczność ich posiadania na głowie, ale czy koniecznie musiały stać się celem jej pracy? Chciała, żeby jej praca, jej cel życia, była czymś specjalnym, czymś, co miałoby znaczenie, od czego jej serce zaczęłoby szybciej bić i co spowodowałoby, aby ludzie na nią spoglądali. Problem w tym, że nie bardzo umiała wskazać taką rzecz. Przez chwilę myślała, że mogłoby to być pisanie. Może nawet poezja.

- Chyba ci się coś popieprzyło - powiedziała jej matka. - Albo jesteś głupsza, niż na to wyglądasz.

Kiedy miała jakieś czternaście lat, śniło jej się raz, że powróciła na farmę dziadka. Ale kiedy się obudziła, uzmysłowiła sobie, że nawet nie wie, gdzie to jest, nie była tam, odkąd skończyła pięć lat. Gdzieś w Irlandii. Było tam zielono i blisko morza. Miała zbyt wiele rozumu, by zapytać o adres farmy matkę, która dawno rozstała się z dziadkiem i nie znosiła, gdy cokolwiek jej przypominało, że coś ją z nim łączyło. Tak więc Abbey zarzuciła pomysł z poezją.

Jako siedemnastolatka bez sprecyzowanych planów na przyszłość, za to obdarzona marzycielskim, łagodnym, raczej niedzisiejszym usposobieniem, stała się dość oczywistym celem rekrutacji do zakonu.

- Jesteś wyjątkowa, Abbey, sama o tym wiesz - szeptała jej siostra Klementyna podczas wstępnych sesji. - Jeśli nasz Pan przyjdzie zapukać do twych drzwi, nie odtrącaj go. Pozwól mu wejść. Wtedy łaska na zawsze zostanie z tobą.

Taka perspektywa całkiem jej odpowiadała, choćby dlatego, że pozwalała jej nie myśleć, co powinna dalej zrobić ze swym życiem. Więc Abbey czekała cierpliwie, by powołanie do niej zastukało. Jednak hormony dobijały się głośniejsze.

Pewnego dnia, kiedy była w ostatniej klasie, do jej drzwi zastukał Jasper Miles z sąsiedniej szkoły pod wezwaniem Świętego Patricka. Zastukał i Abbey go wpuściła. Zaczęło się całkiem niewinnie. Kim był, wiedziała dobrze i to od lat, wszystkie dziewczęta od Świętego Ignacjusza wiedziały i uważały, że jest wspaniały. Wysoki blondyn, przystojny i bogaty, syn magnata finansowego i były model. Ale Abbey nigdy nie pomyślała, że mogłaby być w jego typie. Była drobna i cicha, zawsze z nosem w książkach, nie można powiedzieć, że nie lubiana, ale też nie szalenie popularna. Na

jej semestralnych kartach pisano zazwyczaj: „powinna bardziej się starać”, „zawsze myśli o niebieskich migdałach”, a jej matka kiedyś oskarżycielsko stwierdziła, że Abbey ma osobowość pustego dzbana. Abbey nieustannie czuła się tłem, podczas gdy Jasper zawsze znajdował się w centrum uwagi. Więc nikt nie był bardziej zdziwiony niż ona sama, kiedy po meczu, na który poszła ze starannie wybranymi dziewczynkami z najstarszej klasy, zamieniwszy z Jasperem zaledwie kilka zdań, zaczęli się gorąco całować w holu prowadzącym do damskich toalet.

Pierwszy raz w życiu Abbey czuła się kimś specjalnym. Po raz pierwszy prawdziwe życie okazało się lepsze niż fantazje i to, co czytała o życiu innych. Czuła się błogosławiona. Jakby odkryła najcudowniejszą tajemnicę wszechświata i teraz potrafiła spojrzeć na świat zupełnie innymi oczami. O tak, Jasper Miles otworzył coś w Abbey Corrigan: czyste, nieskażone pożądanie i pociąg do niego.

Ściśnięta między automatem z czekoladkami a gaśnicą czuła język Jaspiera na swoich wargach, jego ręce na swej skórze i twardą chłopięcość przez szkolny mundurek. Jej opór, katolickie poczucie winy, jej dobre intencje zniknęły. Pragnęła Jaspiera Milesa równie mocno jak on jej i dwa tygodnie później, kiedy tylko jego drużyna wygrała mistrzostwa, pozwoliła mu pójść tak daleko, jak tego chciał. I poszła tam wraz z nim.

Przez kilka miesięcy rzucali się na siebie jak szaleńcy - w domu jej matki, w domu jego rodziców, w szopie na rowery przy jego szkole, w jej szkolnym laboratorium, nawet raz w kaplicy, gdzie wystawiono ciało siostry Eufemii, dosłownie kilka metrów od katafalku. W każdym miejscu i w każdym czasie Jasper był na to gotów, a Abbey wraz z nim.

Do dziś dnia nie potrafiła sobie przypomnieć choćby jednej rozmowy z nim. Tylko ten ogień, który w niej rozpałał.

Zanim go spotkała, Abbey nie zdawała sobie sprawy, że mogłaby być kimś więcej niż tylko zahukaną, milczącą istotą, którą zawsze była. Ale ten duży, spocony, nieco pryszczaty nastolatek, młodszy od niej o sześć dni, spowodował, że wydawała dźwięki, o które by siebie nawet nie podejrzewała. Krzyki, jęki, gardłowe odgłosy towarzyszyły burzy zmysłów, którą traktowała jako coś nadprzyrodzonego, co nigdy nikomu poza nią się nie zdarzyło. A ponieważ była marzycielką, nieco zabawną i staroświecką, oczekiwała, że będzie z nim na zawsze, chociaż nawet nie rozmawiali o planach na najbliższy tydzień. Dlatego też bez wahania powiedziała mu, że nie ma okresu (a zdarzyło się to po raz drugi z rzędu) i że może być w ciąży. I wtedy ostatni raz widziała Jaspera Milesa.

Tego samego wieczoru jej matka, groźnie podzwaniając lodem w szklance, przeprowadziła ostrą rozmowę z panią Miles przez telefon. Sprawę postawiono jasno, matka Jaspera nie chciała mieć nic wspólnego z Abbey i jej małym problemem, podobnie jak jej syn, który został już wysłany do wujostwa w Ameryce.

- Ta to potrafi wyniuchać kłopoty! - Rose, trzasnąwszy słuchawką, przeklinała jeszcze przez chwilę swoją rozmówczynię. - Sposób, w jaki ze mną rozmawiała! Nikt nigdy do mnie tak nie mówił! Jakbym była jakąś irlandzką pijaczką. No cóż, Margaret Miles może się wynosić nad innych, ale jej mąż i tak woli Pamelę Harrington i jeśli myślisz, Abigail Corrigan, że pozwolę, by w tym domu pojawił się bękart jej syna, to lepiej zastanów się raz jeszcze, bo ja się na to nie zgodzę.

Zamiast tego postanowiła zabrać swoją córkę do kliniki aborcyjnej w Richmondzie, a po tej wycieczce Jasper Miles zostanie na zawsze wymazany z ich pamięci.

Abbey nie chciała uwierzyć, że ukochany ją porzucił, ale po tygodniu wysłuchiwania tej smutnej prawdy od matki,

wyśledziła jego najbliższego przyjaciela, Graysona Smythe'a, który potwierdził, że ptaszek wyfrunął z klatki. To koniec, bardzo mi przykro, oświadczył Grayson. Przykro też najprawdopodobniej było Jasperowi, chociaż trudno to powiedzieć, bo wyraźnie pomysł wyjazdu do Ameryki bardzo go ekscytował.

Oszołomiona tą informacją, Abbey niechętnie zgodziła się posłuchać matki. Rose postawiła sprawę jasno; nie pozwoli, by córka popełniła jej własny błąd, rodząc niechciane dziecko, kiedy jej życie dopiero się rozpoczyna. Ta wiadomość tak przygnębiła Abbey, że już w ogóle nie stawiała oporu.

Pod nieobecność Jaspera, który scałowałby jej łyzy i zapewnił, że wszystko będzie dobrze, nie miała innego wyjścia, jak tylko wsiąść do taksówki w towarzystwie swej uszczypliwej rodzicielki i liczyć słupy telegraficzne w drodze do Richmondu.

Rose, niezadowolona z powodu głupoty swojej córki, poszła utopić swą wściekłość w kilku kieliszkach w barze, co doprowadziło z kolei do spędzenia pewnego czasu na tylnym siedzeniu rodzinnego sedana w towarzystwie sprzedawcy ubezpieczeń, który przedstawił się jako Warren, przez co spóźniła się trzy godziny po Abbey.

To właśnie podczas tych nadprogramowych trzech godzin oczekiwania w poczekalni, kiedy miła recepcjonistka usiłowała nie spoglądać zbyt współczującym wzrokiem na popłakującą nastolatkę, Abbey sięgnęła po lokalną gazetę i zobaczyła ogłoszenie, w którym szukano wolontariuszy do pracy za granicą. Trzy dni później, smutna i samotna, obezwładniona czymś, co wreszcie zdefiniowała jako gniew, poszła do kościoła w Wimbledonie i tam właśnie spotkała Martina, silnego, przystojnego, poważnego dwudziestosześcioletka szukającego przygody i kogoś, kto by go wspierał. Jej los został przesądzony.

Martin Kenderdine urodził się w Kent, osiem lat przed tym, zanim Abbey przyszła na świat, był najmłodszym z pięciorga rodzeństwa, spośród którego nikt poza nim nie cierpiał na dysleksję. Jego ojciec był lekarzem, a matka nauczycielką. Martin jedyny z całej rodziny nie poszedł na uniwersytet i nie zdobył dyplomu, czego nie potrafił przeboleć.

Po skończeniu szkoły przez rok pracował na farmie, potem wyjechał do Kenii, gdzie zarabiał jako przewodnik na safari. Z organizacją wysyłającą wolontariuszy za granicę związał się jakiś czas później. Najpierw wysłano go do Gwatemali, a potem do Australii Zachodniej, gdzie przez trzy lata pracował w kopalni opali. Dopiero co stamtąd wrócił i właśnie się dowiedział, że jego siostry i bracia są obecnie zamożnymi profesorami otoczonymi rodzinami, mieszkają w dużych domach i jeżdżą pięknymi samochodami. Świadomość, że nigdy nie będzie taki jak oni, tylko wzmocniła jego determinację, by pomagać tym, którzy mieli w życiu mniej szczęścia niż on. Kiedy pracował dla Trzeciego Świata, nikt nie porównywał jego osiągnięć ze statusem rodzeństwa, te obszary nie przecinały się bowiem. Ponieważ nie zgromadził żadnych dóbr doczesnych, postanowił zrezygnować z nich całkowicie, w ten sposób przekonując siebie, że ich brak nie oznacza jakiejś klęski.

Potrzebował jedynie żony.

Martin zawsze traktował kobiety jako zadania. Ścigał je i często jego zainteresowanie graniczyło z obsesją, co z kolei powodowało odrzucenie, jako że kobiety boją się takich niestabilnych facetów. Ale był bardzo przystojny, potrafił być czarujący i nie był złym człowiekiem, tylko po prostu zranionym i zawiedzionym.

Kiedy zobaczył Abbey, wiedział, że będzie dla niego doskonała. Dostrzegł u niej brak pancerza i nonszalancję co do

przyszłości, które pozwolą mu wprowadzić ją w ten rodzaj życia, które chciał wieść. Co więcej, Abbey była prześliczna. Drobna, łagodna i smutna, najwyraźniej potrzebowała wsparcia, które on chciał jej dać. Moment ich spotkania był doskonały. Natychmiast zakochali się w sobie, a już po miesiącu zostali małżeństwem. Po dwóch zaś znaleźli się na Wyspach Sulivana, w nieznanym miejscu pośrodku Pacyfiku, a jedyne, co ze sobą przywieźli, to głowy pełne marzeń o zrobieniu czegoś dobrego, czegoś wielkiego, czegoś nadzwyczajnego dla tej planety.

Martin celowo wybrał ten zakątek ze względu na jego osamotnienie: była to grupa wysepek, w większości koralowych, po części niezamieszkanych. Abbey, zanim się tu znalazła, nigdy nie słyszała o takim miejscu. Najbliższymi sąsiadkami Sullivanów były Wyspy Salomona. O nich nie słyszała także. Na Sulivanach zamieszkiwało w sumie około trzech tysięcy ludzi, w większości Melanezyjczyków, przy czym większość na trzech głównych wyspach: Ika, Oma i Afo - najbliższa Ate'ate. Ate'ate miała dwie mile długości i jedną szerokości, wzdłuż całej północnej strony ciągnęła się tropikalna piaszczysta plaża, na południowej znajdowała się wioska. Głęboki, naturalny port osłonięty był od wschodu przez Skałę Żółwia, u jej podnóża wybijał strumień, tworzący oczko świeżej wody, w której Abbey robiła pranie. W latach sześćdziesiątych Amerykanie wykorzystywali to miejsce jako punkt tankowania paliwa, co tłumaczy fakt wybudowania na wysepce o setce mieszkańców pasa startowego, na którym w razie czego mógłby wylądować boeing 737. Nie żeby było to bardzo prawdopodobne. Mimo idyllicznego piękna wyspy turyści jakoś ją omijali. Nawet pewien mężczyzna, który uciekł przed wyścigiem szczurów z agencji reklamowej, gdzie pracował, i teraz spędzał całe dni, żeglując po oceanie

luksusowym jachtem, wyminął Ate'ate, kierując się w stronę jasnych świateł Afo z jej rozlicznymi barami i restauracjami.

Elektryczność i wodociągi były oczywistością na trzech głównych wyspach, ale na pozostałych życie toczyło się jak przed wiekami. Podczas badań przeprowadzonych w 1980 roku przez ONZ Sulivany zostały zakwalifikowane jako jeden z najgorzej rozwiniętych rejonów świata. To właśnie zainteresowało Martina, on i Abbey mogli się udać z pomocą właśnie w takie miejsce. Tak się jednak dla nich nieszczęśliwie złożyło, że dokładnie w tym samym czasie na maleńkim atolu na wschodnim końcu grupy wysp odkryto bardzo bogate złoża minerałów i ich mieszkańcy zaczęli dyktować światu ceny praw do ich wydobycia.

Nie zasypiając gruszek w popiele, starszyzna wszystkich wysp wypracowała prosty fundusz powierniczy mający dbać o to, by żadnemu mężczyźnie, kobiecie ani dziecku mieszkającym na Sulivanach nie brakowało niczego aż do roku 2090, kiedy to z kolei odsetki od inwestycji będą służyć dalszemu karmieniu, ubieraniu i edukowaniu przyszłych pokoleń mieszkańców.

Firma Herkules Jima Fullera zorganizowała comiesięczne dostawy z Brisbane w Australii, dostarczając wyspiarzom wszystkiego, od pieczonej fasolki Heinza po żel do włosów. Generatory, które zapewniły mieszkańcom elektryczność, przyплыnęły statkami wraz z urządzeniami wymagającymi prądu. Nie minęło wiele lat, a wyspiarze porzucili nawet picie świeżej wody ze źródła na rzecz eviana importowanego wprost z Francji. Nosili ubrania z Gapa i Country Road, zamawiane często przez Internet, i przynajmniej w jednej chacie na każdej wyspie można było znaleźć maszynę do cappuccino.

Oczywiście, nie tak wyobrażał sobie Martin miejsce, do którego przywoził Abbey. Pragnął budować mosty, karczować

dzunglę, zniszczyć sobie ręce ciężką fizyczną pracą - i dokładnie to właśnie robił, mimo że zupełnie nie było takiej potrzeby. Organizacja, która ich tu przysłała, stopniowo wycofała pomoc, ponieważ stało się jasne, że wyspy znakomicie poradzą sobie bez niej. Prawdę mówiąc, starszyzna wyasygnowała sporą kwotę darowizny, żeby się pozbyć wolontariuszy. Z Martinem jednak nie poszło tak łatwo.

Jemu i Abbey nie było potrzeba wiele do życia, skromny procent od oszczędności Martina, uzupełnianych corocznie przez jego rodziców, w zupełności im wystarczał. Martin całe dnie spędzał, pracując nad niesłychanie skomplikowanym systemem nawadniania, budowanym na pięcioakrowej działce w centrum Ate'ate, który - jak zapewniał - pewnego dnia zapewni mieszkańcom niezależność od świata.

To, że tubylcy woleli mrożone paluszki rybne Johna Westa, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Był całkowicie pochłonięty swoją ideą. Był też przekonany, że kiedy zasoby minerałów skończą się pod koniec wieku, Suliwańczykom zabraknie zarówno pieniędzy, jak i umiejętności powrotu do wcześniejszego trybu życia. Jego arogancja, wyrażająca się zresztą nie tylko w tym jednym, nie zaskarbiła mu wielu przyjaciół, choć generalnie tubylcy byli bardzo tolerancyjni i lubili Abbey.

Przyjechała tu z zamiarem uczenia dzieci czytania i pisania, ale plan ten został zniweczony przez obowiązkowy i zaawansowany system oświaty wprowadzony przez rząd wysp dla wszystkich dzieci w wieku od sześciu do piętnastu lat, system, który nie brał pod uwagę jej osoby. Dlatego też ograniczyła się do dawania od czasu do czasu lekcji angielskiego, opiekowania się cudzymi dziećmi, starań, by prowadzić dom jak dobra żona, czytania wszystkiego, co tylko

wpadło jej w ręce, oraz marzeń, na co miała zdecydowanie zbyt wiele czasu, by mogło jej to wyjść na dobre.

To nie było złe życie, ale nie miała pewności, czy to jej życie. Jedyne, co utrzymywało ją na powierzchni, to miłość do Martina, i Abbey trzymała się jej jak tonący niezatopialnej tratwy. Ale tego wieczoru, kiedy siedziała przy kuchennym stole, z brodą opartą na dłoniach, wciąż czując na sobie wzrok niezadowolonego męża, chociaż ten już dawno wyszedł, czuła się naprawdę skołowana. Nie była sobą, Martin miał całkowitą rację. Lecz w takim razie, kim, u diabła, była? Nie należała do tego rajy, ale też nie należała do żadnego innego miejsca na ziemi. Była nikim. Nie przynależała nigdzie. Dlatego marzyła o jakimś nierzeczywistym życiu.

I ta właśnie myśl otworzyła zawór w jej niezatopialnej tratwie.

Poza wszystkimi znanymi od wieków działaniami, dobry wytwórca sera potrzebuje czegoś, o czym tylko on wie, a co spowoduje, że jego ser będzie lepszy od sera sąsiada.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

- Jak ci się podoba „Samotna pasterka”? - zapytał Fee, przyglądając się paznokciom dziewczyny.

Ściągnęła słuchawki discmana z uszu. Opadły jej na szyję, gdzie znikły w gąszczu brudnych blond dredów.

- Co za idiotyczny pomysł! - odezwała się słodkim głosem, który zadawał kłam niechlujnemu wizerunkowi twardzielki, i wyciągnęła przed siebie ręce. - Na samą myśl o takiej muzyce chce mi się rzucić pawia.

- Spójrzcie no! - wykrzyknął z zachwytem Fee, nie zwracając uwagi na jej opryskliwość, i złapał ją swymi krótkimi palcami za szczękę. - Kolejna z niewyparzonym językiem. Jezus, Maria i Wszyscy Święci, popatrzcie tylko!

Trzy tłuste rude koty śpiące przed paleniskiem podniosły jednocześnie głowy.

- Spokojnie, dziewczynki - odezwał się Corrie z głębi fotela.

- Wasze koty nazywają się Jezus, Maria i Wszyscy Święci? - zapytała Lucy. Niewiara pomieszana z pogardą wykrzywiła jej ładną buzię.

Corrie spojrzał z uśmiechem na przyjaciela.

- Nie zrobiliśmy tego celowo, Boże broń - wyjaśnił.

- Nauczyły się reagować na „Jezus, Maria i Wszyscy Święci”, zanim zdążyliśmy wymyślić dla nich jakieś imiona a wszystko dlatego, że zbyt długo przyuczały się do mieszkania w domu - wyznał Fee. - Ale mogło być dużo gorzej.

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

Lucy przyjrzała im się uważnie. Wydawali jej się nieco zbzikowani. Ale ogłoszenie, jakie zamieścili, było jedynym, do którego idealnie spełniała wszystkie kryteria. „Poszukiwana wegetarianka, wymagane krótko obcięte paznokcie i dobry głos”.

- No właśnie - potwierdził Corrie, obniżając fotel i opierając nogi na podnóżku. - Kiedy ostatni raz jadłaś mięso, Lucy?

- Udziec cielęcy, jak miałam pięć lat. Pamiętam, bo chciałam potem kością wykluć oko mojemu cholernemu bratu - oświadczyła wyzywająco. - A, i jakiś skurwiel nalał mi mięsnego sosu na wegetariański pasztecik, kiedy byłam na pikniku, ale o tym dowiedziałam się dopiero później.

- Jak to smakowało? - zainteresował się Fee.

- Nie wiem. Byłam wtedy bulimiczką.

- Mogłabyś być szalona jak kapelusznik i dwa razy mniejsza, niż jesteś, dla nas to nie ma znaczenia - oświadczył pogodnie Fee. - Potrzebujemy po prostu kogoś, kto będzie doił nasze krowy.

Lucy poczuła, jak jej entuzjazm opada aż po czubki stóp obutych w martensy, nad którymi widniały dziurawe kabaretki i zniszczona szkocka spódniczka. To było zbyt piękne, by okazać się prawdziwe, powinna wiedzieć. Przez prawie trzy godziny siedziała tutaj, w tej przegrzanej bibliotece, słuchając „Dźwięków muzyki”, popijając miętową herbatę i przez ten czas przychodziły jej do głowy przeróżne możliwości, ale nie wpadłoby jej do głowy, że miałaby zostać dojarką. Wiedziała, że Corrie i Fee robią ser. Nawet jej matka go kupowała, by częstować te zarozumiałe krowy podczas niekończących się partii brydża w Dublinie.

- Coolarney, najlepszy ser w całej Irlandii, a może nawet na świecie - powtarzała zawsze matka, krojąc go na mikroskopijne kawałeczki i podając z wykwintnymi

ciasteczkami oraz malutkimi kieliszkami sherry. Ale Lucy była przekonana, że ser robi się maszynowo. W dużych kadziach. A mleko przywozi się z fabryki.

- Myślałam, że ser robi się maszynowo. W wielkich kadziach. A mleko przywozi się z fabryki - powiedziała teraz.
- Po co wam krowy?

- Ona ma dziury w głowie - westchnął Fee. - I mózg jej wypłynął.

- Nasz ser, Lucy - cierpliwie tłumaczył Corrie, ignorując słowa Fee - jest najlepszy w całej Irlandii, a może nawet na świecie. Robimy go z naszego własnego krowiego mleka. Czy wiesz, że te krowy pasą się na tych samych pastwiskach od setek lat?

- To znaczy, że wszystko tutaj jest potwornie stare - niegrzecznie odpowiedziała Lucy, ale Corrie ciągnął niezrażony dalej:

- Chcemy, żeby nasze krowy dawały jak najlepsze mleko, bo wtedy robimy dobry ser.

Opowiedział jej, że od pokoleń Feehanowie i Corriganowie wspólnie prowadzą ten biznes. Zgodnie z tradycją Corriganowie dostarczają krowy, krowy dają mleko, a Feehanowie wiedzą, jak z tego mleka zrobić ser - zyski, jeśli takie są, dzieli się po połowie.

- Dzięki za lekcję historii. - Lucy ziewnęła szeroko. Corrie spokojnie opowiadał o niebieskim i złotym coolarneyu, zarówno na wagę, jak i w kawałkach, i poinformował ją, że podaje się je oba na wszystkich eleganckich oficjalnych bankietach („a możesz się domyślić, że ci wysocy urzędnicy mają niezłe apetyciki”, zażartował Fee). Niebieski był szczególnie lubiany przez księżną Dianę, oczywiście kiedy akurat nie była na diecie, ale nadal kupują go w Pałacu Buckingham. A żaden ser na świecie nie dostał tylu nagród co ich drogocenna Grace. Po tej stronie Atlantyku kupuje się go

po czternaście funtów szterlingów za sto gramów, jeśli w ogóle udaje się go dostać, bo większość trafia prosto do Nowego Jorku.

- To fascynujące - ironizowała Lucy. - Więc po co ja jestem tu potrzebna?

- Potrzebujemy cię - powiedział Corrie - ponieważ stanowisz specjalny składnik.

Lucy nagle nie wyglądała już na znudzoną.

- Żartujecie sobie ze mnie? - spytała podejrzliwie.

- Wcale nie - odparł Corrie. - Potrzebujemy dziewczyn, które nie fałszują i nie jedzą mięsa, aby doły nasze krowy.

Wtedy, wyjaśnił, mleko jest słodsze. Oto cała tajemnica. Wtedy ser dojrzewa spokojniej, co daje mu smak wręcz miodowy, pozostający na języku na długo po przełknięciu ostatniego krakersa, ostatniego winogrona, ostatniego łyku wina.

Corrie i Fee utrzymywali stado złożone ze stu krów, podzielone na dwie części, tak że pięćdziesiąt dojono w jednym czasie. Każda krowa dawała dwadzieścia pięć litrów mleka dziennie, podczas dwóch dojeń, rano i po południu. Potrzebowali do tego pięciu śpiewających wegetarianek, a w tej chwili właśnie zostały im cztery. Mary - Ann złakomiła się na pęto kiełbasy, co spowodowało jej powrót do rodzinnego Donegal. Czasami to się zdarzało.

- Kpicie sobie ze mnie - powtórzyła Lucy, szarpiąc w dłoniach kawałek dreda wyglądający na dość zjełczały, i dodała, marszcząc brwi: - Nie wypadłam sroce spod ogona.

Corrie i Fee popatrzyli na siebie ze zrozumieniem. Te małe gąski zawsze się zachowywały tak samo.

- Zwabiliście mnie tutaj - oświadczyła - kazaliście mi godzinami słuchać tej słodkiej jak sacharyna Julie Andrews, a teraz wciskacie mi śmierdzącą już z daleka historię o jakichś cholernych serach, żebym przyjęła posadę „dojarki”.

Widywałam już takich starych zboczeńców jak wy. Myślicie, że nie wiem, jak to wygląda?

Zerwała się z krzesła, usiłując uwolnić się od słuchawek, wciąż zaplątanych w dredy. Corrie i Fee przyglądali się temu z zainteresowaniem.

- Nigdy z bliska nie widziałam krowy, nie mówiąc już o ciągnięciu jej za cyci, czy jak tam, do cholery, to nazywacie. Jestem z miasta - oznajmiła protekcjonalnie, tracąc cierpliwość do słuchawek, ale usiadła na brzegu fotela, by systematycznie przeczesać palcami dredy i znaleźć nareszcie ten zaplątany. Oczywiście prawda była taka, że już wcale nie chciała być z miasta. Pragnęła znaleźć się tak daleko od miasta, rodziców, brata, nauczycieli i tego cholernego kłamcy Eamona, jak tylko mogła, dlatego właśnie sprzedała skrzypce i kupiła bilet do West Cork.

- A poza wszystkim to jest niebezpieczne, prawda? Czy krowy nie kopią, a może gryzą, czy coś takiego? - Trzymała teraz obie dłonie z tyłu głowy, przeczesując kolejne pasma, by znaleźć to, które więziło słuchawki.

- Płacimy sto pięćdziesiąt funtów tygodniowo, zapewniamy mieszkanie i jedzenie - powiedział Corrie. - Oczywiście bezmięsne.

- Będziesz pracować na zmiany, zaczynasz o piątej rano, kończysz dwie do trzech godzin później - dorzucił Fee - potem tyle samo godzin po południu. W wolnym czasie możesz robić, co ci się żywnie podoba. Avis ma przygotowane dla ciebie miejsce, możesz tam oglądać wideo, malować albo grać w gry planszowe z innymi dziewczętami. Albo możesz zarobić dodatkowo, pracując w lecznicy. A do pubu jest zaledwie pięć minut drogą. Dziewczętom - myślę o krowach - nie przeszkadza zapach alkoholu, prawdę mówiąc, nawet go lubią. Tak czy siak, prosiłem Avis, żeby przygotowała dla ciebie pokój.

Palce Lucy zatrzymały się, bo właśnie natrafiły na winowajcę. Starannie odwinęła kabel, aż wreszcie słuchawka znalazła się w jej dłoni.

- A co was, starych zbereźników, przekonuje, że zostanę?
- zapytała.

Przez chwilę panowała cisza.

- Nikt nie słucha przez trzy godziny „Dźwięków muzyki”, jeśli nie zamierza tu zostać - odpowiedział Fee. Nie chciał, by zabrzmiało to niegrzecznie, ale i tak twarz Lucy oblała się czerwienią.

- Hm, no tak, wcale mi tak nie zależy na pracy, żebym łapała się za cokolwiek - oświadczyła, spoglądając na nich z wystudiowanym brakiem zaufania. Sięgnęła po torbę, jakby szykując się do odejścia.

- Czy już zaproponowałeś jej pracę? - zwrócił się Corrie do Fee. - Chyba nie powinienesz jej do tego tak namawiać, Joseph. Może niech po prostu u nas zamieszka i spokojnie się nad tym wszystkim zastanowi? Nie chcemy, żeby podejmowała pochopnie jakieś decyzje.

Lucy zamarła i stała, czekając, by coś się wydarzyło. Szybko. Prawdę mówiąc, zamierzała tu zostać, a w dodatku była zmęczona i głodna - sto pięćdziesiąt funtów tygodniowo plus jedzenie, jakie jej odpowiadało, to brzmiało całkiem zachęcająco.

Fee parsknął śmiechem bez wyraźnego powodu, poza tym że przechodzili przez to już setki razy wcześniej, i poprawił się w fotelu. Podniósł się i pomasował kark, wydając niemy jęk bólu.

- Założymy się, że Avis już tutaj jest? - powiedział, ruszając w stronę drzwi i otwierając je.

- Czy przyszłam na czas? - W drzwiach stała budząca podziw matrona w średnim wieku z figurą, której fragmenty przywodziły na myśl stoki górskie, i oczami błyszczącymi zza

okularów. Jej siwe włosy zwinięte były na czubku głowy w sposób tak skomplikowany, że przywodziły na myśl wyroby z francuskiej cukierni, policzki przypominały rumiane jabłka, a uśmiech wprost powalał. Cmoknęła Fee w policzek.

- Jak się macie, wy dwaj? Jeszcze nie wybrałaś się z tym twoim bólem kręgosłupa do lekarza, co, Josephie? Powiadam ci, jeden z tych osteopratyków w jednej chwili by ci pomógł.

- Mówiąc to, złapała Fee za ramię i pochyliwszy się nad nim, przebiegła palcami po jego kręgosłupie niczym pianista po klawiszach. Staruszek wyprostował się na całą swoją wysokość, co oznaczało, że sięgał jej do brody.

- A ty, Josephie? - zwróciła się do Corriego. - Jak się miewamy dzisiaj? - Wyciągnęła rękę w jego stronę i uszczypnęła go nagle. Wreszcie skierowała się do Lucy, która stała jak zamurowana obok krzesła. - A to musi być nasz nowy rekrut. Jak się miewasz, dziewczyno? Ja jestem Avis O'Regan. Ależ ty masz fryzurę! Widzę, że Jackie znowu będzie miała zajęcie. Czy staruszkowie wszystko ci opowiedzieli? Nie przejmuj się tym zanadto, chodź ze mną, zaraz cię zainstalujemy. Przede wszystkim powiedz mi, czy jest ktoś, do kogo powinnam zadzwonić, by powiedzieć, że jesteś bezpieczna i w dobrych rękach? Nie jesteś pierwsza, która przybywa tu skłopotana, a pierwsze parę godzin na pewno nie działa uspokajająco...

Lucy, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, dała się prowadzić do drzwi Avis, która zatrzymała się tylko na moment, żeby pomachać dłonią tamtym dwóm na do widzenia.

Fee rozsiadł się w fotelu i zapatrzył w ogień, który pobudzał Corrie, przesuwając węgle pogrzebaczem.

- Zostanie? - zapytał Corrie, kiedy ogień zapłonął znowu.

- O tak. - Fee uśmiechnął się do samego siebie. - I wszystko zacznie się układać. Dla niej i dla maleństwa.

Brew Corriego podjechała do góry. Skąd Fee mógł to zawsze wiedzieć, nie dało się ustalić, ale nie mylił się nigdy.

- Marzę o ostatnim kawałeczku Księżnej z kieliszeczkim czegoś słodkiego i lepkiego - odezwał się wreszcie, rozważywszy kłopotliwe położenie, o którym Lucy jeszcze nawet nie wiedziała.

- Należy nam się, prawda? - Fee przymknął oczy i rozsiadł się w fotelu, szczęśliwy uśmiech błąkał mu się po twarzy. - Czy masz na myśli australijskie botrytis semillon? - zapytał.

- Może być.

- Chyba że masz na myśli de bortoli noble one?

- Może być.

- Ale o tym myślisz?

Zapadła cisza, podczas której Corrie zadumał się nad zadziwiającym talentem swego starego przyjaciela.

- Nie wiem, jak ty to robisz - powiedział, wstając, by udać się po butelkę.

Avis z torbą Lucy w ręce wyszła z palarni i skierowała się najpierw do holu, potem przez wielką zagraconą kuchnię, następnie korytarzem pełnym kaloszy i płaszczy przeciwdeszczowych, wreszcie na zewnątrz, na wybetonowany dziedziniec. Lucy ledwie za nią nadążała. Połówki beczek po winie, z których aż się wylewały pąsowe pelargonie, tworzyły obramowanie dla drzwi od tyłu. Ich drugie połówki eksplodowały wielkimi fioletowymi petuniami, stanowiąc oprawę kamiennego budynku naprzeciwko.

- Wytwórnia sera - powiedziała Avis prawie z nabożeństwem, zatrzymując się na moment i pokazując skinieniem głowy. Na lewo od budynku kończył się podjazd obsadzony platanami, którym Lucy przyszła tu parę godzin wcześniej. Po prawej stronie widniał wysoki, gęsty żywopłot z

bramą Pośrodku, na którym płożyły się słodko pachnące malutkie różowe różyczki.

Avis przeszła przez bramę. Podążając za nią, Lucy wciągnęła w płuca chłodne wiejskie powietrze i przez chwilę prawie zapomniała, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Kiedy wędrowała wąską ścieżką pomiędzy krzakami rododendronów z rozkwitłymi w pełni wielkimi różowymi kwiatami, popołudniowe letnie słońce rzucało na ziemię przed jej obutymi w zniszczone martensy stopami kalejdoskop zieleni i złota.

Gdy tylko uświadomiła sobie, że czuje się szczęśliwa, zaczęła się zastanawiać, co ona właściwie tutaj robi, podążając za tą panią Doubtfire (Tytułowa postać z amerykańskiego filmu, w którym Robin Williams przebierał się za gosposię o dość groteskowym wyglądzie (przyp. tłum.)), czy kimkolwiek do diabła była kobieta, która prowadziła ją przez krzaki nie wiadomo dokąd. Jej stopy same zwolniły i poczuła się tak, jakby chmura przesłoniła słońce, nagle zrobiło się jej zimno i nieprzyjemnie. Może powinna uciec na drogę i złapać jakiś samochód, który by ją zabrał stąd do Dublina? A może nie udałoby jej się zatrzymać żadnego samochodu. A co gorsze, byłby się zatrzymał, zabrał ją i dowiózł do Dublina - i co dalej? Nikogo tak naprawdę nie obchodziło, co właściwie się z nią dzieje. Czuła się tak potwornie zmęczona. I zła. Ale przede wszystkim zmęczona. I samotna.

Lucy zatrzymała się nagle. Nie mogła nic poradzić na to, że po jej policzku potoczyła się niechciana pojedyncza łza. Pochyliła głowę zawstydzona, pociągnęła nosem i wytarła buzię zbyt długim rękawem zniszczonej skórzanej kurtki. Ale za pierwszą pospieszyła następna i następna, nie potrafiła już zapanować nad łzami, które wstrzymywała przez tygodnie, a może miesiące czy lata, a które teraz właśnie wyrwały się na wolność. Tak samo jak nie potrafiła zapanować nad smutkiem,

nie udało jej się uniknąć szerokiej piersi Avis, która przytuliła ją do siebie, zamykając w mocnym uścisku. Na wąskiej ścieżce w samym środku fioletowego morza kwiatów wykrzyczała swój ból i pozwoliła, by ta obca kobieta przytulała ją z całej siły i kołysała łagodnie, szepcząc, że wszystko dobrze się skończy, nieważne, jak teraz wydaje się straszne.

- Twoje serce, Lucy, jest z pewnością pełne gniewu i nienawiści, a może wydaje ci się, że nie czujesz nic, ale pamiętaj, że tutaj jesteś pomiędzy przyjaciółmi - szeptała Avis kojącym, melodyjnym głosem. - Wszyscy przyszliśmy tu kiedyś w potrzebie, zazwyczaj w potrzebie miłości, moja miła. Dziewczęta, które spotkasz, z pewnością ci to opowiedzą i nie mówię wcale o tym rodzaju miłości, jaką możesz znaleźć w portkach chłopców pracujących na farmie, gdybyś się zastanawiała, o czym ja właściwie mówię. Mówię o tym rodzaju miłości, co powoduje, że czujesz ciepło wewnętrzne, i kiedy budzisz się rano, zdajesz sobie sprawę, że to nie sen, tylko prawdziwe życie, że jesteś nadal szczęśliwa. A gdyby się tak stało, że byś się kiedyś nie obudziła, są tu ludzie, dla których miałyby to znaczenie. Ludzie, którzy by z tego powodu płakali. Których życie stałoby się gorsze tylko dlatego, że ciebie by już nie było. Jest więcej takich osób, niż ci się zdaje. A teraz doszli do nich jeszcze Corrie i Fee. Tak, im już na tobie zależy. I mnie również. A zaraz spotkasz Jack, Wilhiminę, Tessie i May. I co na to powiesz?

Lucy uspokoiła się na tyle, żeby wysunąć się z przepastnych ramion Avis. Popatrzyła w jej przyjazne oczy za szklami okularów i pociągnęła nosem.

- Myślę, że jeszcze chwila, a udałoby ci się, do cholery, mnie udusić! - odpowiedziała.

Chociaż łzy całkowicie już wsiąkły w potężny stanik Avis, to głos Lucy był wciąż wzburzony, ale nie brzmiał w nim

charakterystyczny dla niej gniew. Znowu wytarła nos rękawem i w tym momencie zauważyła za plecami Avis budynek.

- A to co? - zapytała.

Spoglądała na niewielki, piętrowy kamienny domek, przypominający nieco wytwórnię sera, ale z falistym czerwonym dachem i czerwonymi skrzynkami pełnymi pelargonii oraz petunii, takich samych jakie widziała w głównym budynku.

- To twój nowy dom - oświadczyła Avis, otwierając kutą z żelaza bramę, za którą rozciągał się nieporządny ogród, i wskazując Lucy prowadzącą do drzwi dróżkę pomiędzy dziko rosnącą lawendą. - To domek doजारек.

Avis grzecznie zastukała w drzwi, zanim je otworzyła, i poprowadziła Lucy do środka. Parter stanowiło jedno pomieszczenie, gdzie mieściły się kuchnia, jadalnia i salon. Przestrzeń ta była cudownie słoneczna dzięki przeszklonym drzwiom otwierającym się naprzeciwko głównego wejścia wprost do ogrodu. Po prawej stronie znajdowało się dwoje drzwi, niewielka ściana zasłaniała urządzenia kuchenne, były też schody prowadzące na górę.

- Są tu cztery sypialnie dla pięciu dziewcząt, bliźniaczki nie mają nic przeciwko mieszkaniu razem - wyjaśniła Avis. - Zawsze jesteście mile widziane u mnie, czyli w głównym budynku, ale tutaj macie swoje własne miejsce. - Podkreśliła z dumą słowo „miejsce”, jakby był to nowy termin, który dopiero co opanowała. Potem otworzyła pierwsze drzwi.

- To twój pokój. - Położyła plecak Lucy na toalecie. - Masz szafę, jak widzisz, tutaj stoi toaletka, obok biurko, z okna rozciąga się piękny widok na las i ogród, a tam jest grzejnik. W skrzyni w głowach łóżka znajdziesz drugą zmianę pościeli. Za tymi drzwiami jest łazienka, dzielisz ją z Jack. No i co o tym wszystkim myślisz?

To samo cętkowane światło, przez które Lucy przechodziła wcześniej, rzucało teraz wzór na różowe i białe pasy kapy.

- Trochę za bardzo trąci to Laurą Ashley, ale obleci - odpowiedziała, siadając na skraju łóżka i sprawdzając jego sprężystość.

- Zostawiam cię teraz, żebyś mogła odpocząć - powiedziała Avis, ignorując kpinę. - Dziewczęta właśnie doją, więc będę w oborze, gdybyś czegoś ode mnie potrzebowała. Musisz wyjść kuchennymi drzwiami i iść przez pięć minut na drugą stronę wzgórza. Wrócimy po siódmej. Wtedy zazwyczaj dziewczęta coś jedzą. Ale gdybyś umierała z głodu, znajdziesz w lodówce przygotowaną przez Wilhiminę zapiekankę. Pyszna. Umiesz gotować?

- Tosty - odparła Lucy, ściągając z nóg buty. Odpoczynku rzeczywiście potrzebowała.

Corrie i Fee w znakomitych humorach, które zawdzięczali po części słodkiemu semillonowi, o którym wcześniej rozmawiali, ruszyli właśnie do pomieszczeń, gdzie powstawał ser. Przeszli przez dziedziniec i zatrzymali się w korytarzu prowadzącym do wytwórni. Po lewej stronie znajdowały się drzwi do sklepu, po prawej do maleńkiego biura, w którym starali się spędzać jak najmniej czasu, ale gdzie trzymali ubrania, wkładane do robienia sera. Corrie wciągnął na siebie biały kombinezon, a Fee włożył biały fartuch. Fee skarżył się, że kombinezon uciska jego potężny brzuch, przez co dostaje niestrawności, fartuch zaś dodawał mu ważności. Wciągnęli też białe kalosze, wytarli starannie nogi i dopiero wtedy otworzyli drzwi do wytwórni.

Jak zawsze przez moment trwali, by nasiąknąć zapachami i dźwiękami białego pomieszczenia, w którym uprawiali swoją magię. Po jednej stronie stał Stary Pierdzący Tyłek, pasteryzator. Z drugiej była cysterna, z zewnątrz drewniana i

przypominająca beczkę, od środka wykonana z nierdzewnej stali. Sięgała do piersi, przynajmniej Fee, i to w tym właśnie miejscu drogocenne mleko rozpoczynało swoją wędrówkę, na której końcu powstawał ser.

Za cysterną stały dwie długie ławy również ze stali nierdzewnej, kolejna cysterna w kształcie przeciętej na pół rury, wypełniona roztworem do czyszczenia i narzędziami, a także stalowy pojemnik wypełniony wczorajszym serem. Pomalowana na żółto betonowa podłoga poprzecinana była w równych odstępach kanałami odpływowymi i ułożonymi ponad ławami listewkowymi stalowymi wieszakami, z sufitu zwisały rząd za rzędem błyszczące formy, które odbijały światło późnego popołudnia wpadające przez długie wąskie okna. Na końcu pomieszczenia znajdowały się schody prowadzące w dół w dwóch przeciwnych kierunkach do owalnych piwnic zwanych też jaskiniami. Na szczycie schodów, naprzeciwko siebie znajdowały się dwie identyczne windy, którymi spuszczano ser do „jaskiń”.

Jeśli coolarney był religią, to miejsce służyło Corriemu i Fee za kaplicę. W ciągu ostatnich lat zmieniło się ono nie do poznania. Pasteryzator był stosunkowo nowy, kiedyś też nie mieli tylu urządzeń do oczyszczania. Niegdyś wieszaki i ławki, a także cysterna były drewniane, nie stalowe. Corrie nie czuł oporu przed nowoczesnością i z radością witał każdą zmianę, dużo trudniej dawał się do niej przekonać Fee. Do dziś żałował drewnianych ław, których musieli się pozbyć ze względów higienicznych ponad dziesięć lat temu.

- Ona może mieć rację co do twoich pleców - odezwał się Corrie, przyglądając się sztywnym ruchom Fee. - Powinieneś pomyśleć o kręgarzu.

- Corrie, powiedz mi, kiedy to ja spadłem z drabiny, wyciągając górną półkę? To było po alsace riesling. W 1971?

Talent Fee działał tylko w przód, jeśli chodzi o przeszłość, był bezradny.

- Nie - zaprzeczył Corrie. - To był rok narodzin Abbey. Pamiętasz, ząbkowała i we dwoje zbudowaliście raketę, która mogłaby rozwalić ten dom. - Westchnął ze smutkiem. - To było dwadzieścia dziewięć lat temu.

- No widzisz - odparł Fee, nie zwracając uwagi na jego nastrój. - Więc coś ci powiem. Jeśli jeszcze raz będę miał kłopot z kręgosłupem podczas kolejnych dwudziestu dziewięciu lat, wybiorę się do cholernego kręgarza. Teraz schodzimy, czeka nas robota.

- Jak myślisz, co ona teraz robi, Fee? - zapytał Corrie, wysuwając się przed przyjaciela, by zejść błękitnymi schodami. Minęły dwadzieścia cztery lata, od kiedy ostatni raz widział swoją jedyną wnuczkę, a jej nieobecność odczuwał jak ktoś, kto stracił rękę, ale wciąż czuje świerzbienie w jej miejscu. Zamarł na moment i w tej samej chwili poczuł ciepłą dłoń starego przyjaciela na plecach.

- Nie jest za późno - powiedział Fee w charakterystyczny dla siebie tajemniczy sposób. - Nigdy nie jest za późno. Nie martw się. Ile razy muszę ci powtarzać, że nie masz się czym martwić? A teraz rusz swoje stare kości, bo inaczej będę cię musiał zepchnąć.

Corrie otworzył drzwi do pomieszczenia przeznaczonego dla blue, chłonąc zapach tysięcy serów i błogosławiąc ciemności, które ukryły przed Fee jego pełne łez oczy. Włączył słabe światło i serce lekko mu podskoczyło na widok wypełnionych półek. Pomieszczenie wypełniały dźwięki charakterystyczne dla dużej wilgotności. Odsunął smutek na bok i skupił się całkowicie na blue, a bezmyślne odwracanie sera ukoło jego zbolące serce.

Niewiele dalej, w małym domku, Lucy pogrążona była we śnie. Gdy się obudziła, zobaczyła, że Jezus, Maria i Wszyscy

Święci zadomowiły się w jej pokoju, a jeden z nich znalazł sobie nawet miejsce na poduszce, uznając dredy za wspaniałe posłanie. Lucy wyrwała głowę, przesuwając przy tym rudego kota, który zareagował jedynie przeciągnięciem się i zaraz zapadł ponownie w sen. W tej samej chwili kiedy Lucy usiadła na łóżku, rozległo się pukanie do drzwi.

- Czy mogę wejść? - zapytał ktoś głośno, z obcym akcentem.

- Pewnie - odrzekła Lucy.

W drzwiach pojawiła się postawna dziewczyna o jasnej twarzy upstrzonej piegami i z dziesiątkami rudych warkoczyków.

- Cześć, ty nazywasz się Lucy, prawda? Ja jestem Jack. Jak się masz?

Wyciągnęła spod toaletki Lucy krzesło i usiadła na nim przodem do łóżka.

- Pewnie się czujesz trochę dziwnie. Nie martw się, wszystkie się tak czułyśmy na początku. Dziewczyny! - krzyknęła w stronę drzwi glosem, od którego szyby zadrżały. - Obudziła się!

W drzwiach pojawiła się kolejna głowa w warkoczykach. Ta twarz była czarna i nieprawdopodobnie piękna.

- Wszystko w porządku? - zapytała, kiedy już cała jej reszta także znalazła się w pokoiku. - Połknęła język czy co? - zapytała Jack.

- Och, odczep się, Wilhie, dopiero co przyjechała. Nie przejmuj się nią. - Jack znowu zwróciła się do Lucy. - Niewiele potrzeba, by ją wkurzyć. No, ale ostatecznie to fryzjerka. A te dwie to Tessie i May.

Kolejne dwie dziewczyny, które pojawiły się w pokoju Lucy, były bliźniaczkami jednojajowymi. Nosiły włosy w tym samym stylu, pokręcone kucyki, które dziwnie nie pasowały

do ich twarzy, okularów o grubych szklach i wystających zębów. Popatrzyły na Lucy, potem na siebie i zachichotały.

- Lepiej, żebyś się do tego przyzwyczaiła - poradziła Jack.
- One tak ciągle, prawda, dziewczynki? - Bliźniaczki jak na rozkaz popatrzyły znowu na siebie i znowu się roześmiały. Jack przewróciła oczami.

- Wszystko w porządku? - powtórzyła pytanie Wilhie. Lucy siedziała na łóżku jak zamurowana, przenosząc wzrok z jednej dziewczyny na drugą, niezdolna wykrztusić słowa. Ich włosy. Ich twarze. Ich wielkie oczy. Przycisnęła do siebie poduszkę. Coś się nie zgadzało. Ale to zupełnie. Ich brzuchy! Wszystkie cztery patrzące na nią dziewczyny stłoczone w pokoiku były niewątpliwie, w stu procentach w ciąży.

- Jezu drogi - westchnęła Jack, zrozumiawszy wyraz twarzy Lucy. - Ona nie wie.

Bliźniaczki spojrzały na siebie i zagryzły wargi.

- Nie wiem czego? - zapytała Lucy, starając się wyglądać dzielnie, choć w środku trzęsła się z przerażenia.

- Że zjawiasz się tu tylko wtedy, gdy w piecyku jest ciasto, a żaden skurwiel nie chce go razem z tobą upiec - wyjaśniła Jack.

To, z czego robisz ser, musi być czyste i dobrej jakości.
Ale nie musi być doskonale.

W międzyczasie wszystko się może zdarzyć, ale tylko wtedy skończy się dobrze, jeśli dobre i czyste było od samego początku.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Ed zachował się bardzo przyzwoicie, ponieważ opuścił gabinet, by Kit mógł w odosobnieniu poużalać się nad sobą. Za każdym razem kiedy już uważał, że udało mu się pozbierać, w jego myślach pojawiała się szczelina i umysł się blokował. Znowu tracił grunt pod nogami. Jacey. Dziecko. Jego matka. Jego brat, Flynn. George. Ed. Wszystkich ich zawiódł. Siebie też. Historia stara jak świat.

Kiedy usiadł na ciepłym miejscu Toma Fostera, ramiona trzęsły mu się ze wstydu. Kit zdał sobie sprawę, że nie jest nawet w stanie wzbudzić w sobie gniewu na tak zwanych przyjaciół, którzy zrujnowali mu karierę. Zasłużył na to. Zasłużył w wielkim stylu i mógł winić tylko siebie. Było to tym bardziej niewiarygodne, ponieważ on sam, bardziej niż ktokolwiek inny, wiedział, że bez stanowiska jest po prostu nikim. Nikim. Tylko przystojniakiem z Burlington w Vermoncie, co zupełnie słusznie przypominał mu George. Tylko kolejnym wypalonym facetem z Wall Street, z problemem alkoholowym.

Mimo wszystko aż się roześmiał, choć może tylko parsknął śmiechem. Przynajmniej był przystojny.

- Nie żartuj - powiedział na głos, wycierając oczy rękawem marynarki. - To wcale nie jest zabawne.

To, jak się wygląda, nie zależy od ciebie, zdawał sobie z tego sprawę. Nie miał na to najmniejszego wpływu. Ale w

jego karierze nie było nic przypadkowego. To lata starannie przemyślanej ciężkiej pracy. I wszystko na nic.

Właśnie kiedy sobie to uświadomił, drzwi za nim się otworzyły, a po chwili cicho zamknęły. Obrócił się na krześle i na widok Niamh poczuł ulgę. Wyglądała, jakby sama miała wybuchnąć łzami. Trzymała kartonowe pudełko, w którym najprawdopodobniej znajdowały się jego osobiste drobiazgi.

- Naprawdę to zrobili, wiesz? - Znowu pociągnął nosem i przetarł oczy rękawem.

Niamh uniosła brwi w wyrazie zdziwienia.

- Mam włożyć do tego pudełka zdjęcia i ulubione długopisy wraz ze starą piłką, którą trzymałem jako maskotkę? - Kit uśmiechnął się żałośnie. - Myślałem, że to się zdarza tylko w „Jerrym Maguire”.

Niamh roześmiała się, dziękując Kitowi w duchu, że ułatwił jej zadanie. Ruszyła w jego stronę i postawiła pudło na rogu biurka Eda.

- Uważasz, że to zabawne? - zapytała, umieszczając swój zgrabny tyłeczek na pliku papierów i przyglądając się Kitowi. - Tyle tylko, że nie mogłam znaleźć żadnych zdjęć ani piłki i w ogóle pudło wyglądało jakoś pusto, więc dołożyłam trochę swoich rzeczy. A, i jeszcze przycisk do papierów, który gwizdnęłam ze starego biurka Toma Fostera. No wiesz, żebyś miał coś ciężkiego, by rozwalić mu głowę, kiedy będą cię wyprowadzali z budynku.

Kit zachichotał.

- Kiedy wchodziłaś, właśnie mówiłem do siebie, że to nie jest takie zabawne.

- No cóż, masz rację - odparła Niamh. - Ale możesz winić tylko siebie, Kit.

Westchnął, przyglądając się swym włoskim skórzanym butom.

- To też właśnie sobie mówiłem - powiedział łamiącym się głosem. Odchrząknął. Wiedział, że jest żaloszny. Ale minął już granicę przyzwoitości. Oparł łokcie na stole, ukrył twarz w dłoniach i próbował wziąć się w garść.

Niamh, wiedzona współczuciem, zaczęła mu po siostrzanemu masować kark.

- Zastanawiałeś się, co teraz zrobisz? - zapytała. W jej głosie brzmiały współczucie i prawdziwa troska.

- Pójdę do pierwszego otwartego baru - mówiąc to, Kit zastanawiał się, czy żartuje.

Łagodzący masaż urwał się, zakończony ostrym kłapsem.

- Po co to robisz? - zapytała prawie z gniewem. Usiadła prosto i potarła dłonią miejsce, w które go trzepnęła. Zapomniał, że dwa razy w tygodniu chodziła na lekcje boksu.

- Czy w twojej głowie pozostał chociaż gram rozumu, Christopherze Stephens? - Była naprawdę wściekła. - Bar jest ostatnim miejscem, do którego powinieneś teraz wchodzić. To właśnie w barach się wpakowałeś w cały ten kłopot. Człowieku, co się z tobą w ogóle dzieje?

Kit westchnął, ramiona opadły mu jeszcze niżej. Zaczynał być zmęczony tym pytaniem. Ale tylko dlatego, że zadawał je sam sobie i nie znajdował odpowiedzi. Nie potrafił zrozumieć, gdzie zboczył ze ścieżki. Nigdy nie był typem człowieka pijącego sporo. Góra dwa piwa wieczorem. Kieliszek szampana, kiedy zdobyli ważnego klienta lub udało im się podpisać duży kontrakt. Co się wydarzyło?

Jacey się wydarzyła.

Kit zamknął oczy.

- I nie wciskaj mi tu żadnego kitu o Jacey - odezwała się Niamh, wtykając mu palec w żebra.

Co się dzieje z ludźmi, pomyślał Kit, gdzie się podział normalny ludzki szacunek? Czy każdy musi sobie wycierać buty Jacey teraz, kiedy jej tu nie ma, żeby mogła się bronić?

Niamh, przy całej jej uczciwości, czepiała się Jacey, od kiedy tylko ta pojawiła się na scenie. Zawsze uczciwa i prostolinijna (często do bólu, zwykł z niej żartować), nigdy nie ukrywała swojej niechęci do tamtej.

- Na litość, Kit - mówiła teraz. - Nie niszczone sobie życia przez Jacey. Nie jest tego warta. Nikt nie jest tego wart. Pracowałeś tak ciężko, żeby znaleźć się tu, gdzie jesteś... gdzie byłeś - poprawiła się. - Nie mogę uwierzyć, że zrezygnujesz z tego ot tak. Nie stanowią najlepszego przykładu dla tych, którzy musieli walczyć o swoje.

Jej próba rozluźnienia atmosfery tylko uświadomiła mu, jak prawdziwe są te słowa. Niamh była córką irlandzkich imigrantów, którzy zamieszkali na robotniczym przedmieściu Chicago, swoją drogę na Wall Street pokonała na dwóch fantastycznych nogach, w dwóch eleganckich kostiumach i z głębokim postanowieniem, że to, co robi, będzie robiła lepiej niż ktokolwiek dotąd. Długie lśniące czarne włosy, cudowne zielone oczy i kształty bogini niewątpliwie jej w tym pomogły, ale tak naprawdę zdobyła swoją pozycję ciężką codzienną harówką. Podobnie jak Kit, urodzony sprzedawca, zaczynał, mając dwa świetnie skrojone garnitury i wdzięk, który działał nawet na najbardziej doświadczonych ekspertów.

- Może gdy urodzisz się po złej stronie drogi, powinieneś tam pozostać - odparł ponuro.

- A Oscara za najlepszą rolę dramatyczną otrzymuje... - Niamh przewróciła oczyma. - Daj spokój, Kit, nie będziesz tu siedział przez cały dzień, użalając się nad sobą. Zwłaszcza że Szybki Eddie chciałby kiedyś odzyskać swój gabinet. Zabiorę cię do domu.

- Nie musisz. - Kit powoli wstał zza biurka.

- Owszem, muszę - odparła. - George uważa, że możesz chcieć sobie zrobić krzywdę, więc polecił mi eskortować cię do domu.

Kit nie wiedział, w co bardziej woli uwierzyć: że George martwi się o jego bezpieczeństwo, a może raczej że to Niamh boi się, czy dotarłby do domu w jednym kawałku. Albo czy nie utopiłby po drodze swoich smutków.

Gdy stali już w drzwiach gabinetu Eddiego, Niamh podała Kitowi kartonowe pudło z jego mizerną zawartością.

- Możesz potrzymać? - zapytała, ściągając z siebie elegancki żakiet i zasłaniając nim karton.

Kit zajrzał do środka. Wcale nie żartowała, mówiąc, że dołożyła swoje rzeczy. Były tam dwie nierozpakowane paczki rajstop i brzydki zielony troll, którego ktoś podarował jej na Gwiazdkę. Niamh rozpięła kilka guzików bluzki, którą zawiązała tak, by widać było pępek.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał Kit.

- Upewniam się, że gdy będziemy czekali na windę, to na mnie wszyscy będą się gapić - odparła, odbierając karton, na którym oparła biust, podnosząc go w ten sposób niebezpiecznie w górę.

- Jeśli kiedykolwiek będę się wybierał na wojnę - Kita tak zachwyił jej strategiczny plan, że na chwilę zapomniał, jak bardzo jest nieszczęśliwy - zabieram cię ze sobą.

Otworzyła drzwi biura i wkroczyła do ogólnej sali, Kit dreptał za nią porażony. Usłyszał jeszcze, jak Tom Foster krzyczy ze swego nowego gabinetu:

- Hej, czy nikt nie widział mojego przycisku do papierów? Czekanie na windę dłużyło się w nieskończoność. Niamh odwróciła się do Kita i puściła oko. Stojąc plecami do miejsca, które przez ponad dziewięć lat nazywał domem, czuł, jak osiemdziesiąt par oczu wywierca mu dziurę w plecach. Wchodząc do windy, odwrócił się, by ujrzeć widok, który poprawiał jego samopoczucie każdej minuty każdego spędzonego tu dnia. Patrzył nań ostatni raz.

Chmura rozpaczy, otaczająca go od chwili wyrzucenia, podążyła za nimi dwadzieścia siedem pięter w dół, a następnie przez hol i na ulicę, by tu nagle przerodzić się w gwałtowny deszcz, tak że przez dobre dwadzieścia minut nie udało im się złapać taksówki. Niamh włożyła żakiet i obciągnęła bluzkę, zmieniając w ten sposób strój na skromny, co w zaistniałych okolicznościach Kit uznał za nieco przedwcześnie.

- Nie zauważyłam, żebyś się specjalnie uganiał za taksówką - zauważyła kłótliwie. - Biorąc pod uwagę, że jesteśmy na Manhattanie, może byśmy mieli wtedy więcej szczęścia.

Zanim wreszcie udało im się zatrzymać najbardziej odrapaną taksówkę na całej wyspie do kompletu z bezzębnym, odrażająco śmierdzącym taksówkarzem, miasto ogarnęła fala ludzi spieszących na lunch. Kierowca ruszył, nie zwracając uwagi na jadące samochody, a Kit poczuł ból, jakby coś odrywało go od budynku biura. Ze wszystkich stron zaatakowały ich wściekłe klaksony i światła. Kit spojrzał na Niamh, akurat by dostrzec łzę kapiącą z jej policzka na kolano. W tym momencie dotarło do niego, że ją też musiano zwolnić. Bez wątpienia przez niego. Przez jej lojalność w stosunku do niego. Stanowili z Niamh zespół przez osiem lat i jej oddanie było niesamowite. Nie zasługiwał na nią. A ona z całą pewnością nie zasługiwała na niego. Znowu poczuł gigantyczną ochotę na drinka. Boże, kiedy stał się takim facetem! Facetem, który budzi się u boku nieznajomej kobiety, ma działkę koki na stoliku i w dodatku nie pamięta, kiedy jedno lub drugie się tam znalazło. Facetem, który marzy o drinku od chwili przebudzenia. Facetem, który nie był tym Kitem Stephensem, którego znał, a przynajmniej tak mu się wydawało.

- Jezu, potrzebuję pomocy - mruknął bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego, patrząc przez okno taksówki na Manhattan w strugach deszczu.

- Wiem - usłyszał odpowiedź Niamh i przez moment czuł się bezpieczny. Może jednak wszystko dobrze się skończy. Ale jego nadzieja nie trwała długo. To już był taki dzień.

Kiedy weszli do apartamentowca, Benny popatrzył na niego smutno.

- Lepiej niech pan zajrzy do skrzynki na listy, panie Stephens - powiedział markotnie, ożywiając się dopiero na widok nóg Niamh.

Kit posłuchał go - w skrzynce leżała tylko jedna koperta. Nadawcą był spółka, do której należał budynek. List miał przyklejony pomarańczowy pasek z napisem: PILNE. Wepchnął kopertę do kieszeni i skierował się do windy. Niamh dotrzymywała mu kroku.

- Tylko mi nie mów, że do tego nie płaciłeś czynszu - powiedziała. - Co z ciebie za gość?

- Pewnie taki, który jednego dnia zostaje wyrzucony z pracy i z domu - odparł, otwierając drzwi do mieszkania, upuszczając karton z żalonymi drobiazgami na stolik i kierując się prosto do kuchni.

- Czy mogę ci zaproponować drinka? - rzucił przez ramię w stronę Niamh.

- Z pewnością możesz mi pokazać, co tam trzymasz - odparła, rozglądając się po kuchni wyposażonej w najnowsze urządzenia od Gaggenau, z telefonem marki Bang and Olufsen, słoikami przetworów od Balducciego na lśniących białych półkach i pustą butelkę grey goose na nieskazitelnym blacie.

- Na pewno mam wódkę - powiedział Kit, otwierając lodówkę, i w tej samej chwili wydał z siebie okrzyk: - O Boże!

Chociaż on zapomniał o Księżnej Grace, to z całą pewnością ona nie zapomniała o nim, co udowodniła teraz, kierując wstrętny odór prosto w nos Kita.

- Co to jest, u diabła? - jęknęła Niamh, kiedy fala smrodu dotarła i do niej. - Coś tu musiało wleźć i zdechnąć, Kit, co to jest? Nie masz przypadkiem kota?

Potrząsnął głową z obrzydzeniem.

- Ale może jednak miałaś? - na wpół zażartowała, wycofując się z kuchni.

Kit zatrzasnął drzwi do lodówki i oparł się o nie całym ciałem. Odór był naprawdę obrzydliwy. Jacey nie jadała przetworów mlecznych, ale regularnie bywała u Murraya na Blecker Street. Nie pierwszy raz się zdarzało, że tygodniowy serek psuł domową atmosferę. Ten jednak musiał tu leżeć od trzech miesięcy.

Myśląc o Jacey, przygotował się na najgorsze i jeszcze raz otworzył lodówkę, by wyciągnąć z niej nieotwartą butelkę grey goose.

- Zapomnijmy o kocie, oto wódka - w tym momencie dostrzegł kolejne dwie butelki w kredensie i oczy aż zaszły mu łzami - i wódka.

- A tutaj? - Niamh ruszyła w otwartą przestrzeń salonu, gdzie nie mogły jej dosięgnąć toksyczne opary Grace. Nachyliła się, by sprawdzić wewnątrz szafki przy ścianie, gdzie jak słusznie założyła, znajdował się barek do przygotowywania koktajli.

- Wódka - oświadczył Kit, kiedy wróciła z kolejną butelką do kuchni.

- Przypuszczałam, że to będzie wódka - oświadczyła Niamh, stawiając swoją butelkę na blacie i zabierając obie, które Kit wyciągnął z kredensu, i tę, którą wyjął z lodówki. Stał bezradny i upokorzony, kiedy odkręcała wszystkie cztery, po czym kolejno wylewała zawartość do zlewu. Naprawdę

chciał coś zrobić, żeby ją powstrzymać, na przykład uderzyć dziewczynę w tył głowy żelazną patelnią Jacey, ale fakt, że coś takiego mogło mu przyjść do głowy, jeszcze bardziej go zdołował.

- Daj spokój, Niamh - poczuł się zażenowany, słysząc, jak żałośnie to brzmi. - Nie musisz się do tego posuwać.

- To ty za daleko się posunąłeś, chłopcze - powiedziała, złośliwie wytrząsając ostatnie krople z butelek. - Wiesz co, naprawdę mam lepsze rzeczy do roboty niż sprzątanie po tobie i twoim spapranym życiu, Kit, ale masz szczęście, że jeśli chodzi o pijaków, posiadam doświadczenia z pierwszej ręki i dlatego właśnie udzielę ci kilku znakomitych porad. Teraz siadaj.

Kit przysunął stołek i zrezygnowany usiadł przy blacie kuchennym, gotów wysłuchać wykładu, na który, jak dobrze wiedział, zasłużył sobie. Miał tylko nadzieję, że nie potrwa to długo, a potem będzie mógł pójść na drinka.

- Pochodzę z długiej linii alkoholików - oświadczyła Niamh, wrzucając puste butelki do kosza na śmieci, a następnie wymieniając wkład w ekspresie do kawy i włączając automat. - Nie zamierzam cię zanudzać przerażającymi szczegółami, ale mam dla ciebie dobrą wiadomość: jest szansa, że nie stałeś się jeszcze alkoholikiem.

Zamilkła na chwilę, czekając, by treść tych słów do niego dotarła, choć Kit był i tak zbyt zajęty zastanawianiem się, czy w butelkach nie pozostała choć odrobina alkoholu, żeby zwrócić uwagę na to, co mówiła.

- Ale musisz przestać pić, Kit. - Sięgnęła po inny stołek i usiadła obok niego. - Czy słyszałeś, co powiedziałam?

- Tak, oczywiście - odrzekł. - Że muszę skończyć z piciem.

- No właśnie - zgodziła się Niamh. - A dlaczego?

- Na Boga, Niamh, nie każ mi przechodzić przez tę całą listę - odparł ponuro. - Zostałem wylany, straciłem mieszkanie, moja lodówka śmierdzi jak wysypisko śmieci w Brazylii. Naprawdę nie musisz mi przypominać, że w jednej chwili moje życie zamieniło się w gówno.

Oczy Niamh zwęziły się w szparki, a czerwona fala popłynęła przez szyję na policzki.

- Twoje życie nie zamieniło się w nic w jednej chwili, ty kompletny idioto. Skierowałeś się na tory prowadzące do nieszczęścia w momencie, kiedy... - zamilkła i odzyskała panowanie nad sobą. - Posłuchaj, Kit - powiedziała łagodniejszym głosem - alkohol zniszczył ci życie, a na wypadek gdybyś tego nie zauważył, zaczyna ci brakować ludzi, którym choć trochę na tobie zależy. A teraz weź się w garść i pomóż mi. A tak naprawdę pomóż sobie, na litość boską. Czy możesz to zrobić?

Kiedy jej słowa przebrzmiały, Kit uświadomił sobie, jak czuje się wdzięczny, że ma w niej przyjaciela, że jeszcze jej na nim zależy. Nie zasługiwał na nią.

- Czy zastanawiałeś się nad powrotem do Burlington? - zapytała łagodnie.

Wyrwało mu się westchnienie. Potrząsnął głową.

- W Vermoncie nie ma dla mnie miejsca - powiedział, czując się źle, że w ogóle musiał rozważać taką myśl.

- Masz tam rodzinę - przekonywała go Niamh. - W takich chwilach potrafi być cholernie pomocna. Nie możesz przynajmniej na trochę pojechać do domu?

Od ostatniego jego pobytu w Burlington minęło pięć lat, a od ostatniego telefonu też trochę. Nigdy za wiele nie opowiadał o swoich bliskich, otoczony w pracy przez ludzi urodzonych z pieniędzmi i pochodzących z dobrych rodzin. W porównaniu z nimi jego pochodzenie było takie zwyczajne. Nie wstydził się go, ale wolał zatrzymać dla siebie, by chronić

się przed porównaniami. Jego ojciec, Ben, był zastępcą kierownika w największym sklepie żelaznym Burlington przez ponad dwadzieścia pięć lat, a następnie w połowie lat dziewięćdziesiątych został zwolniony, co zburzyło jego świat wartości, toteż z trudem i długo się podnosił. Ben Stephens był dobrym człowiekiem i Kit kochał go głęboko i z oddaniem. Ben nigdy nie miał wielkich marzeń, w każdym razie nie jeśli chodzi o siebie, chciał tylko, by jego rodzina żyła szczęśliwie i w zdrowiu. Ale z najstarszego syna był niesłychanie dumny.

- Mój ojciec jest na czymś w rodzaju emerytury - zaczął opowiadać Niamh - i nie ma zbyt wiele pieniędzy. No i uważa, że jestem wspaniały. Myśli, że naprawdę mi się udało. A jeślibym teraz wrócił? Nie, naprawdę nie mogę.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

- A twoja matka?

Greta. Do Kita przyплыnęło wspomnienie matki tańczącej na trawniku z ojcem podczas jakiegoś dawnego barbecue, zupełnie jakby oglądał stary film. Greta była najwspanialszą matką, o jakiej mógł marzyć dzieciak. Najpiękniejsza i najlepsza ze wszystkich kobiet, jakie znał, to dzięki niej stał się takim człowiekiem, jakim był - tak, „był” to odpowiednie słowo. Cieszył się, że nigdy nie dowie się o jego upadku.

- Moja mama mieszka w domu opieki - powiedział, zmagając się ze słowami. - Jest chora na Alzheimera, no wiesz, ma demencję. To trwa już jakiś czas.

Kit zawsze wyczuwał w matce, mimo jej pozornej wesołości i wręcz dużego temperamentu, pewien smutek i potrzebę samotności. Przyłapywał ją w chwilach, które spędzała w świecie marzeń, z odległym spojrzeniem w oczach i tajemniczym uśmiechem błakającym się na ustach.

Kiedy był mały i wdzierał się w jej marzenia, mówiła z uśmiechem:

- Wróżki zabrały mnie daleko, daleko.

Kiedy dorastał, jej smutek lub tajemniczość stawały się jakby mroczniejsze, zdawał też sobie sprawę, że mama spędza z wróżkami coraz więcej czasu, a coraz mniej ma go dla domu, męża i dwóch synów. Wreszcie przeniosła się do tamtego świata na stałe i nikt już nie widział prawdziwej Grety. Mieszkała teraz w domu opieki, ponieważ uciekała i błądziła, nie mając kontaktu ze światem, przez co bali się o jej bezpieczeństwo. Nie rozpoznawała ani Bena, ani Kita, ani jego młodszego brata, Flynnna.

- Tak mi przykro - odezwała się Niamh, kiedy Kit jej o tym wszystkim opowiedział. - Nie miałam o tym pojęcia. A co się dzieje z Flynnem?

- Studiuje prawo, dzięki tu siedzącemu - odrzekł, waląc się w czoło zaciśniętą pięścią. - To bardzo zdolny chłopak. Nie udało mu się tylko dostać stypendium, ale pewnego dnia będzie świetnym prawnikiem. Już właściwie jest. Co ja mam, u licha, począć? - Czuł, jak ogarnia go rozpacz. - Jezu, jak mogłem dopuścić, żeby to się stało. Oni wszyscy zależą ode mnie!

- Płacisz za opiekę nad matką?

- Tak, w pewien sposób pomagam też ojcu, chociaż on o tym nie wie. Umówiłem się z miejscowym klubem tenisowym, że będzie tam wykonywał różne dorywcze prace. Wiesz, on odwiedza mamę dwa razy każdego dnia, mimo że ona go nie rozpoznaje.

Teraz już nie potrafił powstrzymać łez. Niamh, której oczy też dziwnie lśniły, nachyliła się nad nim i zaczęła mu masować kark.

- A co z wujami, ciotkami, dziadkami, kimkolwiek, do kogo mógłbyś pojechać i jakiś czas przeczekać?

- Mama nie utrzymywała kontaktów ze swoją rodziną - wyjaśnił, trąc oczy i przeklinając ból głowy, który pojawił się

ze łzami. - Mieli jakąś kontrowersję, zanim jeszcze się urodziłem. Tato też nie był zbyt blisko ze swymi braćmi i nawet nie wiem, gdzie oni są. Nie wiem też, czy mógłbym się pojawić u ich drzwi, mówiąc: „Cześć, jestem waszym zaginionym zalkoholizowanym kuzynem Christopherem. Znajdzie się dla mnie jakieś miejsce?”.

Niamh roześmiała się, mimo beznadziejności całej sytuacji.

- Nie mogę uwierzyć, że wszystko to robiłeś i nie pisałeś ani słówkiem. - Zeskoczyła ze stołka i ruszyła w stronę ekspresu do kawy.

- A o czym tu mówić? - zapytał Kit. - Żadna tam wielka sprawa. Jedyna korzyść z faktu, że ma się pieniądze. Trudno mnie nazwać Matką Teresą, próbowałem tylko zająć się w miarę możliwości moimi bliskimi, bo oni zawsze wspaniale zajmowali się mną.

- Kit, to, że straciłeś pracę, to jeszcze nie koniec świata. Możesz się wziąć w garść i zacząć gdzieś od nowa. Jesteś jednym z najlepszych, po prostu wypadłeś na chwilę z torów.

Postawiła przed nim kubek parującej kawy, na którą popatrzył bez entuzjazmu. Nie czuł się dobrze. Czuł się po prostu bardzo źle.

- Pytanie tylko - Niamh upiła mały łyeczek ze swojego kubka, po czym zaczęła dmuchać, żeby ostudzić płyn - jak zamierzasz wziąć się w garść?

Różne możliwości kotłowały się w głowie Kita, mieszając się z wszystkimi innymi torturującymi go myślami, ale nic się z tego nie wyłaniało. Wyciągnął z kieszeni kopertę od właścicieli apartamentowca i rozerwał ją. Żadnego zaskoczenia: jeśli nie zapłaci zaległego od miesiąca czynszu, zostanie eksmitowany. Westchnął i podał kartkę Niamh, która aż zagryzła dolną wargę, czytając wiadomość.

- Prawdopodobnie znam już odpowiedź na to pytanie - powiedziała, rzucając list na blat - ale czy ty masz w ogóle jakieś pieniądze?

Kit pomyślał o swych różnych kontaktach, zarówno w kraju, jak i za granicą, i pieniądzach polokowanych w różnych akcjach. Kilka ostatnich lat nie było tak dobrych, jak się spodziewał. Jego firma, jak wiele innych, wciąż lizała rany po kryzysie w Rosji i Azji, kiedy tragedia World Trade Center wstrząsnęła nimi jeszcze bardziej. Ponadto Jacey była bardzo kosztowną żoną. Wydawał wszystko, co miał, byle tylko zapewnić jej rozrywkę, a podczas ostatnich kilku miesięcy też energicznie wyczerpywał swoje zasoby.

Mógł płacić czynsz, powinien był, ale nie dbał o to, podobnie jak o wiele innych spraw. Zakładał, że pewnego dnia wszystko się ułoży, a on wtedy uporządkuje swoje sprawy.

- Coś mi zostało - przyznał - ale czy wystarczy, żeby płacić chesne za Flynna, dom opieki dla mamy i to mieszkanie?

Rozejrzał się po sanktuarium luksusu, w którym żył szczęśliwie od kilku lat, i potrząsnął głową.

- Mówimy o siedmiu tysiącach dolarów za miesiąc tutaj.

Niamh spojrzała na niego, z jej twarzy nic nie można było odczytać.

- Może mam rozwiązanie - powoli wymawiała słowa - ale pewnie nie będzie ci się podobać.

Roześmiał się tylko. A niby jak Niamh mogłaby mu pomóc? Jej pensja stanowiła jedną dziesiątą jego, co od dawna wprawiało Kita w zakłopotanie, szczególnie wobec jej oddania.

- Tom Foster mógłby podnająć to mieszkanie - wyrzuciła z siebie.

- Tom Foster? A co on ma z tym wspólnego? - wybełkotał.

- Rozmawiałam z nim wcześniej. - Niamh była wyraźnie zakłopotana. - Przestań, nie patrz tak na mnie. To nie tak, jak myślisz. Po prostu... - Rozejrzała się po ścianach kuchni, jakby szukając tam odpowiednich słów. - No dobrze, spotykamy się z Tomem od kilku miesięcy. Chodzimy ze sobą.

Jej słowa przez kilka chwil zawisły w powietrzu.

- Umawiasz się z nim? - powtórzył z niedowierzaniem Kit. - I on cię wylał?

- Nie, Kit. To znaczy, tak, spotykam się z nim, ale to ty zostałeś wylany.

Czeluść, która przez cały dzień czyhała na Kita, rozwarła się pod nim i wciągnęła go.

- Ale przecież w taksówce płakałaś - powiedział, próbując zrozumieć, co się dzieje. - Myślałem, że ty... O co ci chodziło?

- Chyba wolno mi cię żałować, Kit, a może to zabronione? Wszystkim cię żal. Byłeś takim złotym chłopcem, nadzieją nas wszystkich, naszym ulubieńcem, a teraz siedzisz po uszy w szambie. Chyba wolno mi coś czuć. Wiele dla mnie znaczysz. Naprawdę wiele.

Nagle wszystkie kawałki układanki wskoczyły na miejsce. Niamh nie była wcale niestrudzoną przyjaciółką, przyszła tu tylko po to, by obejrzeć mieszkanie dla swego nowego chłopaka, Toma Fostera. Jak mógł być tak głupi, by wierzyć, że pozostaje z nim z czystej przyjaźni w godzinie potrzeby. Przeklął swoją naiwność i wylaną wódkę i zerwał się na równe nogi.

- Możesz już iść, Niamh. - Starał się nie zdradzić, jak bardzo czuje się zraniony. - I możesz powiedzieć Tomowi Fosterowi, że zastanie same zgliszcza, kiedy będzie chciał postawić tu swoją nogę.

Ku jego zdziwieniu Niamh podniosła się, postawiła stół, który upadł, kiedy Kit się z niego zrywał, i zmusiła go, żeby znowu na nim usiadł.

- Nie bądź aż tak głupi - powiedziała z mocą, stojąc nad nim z twarzą zaczerwienioną od emocji. - Wcale nie powinno cię dziwić, że ja też chcę czegoś od życia, ani jak bardzo tego pragnę, ponieważ był czas, gdy i ty stawiałeś sobie takie cele. Niczego bardziej bym nie pragnęła, jak wspierać cię cały czas, i bezwarunkowo uważam, że Jacey spieprzyła ci życie, ale ja sama naprawdę ciężko pracowałam na to, co zdobyłam. Teraz siadaj i posłuchaj mnie chociaż przez chwilę, dobrze? - Usiadła, już znowu spokojna, nawet jej twarz odzyskała normalny kolor. - Pomyśl w ten sposób: czy naprawdę cię stać, żeby odrzucić ofertę Toma w tym właśnie momencie? I wcale nie chodzi tylko o pieniądze. Powinieneś na jakiś czas wyjechać. Podnajmij apartament Tomowi, Kit. Dobrze wiesz, że to, co mówię, jest rozsądne. Na litość, z pewnością uda ci się ukrócić dodatkowe kilkaset dolarów miesięcznie, facet zwariuje ze szczęścia, że będzie mógł zamieszkać pod tym adresem.

Kit nie spuszczał z niej oka. Była dużo twardsza, niż na to wyglądała. Bardziej niż sobie kiedykolwiek zdawał z tego sprawę. Zostawiała go na pożarcie.

- A co ze mną? - zapytał żałośnie, sam zawstydzony brzmieniem własnego głosu.

- Chyba jest jakieś miejsce, dokąd mógłbyś pojechać, Kit. - Podmuchała na swą wciąż zbyt gorącą kawę. - No i jeszcze istnieje odwyk.

Słowo to na chwilę zawisło w powietrzu, ale po chwili brzmiało jeszcze głośniejsze niż wtedy, gdy je wypowiadała.

- Idę zdobyć odrobinę mleka do tej kawy - powiedziała, zrywając się ze stołka i kierując w stronę grobowca Księżnej.

Kwaśna mina Niamh świadczyła, że pamięta o tym, co ją za chwilę spotka.

- Czy to jest bezpieczne? - Otworzyła drzwi i aż się zakrztusiła od upiornego zapachu. - Na Boga, Kit, co to w ogóle jest? - Ryzykując odpadnięcie nosa, sięgnęła po wymordowany i powykręcany kawałek pizzy, ale po chwili odrzuciła go i złapała torebkę z Księżną. Cisnęła ją do zlewu.

- Oto winowajca - oświadczyła. - Wynocha stąd, czymkolwiek jesteś. - Ostrożnie ujęła torebkę, unosząc ją w górę, ale jej dno zdążyło już się rozmoczyć w resztkach wódki pozostałych w zlewie. I kiedy Niamh przenosiła torebkę w wyciągniętych palcach, tak by ta znajdowała się jak najdalej od jej nosa, w kierunku śmietnika, papier puścił i Księżna wylądowała na marmurowych płytkach podłogi, wydając wilgotne plaśnięcie.

- O Jezu - wrzasnęła Niamh - żyje! Czy to się nigdy nie skończy? - Zerwała kawał ręcznika papierowego i ukucnęła obok sera, oczy aż zasły jej łzami od wściekłego smrodu. Ale mimo wszystko nie potrafiła się powstrzymać przed przeczytaniem naklejki: „Wytwórnia Sera Coolarney, Schillies, koło Cork, Irlandia”. Niamh głęboko wciągnęła powietrze, by w tej samej chwili wyrzucić je z siebie, jakby zdziwiona rewolucją, którą poczuła we własnym żołądku. Wpatrzona w ser, który rozlewał się po podłodze kuchni, podniosła się powoli.

- Nie mogę w to uwierzyć! - powiedziała wreszcie.

- Uwierzyć w co? - Kit nie mógł się doczekać, by ten śmierdzący bałagan zniknął wreszcie z jego kuchni.

- Uwierzyć, że ten koszmarny smród z twojej lodówki może ci uratować życie - odparła Niamh, rozglądając się w nagłym podnieceniu za swoją torebką.

- Przykro mi cię o tym informować, ale penicylinę już wynaleziono.

- Jeśli mi zaufasz - Niamh przerzucała kartki notesu z adresami w poszukiwaniu odpowiedniej strony - przywróczę cię do życia. - Jej doskonale wymanikiowany paznokieć przesuwiał się w dół wzdłuż listy z nazwiskami i adresami, aż wreszcie znalazł to właściwe. - Mój przyjacielu, znajdziemy ci takie miejsce, gdzie nie będzie cię nic kusiło, a jednocześnie nie będzie ono miało nic wspólnego z zamkniętymi oddziałami i terapią grupową. Kit przyglądał się jej zaintrygowany.

- Tu ją mam. Avis O'Regan. Nie mam pojęcia, czemu nie pomyślałam o niej wcześniej. Odzwyczała od picia dwóch wujków i kuzyna drugiego stopnia - o nich przynajmniej wiem - i wierz mi, Kit, tam, gdzie ona mieszka, nie wpadniesz na żadnego ze swoich znajomych.

- Ach, tak? - zapytał. - A niby gdzie to jest?

- Pół mili od Schillies. Hrabstwo Cork - odparła Niamh, łapiąc za słuchawkę telefonu i wykręcając numer. - Jak myślisz, która godzina jest teraz w Irlandii?

- W Irlandii? - powtórzył w oszołomieniu Kit.

- Irlandii - potwierdziła Niamh, czując ogarniającą ją pewność.

Księżna, rozprysnięta na podłodze i cuchnąca, wypluła z siebie śmierdzącą szarą strużkę, co było jej sposobem uśmiechania się.

Bez zaczynu mleko wreszcie kiedyś zamieni się w ser, ale ty w tym czasie umrzesz z głodu.

Zaczyn daje mu pchnięcie, a to każdemu z nas od czasu do czasu się przydaje.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Abbey siedziała przy kuchennym stole Imi i drapała się w głowę, zastanawiając się, ile razy 57 mieści się w 3970,62. Dość często dostawała takie zadanie, kiedy potrzebowała czegoś specjalnego do jedzenia, choć liczby różniły się za każdym razem. Była jednak całkiem pewna, że dzielenie zajmie jej dużo czasu, i nienawidziła tego równie serdecznie jak Junior, siostrzeniec Imi - dlatego właśnie on się szarpał z jej kurczakiem, a ona z jego pracą domową.

- Więc jeśli 7 razy 57 jest 399, to... - mamrotała do siebie.

- A niech to, Imi. Ile jest 6 razy 57?

Imi była pogrążona w lekturze „American Vogue” i nie zwracała uwagi na zmagania intelektualne przy jej kuchennym stole.

- Chcesz kurczaka, bierzesz na siebie pracę domową - powiedziała twardo, nie zdobywając się nawet na oderwanie wzroku od lśniących stron magazynu.

- Tak, wiem, że chcę kurczaka - odparła Abbey - ale zadania domowe są za trudne. Dlaczego nie możemy tak jak wszyscy użyć kalkulatora?

Imi wzruszyła ramionami, przerzucając stronę pisma. W notesie, który zostawił jej Junior, Abbey nagryzmoła kolejne mnożenie, mające ją przybliżyć do ostatecznego rozwiązania, i głośno zaklęła, gdy tak się nie stało.

- Jak możesz! - oburzyła się Imi, chociaż zazwyczaj sama klęła jak szewc, ale podczas lektury „American Vogue” zachowywała się jak dama. - Junior być bardzo zły, jeśli ty

spartaczyć jego praca domowa. - Uwaga Imi, która przeglądała właśnie najmodniejsze odcienie szminek na nadchodzącą amerykańską jesień, na pewno w niczym nie pomogła Abbey.

- Nie spartaczę - odpowiedziała, partacząc. - Na litość boską, czemu nie mogę mu pomóc w angielskim?

- Junior już bardzo dobry ocena angielski - zarechotała Imi. - Junior nie potrzebować pomóc mu angielski. On potrzebować pomóc matma.

Junior nigdy by tego tak nie powiedział, pomyślała Abbey, choć to, co usłyszała, nie miało się z prawdą. Junior znakomicie radził sobie z angielskim, jego piętę achillesową natomiast stanowiła matematyka. Pech chciał, że Abbey też.

Imi, znudzona dyskusją o lekcjach, obróciła pismo do góry nogami, by pokazać stronę przyjaciółce.

- Cindy Crawford wrzuciła sobie dużo kilo, co, Abbey? Spójrz no tu.

Abbey przeniosła wzrok ze swoich słupków na krągłą sylwetkę supermodelki, a potem na napis pod zdjęciem.

- Ona jest w ciąży, Imi - powiedziała, starając się, by jej głos nie zdradził ani cienia emocji, które nagle ją ogarnęły. - Ma prawo przybrać na wadze. Będzie miała dziecko. No wiesz - dodała nienaturalnie pogodnie - niemowlę.

Twarz Imi spochmurniała. Kobieta złapała pismo i szybko przerzuciła kilka stron, żeby tylko zakryć ciało ciężarnej modelki.

- Ja przepraszać Abbey - powiedziała cicho i bardzo łagodnie. - Przepraszać.

Zapanowała pełna zakłopotania cisza. Abbey nie mogła wymyślić nic, co powinna powiedzieć w takiej sytuacji, więc skupiła się na pracy domowej Juniora, ale Imi, pragnąc, by przyjaciółka jak najszybciej zapomniała o przykrości, którą jej sprawiła, także wzięła się do matematycznej łamigłówki.

- Sześćdziesiąt dziewięć i kawałek! - wykrzyknęła nagle. Triumf rozjaśnił jej szeroką, brązową twarz. - Abbey, 69,66. Sprawdź to!

Najbliższa sąsiadka Abbey nigdy nie przestała jej zadziwiać. Wynik był trafny: 57 razy 69,66 rzeczywiście równało się 3970,62, a w tej samej chwili, kiedy Abbey wpisała nieszczęsną odpowiedź, w drzwiach pojawił się Junior, trzymając oskubanego kurczaka.

- Zrobiłaś moje zadanie? - sprawdził jedenastolatek, zaglądając jej przez ramię. - Świetnie! Ale na pewno policzyłaś tym razem dobrze? - Poprzednim razem, gdy Abbey potrzebowała jego pomocy w skubaniu, wszystkie jej obliczenia poza jednym okazały się złe i Junior musiał symulować atak epilepsji, aby uniknąć kłopotów. Mówiło się, że Junior cierpiał na ataki epilepsji jako niemowlak, co nauczyło go, jak je udawać, więc nie omieszkiwał wykorzystywać swych talentów, kiedy sytuacja go przerastała. Abbey często myślała, że ten chłopiec daleko zajdzie. Matka sprokurowała mu rodzeństwo dopiero pięć lat temu, więc pierwsze sześć lat Juniora upłynęło niczym sielanka. Jednak po tym, jak siostra Imi, Geen, zadziwiła wszystkich, rodząc dość późno trzy małe pikinini jedno po drugim, ostatnie lata życia Juniora były dalekie od płątania się pod fartuchem matki. Połączenie szybkiego dojrzewania w czasie najwcześniejszych lat z późniejszą swobodą dało w rezultacie pewnego siebie, psotnego chłopca, mądrego mądrością ulicy, i można by rzec, że jego spryt wręcz marnował się pośrodku oceanu.

- Tym razem pomogła mi Imi, więc nie będziesz się musiał wstydzić - powiedziała Abbey, wymieniając zeszyt na kurczaka. - Jak się ma Bing? - zapytała.

Bing, pięcioletni brat Juniora, właśnie rozpoczął szkołę, gdzie jak Abbey wiedziała, inne dzieci dokuczały mu z

powodu jasnych oczu i włosów. Nie żeby coś takiego nigdy nie zdarzało się na wyspie. „Genetyczne cofnięcie” - tak wyjaśniał to Martin. Pozostałości po miłosnych przygodach misjonarzy i pierwszych osadników, mawiał. Nan też miała parkę blondasów, w innych rodzinach również się to zdarzało, ale Bing wydawał się z nich wszystkich najjaśniejszy, a ponieważ był w dodatku mały i płaczliwy jak na swój wiek, stawał się naturalnym celem ataków.

- Zamówił sobie Barbie Malibu przez Internet - powiedział Junior. - Ma przesrane.

- Przepraszać mi tu! - wrzasnęła na niego Imi.

- Bing wie, jak korzystać z Internetu? - zdziwiła się Abbey.

- Każdy wie, jak korzystać z Internetu - odparł lekceważąco Junior, kierując się w stronę wyjścia.

- Na Boga, Imi. - Abbey opadła na krzesło, na jej twarzy malowało się niedowierzanie. - Pięciolatek umie korzystać z Internetu, a ja nie wiem, jak obsługiwać twoją kuchenkę mikrofalową. Dokąd ten świat zmierza? Słowo daję, że już nigdy nie uda mi się opuścić tej wyspy. Jaki byłby ze mnie pożytek w normalnym świecie.

Imi, wciąż jeszcze starając się wynagrodzić przykrość, którą mogła sprawić przyjaciółce, pokazując Cindy Crawford w ciąży, wskazała na oskubanego kurczaka i zaproponowała:

- Ty szybko go upiecz tutaj, a potem przysmażyć go w dom swój?

Abbey tylko westchnęła. Gotowanie nigdy nie było jej mocną stroną. Dobrze, zgodziła się z przyjaciółką, upiecze kurczaka w mikrofalówce Imi, a potem przysmaży w tradycyjny sposób w domu. Ten tradycyjny sposób polegał na owinięciu mięsa w świeżo ścięty bambus i pieczenie go metodą palić - palić nad ogniem. Martin myślał, że całe ich jedzenie jest przygotowywane w taki sposób, ale nazwa owej

metody nie wzięła się z niczego. Wyciągnięcie upieczonego jedzenia z ognia bez poparzenia się było sztuką, której Abbey jeszcze nie opanowała. Przez dwa pierwsze lata pobytu na wyspie jej ręce wyglądały, jakby miała na nich brązowobeżowe rękawiczki, tak bardzo były poparzone. Potem, gdy Martin przestał już tak bardzo zwracać na nią uwagę, koncentrując się raczej na swoich wodnych projektach, zrozumiała, jak bardzo mogą jej pomóc urządzenia, którymi dysponowała Imi, i teraz głównie u niej przygotowywała jedzenie. (Prawdę mówiąc, Imi lub Geen - które przeszły na koszt wioski sześciotygodniowe kursy gotowania w Paryżu - często gotowały za nią). Abbey wiedziała, że jeśli dopiecze kurczaka w swojej chacie, w środku będzie pachniało mięsem, jakby cały dzień się tam piekł, a przynajmniej ona nie spali sobie rzes, co zdarzyło się wcześniej dwukrotnie. Imi sięgnęła po kurczaka i zaczęła nacierać go ziołami.

- A niech mnie! - wykrzyknęła nagle. - Geen przygotować sałatę dla ciebie i dla twojego Herkulesa! - Odwróciła się do lodówki, z której wyciągnęła przepięknie wyglądającą sałatę, ze znanostwem ułożoną w tradycyjnej drewnianej misce, chronioną dla zachowania świeżości folią, którą Geen kochała bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

- Sprawdź, Abbey! - wykrzyknęła Imi, podtykając jej miskę pod nos.

Sałata była z fasolki i papryczek chili, z papają i orzechami i z całą pewnością Geen doprawiła ją swym specjalnym winegretem z dodatkiem studwudziestoletniego octu balsamicznego. Abbey poczuła, jak w gardle rośnie jej gula. Co by zrobiła bez swoich kochanych, słodkich, lojalnych sąsiadek i przyjaciółek? Geen najwyraźniej pamiętała, że Fullerowie przyjeżdżają, chociaż Abbey nie przypominała sobie, by w ogóle komuś o tym mówiła, a co gorsza, po prostu wyleciało jej to z pamięci.

Kiedy już kurczak obracał się na rożnie w kuchence mikrofalowej, Imi powróciła do pisma, by skompletować swoją jesienną garderobę. To, że na wyspie mieli tylko dwie pory roku, suchą i mokrą, a w dodatku każdej z nich po trosze co dnia, wcale jej nie przeszkadzało. Jak większość wyspiarek była wysoka, o wąskich biodrach i dużym jędrnym biuście, wąska w talii i szeroka w ramionach. Na jej głowie szalało żywiolowe afro, wydała zresztą fortunkę na zamawiane pocztą produkty do prostowania włosów, które nie odniosły najmniejszego skutku. Dzisiaj miała na sobie czerwoną minispódniczkę ze sztucznej skóry i obcisłą podkoszulkę w stylu Britney Spears, ukazujące jej twardą przeponę i pępek z lśniącem w nim diamentem. W porównaniu z nią Abbey zawsze czuła się staroświecką białą kobietą, a wrażenie to potęgował fakt, że jeśli chodzi o elegancję, polegała całkowicie na ubraniach odrzuconych przez Imi. Podobnie było tego popołudnia, miała na sobie zeszłoroczne spodnie i bawełnianą koszulę, jedno i drugie z metkami Banana Republic. Prawdę mówiąc, taki system nawet jej odpowiadał poza tym tylko, że Imi była dobre dziesięć cali od niej wyższa, więc Abbey jak zwykle podwinęła spodnie na dole, a koszulę związała w pasie. Wyglądała jak ktoś, kto rano był znacznie wyższy. I często tak właśnie się czuła.

Kurczak zaczynał skwierczeć w chwili, gdy dał się słyszeć hałas silników schodzącego do lądowania samolotu. Abbey rzuciła się do mikrofalówki, by wyciągnąć kurczaka. Miała akurat dość czasu, żeby go owinać i włożyć w ogień przed nadejściem gości.

- Aj! - jęknęła, gdy duża kropla tłuszczu oderwała się od pokrywki i upadła na jej dłoń. - Czy mogłabyś mi podać sałatę? Co ja w ogóle tu robię, czytając jakieś kolorowe pisemka! Co się dzieje z moją głową?

Imi podała jej sałatę, nie rozumiejąc paniki, jaka ogarnęła przyjaciółkę.

- Spokojnie, Abbey. To tylko przyjaciele.

Abbey oparła miskę na biodrze i ruszyła do wyjścia. W przypadku Martina nie było czegoś takiego jak „tylko przyjaciele”. Goście oznaczali dla niego wielkie wydarzenie i Abbey nie chciała go zawieść. Przynajmniej nie tym razem.

- Dzięki, Imi - powiedziała tylko, kierując się do wyjścia.
- Uratowałaś mi życie.

- Nie ma powodu do zmartwień - padła odpowiedź. Było to coś na kształt motta wyspy. Abbey z całego serca chciałaby tak się zachowywać, ale zbyt wiele zostało w niej z mieszkanki wielkiego miasta, albo też Martin miał zbyt dużo cech londyńczyka, co jak przypuszczała, wychodziło na to samo. Owinęła kurczaka i wrzuciła go do paleniska. Nastawiła przy tym uszu na nierozpoznawalny dźwięk silnika samochodowego, klaksonu i towarzyszących im radosnych okrzyków i śmiechu. Wyszła na ganek i zamarła w oszołomieniu na widok Tomiego Papary, kucharza, jadącego przez wioskę nowiusieńkim kabrioletem. Samochód z opuszczonym dachem obsiadły wioskowe dzieci, naciskające na klakson i podskakujące jak kangury. Tomi wyglądał, jakby wstąpił do nieba.

- Zobacz tylko, Abbey, to mazda! - wykrzyknął, mijając jej dom i machając dziko ręką, podczas gdy siedem małych główek chwiało się wokół niego.

Abbey stała jak wmurowana w ziemię. Na Ate'ate była tylko jedna droga. Prowadziła od pasa startowego do wioski i miała około mili. Właściwie wystarczyłaby jedna piąta tego, ale mieszkańcy wyspy przedłużyli ją, żeby mieć gdzie jeździć dla zabawy starym dżipem pozostawionym przez żołnierzy amerykańskich. Jeden samochód na Ate'ate to już wystarczająco śmieszne, a co dopiero dwa? Martin się

wścieknie. Trudno się było jednak oprzeć entuzjazmowi Tomiego, więc Abbey się roześmiała.

- A co będzie następne? Może światła uliczne? A ja myślałam, że twoją jedyną pasją jest makaron.

Abbey odwróciła się i wpadła wprost w ramiona Shirley Fuller. Tak zaabsorbował ją pojazd Tomiego, że nawet nie zauważyła nadejścia przyjaciółki, ale teraz zanurzyła się w jej objęcia niczym wysuszona gąbka, która czuje pierwszą kroplę deszczu po długiej suszy.

- Jak cudownie cię widzieć! - wykrzyknęła, ściskając przyjaciółkę z zaskakującą gwałtownością.

- Hej, hej, wrzucasz mnie do łez - zażartowała Shirl, odsuwając się nieco i teatralnie wycierając oczy. - A przecież nie chcemy marnować ani odrobiny wody, prawda? Ostatecznie to rzadkie bogactwo.

Abbey zaśmiała się zawstydzona.

- A więc już wam zrobił wykład?

- Spróbuj tylko go powstrzymać - odparła Shirl. Abbey uśmiechała się do przyjaciółki, zachwycona jej szorstkim akcentem z Queensland.

- Czy wszystko w porządku, kochana? - zapytała Shirl. - Wyglądasz jakby.... - przyjrzała się uważnie Abbey. - Nie wiem. Po prostu inaczej. Jakbyś była mniejsza.

Abbey udało się roześmiać.

- No cóż, to już sześć lat, Shirl, może się skurczyłam. Tak czy siak miło mi oświadczyć, że ty nie zmieniłaś się ani trochę, od kiedy skończyłaś dwadzieścia jeden lat.

Shirl roześmiała się zmysłowo.

- Przyjmuję to za dobrą monetę - oświadczyła z humorem.
- A teraz co robimy, oprowadzisz mnie po okolicy?

Shirl miała na sobie codzienny strój: bawełnianą koszulkę bez rękawów, spódnicę z grubszej bawełny, trochę za kolana i wygodne buty. Ubierała się tak samo niezależnie od tego, czy

szła do kościoła, czy ładowała skrzynki z towarem, czy też popijała szampana na koktajlu u burmistrza. Była rdzenną Australijką do szpiku kości i Abbey ją uwielbiała.

- Chodź, wejdź do środka - powiedziała, wprowadzając ją do chaty, gdzie zachęcająco unosił się smakowity zapach pieczonego na palenisku kurczaka.

Shirl weszła do środka i rozejrzała się ze zdumieniem. Wiedziała, że Abbey i Martin żyją po pioniersku, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że do tego stopnia. Chata składała się z jednego dużego pomieszczenia o ścianach z mat rozpiętych na niczym nieosłoniętych belkach. W miejscach, gdzie ściany spotykały się z dachem, widać było błękit popołudniowego nieba. Po obu stronach w ścianach zrobione były okna, zakryte bambusowymi żaluzjami. Pod tym z prawej strony, pod zasłoną z lichej tkaniny stało rachityczne drewniane łóżko ze skawalonymi materacami okrytymi muślinową kapą.

W głębi chaty znajdował się zlew z nierdzewnej stali wsparty po bokach na dwóch beczkach po piwie, dalej na lewo stała szafka okryta siatką, a po prawej zrobiono coś w rodzaju wewnątrz - zewnętrznego paleniska, na którym radośnie smażył się zawinięty w liście kurczak. Poza krzywą komódką i stołem wraz z towarzyszącymi mu trzema różnymi krzesłami jedynym meblem w pomieszczeniu był kufer, w którym najprawdopodobniej Abbey trzymała ubranie. Shirl próbowała ukryć wyraz zaskoczenia, jaki pojawił się na jej pomarszczonej i wysmaganej wiatrem twarzy, ale nie udało jej się to.

- O kurde, Abbey - powiedziała z typowym dla siebie brakiem dyplomacji. - A gdzie reszta?

- No, ubicacja jest na dworze, razem z prysznicem z deszczówki - odpowiedziała niepewnie Abbey. - Daj spokój, Shirl. Nie jest przecież tak źle.

Shirl w oszołomieniu przeszła kilka kroków w stronę stołu i opadła na krzesło, które zachwiało się z powodu jednej nierównej nogi. Siedziała, jakby zeszła z konia po tygodniowej jeździe.

- Wiedziałam, że jesteście gołodupcy, ale dlaczego, na Boga, nigdy mi nie powiedziałaś, że to tak wygląda?

- Shirl, nic nam nie brakuje, naprawdę - upierała się Abbey. - To nie chodzi o pieniądze. Mamy ich mnóstwo. To znaczy, Martin ma. On po prostu chce, żebyśmy tak żyli, i nie jest mi źle. Uczciwie mówiąc, przyzwyczałam się. Przecież to już jedenaście lat, a przez większość tego czasu nie mieliśmy nawet stołu ani krzesel!

Shirl rozejrzała się jeszcze raz podejrzliwie, jakby w poszukiwaniu ukrytego miejsca pełnego luksusów, które dotąd przeoczyła. Potrząsnęła swą siwą głową.

- Nie obraż się, moja miła, ale jeśli myślisz, że ja i mój stary spędzimy tutaj noc na ziemi, to równie dobrze możesz w tej chwili wołać pilota, żeby zaczął grzać silniki.

Na widok uczuć malujących się na twarzy przyjaciółki Abbey się roześmiała.

- A ja myślałam, że jesteście prostymi ludźmi - droczyła się. - Gdzie twój pionierski duch?

- Mam pięćdziesiąt dwa lata i mieszkam w domu o szesnastu pokojach, z klimatyzacją - powiedziała Shirl. - Jeśli mam ochotę na coś bardziej naturalnego, wyłączam ogrzewanie wody w basenie. A teraz powiedz mi, Ab, że ja tu nie śpię.

- Nie śpisz tu, Shirl - przyznała wreszcie rozbawiona Abbey. - Spędzicie noc w domu mojej przyjaciółki, Pepy, trzy chaty dalej. Przeniosła się na tę noc do swojej siostry i zostawiła wam swoje łóżko w kształcie serca oraz jacuzzi.

- Teraz wreszcie do sensu mówisz - odetchnęła Shirl. - No, a gdzie nasi chłopcy? Zabiję kogoś, jak nie dostanę zaraz piwa.

Jakiś czas później Abbey siedziała, obgryzając kurzą nogę i popijając ją winem przywiezionym przez Fullerów, i gratulowała sama sobie posiłku. Zgodnie z jej standardami odniosła oszałamiający sukces, mimo że mąż nie ukrywał swego złego humoru.

- Cholerna mazda MX5, kabriolet! - Miał teraz tylko jeden temat. - Na wyspie Oceanu Spokojnego, gdzie jest jedna bita droga długości mili! Musiał oszaleć. A co z zanieczyszczeniami? Ciekawe, czy choć przez chwilę się nad tym zastanowił? A zniszczenia, jakie spowoduje tlenek węgla w delikatnym ekosystemie Ate'ate?

W przerwach między jego wybuchami Abbey rozmawiała pogodnie z Jimem i Shirl, chociaż dobrze wiedziała, że gdy mąż był w takim humorze, lepiej trzymać buzię na kłódkę. Ignorowanie jego kwaśnych komentarzy tylko bardziej go nakręcało, ale przyjemność normalnej rozmowy po angielsku była nie do odparcia. Oczekiwała jednak, że przyjdzie chwila, kiedy trzeba będzie za tę przyjemność zapłacić, więc nie była zdziwiona, gdy nadeszła. Zdarzyło się to w momencie, kiedy wstała, by pozbierać naczynia.

- Abbey - warknął Martin, patrząc na jej udo i rzucając nóż i widelec na talerz. - Co to jest?

Skinął na nią, żeby się zbliżyła, po czym zaczął wyciągać z bocznej kieszeni jej spodni gruby strzęp plastikowej folii. Tej samej, którą Geen zabezpieczyła swoją cudowną sałatę, a którą Abbey zdjęła, gdy Martin i Jim przyszli do domu na kolację. Nie istniało nic, czego Martin nie znosił bardziej od nierozkładających się materiałów, szczególnie plastików, i oto kawałek takiego plastiku właśnie wyciągnął na oczach ich gości. Abbey poczuła skurcz serca, gdy jej mąż machał

kawałkiem folii niczym obrzydliwie zabrudzoną pieluchą, a jego błękitne oczy ciemniały i twardniały.

- Czyżbyś była aż tak głupia? - zapytał kłótniawie.

Jim i Shirl Fuller zamarli, przyglądając się tej scenie z identycznym przerażeniem.

- Jak myślisz, czy po to przebyliśmy całą tę drogę - mówił Martin głosem niskim i groźnym - i tak długo ciężko pracowaliśmy, abyś teraz zanieczyszczała wyspę swymi obrzydliwymi śmieciami?

Abbey, modląc się w myślach, by zamilkł i nie niszczył tego wieczoru, nie odzywała się.

- No! Mówię do ciebie! - wrzasnął Martin. - Odpowiadaj! Czy jesteś aż tak głupia?

- Chłopie, spokojnie. - Jim uratował sytuację, stając jakby nigdy nic obok Abbey i sięgając po talerz Martina. - Udko czy nóżka?

Martin oddychał ciężko, patrząc na Jima dzwoniącego talerzami, Abbey stała jak zamurowana, czekając na rozwój wydarzeń.

- No, nie stój tak, kobieto. Pomóż naszemu gościowi - powiedział wreszcie Martin, co oznaczało, że postanowił pohamować złość. Odetchnęła z ulgą i ruszyła, by pomóc Jimowi przy składaniu talerzy.

- Może zostawicie facetów, żeby zajęli się sprzątnięciem, i wybierzecie się z Shirl na przechadzkę? - zaproponował Jim. W jego spojrzeniu widać było smutek i przyjaźń. - Co ty na to, kochanie? - zwrócił się do żony.

Spojrzenie, które w tym momencie wymienili, ukłuło Abbey w samo serce. Wystarczyło za tysiące słów. Mówiło: my rozumiemy. A także: pomożemy ci. Mówiło także: jakież mamy szczęście, że nie jesteśmy tacy. Abbey zawsze marzyła o takim właśnie spojrzeniu, ale od tak dawna nikt w ten

sposób na nią nie patrzył, że już teraz nawet nie pamiętała, czy kiedyś jej się to zdarzyło.

Ze spuszczonej oczami, tak by nie widzieć twarzy Martina i tego, co wyrażała, wyszeptała tylko podziękowanie i ruszyła na zewnątrz. Shirl szła za nią. Księżyc w pełni rzucał snop światła na ocean, gdy wędrowały brzegiem. Wreszcie przysiadły na nabrzeżu, swobodnie zwieszając nogi i przez chwilę po prostu nasłuchiwały melodii fal morskich. Potem Shirl przysunęła się bliżej i otoczyła ramieniem przyjaciółkę.

- Dlaczego, na litość boską - odezwała się wreszcie tak łagodnie, jak tylko potrafiła ta wygadana Australijka, która prowadziła w Queensland świetną firmę handlującą żywnością - jeszcze jesteś z tym skończonym durniem?

Abbey nic nie odpowiedziała. Nie chciała ciągnąć tej rozmowy. Nie chciała w ogóle o tym myśleć.

- Myślałam, że on cię zaraz zdzieli - kontynuowała Shirl.
- I za co? Za kawałek plastiku? Ten facet to jakiś koszmar. On jest niespełna rozumu. Czy zawsze się tak zachowuje, Abbey? Czy on cię bije?

Abbey odsunęła się od niej zaszokowana.

- Oczywiście, że nie. Na Boga, nie bądź śmieszna, opacznie to zrozumiałaś. Wcale nie jest mi źle. I on też nie jest zły. Tak naprawdę jesteśmy razem bardzo szczęśliwi. Rozejrzyj się, to raj! - Wyrzuciła ramiona w górę, podkreślając swe słowa i wskazując otoczenie. - Dajże mu spokój. To naprawdę kochany człowiek, tyle tylko że sfrustrowany przez to wszystko, co się tutaj dzieje. - Powtarzała teraz słowa, którymi wielokrotnie uspokajała siebie, i słysząc je teraz, uznała, że brzmią bardzo przekonująco. - Ale bić mnie! Nie, nic z tych rzeczy. Przysięgam, Shirl, że mu się to nie zdarza. Tego bym nie zniosła. Nie. Nigdy nie tknął mnie nawet palcem. - Zamilkła

na ułamek sekundy za długo. - Tak, to prawda, nawet mnie nie tknie. I to jest pewien problem.

Shirl, która nie umiała i nie zamierzała siedzieć cicho, zapytała teraz:

- Więc w ogóle tego nie robicie?

Abbey skuliła się cała i potrząsnęła głową.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Och, Shirl, nie każ mi o tym mówić.

Przyjaciółka wzniosła oczy w górę.

- Posłuchaj, kochanie, przecież widzę, że twoje ognisko domowe ma się nie najlepiej i że nie jesteś szczęśliwa. Możesz mi powiedzieć, żebym się zamknęła i poszła sobie, ale też możesz wszystko opowiedzieć swojej starej ciotce, która chętnie ci coś doradzi. Ostatecznie wydałam na świat czterech nierobów i dość się musiałam naopędzać przez dwadzieścia siedem lat od napalonego męża, więc tego i owego się po drodze nauczyłam.

Abbey westchnęła i usiadła wygodniej, opierając się o murek nabrzeża i patrząc na światło księżyca tańczące na falach.

- Przestał ze mną sypiać, jak wróciłam z Queensland - powiedziała wreszcie, gdy już mogła wydobyć z siebie głos, nie rozplywając się w łzach, które od tak dawna powstrzymywała - kiedy powtórzyłam mu słowa lekarza.

Martin wysłał ją do Brisbane sześć lat temu, ponieważ przez pięć lat pożycia małżeńskiego bez stosowania antykoncepcji nie zaszła w ciążę. Laparoscopia ujawniła, że Abbey ma tylko jeden jajowód, na którym w dodatku zrobiła się torbiel. Po jej usunięciu okazało się, że była wielkości pomarańczy. Ginekolog powiedział Abbey, że miała szansę jedną na milion, by zająć w ciążę.

A ona wykorzystała ją, rzecz jasna, z Jasperem Milesem.

Shirl, która zajmowała się Abbey w czasie rekonwalescencji, widziała, że przyjaciółka jest zrozpaczona. Ale naprawdę powaliło to Martina.

- Zachowywał się jak człowiek, który stracił grunt pod nogami. - Abbey powracała teraz pamięcią do tamtych chwil. - Nigdy nie widziałam, żeby mężczyzna był aż tak smutny. Zwinął się w kłębek i przez tydzień po prostu płakał, nic go nie obchodziło. To było okropne! A potem zniknął na dwa dni. A kiedy wrócił, był zupełnie innym człowiekiem. Wyglądał tak samo i mówił tak samo, ale jakby go tu tak naprawdę nie było albo jakby mnie nie było, albo... och, już sama nie wiem. - Głos odmówił jej posłuszeństwa.

- Chyba ciebie za to nie winił, że nie możesz mieć dzieci? Te słowa wypowiedziane na głos naprawdę bolały, uzmysłowiła sobie Abbey.

- Przecież to moja wina - odparła. - Powinien mnie winić. Miałam jedną szansę i zmarnowałam ją. - Wzruszyła ramionami. - Zrujnowałam mu życie i nie zamierzam teraz odejść, pozostawiając wszystko za sobą. Poza tym i tak nie miałabym gdzie pójść.

Shirl, całkiem oszołomiona tym, co usłyszała, wyprostowała się gwałtownie.

- Zacznijmy od tego, Abbey, że to nie jest żadna twoja cholerna wina i nie masz sobie, do cholery, nic do wyrzucenia. Po drugie, to nie Martina życie jest zrujnowane, tylko twoje i jeśli masz się cieszyć jego resztą, musisz do cholery coś z nim zrobić. Po trzecie, masz gdzie pójść. Możesz zamieszkać z nami.

Abbey uśmiechnęła się do przyjaciółki, starając się wyobrazić sobie życie, które upływa jej na siedzeniu koło basenu w Brisbane. To nie była nieprzyjemna myśl, ale też nie na wiele się zdała. Nie. Jak sobie pościeliła, tak się wyśpi.

- Dziękuję ci, Shirl - powiedziała, starając się nie dostrzegać litości w oczach przyjaciółki. Usłyszała dźwięki muzyki tanecznej i przeklęła w duchu satelitę Frankiego. Trudno było nie zauważyć, że MTV staje się bardzo popularne na Ate'ate.

- Dzieci, być może to nie jest moja wina - powiedziała łagodnie - ale to, że Martin jest nieszczęśliwy, już tak. Nie mogłabym go tu zostawić, po prostu nie mogłabym. Tubylcy nabijają się z niego. Całymi godzinami w dzień i w nocy buduje system nawodnień na spłachetku ziemi, gdzie da się wyhodować jedynie kilka orzechów kokosowych lub marantę, podczas gdy nie brakuje nam tu ptasiego mleka i można dostać wszystko, o czym się tylko zamarzy. Co się z nim stanie, kiedy mnie tu zabraknie?

Ogarnęło ją poczucie beznadziei, na jakie sobie zazwyczaj nie pozwalała.

- Abbey, ale ty masz dopiero dwadzieścia osiem lat - próbowała argumentować Shirl. - Przed tobą całe życie. Nie możesz go marnować dla kogoś, kogo nawet nie kochasz. Już wystarczająco trudno jest marnować życie dla kogoś, kogo się darzy uczuciem.

- Skończyłam dwadzieścia dziewięć - wyszeptała Abbey. - Już dwadzieścia dziewięć. I kocham go. Naprawdę. On ma tylko mnie, a ja mam tylko jego i kocham go.

Gdy zabrzmiały te słowa, Abbey uświadomiła sobie, nie po raz pierwszy, jak ogromnie musi się starać, by sama w nie wierzyć. Jej życie było puste, a jedyne, co je wypełniało, to smutek. Nie chciała nawet o tym myśleć dłużej, więc wstała i pociągnęła za sobą Shirl.

- Dość tego. - W jej głosie rozbrzmiewała prośba. - Niech pani pozwoli, że udamy się do jej buduaru.

Trzymając w rękach dłoń przyjaciółki, ruszyła ścieżką koło domu spotkań w stronę chaty Pepy. Shirl, zasmucona i

zakłopotana, a jednocześnie rozumiejąca trudność, wobec której stanęła Abbey, dała się prowadzić.

- Spójrz, to Geen - odezwała się Abbey, kiedy mijaly dom siostry Imi, i wskazała na cień tańczący w środku. - Powinnam wejść i podziękować jej za sałatę. Chodź, poznasz ją. Spodoba ci się. Wszyscy ją uwielbiają. Jest życiem i duszą tej wyspy.

Wciągnęła Shirl do środka. Okazało się, że Geen dokazuje z trójką swoich najmłodszych dzieci. Nie przestając kręcić tyłeczkiem i kołysać ciałem, machnęła ręką na powitanie gościom, pokazując przy tym na Binga i jego dwie blond siostrzyczki, które stały w rzędzie i tańczyły z zapalem, nie podnosząc przy tym w ogóle stóp. Abbey roześmiała się na ten widok i obróciła do Shirl, by ją przedstawić. Ale Shirl wyglądała, jakby dostała właśnie fangę w nos. Jej twarz była kompletnie biała, a oczy, wielkie i czarne, wpatrywały się z niedowierzaniem w trójkę rozbawionych dzieci.

- O co chodzi, Shirl? - zapytała Abbey. Przyjaciółka złapała się za brzuch i zaczerpnęła gwałtownie powietrza, nie odrywając wzroku od maluchów, które przestały podrygiwać, tylko z kolei wpatrywały się w nią.

- Abbey, na litość boską, Abbey! - Twarz Shirl wyrażała ból.

- O co chodzi, Shirl? - zapytała przestraszona Abbey, podczas gdy Geen zaczęła coś szybko mówić do dzieci.

Shirl złapała Abbey w pasie i obróciła ją w stronę trzech małych blondasków, nie pozwalając zasłonić ich widoku Geen.

- Dzieci, Abbey - powiedziała. - Dzieci. Nie możesz być przecież tak ślepa. To lustrzane odbicia Martina.

Pamiętaj, że mimo licznych zasad, nie ma żadnych zasad.

Najlepsze sery zostały odkryte, gdy producent serów wykorzystywał twaróg do całkiem innych celów.

Teraz nazywa się to dywersyfikacja, ale kiedyś po prostu chodziło o to, by nie splamić się błędem, kiedy coś się spieprzyło w procesie produkcji.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Było ciemno jak diabli i równie zimno, kiedy kot imieniem Jezus usiadł na twarzy Lucy. Mijała jej trzecia noc w domku dla dojarek. Na razie spędzała czas na leniuchowaniu, po prostu leżała w łóżku, na zmianę śpiąc i myśląc. Jack upierała się, że sama będzie jej przynosić jedzenie, i starała się jak mogła, ale prawdę powiedziawszy, przez większość czasu Lucy miała mdłości, szczególnie w pierwszej połowie dnia. Jezus, Maria i Wszyscy Święci, trzy rude koty, które spotkała podczas rozmowy z Corriem i Fee, jakby wyczuwały jej rozpacz i układały się obok niej, opuszczając pokój tylko raz na dobę, by dokonać ablucji. To, że otrzymała najśłoneczniejszy pokój w całym domu, było z pewnością przypadkiem.

Jednak tego ranka wsparcie Jezusa zdawało się drzeć w posadach.

- Złaż ze mnie! - wychrypiała Lucy w kocie futerko, jednocześnie odpychając ją mocno.

Jezus przycupnęła koło szyi Lucy, miauczając znacząco, co spowodowało, że leżące po obu stronach łóżka Maria i Wszyscy Święci uniosły swe zaspane mordki. Jezus przestała hałasować, ale koty nie spuściły łebków, tylko wpatrywały się, strzygąc uszami, w drzwi sypialni. W chwili gdy Lucy podciągnęła się do pozycji siedzącej, by zobaczyć, czego

wypatrują, drzwi otworzyły się gwałtownie, wpuszczając do pokoju ciepłe, żółte światło z holu.

- Obudzona? - zapytała Avis, uśmiechając się wyraźnie zadowolona. - Jak się dziś czujesz? Musimy porozmawiać! Gotowa do pracy? Na stole czeka śniadanie, a w dzbanku kakao. Wkładaj sweter, poczekamy na ciebie. Chodźcie, dziewczynki!

Kotki przeciągnęły się i zeskoczyły z łóżka, po czym wymaszerowały z pokoju, każda po kolei ocierając się o tęgie łydki Avis, która otworzyła szerzej drzwi. Tylko Jezus zatrzymała się, by rzucić wyniosłe spojrzenie Lucy, wciąż siedzącej jak zamurowana na łóżku. Avis zamknęła za sobą drzwi, a Lucy pozostała przez minutę lub dwie w ciemnościach, wściekła, że ktoś ją wygania do pracy o tak niemożliwej porze. Choć, musiała to przyznać, trudno to było nazwać wyganianiem, ponieważ Avis zapytała przecież, czy jest gotowa zacząć pracę, a ona nie odpowiedziała, że nie - z jakiegoś powodu, najprawdopodobniej godziny, nie odpowiedziała w ogóle nic.

Rozgniewana na siebie przede wszystkim dlatego, że została obudzona, by usłyszeć takie pytanie, odrzuciła nakrycia i wyskoczyła z łóżka, zagryzając zęby, by nie krzyknąć w reakcji na zimne deski podłogi, a także by powstrzymać atak nudności. Wilhie, Jack i bliźniaczki wcale się nie zdziwiły, widząc ją przy stole. Skupiła się na jedzeniu, udając, że nie dostrzega ich zaciekawionych spojrzeń. Kiedy talerze i kubki znalazły się już w zmywarce, dziewczęta zebrały się przy drzwiach prowadzących na podwórze.

- A niech mnie - parsknęła Wilhie, widząc naburmuszoną minę Lucy. - Nie musisz robić z siebie cierpięticy. Ta praca jest całkiem miła. Dostajesz pieniądze i nie będzie to trwało wiecznie, prawda? - mrugnęła okiem i pogłaskała się po wydatnym brzuchu. - Trzeba tylko wstać rano dobrą nogą.

Dziewczęta pomagały sobie nawzajem przy wkładaniu kurtek, wiszących na wieszaku przy drzwiach. Lucy, z policzkami płonącymi gniewem i wstydem, sięgnęła po tę, która została, i ruszyła za nimi. Na zewnątrz nadal było ciemno i zimno, ale jakoś nikomu poza nią to nie przeszkadzało. Pokonując wzgórze, na którego zboczu stała obora, dziewczęta paplały radośnie. Z tyłu przedstawiały zabawny widok: wszystkie poruszały się jak kaczki, Wilhie trzymała się jedną ręką za krzyż i dreptała delikatnie niczym kotek, a Jack bujała się na boki niczym stary kowboj.

Lucy przez chwilę zastanawiała się, czy nie została tu zwabiona przez sektę. Jednak trudno jej było uwierzyć, że została poddana przez Corriego i Fee praniu mózgu, kiedy kazali jej słuchać tej cholernej muzyczki. I nie chcieli od niej żadnych pieniędzy. Prawdę mówiąc, sami dali jej trochę. Gdy dotarła do rogu obory, podejrzliwe myśli pierzchły, w nozdrza uderzył ją bowiem ciepły intensywny zapach setki krów i poczuła się, jakby dostała w twarz kremowym ciastkiem. Opanowały ją mdłości i jednocześnie potknęła się, wpadając na Jack, która przystanąła, by ją podtrzymać.

- Nieźle daje, co? - stwierdziła pogodnie Jack. - Powinnaś tu być, kiedy wiosną rozrzucają nawóz na trawie. Jeśli nie wiesz, co to gówno, warto przyjechać!

- Czy to zawsze tak śmierdzi? - zapytała Lucy, starając się opanować mdłości, trzymała się przy tym kurczowo Jack, podczas gdy Avis i wysoki, rudowłosy chłopak zaganiali krowy w stronę obory.

Potem były rozdzielane do pięciu różnych wejść i wprowadzane do przegród. Kiedy podeszły bliżej, Lucy widziała tylko pięć kościstych krowich zadków pokrytych błotem i śmierdzących niczym gówno. Mdliło ją, a przy tym straszliwie się bała, trudno tego było nie dostrzec, Jack spojrzała na nią ze współczuciem.

- Źle się czujesz, prawda? - zapytała pokrzepiającym tonem. - No cóż, zawsze tak śmierzdzą. Ale - dodała szybko, widząc, że Lucy obraca się na pięcie - przyzwyczaisz się. Wilhie ma rację, Lucy. To jest całkiem zabawne.

Lucy wsunęła dłonie w ciepło za długich rękawów kurtki, patrząc przed siebie, zupełnie nieprzekonana. Jack zerknęła ponad jej ramieniem, by zlokalizować Avis, która wciąż zaganiała krowy do obory, i przyciągnęła Lucy, by ją przytulić, konspiracyjnie szepcząc jej do ucha:

- Posłuchaj, dostajesz sto pięćdziesiąt funtów na tydzień i kiedy tu jesteś, nie musisz wydać ani grosza. Masz dach nad głową i dobre jedzenie. Wszystko, czego od ciebie chcą, to żebyś śpiewała niewinne piosneczki, zapomniała o hamburgerach i trochę podoiła. I nikt się tu ciebie nie czepia. To jest tu najwspanialsze. Możesz robić, co ci się żywnie podoba. Gdzie indziej znajdziesz takie miejsce? No wiesz, w twojej sytuacji?

Zanim Lucy zdążyła zastanowić się głębiej nad swoim stanem, u jej boku stanęła Avis, trzymając stołeczek i cebrzyk, i poprowadziła ją do najbliższej przegrody, w której czekała już krowa o smutnych oczach, imieniem Maria.

- Prawdę mówiąc, wszystkie mają na imię Maria, żeby było nam wygodniej i łatwiej - powiedziała łagodnie Avis. - No, dalej! - Ustawiła Lucy twarzą do siebie, po czym sama usiadła na stołeczku, oparła ramię na krowim brzuchu i sięgnęła po wymię. - Och, o mało nie zapomniałam! - zerwała się zdumiewająco zgrabnie jak na kobietę z tak potężnym biustem. - Czy masz pilota, Tessie?

- Tak, Avis - padła odpowiedź z kolejnej zagrody.

- No to na co czekasz? - zawołała pogodnie Avis. - Włączaj!

Łagodne brzmienia „Dźwięków muzyki” wypełniły cuchnące wnętrze. Obora, w której ciszę zakłócało dotąd

jedynie postukiwanie kopyt i skrzypienie przesuwanych stołków, nagle wypełniła się dźwiękami. Lucy wpatrywała się z otwartymi ustami, jak cztery ciężarne dojarki, a z nimi Avis O'Regan, zaczynają doić w rytm muzyki. Mleko wydawało się wpadać do cebrzyków też zgodnie z rytmem. To był widok jak z bajki.

- Teraz ty spróbuj, Lucy - Avis, przekrzykując melodię, znowu zerwała się zgrabnie ze stołka.

Lucy, rada z każdej możliwości zmiany pozycji, usiadła. Zgodnie z instrukcją Avis, oparła policzek o ciepły bok Marii i sięgnęła po wymię. Jej niewielki wzrost okazał się w tym wypadku wygodny. Ramię pasowało zgrabnie pod krowi brzuch, a głowa trafiała dokładnie w miękki łuk na boku Marii. Żeby sięgnąć po wymię, trzeba się było trochę wyciągnąć, ale w chwili gdy jej dłonie skrzypaczki objęły sutek, Lucy zrozumiała, że fizycznie znakomicie pasuje do takiej pracy. Powoli ścisnęła dłoń. Nic się nie stało. Ścisnęła znowu. I znowu nic. Maria poruszyła się i uderzyła niecierpliwie kopytem, popatrując na Lucy, która odsunęła się przerażona, ledwie utrzymując równowagę na stołeczku. Zerknęła na Avis, która uśmiechała się, nie tracąc cierpliwości, i pokazywała w powietrzu, jak delikatnie a zarazem zdecydowanie masować wymię, żeby poleciało mleko. Lucy pochyliła się raz jeszcze, teraz jej twarz nie wyrażała gniewu, tylko skupienie, i po kolejnych dziesięciu minutach, z których osiem całkowicie wyprowadziło ją znowu z równowagi, doła Marię z całej siły. To była ciężka praca, ale dawała satysfakcję, kiedy już mleko leciało. Podniosła wzrok, by pochwalić się zwycięstwem przed Avis, lecz jej opiekunka tymczasem zniknęła. Wtedy dopiero Lucy zauważyła, że jest jedyną osobą, która nie śpiewa o urodzie zielonych wzgórz. Podziękowała w myślach Bogu, że nie zna

słów, i pokazała język rudowłosemu chłopcu, który jej się przyglądał. Poczzerwieniał i schował się za kolejną Marią.

Po drugiej stronie wzgórza Corrie i Fee ustawiali maszynę do pasteryzacji mleka. Corrie kochał ich fabryczkę wczesnym rankiem, kiedy byli tam tylko we dwóch. Wszędzie rozchodził się zapach dopiero co zrobionego sera i mleka, które zaraz miało się zjawić. Czuł się w tym jak zawinięty w znajomy wygodny koc. I ten spokój! Jakże kochał ten spokój! Dawniej, gdy nie było aż tak dużego zapotrzebowania na ich ser, pracowali w tym budynku zupełnie sami, zajmując się także wysyłką i zamówieniami. Jednak gdy ich sława rosła, musieli zatrudniać ludzi. Fee wymyślił, że najlepsze byłyby karmelitanki, ponieważ uważał, że będą ciężko pracować i niewiele mówić. Ale było o nie zbyt trudno, więc skończyło się na Marie Lonagan z pobliskiej wioski i jej szwagierce Ruby O'Toole. Zjawiały się codziennie o ósmej trzydzieści co do minuty i do chwili gdy wychodziły, usta nie zamykały im się ani na chwilę. Doprowadzało to, szczególnie Fee, do szału.

- Czy one nie potrafią się choć na chwilę zamknąć? - pytał po paru latach ich pracy. - Żadna z nich?

Zarówno Ruby, jak i Marie posiadały szczególną umiejętność rozmawiania w tym samym czasie, słysząc przy tym, co mówi jej krewniaczka.

- Biedny człowiek, niech Bóg go ma w swej opiece, pozostawiony tutaj całkiem sam...

- Więc powiedziałam do Patricka: „No cóż, ostatnim razem kosztowało tylko czterdzieści pensów, więc”...

- A malec w ogóle nie jest podobny...

- Doskonale to widziałam...

- Oczywiście ludzie zaczęli gadać....

- Widziałam to na własne oczy i dlatego właśnie...

- Nikogo to nie powinno obchodzić i już.

- Masz rację, Ruby, Bóg to widzi i cię kocha. Wiedzieli też, że to Ruby i Marie są odpowiedzialne za powstawanie plotek na ich temat, rozgłaszanych z dobrego serca, ale uznanych za pewnik - że zbili fortunę na robieniu sera, a pieniądze są zakopane gdzieś na terenie farmy. Od czasu do czasu Fee musiał strzelać w kierunku któregoś z miejscowych chłopów, włóczącego się z łopatą po terenie fabryczki ciemną nocą i podtrzymującego na duchu kumpla, obaj zazwyczaj byli mocno napici. Wiedział z całą pewnością, że nigdy żadnego nie trafił, ale podejrzewał, że rykoszet obciął kawałek ucha Seamusowi O'Connorowi.

Mimo wszystko, Ruby i Marie były warte tyle w złocie co ich całkiem pokaźna waga, gdy chodziło o prowadzenie sklepu i załatwianie zamówień. Ich bezmyślna paplanina nigdy nie spowodowała jakiegokolwiek błędu przy ważeniu, pakowaniu, telefonowaniu, faksowaniu i (ostatnimi laty) e-mailowaniu, co pozwalało Corriemu i Fee zająć się wyłącznie magiczną wytwórnią sera. Nie chcieli w ogóle słyszeć o zamówieniach, rachunkach i datach dostarczenia. Obchodziło ich tylko mleko, zsiadanie się mleka i cud powstawania sera.

Poza Grace i jeszcze jedną czy dwiema specjalnościami firmy wytwarzali tylko dwa gatunki serów w Coolarney: Żółty i Błękitny. Żółty miał gładziutką skórkę, która powstawała w ten sposób, że gdy już uzyskał swój kształt i został posolony, smarowano go co dwa czy trzy dni specjalnie wyhodowanymi drożdżami, dzięki czemu tworzyła się lepka lśniąca powłoka. Ta z kolei stwarzała doskonale warunki wewnątrz, by skwaśniałe mleko zamieniło się w twardy, mięsisty, gładki, niezwykle soczysty ser, za którym przepadali znawcy. W tym czasie skórka traciła żółtą lepkość i stawała się złota, następnie pomarańczowa, a w końcu prawie płomienna.

Corrie i Fee robili swoje sery w tygodnie naprzemienne, raz Błękitny, raz Żółty. Sekret Błękitnego był legendarny

chleb rodzynekowy Avis. Raz do roku, na początku września, piekła dwieście bochenków według przepisu, którego od lat używano w jej rodzinie. Następnie bochenki układano w pomieszczeniu do konserwacji Błękitnego, gdzie po trzech miesiącach pokrywała je niebieska pleśń. Pleśń była wtedy zdejmowana i potem dokładano ją do właśnie skwaśniałego mleka, co dawało Błękitnemu Coolarney jego korzenny, ostry smak i błękitne żyłki, z których był powszechnie znany (i których nikt na świecie nie potrafił podrobić mimo wielu prób).

Księżna Grace stanowiła odmianę tego właśnie sera. Smakowała jednakże inaczej, a to dzięki kwietniowemu mleku z młodej trawy i ponieważ, inaczej niż inne odmiany Błękitnego, nie była dziurawiona, by przyspieszyć powstanie błękitnych żyłek, ale robiono ją z rzadszego mleka i pozwalano rozwijać się błękitom, jak sobie tego życzyły. Generalna zasada była taka, że im mniej się ruszało Księżną w procesie produkcji, tym była lepsza.

Ten tydzień był tygodniem złotym. Corrie i Fee stali, gotowi rozpocząć odprawianie swych czarów, przyglądając się Staremu Pierdzącemu Tyłkowi, który sapiąc i dysząc, rozgrzewał się do temperatury wymaganej, by zabić rzekomo stanowiące zagrożenie życia bakterie w ich mleku. Dźwięki, jakie wydawało urządzenie, zazwyczaj wkurzały Fee, co doskonale widać było po kolorze jego twarzy. Przez całe pokolenia nikomu nie przeszkadzało, że ser z Coolarney nie jest pasteryzowany, ale ostatnimi czasy wysocy rangą urzędnicy zajmujący się zdrowiem uświadomili sobie, że w serze znajdują się drobnoustroje, które po pierwsze są złe, a po wtóre niezgodne z naturą i dlatego należy się ich pozbyć.

Corrie i Fee, podobnie jak i inni wytwórcy serów, byli w duszy artystami, a teraz zmuszono ich, by poddawali się inspekcjom pryszczatego młodzieńca w grubych szklach i z

potężnym łupieżem, nieustannie cmokającego w sposób wyrażający niezadowolenie i robiącego liczne notatki bardzo starannym pismem. Wynik inspekcji był zawsze ten sam. Unia Europejska wymagała, by ser był pasteryzowany. Farma za farmą, przyszczaty młodzieniec tkął swoją sieć czerwoną taśmą, Coolarney nie mogła umknąć jego skrupulatności. Inspektor, który ich nawiedził, był wyjątkowo nieatrakcyjnym indywiduum, nazwiskiem Roger Swoole, przy czym Fee nie nazywał go nigdy inaczej niż Wół.

W wyniku tego spotkania zostali zmuszeni, by zainstalować Stary Pierdzący Tyłek, a koszt tego był niemały. Również i tego poranka urządzenie hałasowało, ale, o dziwo, akurat dzisiaj nie zrobiło to żadnego wrażenia na Fee, co Corrie przyjął z pewnym zaskoczeniem. Można było powiedzieć o nim jedynie, że wygląda mizernie, ale ponieważ miał na sobie pomarańczowy podkoszulek, na to fioletową kamizelkę i zielono - czerwony szalik owinięty wokół szyi, trudno to było tak naprawdę ocenić. Nikt nie wyglądałby zdrowo otoczony taką paletą barw, pomyślał Corrie, zauważając jednocześnie, że Fee ma na nogach buty nie do pary, choć przynajmniej każdy pasował do skarpetki.

Kiedy do ich uszu doszedł wreszcie terkot traktora Avis, którym przywoziła mleko do cysterny przy wschodnim wejściu do fabryki, ruszyli równym krokiem w kierunku tego dźwięku, a na ich ustach pojawił się identyczny uśmiech.

Rozpoczęło się robienie sera.

Corrie i Fee zajęli się swymi osobnymi obowiązkami, Corrie czyścił i przygotowywał pojemniki i pleśń, natomiast Fee pilnował dostawy mleka. Siedząca za kierownicą traktora Avis puściła oko do okrągłego człowieczka.

- Nie myliłeś się, Josephie - oświadczyła, wrzucając luz i schodząc z siodełka na ziemię. - Mała Lucy da sobie doskonale radę. Rzadko kiedy któraś z nich tak szybko

chwyta, o co w tym chodzi. Nie gniewaj się, ale czy nie jest tak wtedy, gdy Jezus, Maria i Wszyscy Święci biorą taką małą pod swoją opiekę? I nie mów nic Josephowi, ale Jamie się odezwał. Dasz wiarę? Zapytał, jak Lucy ma na imię. Co za dzień!

Jamie był pastuchem Avis, wręcz patologicznie nieśmiałym z powodu problemu z mówieniem, w wyniku którego jego głos brzmiał jak rozwalony silnik. Znalazła go ukrywającego się w stogu siana, miał wtedy dwanaście lat i dygotał jak liść osiki, ponieważ właśnie dostał lanie na boisku w szkole w Schillies. Od tego czasu pomagał jej przy Mariach i spędzał większość dni, nie mówiąc ani słowa. To, że zadał jej teraz pełne pytanie, wstrząsnęło kobietą.

Złapała wraz z Fee, każde ze swojej strony, kankę pełną mleka i przelali zawartość do zbiornika za pomocą ręcznie wyklepanego miedzianego lejka, kankę za kanką, aż wszystkie były puste, a zbiornik pełen. W ciągu godziny mleko z porannego udoju zostanie przepompowane przez Stary Pierdzący Tyłek. Osiągał on, zgodnie ze wskazaniem licznika, wymagane siedemdziesiąt dwa stopnie Celsjusza przez wymagane piętnaście sekund, następnie mleko spływało do cysterny na ser. Słodki, miły zapach przenikał całą fabryczkę i budził ją do życia.

Fee i Corrie pracowali w ciszy, nie przeszkadzając sobie nawzajem, przemykając koło cystern i pojemników niczym nici tworzące misterny wzór. Kiedy cysterna była już pełna, a temperatura osiągnęła stałe trzydzieści pięć stopni, Fee dodał zaczyn, pierwszy czynnik przyspieszający ścinanie się mleka i powstawanie odpowiedniego smaku sera.

Jak większość wytwórców sera używali kupnego zaczynu w postaci suchych granulek w papierowej torebce. Prawie całe lata pięćdziesiąte strawili na dyskusjach, czy przerzucić się na gotowy produkt. Na początku Fee uważał, że powinni raczej

trzymać się własnego wyrobu, który wymagał wiele pracy, a w dodatku nie zawsze wychodził. Ale jakoś na początku lat sześćdziesiątych zmienił zdanie. Podpuszczkę wywołującą koagulację także kupowali, ponieważ nie mieli wystarczająco dużo żołądków cielęcych. I choć ciążyło to na sumieniu Fee, musiał przyznać, że nigdy nie zaszkodziło serowi. A nawet wręcz przeciwnie. A chodziło przecież o ser. Zawsze chodziło tylko o ser.

Dodanie podpuszczki rozpoczynało magię. Na ich własnych oczach znikало mleko, a pojawiał się ser. I mimo że przeżywali to od ponad sześćdziesięciu lat, codziennie czuli w owym momencie ten sam dreszcz biegnący po krzyżu. W miarę upływu czasu mleko zamieniało się w gęstą śmietanę, by następnie rozdzielić się na wodnistą maślaną i pływającą w niej lśniąca, twardą, piękną masę. To był twarożek. A twarożek był dla nich tyle wart co złoto. Każde źdźbło trawy, które zostało przeżute przez Marie, wydojone następnie przez każdą z wegetarianek i przywiezione przez Avis, prowadziło do tej właśnie chwili.

Twarożek. To on dawał pierwszy posmak wszystkiego, co miało nadejść. Zapowiedź sera, którym się stanie. Obietnicę doskonałości.

Tajemnica przyszłego sera tkwiła właśnie w tym ciepłym, miękkim, cudownie pachnącym twarogu. Kiedy nadszedł czas, Corrie i Fee sięgnęli po swe ostrza i, stając po przeciwnych stronach cysterny, zaczęli kroić twaróg. Ostrza przypominały ogromne, długozębne grzebienie ze staroświeckimi drewnianymi uchwytami w kształcie kija do baseballu, każdy wytarty w innym miejscu i dopasowany do dłoni swego właściciela, przyczepiony do rzędu stalowych ostrych zębów.

Szatkowali miękki twaróg zsynchronizowani niczym para łyżwiarska kreśląca wzór na gładkiej powierzchni, która wkrótce wyglądała jak szachownica. A potem mieszała, cięła i

przerzucali, aż twaróg został rozdrobniony na małe kawałeczki. Wtedy dopiero odłożyli ostrza, a Fee rozpoczął odsączanie serwatki.

Wyływający płyn wypełnił pomieszczenie słodkim zapachem trawy. Corrie i Fee spojrzeli na siebie, na ich twarzach malowała się identyczna satysfakcja. Oto moment, na który czekali za każdym razem, właśnie ta chwila była źródłem ich miłości do sera z Coolarney.

To był czas próby.

Wdychając ciepłe słodkie powietrze, Corrie pochylił się nad cysterną i zanurzył rękę w twarogu, smakując pierwszą odrobinę, zanim jeszcze ją włożył do ust. Po drugiej stronie cysterny Fee robił to samo, z głową odchylną w tył i oczami wbitymi w sufit z pełną koncentracją.

Jednak zanim jeszcze twaróg trafił do ust Corriego, on już wiedział, że coś jest nie tak. Serce zabiło mu mocniej w piersi, spojrzął na Fee, który odpowiedział spojrzeniem, nie zamykając ust i nawet nie przelękając białej grudki, smutno leżącej na języku.

Corrie wypluł pozostały twaróg na dłoń i zanurzył jeszcze raz drżącą rękę w cysternie. Podniósł do nosa kolejną porcję, rozkruszając ją delikatnie, by uwolnić cały aromat. Z przerażeniem stwierdził, że potwierdziło się najgorsze: w twarogu czaił się zapach porażki. Nie czuło się go od razu, ale krył się gdzieś w głębi niczym dawno zapomniany skandal, o którym jednak się szepcze po kątach. Mimo to Corrie przycisnął ser do warg i po raz trzeci użądliła go jego zdrada. Ser nie był gorzki ani zjełczały, ani kwaśny. Nawet nie można go było nazwać niedobrym. To było coś, czego nawet nie musiał wskazywać palcem. Po prostu nie był taki, jak należy. To wszystko. Nie taki. Najprawdopodobniej nikt poza Fee by nawet nie zauważył różnicy. Ale też nikt inny nie robił tego

sera. Ich celem była doskonałość i osiągnęli go każdego dnia. Lecz nie dzisiaj.

Fee wciąż wpatrywał się w przyjaciela z otwartymi ustami jak zamurowany.

- Czy to może być zaczyn? - zapytał Corrie, z góry znając odpowiedź. - Czy coś zanieczyściło zaczyn? A może to ta nowa dziewczyna - powiedział prawie w uniesieniu. - Czy to może być powód?

Fee powoli wypluł na dłoń grudkę sera i usiadł na odwróconym wiadrze.

- Podpuszczka? Samo mleko? Może Marie są chore? Pyszczycy! - Corrie prawie że życzył sobie, by sprawdziło się przypuszczenie o śmiertelnej chorobie. Wszystko lepsze od prawdy. Fee tylko popatrzył smutno na twaróg, a potem na przyjaciela. Jego błękitne oczy zmętniały, okrągła twarz się zapadła. Otworzył usta:

- Jest spieprzone - powiedział.

Wraz z tymi słowami temperatura w pomieszczeniu opadła o dobre dziesięć stopni. Jeżeli Fee nie zwykł się mylić, nawet gdy chodziło o rzeczy bez znaczenia, pomyślał, była mała szansa, że mylił się w tej sprawie. Trudno mówić o zaskoczeniu, ostatecznie obaj mieli po siedemdziesiąt trzy lata, choć dopisywało im zdrowie, jeśli zapomnieć o krzyżu Fee.

Corrie chwiejnie cofnął się i oparł o ociekacz, kawałki sera stuknęły o podłogę, kiedy złapał się z tyłu rękami, by się nie przewrócić. Kręgosłup Fee! Poczuł, jak wali mu serce, bo świadomość odebrała mu nadzieję. Chodziło o Fee. Podczas tych wielu, wielu lat, kiedy Corriganowie i Feehanowie razem robili ser, twarożek skwasił się tylko kilka razy, a zawsze w tydzień później musieli się obaj ubrać na czarno i odmawiać modlitwy za zmarłych.

Kwaśnienie twarogu było znakiem zmiany pokoleniowej i Corrie nie miał żadnych wątpliwości, że tym razem jest tak również. Kręgosłup Fee. Przyjaciel zawsze odmawiał wizyty u lekarza. Jego mizerny wygląd. Niech Bóg mu dopomoże. Niech Bóg dopomoże im obydwu. Corrie spoglądał na swego drobnego przyjaciela siedzącego na odwróconym cebrzyku i zastanawiał się, ile mu zostało czasu.

- Nie patrz na mnie takim cholernym wzrokiem - powiedział Fee zaskakująco energicznie jak na kogoś w złym stanie zdrowia. - Co niby chcesz mi powiedzieć?

Corrie stał jak ogłuszony - przed chwilą jeszcze był to normalny dzień, a teraz okazał się jednym z najgorszych w jego życiu.

- Zastanawiam się, czy Abbey by nie wróciła do domu. - Fee spojrział na niego przebiegle. - Zastanawiam się, czy Abbey nie chciałaby robić sera?

Fee nigdy się nie zastanawiał, pomyślał Corrie. Zbyt był zajęty tym, że już wszystko z góry wiedział.

- Mogę spróbować napisać do niej z prośbą - powiedział zupełnie spokojnie, jakby w piersi nie waliło mu młotem. - No ale wiesz, Rose... - urwał. - Czy jesteś pewien, Fee?

Spojrzenie błękitnych oczu przyjaciela musiało mu wystarczyć za odpowiedź.

- No cóż, nie wydaje mi się, byśmy mogli polegać na Abbey - odezwał się wreszcie Corrie. - Od czasu jak ostatni raz na nią patrzyliśmy, minęły dwadzieścia cztery lata, jest o miliony mil stąd i z tego, co wiem, wyssała z mlekiem matki nienawiść do nas. Być może trzeba będzie poszukać kogoś spoza rodziny.

Oczywiście rozmawiali już o tym wcześniej. O możliwości zaproszenia do współpracy nie - Corriganą i nie - Feehaną, w chwili takiego kryzysu jak właśnie ten. Nigdy wcześniej nic takiego się nie zdarzyło, więc nie można było

mieć pewności, czy to w ogóle zadziała. Ale Fee nigdy się nie ożenił, a jego jedyny brat był inżynierem na emeryturze i żył samotnie na Florydzie. A jedyna córka Corriego nie odezwała się do niego od chwili, gdy uciekła stąd, zabierając ze sobą małą córeczkę tyle już lat temu. Jej najbliższy kontakt z rodzinnym serem sprowadzał się do ignorowania go w dziale spożywczym u Harrodsa.

Abbey mogła być ich jedyną nadzieją, ale dawno temu została wciągnięta w skomplikowaną wojenną grę swej matki. A ponadto żyła na jakiejś bezludnej wyspie na Pacyfiku, przynajmniej tak twierdziła Ruby O'Toole, bowiem Pauline, córka jej najbliższej sąsiadki, utrzymywała kontakt z Rose.

- A zatem ktoś obcy. - Fee się podniósł. - A niech to szlag.

Tak więc zaczyn to pierwsze popchnięcie, potem podpuszczka daje kopa w tyłek procesowi oddzielenia.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

W chwili gdy Shirl to powiedziała, Abbey dostrzegła to również sama. To jasne jak dzień. Bing, jego malutkie siostry, Georgie i Martha, były po prostu sobowtórami Martina. Właściwie mógł być ich ojcem. Już miała się uśmiechnąć na tak niesamowity przypadek, ale zanim jej usta ułożyły się w łuk, poczuła się, jakby ktoś ją uderzył w żołądek. Podobieństwo jednego dziecka do jej męża mogło być przypadkowe, uświadomiła sobie, ale skąd aż troje małych Martinów? Zmusiła wargi, by ułożyły się jednak na kształt uśmiechu, i wydała z siebie parsknięcie, gdy do jej świadomości dotarło wreszcie, że spogląda na trójkę błękitnookich blondasów.

Mógł być ich ojcem?

Jej usta opadły, jakby pękła napinająca je gumka, i ułożyły się w wyraz zdziwienia i niewiary. Abbey podeszła bliżej do dzieci, przyglądając się im, jakby je widziała po raz pierwszy.

Mógł być ich ojcem.

Nikt się nie poruszał i nikt się nie odzywał. Abbey potrząsnęła głową. Martin i Geen? To niemożliwe. Wspaniała Geen z długimi, brązowymi nogami i burzą włosów? Płodna Geen, słynna z aktywności swych jajników i ze swą nową drugą rodziną? Spojrzała na Geen i w tym samym momencie już знаła prawdę.

Na twarzy wpatrzonyj w nią kobiety malowały się poczucie winy i strach, ale gdy napotkała przerażone spojrzenie Abbey, przez moment pojawiło się coś jeszcze. Gdy Abbey poczuła zimny strach sączący się każdym porem

jej ciała, wiedziała, że pierwszy raz od lat przejrzała na oczy. Późne macierzyństwa Geen zaczęły się wkrótce po tym, jak ona sama wróciła z Brisbane ze strasznymi nowinami, nowinami, które zraniły Martina tak bardzo, że stracił do niej serce. Nie przestawała wierzyć, że nadal ją kochał, i obwiniała tylko siebie za to, że jest zły i nieszczęśliwy. Ale teraz...

- Jak mogłam być taka głupia? - wyszeptała, gdy Geen, nagle spanikowana, pospiesznie zaganiała niczego nierozumiejące dzieci do łóżek.

Shirl zaczęła odzyskiwać opanowanie, ale obawiając się, że Abbey może wpaść w histerię, gorączkowo zastanawiała się nad najlepszym kolejnym krokiem. Wcześniej już zrozumiała, że Martin jest brutalem, a przy tym zwyczajnym dupkiem, to było raczej jasne, ale coś takiego? Jak mógł zrobić coś takiego tej słodkiej, niewinnej i idiotycznie mu oddanej żonie? Miała ochotę skrócić mu kark.

- No dobrze - oświadczyła Abbey, zrzucając z siebie lęk. - Idziemy. - Odwróciła się na pięcie i wymaszerowała. Geen rzuciła się za nią, teraz już zalana łzami.

- Tak mi przykro, Abbey. Tak mi przykro. Proszę! - Łkała, ale Abbey szła dalej z wyprostowanymi jak struna plecami i uniesioną wysoko głową.

Na zewnątrz nic się nie zmieniło, wisiało nad nimi to samo nocne niebo, lśniły te same gwiazdy, ale tych kilka minut spędzonych w domu przyjaciółki zmieniło zupełnie jej życie tu, na Ziemi. Szła spokojnie, zastanawiając się, co właściwie powinna czuć i gdzie powinna się udać. Zawsze wyobrażała sobie, że w takich sytuacjach jak ta ludzie, których to spotyka, doskonale wiedzą, co powinni zrobić, ale ona nie miała pojęcia. Nie potrafiła pojąć, że stało się to za sprawą akurat Geen. Były przecież przyjaciółkami. Czy aby na pewno? Przeszedł ją dreszcz, gdy zrozumiała, co przez moment dostrzegła na twarzy Geen. To był zaledwie cień, ale go

rozpoznała. Widywała to na innych twarzach tysiące razy, lecz nie u Geen. Lecz oczywiście nieskończenie często na opalonej przystojnej twarzy swojego niewiernego męża. Po każdej nawet najdrobniejszej obrazie, po wszystkich - a było ich nieskończenie wiele - upokorzeniach, po każdej bezsensownej kłótni, był taki moment, kiedy Martin liczył w myślach punkty i gratulował sobie kolejnej wygranej. I wtedy właśnie pojawiała się to na jego twarzy. Wyraz triumfu.

- Jak mogłam być taka głupia? - powtórzyła Abbey, na wpół do siebie, na wpół do Shirl, która wciąż zbyt wzburzona, by wykrztusić choć słowo, szła, potykając się koło przyjaciółki, czekając, kiedy nastąpią łzy i gniew. Emocje, które musiały nadejść.

- Nie mogę mieć dzieci - powiedziała spokojnie Abbey - więc nie chciał już ze mną sypiać, a potem Geen urodziła troje blond dzieci z rzędu, a ja, idiotka, zastanawiałam się nad tym fenomenem. To wszystko było takie oczy...

Stała jak wryta w pół słowa, kiedy mijały dom spotkań, i z otwartymi wciąż ustami odwróciła się do Shirl. Jej wielkie brązowe oczy wypełniły się łzami i zaczęła się trząść.

- O, mój Boże, Shirl! - Jej twarz pomarszczyła się jak zwinięta papierowa torebka, a dłonie w geście przerażenia powędrowały do ust. - Nan!

Abbey osunęła się po ścianie budynku aż na ziemię, nie mając już na nic siły. Więc dlatego Nan płakała nad swoją córką Fafi? Może nie pytała Abbey, czy zamierza zabrać Wodnego Człowieka, ale prosiła ją, by go zabrała. Może Martin wiał sobie kolejne gniazdko także z siedemnastoletnią Fafi.

- Myślę, że to nie jedyne, Shirl - powiedziała i w tym momencie opuścił ją cały spokój, a nadeszła histeria. - Myślę, że jest ich więcej. Albo on chce, by było ich więcej. O, mój Boże, o mój Boże.

W tej chwili nie mogła znieść już nic więcej. Shirl klęczała obok, próbując ją ukoić, ale rzeczywistość dokonała w Abbey takich spustoszeń, że dygotała, z trudem usiłując złapać powietrze. A Imi? Jej najlepsza przyjaciółka? Czy do niej też chadzał Martin? A jeśli nawet nie, musiała przecież wiedzieć. Jej najlepsza przyjaciółka przez cały czas musiała wiedzieć, co się dzieje. Abbey przyciągnęła jak najbliżej kolana i wybuchnęła łzami, wtulając twarz w podarowane przez Imi spodnie. Przez cały ten czas myślała, że mieszkańcy wyspy są jej przyjaciółmi i że to ona chroni Martina od ich złych języków, kiedy prawda była taka, że z niej się naśmiewali. Biedna marzycielska Abbey w jej nieforemnych ubraniach, z poparzonymi dłońmi i poirytowanym mężem.

Jak w ogóle mogła być aż tak głupia?

Dała upust rozpaczy wywołanej świadomością tak wstrętnej zdrady. Jej śmieszne życie było od początku do końca kłamstwem, a co gorsza, nie miała innego życia, nie miała dokąd pójść. Pojęła, że jest kompletnie sama - było to uczucie, któremu nigdy dotąd się nie poddała. Skulona przy domu spotkań, widząc, że z całego jej życia pozostały zgliszcza, chciała tylko umrzeć. To byłoby prostsze, a i tak przecież nikogo by to nie obeszło.

Shirl przytulała ją z całej siły, ale Abbey nie przestawała łkać. Widziała siebie płynącą z nurtem rzeki, nieżywą i bladą niczym duch, z jej nadgarstków wypływały strumyczki krwi, pozostawiając za nią różowe wstążeczki, lawirujące pomiędzy serami unoszonymi przez prąd.

Na moment jej szloch ucichł. Sery?

Odrzuciła pomysł z rzeką i zamiast tego wyobraziła sobie swe martwe ciało zwisające niczym szmaciana kukiełka z olbrzymiego dębu o liściach szeleszczących w gwałtownych porywach wiatru, który zrzucał na ziemię przejrzałe sery.

Sery? Abbey czknęła. To nie czas, by śnić na jawie. To był koniec jej życia.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała Shirl tonem tak łagodnym, że Abbey nie mogła nie zastanowić się, do kogo i kiedy jej przyjaciółka tak przemawiała. - Wszystko będzie dobrze.

Oddech Abbey uspokajał się pod wpływem kojącego uścisku Shirl.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptała raz jeszcze jej przyjaciółka i tym razem Abbey odwróciła do niej zalaną łzami twarz.

- Jak? - W jej głosie brzmiała czarna rozpacz. - Jak wszystko może jeszcze kiedyś być dobrze?

Zanim Shirl zdążyła odpowiedzieć, Abbey usłyszała chrzęst kroków, a potem głos Juniora:

- Czy nic się nie stało? - zapytał. - Czy Abbey nie stało się nic złego?

Abbey spojrzała ponad ramieniem Shirl na zmartwioną twarz chłopca i poczuła taki ból, jakby tysiące strzał trafiło w jej serce. Jak kiedykolwiek jeszcze może być dobrze?

- Zrobisz coś dla nas, kochanie? - zapytała małego Shirl, nagle znowu wiedząc, co powinna teraz uczynić. - Pobiegnij do domu Abbey i powiedz ode mnie temu staremu brodaczowi, który tam siedzi, że mamy czerwony alarm i Shirl czeka na niego przy samolocie.

Junior w tej samej chwili odwrócił się, by iść, ale Shirl złapała go za rękę i przytrzymała.

- Poczekaj no minutkę, kochanie. Jak się nazywasz?

- Junior.

- Jak szybko potrafisz biegać, Juniorze?

- Szybciej niż pocisk wylatujący z lufy - odparł dumnie. - Szybciej niż ktokolwiek z naszej szkoły, no... poza Lulą Fasado, ale ona biega wolniej, kiedy ma okres.

Shirl ukryła zaskoczenie uzyskaną właśnie informacją i odwróciła się do Abbey.

- Gdzie jest twój paszport, kochanie? - zapytała.

- Mój paszport? - powtórzyła głupawo tamta.

- No, dalej, Abbey - przynagliła ją Shirl. - Gdzie trzymasz paszport?

- W starej torebce w skrzyni - odpowiedziała - ale dlaczego...?

Shirl przysunęła się bliżej do Juniora, a jej głos zabrzmiał głośniejsz od napięcia.

- Powiedz temu staremu brodaczowi o czerwonym alarmie. A potem weź ze skrzyni starą torebkę Abbey i biegnij tu jak pistolet, jak syn pistoletu, na litość, jak to było?

- Jak pocisk wylatujący z lufy - podpowiedziała bezmyślnie Abbey.

- A potem biegnij niczym pocisk wylatujący z lufy do samolotu, który stoi na pasie startowym. Junior, czy ty mnie słuchasz? Musisz tu dotrzeć szybciej niż brodacz i szybciej niż Martin. I musisz mi oddać torebkę, zanim ktokolwiek inny się zjawi. Czy możesz to zrobić? To dla Abbey.

Junior spojrział na Abbey, po czym skinął tylko milcząco głową, odwrócił się na pięcie i pobiegł. Shirl podniosła ją na nogi.

- Rób po prostu to, co ci mówię. Potem o tym wszystkim porozmawiamy.

Objęła przyjaciółkę za ramiona i postawiła na głównej drodze prowadzącej przez wioskę. Abbey nie potrafiła zrozumieć, co się z nią w ogóle dzieje. Nadal prześladowała ją myśl o serze i nie docierało do niej, po co miałyby potrzebować paszportu. To wszystko było za trudne, więc poddała się Shirl, dając się prowadzić, nie odrywała nawet oczu od ziemi. Poprzez otaczającą ją mgłę słyszała jakieś

coraz bliższe głosy, może to były Pepa i Oba, może nawet Imi, ale Shirl trzymała ją mocno i gdzieś prowadziła.

Hałas był jednak coraz głośniejszy. A potem Shirl wrzasnęła:

- Na Boga!

I zanim Abbey zdołała cokolwiek zrozumieć, została już wsadzona na miejsce pasażera w mazdzie Tomiego i jechała w kierunku pasa startowego. Nie było to zbyt daleko, ale z całą pewnością samochód pokonał odległość szybciej niż mieszkańcy wioski. Informacja, że mały sekret Martina się wydał, rozprzestrzeniła się błyskawicznie.

Kiedy dojechali do samolotu, Shirl krzyknęła do Tomiego, by się zatrzymał, i szybko wysiadła. Otworzyła drzwi dla pilota z przodu i najpierw wciągnęła Abbey do środka, a potem włączyła wewnętrzne światło w kokpicie i różne przyciski na desce rozdzielczej.

- No, szybko, pistoletowy chłopcze - wyszeptała, sadzając Abbey na fotelu rozłożonym w miejscu, gdzie zwykle przewozili ładunki, po czym wyjęła wełniany koc i dokładnie otuliła przyjaciółkę.

- To oczywiście nie moja decyzja, kochanie - powiedziała swym normalnym szorstkim tonem, zerkając nerwowo na drzwi - ale myślę, że powinnaś pojechać ze mną do domu.

Abbey kołysała się w przód i w tył z oczami wbitymi w jakiś niewidzialny punkt.

- Zawsze możesz tu wrócić, jeśli będziesz chciała, kochanie - mówiła dalej Shirl, nie przestając wpatrywać się w ciemność, w której miał pojawić się Junior. - Ale uważam, że powinnaś wyjechać na trochę, by zrozumieć, co jest czym. - Spojrzała na przyjaciółkę i poczuła, że serce jej pęka. - Przynajmniej ja bym tak zrobiła.

W tym momencie rozległ się grzmocący odgłos uderzeń butów Blundstone obwieszczający nadejście oczekiwanego Jima.

- Staruszkę, gdzie dzieciak? - zapytała Shirl. Czerwony na twarzy i z lekka zdyszany Jim nie wyglądał ani na zdziwionego, ani na rozzłoszczonego. Biegł ku Shirl, a grupa wyspiarzy za nim.

- Jaki dzieciak?

- Ona jest moją żoną! - Abbey usłyszała całkiem blisko wrzask Martina. - Ona jest moją żoną! Wypuście ją. Chcę ją z powrotem!

Kiedy Shirl wciągała Jima do środka, jednocześnie zamykając drzwi, czerwona skórzana rakietka przecięła powietrze i wylądowała prosto na karku mężczyzny.

- Jesteś cudny, mój ty wylatujący z lufy naboju! - wykrzyknęła Shirl prosto w drzwi i w tym samym momencie zatrzęsła je z siłą herosa.

- O co tu, do diabła, chodzi? - zapytał Jim, dysząc ciężko i pocierając dłonią bolący kark, gdzie formował się już potężny krwiak.

Omiótł spojrzeniem Abbey, w stanie prawie katatonicznym kolebiącą się w przód i w tył, najwyraźniej całkowicie obojętną na fakt, że jej mąż wali pięściami w samolot, żądając w gniewie, by Jim otworzył drzwi i ją wypuścił.

- Twój przyjaciel, który stoi tam na zewnątrz, zapoczątkował nową linię małych Martinów całkowicie za plecami swojej żony, o to do diabła właśnie chodzi - oświadczyła Shirl, popychając męża w stronę kokpitu. - A teraz podnieś to żelastwo w powietrze.

- Spokojnie, kochanie. Skąd wiesz? Kto ci powiedział?

- Widziałam je na własne oczy - odparła Shirl. - A teraz lecimy albo ci przyłożę, ty wielka małpo. No, dalej!

Jim wślizgnął się na siedzenie pilota dokładnie w chwili, gdy Martin pojawił się przed dziobem samolotu, z twarzą wykrzywioną wściekłością, miotając przekleństwa.

Jim spojrzał niepewnie na żonę.

- Kochanie, na litość, to nie wydaje się w porządku. Jesteś pewna, że Abbey tego chce?

Shirl popatrzyła na trzęsącą się pod przykryciem przyjaciółkę i znów poczuła, jak ogarnia ją litość.

- Czy chcesz wrócić do Martina, Abbey - zawołała - czy wolisz zostawić tu tego bezużytecznego skurczybyka?

Abbey kołysała się w przód i w tył, w przód i w tył, zęby jej dzwoniły, mimo że była owinięta ciepłym kocem.

- Co ona mówi? - zapytał Jim, przekręcając włączniki śmigła nad głową. - Coś odpowiada.

- Niech ta maszyna się wreszcie podniesie, dobrze - zakomenderowała Shirl, przedzierając się do tyłu, gdzie nachyliła się nad Abbey, by usłyszeć jej mamrotanie.

- Ona mówi, że Martin to nie jest jego prawdziwe imię - wykrzyknęła do Jima, prostując się. - Tak naprawdę ma na imię Bruce.

Jim, który do tej chwili wyglądał na porządnie zafrasowanego, w jednym momencie rozjaśnił się i wybuchnął gromkim śmiechem, a w tej samej chwili, jakby wtórując mu, zawyły silniki.

- Co w tym takiego zabawnego? - chciała dowiedzieć się Shirl.

- Jezu, naprawdę musieli się z niego dobrze nabijać, gdy pojawił się tu pierwszy raz. - Nie przestawał rechotać, sprawdzając trasę lotu i nakładając słuchawki. - Tutaj „brus” - wrzeszczał, by przekrzyczeć hałas silnika - jest czymś, co może ci się zdarzyć, gdy zjesz garnek grochu, jeśli rozumiesz, o co mi idzie.

- Co ma do tego groch?! - wykrzyknęła Shirl.

- Pierdnięcie! - odwrzasnął Jim. - Ten biedny skurczybyk został nazwany na cześć pierdnięcia.

Shirl się zdziwiła.

- I dlatego chcesz go ukarać?

- Nie, ale chętnie bym go ukarał za to, że jest śmiertelnym nudziarzem, który na dodatek oszukuje żonę.

I w tym momencie samolot ruszył.

Martin, który chciał odzyskać żonę, ale nie zamierzał skończyć rozplątany na dziobie, cofnął się dosłownie w ostatnim momencie, ciskając w geście wściekłości kapelusz na ziemię i depcząc go w bezsilnej furii. Zgromadzeni za nim mieszkańcy wysp wybuchnęli zgodnym płaczem, ale Abbey była tego całkiem nieświadoma. Kiedy samolot wznosił się wyżej i wyżej, otuliła się mocniej ciepłym kocem i mimo że czuła się kompletnie pusta w środku i samotna, ogarnęła ją ulga.

Nie chciała już nigdy widzieć ani Ate'ate, ani swego niewiernego, znieawidzonego męża.

Pomiędzy dodaniem podpuszczki a cięciem twarożku jest zawsze trochę wolnego czasu.

Różni wytwórcy sera różnie ten czas wykorzystują.

Ja najchętniej zjadam wtedy drugie śniadanie.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

W saloniku swego różowego B&B (Bed and Breakfast - najpopularniejszy typ pensjonatu w Anglii, gdzie ma się zapewnione łóżko i śniadanie (przyp. tłum.)), w wiosce Schillies położonej w zachodnim Cork, Maureen McCarthy robiła wszystko, by Kit znowu sięgnął po alkohol. Do wioski trafił po koszarnej podróży z Nowego Jorku, mając nadzieję, że dzięki łaskawości garści tabletek nasennych będzie mógł paść na łóżko i zapomnieć o otaczającej go rzeczywistości. Najwyraźniej jednak nie zgadzało się to z planami Maureen McCarthy.

- Jest pan z Nowego Jorku, tak? - zapytała, zawłaszczając bagaże Kita, a jego samego wpychając na fotel w zagraconym salonie w tej samej chwili, w której się pojawił. - Z wyglądu wspaniałe miejsce, nie ma wątpliwości, no oczywiście poza tymi dwiema wieżami, co za tragedia, tyle ludzi, niech ich dusze odpoczywają w pokoju. A czy to nie wuj Pauline O'Brien, tej, która mieszka przy naszej ulicy, przeprowadził się tam właśnie kilka lat temu? - Zniknęła, by przygotować filiżankę herbaty, ale jakoś dziwnie jej głos pozostał w pomieszczeniu wraz z Kitem. - Trafiła go taka żółta taksówka, zginął biedak na miejscu - kontynuowała z entuzjazmem. - A na dodatek jego biedne ciało zostało stratowane przez konia i wóz pełen turystów. Dodaje pan mleka?

- Tak, dziękuję - potwierdził Kit, choć całkiem niepotrzebnie, bo stała już koło niego z filiżanką pełną bawarki.

- Na takiej ulicy, gdzie są same teatry. Zna ją pan?

- Broadway? - podrzucił Kit.

- No właśnie. Znakomicie pan trafił - rozjaśniła się Maureen. - Pauline nawet wybrała się tam sama jakiś rok temu czy coś koło tego, ale trudno było określić dokładnie miejsce, gdzie się to wydarzyło, więc zatrzymała się przy którejś budce z biletami i poszła po południu na „Kabaret”. Ale przynajmniej była w tej okolicy, niech Bóg ją błogosławi.

Drobna, żyłasta kobietka, w loczkach ułożonych na głowie z militarną precyzją, przysiadła niczym ptaszek na niewielkim stołeczku koło kominka i przyglądała się swemu gościowi paciorkami oczu, którym nie umykał żaden szczegół.

- Ale nie on jeden spośród naszych sąsiadów skończył swe dni pod kołami szybko nadjeżdżającego pojazdu - dodała, jakby Kit właśnie ogłosił, że przygotowuje rozprawę na ten temat i chętnie skorzystałby z jakichkolwiek dodatkowych danych.

- Patsy Mulligan wybierała się na mszę w Cork i potracił ją autobus - kontynuowała Maureen, potrząsając głową. - Co prawda była po kieliszku lub dwóch sherry, no i pomyliła ruchliwy piątkowy poranek z niedzielą, ale tak czy siak autobus ją potracił. To była prawdziwa tragedia dla jej rodziny. Miała biedaczka dziewięćdziesiąt dziewięć lat i wszyscy już się cieszyli na obchody setki.

Zamilkła i przez chwilę wyglądała naprawdę markotnie, ale zaraz odezwała się znowu ożywiona:

- Tak się złożyło, że dostała mi się po niej kłapa na toaletę. Purpurowa. I wygląda jak z materiału.

Kit nie umiał wymyślić na to żadnej odpowiedzi.

- A wie pan, że mieliśmy tu także morderstwo - powróciła do swego wątku Maureen. - W zeszłym roku, na wybrzeżu. Dziwię się, że nie słyszeliście o tym w Nowym Jorku. Niemcy z worami pieniędzy. Worami! Wybudowali ogromny dom z

czterema łazienkami, mąż nosił takie grube skarpety i sandały, ale ta jego żona była młoda i śliczna jak obrazek. Śliczna jak obrazek! Przyjechała kiedyś sama na weekend, a gdy potem przyjechał mąż, okazało się, że ktoś ją zaatakował, dostała dwadzieścia cztery pchnięcia nożem w pierś. Dwadzieścia cztery, niech Bóg jej błogosławi. A może to było dwadzieścia pięć?

Kit poczuł, że robi mu się niedobrze. Herbata całkiem wystygła, a na wierzchu pływało coś tłustego. Tak naprawdę w ogóle nie lubił herbaty. Lubił wódkę. A w tej chwili duża wódka pozwoliłaby mu poczuć się znacznie lepiej.

- Co pana tu sprowadza? - zapytała pogodnie Maureen.

- Wędrówki? Żeglarstwo? Festiwal ikebany, który odbędzie się w najbliższy weekend w naszym ratuszu?

- Co prawda przepadam za surową rybą - zażartował Kit - ale zamierzam zatrzymać się na farmie. Nazywa się Coolarney. Robią tam ser. Dwóch starszych gości i kobieta, Avis jakaś tam, dokładnie nie pamiętam. Mam szczegóły w torbie. Czy przypadkiem nie wie pani, gdzie to jest?

Oczy Maureen pociemniały.

- Chyba wszyscy wiemy, gdzie to jest - odparła. - Znajdzie pan tam powiew starych dobrych czasów. Naprawdę starych dobrych czasów. Stara się pan o pracę przy serach? Nigdy bym tego nie powiedziała. Zupełnie nie. Z pańskim eleganckim bagażem i owocową wodą kolońską. No cóż, jedno jest pewne: to, że elegancik jak pan zacznie wytwarzać sery, to jeszcze nie najdziwniejsza z rzeczy, które się tam wyprawiają.

- Myśli pani, że moja woda kolońska jest owocowa? - zapytał Kit, udając sam przed sobą, że go to nie ubodło, i zastanawiając się, co sprawiło, że nastrój Maureen tak bardzo się zmienił.

- No cóż, niektórym może się podobać - odparła wyniośle. Cisza, jaka zapadła po tym stwierdzeniu, była dobitną informacją, że ona do tych ludzi nie należy. - Chłopak, który mieszkał po drugiej stronie ulicy, używał bardzo podobnego zapachu. - Nie wytrzymała po chwili Maureen.

- Proszę mi tylko nie mówić - przerwał Kit, przyoblekając swój najbardziej uroczy uśmiech - że zakończył życie pod kołami jakiegoś szybkiego pojazdu.

Maureen spojrzała na niego zdziwiona.

- Rzeczywiście nie zakończył, ale z pewnością nieco je zatrzymał - powiedziała. - A poza tym, to nie była moja wina, a pojazd wcale nie jechał tak szybko. No ale kto się kładzie spać na ziemi tuż za hondą civic? Nikt go tam nie mógł zobaczyć. Co do tego wszyscy byli zgodni.

Kit zapisał sobie w pamięci, żeby nigdy, ale to w żadnej sytuacji nie położyć się spać za hondą civic, należącą do Maureen McCarthy. Ale insynuacje na temat Coolarney House go zaintrygowały.

- No ale proszę mi wyjawić, co się wyprawia na tej serowej farmie? - zapytał. - Z tego, co pani zasugerowała, coś dziwnego.

- Nic takiego nie mogę powiedzieć - oświadczyła Maureen, zaciskając usta. - Nie interesuję się zbytnio plotkami, ale przekręty, o których słyszałam, przez lata zadziwiłyby pana.

- Przekręty? - powtórzył Kit, starając się nie uśmiechnąć.

- Wystarczy, że powiem, iż więcej osób tam trafia, niż stamtąd wychodzi, oczywiście jeśli nie rozmawiamy o niemowlętach, bo w tym wypadku jest dokładnie odwrotnie.

- Niemowlęta? - chciał wiedzieć Kit. - Jakie przekręty z niemowlętami?

- Z całą pewnością wkrótce się pan przekona - zachnęła się Maureen. - Przecież pan tam się wybiera. Dwóch starych

pryków w domu pełnym kobiet w ciąży, to nie jest w porządku. A własna córeczka Jego Wysokości Corriganowa pierwsza stamtąd dała nogę. Jeśli nie liczyć jego żony, oczywiście, niech Bóg świeci nad jej duszą, gdziekolwiek jest, a wiadomo na sto procent, że było tylko tych dwóch.

Kit nie bardzo zrozumiał.

- Więc co się stało z jego żoną? Umarła? - zapytał. Mógłby się założyć i to na pieniądze, że miało to związek z jakimś pojazdem.

- Proszę spróbować samemu o to zapytać - zaskoczyła go Maureen, zatrzymując szczegóły dla siebie. - A skoro już pan tam będzie, może uda się też panu dowiedzieć, gdzie ci dwaj nudziarze zakopali swoje skarby.

Kit udawał, że sączy zimną oleistą herbatę, zastanawiając się, jacy są ci dwaj nudziarze. Podejrzewał, że może nie są wspaniali, ale słuchało się o nich całkiem miło. Choć musiał przyznać, że jego gospodyni nie wystawiała Coolarney House entuzjastycznej laurki.

- A co pani powie o Avis O'Regan? - zapytał. - Czy ona, no wie pani...

- Co? - Maureen nie zamierzała spieszyć z pomocą. - Czy ona co?

- No, czy jest w porządku? - nie poddawał się Kit, marząc o tym, by nie żyć, spać albo przynajmniej być zupełnie gdzie indziej.

- O tyle, o ile może być mężatka mieszkająca z dwoma samotnymi mężczyznami, a męża nikt nie uwidzi. Pana O'Regana nikt nie widział od ponad trzydziestu lat. Może gdyby pan pokopał, szukając skarbu, natknąłby się pan i na niego.

Kit roześmiał się mimo woli.

- Z pani opowieści wyłania się obraz wspaniałego miejsca - powiedział. - Nie mogę się doczekać, kiedy się tam znajdę.

Ale niech mi wolno będzie powiedzieć już teraz, że nie interesuje mnie ani szukanie skarbów, ani robienie dzieci, ani nic, co się tam wyprawia.

Maureen uniosła brwi.

- A więc wybiera się pan na rozmowę kwalifikacyjną? - I sama odpowiedziała na zadane przez siebie pytanie. - Stare pierdoły. Typowe, po prostu typowe, zatrudnią jakiegoś przyjezdnego niechlują zamiast wziąć do pomocy kogoś miejscowego. Sery, też mi coś!

Zacisnęła jeszcze bardziej wargi i Kit nagle poczuł się bardzo zmęczony i bardzo spragniony. Intensywne przesłuchanie Maureen wysssało z niego resztę życia, nagle zapragnął się znaleźć gdzieś, gdzie byłoby bardzo ciemno i bardzo cicho.

- Jeśli pani pozwoli, chciałbym teraz pójść do pokoju - poprosił, podnosząc się z krzesła. - To był długi dzień i jestem całkiem wykończony.

- Lepiej być w doskonałej kondycji i dobrze się zaprezentować na jutrzejszej rozmowie - odparła zjadliwie. - Co pana obchodzi, że siedzę tu sama i nawet nie mam do kogo ust otworzyć.

Kit potarł skronie i westchnął. Wypatrzył w szafce za szkłem butelkę irish cream Bailey'a i to go dodatkowo zdenerwowało.

- Nie wybieram się na żadną rozmowę - powiedział, usiłując wymyślić jakiś miły powód wizyty w Coolarney. - W ogóle nic nie wiem o żadnym ogłoszeniu. Po prostu jakiś czas będę tam mieszkał. Wie pani, pracuję nad pewnym projektem inwestycyjnym, który...

Zobaczył, jak Maureen pochyła się ku niemu, by nie uronić ani słowa.

- Avis ma walory finansowe, które...

Maureen siedziała już na samym skraju krzesła.

- Wie pani co - powiedział nagle Kit, wstając. - Parę miesięcy temu straciłem żonę. Od tego czasu sporo piłem, więc wyrzucili mnie z pracy. Przyjaciółka zaproponowała mi, żebym przyjechał tu i pomieszkał z Avis, a w tym czasie oczyścił organizm. Więc gdyby mi pani teraz pozwoliła pójść i po prostu położyć się na chwilę, żebym mógł odpocząć, a może nawet się przespać, byłbym naprawdę zobowiązany.

Nowo pozyskana wiedza sprawiła, że oczy Maureen załśniły.

- Tak mi przykro, Christopher, przeszedł pan ciężkie chwile. - Bardzo się starała, by w jej głosie nie zabrzmiała radość. - Proszę na górę, wskażę panu pokój.

W przedpokoju Kit złapał za swój bagaż i ruszył za nią po wąskich schodach do pokoju, do którego wchodziło się przez tak niskie drzwi, że musiał się schylić. W pokoju mieściły się wąskie łóżko, nocna szafka i oprawiony obrazek Serca Chrystusowego, a jeszcze niższe drzwi prowadziły do malusieńkiej łazienki, w której straszyla purpurowa kłapa na sedesie.

- Czy chce pan, Christopher, żebym pana rano obudziła? - zapytała miło. - I tak wstanę naszykować panu śniadanie i będę gotowa, by wyprać pańską pościel.

Jak, zastanowił się Kit, ktoś się przygotowuje, by wyprać pościel?

- Dziękuję, Maureen. Jeśli nie będę na dole przed ósmą trzydzieści, proszę zapukać w drzwi.

Odprowadził ją na sam dół, po czym wrócił do pokoju, uderzając się w głowę, zarówno wychodząc, jak wchodząc, po czym rozebrał się do bokserów i podkoszulka i rzucił na łóżko. Każdy skrawek jego ciała wołał o sen. Niestety, najwyraźniej materace zostały wypchane igłami jeżozwierza i każdy skrawek jego ciała został zaatakowany przez osobną igłę. Kit wiedział już, że na sen musi poczekać.

Pozwolił, by jego myśli wróciły do wydarzeń kilku ostatnich dni. Wydawały się jedną przerażającą, rozmazaną plamą i samo wspomnienie o nich bolało. Kiedy wracał myślami do ponizającej sceny, jaka odbyła się w biurze, jego żołądek znowu skręcał się i przywierał do kręgosłupa. Za każdym razem gdy powracał do chwili, kiedy George go wywalał, miał wrażenie fizycznego bólu. Jak jego kariera mogła się zakończyć w taki sposób? Nadal miał wrażenie, że George pomylił go z kimś innym, ale nie był już o tym tak mocno przekonany jak trzy dni wcześniej.

Gdy przeżywał raz jeszcze wstyd, który odczuwał, stojąc z Niamh przy windzie, poczuł, jak po policzku w stronę ucha spływa mu gorąca łza. Niamh. Gdyby nie ona, pomyślał, siedziałby teraz w jakimś lichu oświetlonym barze, płacząc w miskę precelków i śpiewając stare piosenki Neila Diamonda. Do diabła z nią! Leżąc na kłującym łóżku w obcym kraju w śmiesznym różowym domu, zdał sobie sprawę, jak odszedł od swego wcześniejszego życia. A przecież radził sobie całkiem nieźle bez Jacey przez trzydzieści jeden lat, więc dlaczego świat mu się zawalił, gdy zniknęła? Jak mógł nie zauważyć, że picie stało się jego pracą, a handlowanie hobby?

Kolejna łza spłynęła mu po policzku, kiedy stwierdził, że jego cel życia rozplynał się w kolejnych butelkach wódki. Teraz już nic nie ma znaczenia, pomyślał zrozpaczony. Nie miał ani domu, ani żony, ani pracy, a bez tego wszystkiego, szczególnie bez pracy, nie wiedział, kim jest. Do diabła, nawet mając ją, nie był do końca pewien. Kit podniósł wzrok na Przenajświętsze Serce.

Teraz wreszcie rozumiał, że jego problemem stała się wódka. Rozumiał to w chwili, gdy w minutę po wyjściu Niamh przewrócił do góry nogami apartament, poszukując ukrytych butelek. Jeszcze silniej sobie to uświadomił, kiedy po półgodzinie zadzwoniła do niego z pytaniem, czy to zrobił.

Widział już to bardzo dobrze, kiedy wróciła i spała na sofie, podczas gdy on miotał się jak zwierzę w klatce, nie wiedząc, czy chciałby zabić ją, zabić siebie czy zabić nałóg.

Za każdym razem kiedy przed oczyma Kita pojawiał się widok Jacey leżącej na podłodze, a obietnica ich dziecka wyciekała z niej, jego ręka sama sięgała po coś... drink był najprostszym lekarstwem. A pragnienie stawało się jeszcze gorsze, gdy tylko pomyślał o matce, ojcu czy Flynnie.

Niamh została z nim w mieszkaniu, zarezerwowała mu lot, wynajęła ten pokój w Schillies, załatwiła wszystkie niezbędne telefony, nawet spakowała mu bagaż.

Pojechała z nim taksówką na lotnisko i czekała do ostatniej chwili, gdy już musiał przejść do sali odlotów, zaklinając go, by się nie ugiął, kiedy znajdzie się w strefie wolnocłowej.

- Dasz sobie radę, Kit - wyszeptała mu w ucho, ściskając go na do widzenia. - Wszystko się ułoży.

To prawda, odmówił wypicia jakiegokolwiek drinka podczas ośmiogodzinnego lotu - w klasie ekonomicznej, gdzie alkohol był prawie przymusowy. Udało mu się przejść na lotnisku w Cork koło baru, który trzeba było minąć w drodze do autobusu, zignorował też półkę z alkoholem w miejscowym sklepie. Ale teraz, leżąc na kolczastym łożu, z poduszką mokrą od łez, Kit czuł, jak rośnie w nim pustka, którą rozpaczliwie potrzebował wypełnić, i zwątpił, czy rzeczywiście da sobie radę i wszystko się ułoży.

Mając jako jedyne towarzystwo krwawiące serce Jezusa, modlił się ze wszystkich sił, żeby Avis O'Regan potrafiła mu pomóc. A potem zapadł w głęboki, głęboki sen.

Pokażcie mi kogoś, kto nie je sera, a zobaczy na swoim tyłku mój but.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Fee spojrział przez okno swej kryjówki na górze na grupę łachmaniarzy mających nadzieję na pracę, ustawionych w kolejce przed domem i czekających na przesłuchanie. Było ich sześciu, a instynkt podpowiadał mu, że nie znajdzie się pomiędzy nimi żaden prawdziwy serowar.

Normalnie powiedziałały to od razu, ale ponieważ Corrie tak bardzo upadł na duchu od dnia, kiedy ser się skwasił, Fee nie miał serca mu tego robić na tak wczesnym etapie. Tym bardziej że instynkt mu podpowiadał również, że nie wszystko stracone.

- Brian Clancy nie doszedł do siebie jeszcze po wczorajszej nocy - powiedział, wyłaniając się zza zasłonki i pociągając łyk herbaty. - Męczy go czkawka, a wczorajsze gacie wystają mu z nogawek spodni.

Na tę informację brwi Corriego podjechały w górę. Umoczył kawałek domowego rodzynkowego chleba Avis w filiżance.

- Czy widzisz pośród nich jakiegoś serowara? - zapytał.

- Trudno powiedzieć - odparł Fee - z takiej odległości i przez ten bluszcz.

Corrie westchnął. Tak właśnie myślał.

- Więc kogo my tu mamy? - zapytał. - Poza Brianem?

Brian nie nadawał się na serowara. Był całkiem miłym facetem i prawdę mówiąc, sporo wiedział na temat sera, ponieważ przez całe lata pracował w przemyśle związanym ze szpitalnictwem w Dublinie. Jego podstawową wadą był fakt, że nie trzymał się pewnie na nogach, zbyt przywiązany do picia. Odpowiedzialność była podstawową cechą kogoś, kto

robi ser, a na Brianie nie dało się polegać i prawie każdy w Schillies mógł przytoczyć na dowód tego jakąś anegdotkę.

- Na początek mamy Dermota McGratha - poinformował nieco zde gustowany Fee, zerkając przez okno.

Dermot był bryłowatym dwudziestolatkiem, idącym przez życie dzięki agresji i oddanej matce, która nie przestawała go przekarmiać. Miał na sobie kamizelkę bez rękawów, by pokazywać wszystkim muskuły, choć jego ramiona przypominały raczej dwie nieugotowane szynki. Miał czarne oczka, czarne ulizane włosy przerzedzone u góry, co próbował nieudolnie ukryć, nosząc o dwa rozmiary za małą baseballową czapkę sterczącą na czubku głowy. Dermot pracował już w tak wielu miejscach, że nie sposób ich policzyć. Pracę zawsze tracił, gdy na jaw wychodził jego przykry charakter, który ukrywał tak długo, jak długo ktoś nie poprosił go o zrobienie czegoś.

- Dokuczaj paskudnik biednemu Jamiemu - zauważył Fee.

- Co? Naszemu Jamiemu? Jamiemu Jayce'owi? - nie dowierzał Corrie. - A przede wszystkim co on tutaj robi?

- Warto mieć człowieka, który zna wszystko od środka - powiedział przemądrzale Fee.

- No tak, ale biedny Jamie? - Corrie był wyraźnie bardzo zmartwiony. - To potężne cielsko zrobi z niego miazgę.

- Nic mu nie będzie - zniecierpliwiał się Fee. - Co się z tobą dzieje? Siedzisz tu z taką miną, jakby ci ktoś wypomniał wszystkie grzechy główne. To jeszcze nie koniec świata.

Ale dla Corriego to był właśnie koniec świata. Życie bez przyjaciela jawiło mu się ciemne, ponure i beznadziejne.

- Tak czy siak - Fee zmienił temat - nie musisz się martwić o Jamiego. Potrafi zadbać o siebie. Wszystko z nim będzie w porządku. - Znowu wyjrzał przez okno, akurat by zobaczyć, jak Dermot przyciska Jamiego do ściany fabryczki, trzymając go za szczękę.

- Powiedz: Ulisses - zażądał Dermot.

- Przepraszam bardzo - wpadł mu w słowo Brian Clancy głośnym czknięciem, po czym osunął się do siedzącej pozycji na ziemię, oparty o beczkę z kwiatami.

- Powiedz: „stół z powyłamywanymi nogami” - nie ustępował Dermot.

- Odpieprz się, no ty. - Laska Michaela Cullena trafiła go w ramię. - Zostaw tego biednego chłopaka w spokoju.

- A niech to! - wykrzyknął podekscytowany Fee. - Przecież to stary Mickey Cullen! Na Boga, myślałem, że nie żyje. Musi mieć teraz dobrze ponad setkę. A co on tutaj robi?

- On i ta jego laska mogą oznaczać tylko kłopoty - oświadczył Corrie.

Mickey przeszedł w młodym wieku chorobę Heine - Medina i pozostała mu po niej krótsza noga. Przez lata używania laski stał się w tym mistrzem. Mówiono, że zdarzyło mu się kiedyś za jej pomocą wyciągnąć człowiekowi przez pępek śledzionę i chociaż nikt nie był tego świadkiem, wielu z mężczyzn spotykających się w barze Blorrie Flatt powtarzało tę historię.

Dermot masował swe tłuste ramię, patrząc spode łba na laskę Mickeya. Chociaż nie był zbyt lotny, wystarczyło mu rozumu, by z nią nie zadzierać.

- Co cię tu sprowadza? - zapytał Fergal Whelan, kopiąc niedbale kamienie po podwórku. - Chcesz popracować?

Fee w tej samej chwili zauważył Fergala i aż zgrzytnął zębami.

Corrie podniósł wzrok znad gazety.

- No i kto teraz wygląda, jakby niósł brzemię wszystkich grzechów świata? - zapytał. - Co się dzieje?

- Pojawił się Fergal Whelan - ponuro poinformował go Fee, przyglądając się rozmawiającemu pogodnie z Mickeyem Fergalowi. - Oto, co się dzieje.

Corrie przyjrzał się uważnie przyjacielowi. Nigdy nie zrozumiał, dlaczego Fee pała taką niechęcią do Fergala. To był przystojny chłopak, starszy tylko o rok czy coś koło tego od Rose. Od kiedy skończył szkołę, pracował w Blorrie Flatt. Sprawiał wrażenie kogoś, kto by mógł zajść dużo wyżej, gdyby tylko mu się chciało podnieść tyłek. Bujał głową w chmurach, ale też potrafił całkiem sensownie porozmawiać, czego o wielu nie dałoby się powiedzieć. Nie było w nim nic wzbudzającego niechęć.

- To nie chodzi o to, że go nie lubię - odparł Fee, odsuwając się od zasłon, jakby czytając w myślach przyjaciela. - Och, nie kłopotz się tym.

- Nie przyszedłem tu szukać pracy - oświadczył Mickey Fergalowi na dole - tylko pieniędzy.

- Wybaczcie. - Brian Clancy znowu czknął głośno.

- Jakich pieniędzy? - szybko zapytał Thomas Brennan.

- O nie - warknął Fee, przylepiając nos do szyby. - A czy to nie jest czasem Thomas Brennan?

Corrie zerwał się z fotela i podbiegł do okna, by spojrzeć w dół.

- Czy ty to widzisz? - wyszeptał.

- Największy elegant w okolicy - ogłosił Fee prawie że z podziwem. - Dalej mi z nim!

Thomas miał na sobie garnitur, a w dłoni aktówkę.

- Czy on sobie wyobraża, że szukamy kadry zarządzającej? - zastanawiał się na głos Corrie, wracając w zaciśniętym fotelu.

Nikt nie powinien się jednak dziwić, że Thomas poszukiwał pracy, był najprawdopodobniej najbardziej znanym w Schillies bezrobotnym. Biedaczysko, wybrał się kilka lat temu do Dublina, mnóstwo było przy tym gadania, żeby pracować w jakimś dot.com, o czym jego matka nie pozwalała zapomnieć nikomu, komu tylko nie udało się na jej

widok umknąć. Ale kiedy jej złoty chłopiec wrócił do domu w niesławie, biedna kobieta całkiem się zamknęła przed światem. Mówiło się, że Thomas został zwolniony na całe miesiące wcześniej, zanim się komukolwiek do tego przyznał, udając nawet przed dziewczyną, z którą mieszkał, że codziennie wychodzi do pracy, a tak naprawdę opuszczał ich kawalerkę tylko po to, by siedzieć w Bewleys i pić kawę. Normalnie taka sytuacja wywołałaby u dobrych ludzi w Schillies odruch współczucia. Ale od chwili powrotu Thomas upierał się przy udawaniu, że prowadzi z kuchni swojej matki wielkie telekomunikacyjne imperium. Nawet kiedy upadł mu pokrowiec od laptopa przed sądem w Schillies, a wyleciały z niego jedynie trzy „Playboye” i kanapka z orzechowym masłem, nie przestał upierać się przy tej komedii i wędrując nawet najmniejszą uliczką Schillies, wykrzykiwał coś do komórki (niepodłączonej do żadnej sieci).

- Jakich pieniędzy? - pytał teraz na podwórku Mickeya, chowając niepotrzebną komórkę do kieszeni.

- Nie słuchaj tego, co on bredzi - ostrzegł go leniwie Fergal. - Tylko ci w głowie namiesza. Nic z tego, co mówi, nie jest prawdą.

- Nic nie zostało udowodnione - poprawił go Mickey. - Co nie oznacza, że nie jest prawdą.

- Co nie jest prawdą? Co nie zostało udowodnione? - dopytywał się Thomas.

- No cóż - zaczął Mickey, a Fergal tylko przewrócił oczyma - mówi się, że gdzieś niedaleko miejsca, w którym teraz stoimy, zakopana jest niewielka fortunka.

Jamie zaczął chichotać, ale się opanował.

- Zamknij się, głupku - powiedział Dermot, nie na tyle głośno, by ktoś jeszcze to usłyszał, i wielkim tłustym paluchem dźgnął chłopca w kark. - Skąd o tym wiesz, Mickey? - zapytał swoim powolnym potężnym głosem.

Avis, która przechodziła po drugiej stronie drzwi, niosąc świeżo upieczone bułeczki z truskawkami, by się schłodziły, usłyszała tę część rozmowy. Opowieść o ukrytym skarbie za każdym razem, gdy ją powtarzano, rozrastała się i potężniała.

- Kiedy budowano ten dom trzysta lat temu, to ręce Cullenów kładły tu cegły - powiedział Mickey. - Zawsze potrafiliśmy ciężko pracować, my, Cullenowie, byliśmy potężni jak byki, a silni niczym Samson z Biblii.

Fergal Whelan przyjrzał się mizernej sylwetce Mickeya i z całej siły próbował nie wybuchnąć śmiechem.

- Odebrało ci rozum, Mickey! Nigdy nie było Cullena, który mógłby dosięgnąć górnej półki w kredensie, nie opowiadaj, że któryś rzucał tu cegłami.

- A ty się nagle zrobiłeś ekspertem od przodków, co, Fergal? - W głosie Mickeya zabrzmiała groźba, pomachał nieprzyjemnie laską w kierunku barmana. Fergal tylko raz jeszcze wznosił oczy do nieba.

- No i co z tą fortuną? - przywołał temat Thomas.

- Proszę o wybaczenie - beknął znowu Brian. - Boże, moje wnętrze mnie zabija.

- Tak więc to Cullenowie zbudowali ten wielki dom - ciągnął Mickey - z wszystkimi sypialniami, salonami i łazienkami i całą resztą, a na dodatek zrobili to w rekordowym tempie. A czy właściciele postawili im choć jedno piwo? Gówno, a nie piwo.

Brian przeszedł sześć różnych kolorów zieleni, zanim osiągnął odcień idealnie pasujący do folii, na której opierała się jego głowa.

- Może papieros postawi cię na nogi, Brian? - zapytał Fergal, przygotowując mu skręta.

- Płacił im jakąś śmieszoną tygodniówkę ten stary Joey Corrigan, ale jeśli chodziło o te sprawy, nie było większego sknery niż on - mówił Mickey.

Brian zaciągnął się papierosem, który mu podał Fergal, a jego zielonkawa twarz stała się na chwilę szara, po czym odzyskała ludzki różowobiały odcień. Wypełniając płuca dymem papierosowym, po raz pierwszy tego poranka otworzył porządnie oczy.

- Mimo to - nie przerywał Mickey - kiedy przyszedł czas budowy fabryki sera, nie zdarzyła się żadna lepsza robota i Cullenowie tu wrócili, mimo że szef był takim parszywcem i nigdy nie dał im przepłukać gardła. Miesiącami kopali w ziemi, mając tylko jeden kilof, którym się wymieniali, i wykopali dwie frymuśne „jaskinie”, żeby Jaśnie Pan mógł doglądać serów, tak jak to robią Francuzi, pieprzeni oh la la. W każdym razie skończyli i mieli wziąć się za resztę budynku. I wtedy - Mickey rozkoszował się samą uwagą słuchaczy skupioną na nim - kto nagle ukazał się w tych oto drzwiach, jak nie sam stary Joey Corrigan z trzema butelkami irlandzkiej whisky, serem i całą masą placków owsianych. No cóż, chłopcom chciało się pić, ale stary diabeł dodał coś tak mocnego do trunku, że wszyscy, jeden po drugim, zasnęli. Kiedy obudzili się następnego ranka, jaskinie były zabezpieczone, a chłopcy dostali wymówienie. I to jest, moi przyjaciele - zakończył z dumą - historia zakopanego skarbu. Znajduje się gdzieś tu - wskazał trzęsącym się kijem na fabryczkę - wystarczy po niego sięgnąć.

Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie odezwał się Fergal:

- W twojej opowieści jest tak dużo dziur, że nie zdołałbym w nie wetknąć twojego kija.

- Ale gdzie ten kawałek o skarbie? - zapytał nagle ozdrowiały Brian.

- Skąd wiesz, że to były pieniądze? - zapytał Thomas. - Skąd wiesz, co to w ogóle było?

- A po co innego kazaliby kopać robotnikom wielki dół, a potem ich otruć, i zakopać to, co odkopali? - chciał wiedzieć Mickey.

- Dla mnie to brzmi, jakby Cullenowie zalali się w pestkę i szef sam skończył za nich robotę - oznajmił Fergal. - I nie zdarzyłoby się to wcale po raz pierwszy, co, Mickey?

- Odczep się od niego. - Stał nagle w obronie staruszka Dermot, wiedziony chęcią znalezienia się po odpowiedniej stronie, w razie gdyby skarb się jednak znalazł.

- To wszystko nieprawda - odezwał się Jamie. Zaszokowani, że się odezwał, wpatrywali się w niego w milczeniu. - Fabryczka została zbudowana dopiero dwieście lat po tym, jak stanął dom, w trzydziestych latach dwudziestego wieku. A piwnice, gdzie dojrzewa ser, wykopano około 1960 roku. - Spurpurowiał na twarzy, speszony własną odwagą. - Mówi się na nie „jaskinie”, ponieważ wydrążono je w skale i nie są połączone - chodzi o zachowanie odpowiedniej wilgotności. I nie ma to nic wspólnego z Francuzami. To Corrie sam je wykopał za pomocą wielkich maszyn sprowadzonych z Bantry.

Fergal przyjrzał się chłopcu i wybuchnął śmiechem.

- I co na to powiecie? Dwieście lat po tym, jak stanął dom, i to za pomocą maszyn, tak mówisz? Ci wielcy Cullenowie to śpiochy nie lada.

Brian znowu czknął.

- Ale ja i tak już dochodzę do siebie - stwierdził, wydmuchując strugę dymu w powietrze.

- A ten niby skąd taki mądry? - zapytał Dermot, wskazując na Jamiego.

- Wiem dużo o tym budynku - odparł spokojnie chłopiec. - Wiem też dużo o farmie. - Wbił wzrok w ziemię. Przez całe swoje życie nie powiedział za jednym razem tak dużo jak dziś.

- To może ty coś wiesz na temat skarbu, Fergal? - zapytał Thomas, nerwowo bawiąc się w kieszeni komórką.

- Coś niecoś słyszałem - powiedział Fergal i uwaga wszystkich natychmiast przeniosła się na niego - od Seamusa O'Connora. Mówił, że na polu między fabryką a mleczarnią jest ukryta kłapa. Dokładne koordynaty znajdują się w pudle w szufladzie na skarpety młodego Joeya Corriganana. Seamus zakradł się tu pewnej nocy z Paddym O'Toole'em, który stał na straży i dotarł aż do szuflady, zanim pułapka o mały włos nie urwała mu głowy.

- Jeśli spędził tyle czasu, chodząc po terenie, to po co mu koordynaty? - zapytał Jamie, już odważniej. - Czemu nie poszedł od razu do kłapy?

Fergal spojrzał na chłopca z szacunkiem. On wiedział, że nie ma żadnego skarbu. Bawiło go tylko to całe zamieszanie.

- Ty, co z tobą? - Dermot uderzył Jamiego z całej siły w ramię. - Jak by mógł otworzyć kłapę, nie mając koordynat, ty pieprzony głupku!

Zapanowała cisza. Wszyscy patrzyli na Dermota z niedowierzaniem.

- Ta góra mięsa nie wie, co to są koordynaty. - Brian łypnął na Fergala.

- Wiem - zachnął się spurpurowiały Dermot. - To numery, których potrzebujesz, by otworzyć szyfr.

- Mówisz o kombinacji - poprawił go Jamie, masując miejsce, gdzie wielki brutal go uderzył.

- Tak właśnie powiedziałem, kombinacja numerów - zadrwił Dermot.

Fergal spojrzał na Jamiego i mrugnął.

- Jeśli on dostanie pracę przy serach, można być pewnym, że skarb będzie bezpieczny przez następne kilkaset lat.

- Wszyscy jesteście niespełna rozumu - oświadczył Thomas, wciskając klawisze na swym telefonie.

- Czy ktoś ma ochotę na herbatę? - Avis O'Regan pojawiła się z tacą, na której były filiżanki, czajnik z herbatą, mleko, cukier i fantastycznie pachnące bułeczki.

- Jest pani aniołem zesłanym przez samego Boga, pani O'Regan - usiłował podliznąć się Brian. Nawet spróbował się podnieść, ale po chwili zastanowienia uznał, że lepiej będzie pozostać w pozycji siedzącej.

- To są słowa, które każda dziewczyna lubi usłyszeć. - Z uśmiechem podała tacę Fergalowi. Wróciła do kuchni, by po chwili pojawić się z rozkładanym stołem, na którym Fergal postawił poczęstunek.

- Proszę wybaczyć - wtrącił się Thomas - ale o której zaczyna się przesłuchanie? Niektórzy z nas mają inne zobowiązania.

Pozostali chętni do pracy parsknęli zgodnie śmiechem.

- Jak cholera - mruknął Mickey, odsuwając Dermota z drogi laską, by mieć lepszy dostęp do tacy z herbatą.

- No cóż - powiedziała Avis, wycierając ręce o fartuszek, a następnie ostentacyjnie wyciągnęła zegarek i sprawdziła godzinę. - Jest teraz prawie wpół do jedenastej, więc wyobrażam sobie, że zanim panowie posilicie się, a potem wypełnicie wszystkie formularze, no i oczywiście testy... no tak. - Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu. - Jestem pewna, że panowie Corrigan i Feehan zdążą się spotkać z każdym z was jeszcze dziś.

Po czym natychmiast wycofała się do kuchni i zamknęła za sobą drzwi, zanim którykolwiek zdążył powiedzieć choć słowo. Natychmiast też ruszyła na górę, by zdać raport.

- Nie nazwałabym ich obiecującym materiałem - powiedziała, choć serce jej się ścisnęło na widok zasmuconej twarzy Corriego. - I te wszystkie głupstwa, które wygadywali o zakopanym skarbie, nie uwierzylibyście.

- Co mówili? - koniecznie chciał usłyszeć Fee, z góry podekscytowany pomysłami, o których miał się dowiedzieć. Starał się jak mógł, stojąc na swoim punkcie obserwacyjnym, odczytać z ruchów warg to, co mówili, ale jedyne, co osiągnął, to ból głowy.

Na zewnątrz Dermot wciąż wyklócał się z Fergalem, jaka jest różnica między koordynatami a kombinacją.

- To drugie to układ cyfr, które trzeba wybrać w tej kolejności, by otworzyć sejf - tłumaczył Fergal z przesadną cierpliwością - podczas gdy pierwsza oznacza kilka liczb określających lokalizację jakiegoś miejsca.

Dermot nie widział powodu, żeby się wycofać.

- Kilka liczb oznacza ich kombinację, ty pieprzony mądralo. Nie jestem takim cholernym głupkiem.

Brian i Mickey gruchnęli zgodnym śmiechem, a Jamie cofnął się aż do ściany fabryczki. Zdarzało mu się widzieć wybuchającego gniewem Dermota i gdyby miało się to zdarzyć dzisiaj, nie chciał paść jego ofiarą.

Dermot zrozumiał, że wyszedł na głupka, ale nie potrafił ustąpić.

- To tylko pieprzone cyferki, co za różnica?

- Takie właśnie zapatrywania prowadzą do tego, że nasz kraj ma wspaniałą tradycję we wprowadzaniu w błąd i przekupstwie - zwrócił się Fergal do Mickeya.

- A oto inna wspaniała tradycja, ty cholerny ochrzantusie!
- ryknął Dermot i rzucił się na Fergala, jego pięść chybiła jednak szczęki przeciwnika i wylądowała na klatce piersiowej Mickeya Cullena.

Staruszek cofnął się i trafił na wyciągnięte nogi Briana, po czym poleciał prosto w wyciągnięte ramiona Jamiego Joyce'a, który często widział wcześniej w akcji Dermota, toteż wiedział, gdzie się znaleźć we właściwym czasie. Dermot był bez wątpienia silny, ale niezbyt szybki.

- Ty kreaturo! - wrzasnął Mickey, rzucając się jak błyskawica na Dermota, do którego jeszcze nie dotarło, jak to się stało. I zanim to zrozumiał, na jego głowę i ramiona spadł grad uderzeń laski Mickeya, przed którą nawet on nie potrafił się obronić.

- Dalej! - Fergal zagrzewał Mickeya z ziemi, na której się znalazł, unikając ciosu Dermota. - I dołoż mu sześć ode mnie, ale takich z jajem.

Harmider dotarł do salonu, Corrie spojrział na Fee, który śledził akcję na bieżąco.

- Mickey Cullen łoi skórę grubasowi. - Fee był zachwycony. - Kiedy wywija tą swoją laską, do głowy by ci nie przyszło, że to kaleka.

- A co robi Jamie? - chciał wiedzieć Corrie.

- Śmieje się do rozpuku - odparł Fee. - A to nie zdarza się zbyt często. Mówiłem ci, że świetnie sobie poradzi.

Na zewnątrz laska Mickeya pękła na dwoje na czaszce Dermota, pozwalając chłopakowi uciec z linii ognia - ale nie bez strat.

- Jeszcze cię dorwę, ty stary ochrzantusie! - krzyknął, wycofując się na podjazd. - I żadna laska ci nie pomoże.

- Mam dwa razy więcej rozumu od ciebie, a dwa razy mniej tłuszczu, ty babochłopie! - krzyknął za nim Mickey. - Biegnij teraz do domu do swojej mamusi, zanim przyłożę ci jeszcze butem.

Dermot, dławiąc się z gniewu, niemy z bezsilności, odwrócił się i ruszył podjazdem, a tam w połowie drogi spotkał się z Kitem, zgrzanym i zmęczonym po marszu z bagażami z Schillies.

- Przepraszam - zwrócił się Kit z uśmiechem do grubego spoconego chłopaka - czy możesz mi powiedzieć, gdzie znajdę Avis O'Regan?

Na widok przystojnego, dobrze ubranego, szczupłego i najwyraźniej nieco zagubionego Amerykanina Dermot poczuł, że go nienawidzi.

- Oczywiście - odparł, wycierając czoło i łapiąc oddech. - Chyba dopiero co ją widziałem. Powiedziała, żeby pan poczekał na nią na ogrodowej ławce, za bramą, pierwszej po prawej przed głównym budynkiem.

- Aha - odparł Kit. - Poczekać na nią? W ogrodzie? Jasne. Jeśli tego właśnie chce.

- Dzisiaj to istny dom wariatów - powiedział Dermot, ściągając swoją baseballówkę i przecierając łysinę. - Raczej nie wchodziłbym jej w drogę, gdybym był na pana miejscu, jest teraz nie do wytrzymania.

Kit poczuł, że serce w nim zamarło. W co go wrobiła ta Niamh? Już wystarczająco zmęczyła go Maureen McCarthy, a ona była przecież do wytrzymania. Tylko gadatliwa.

Ponieważ nie życzył sobie osobistych pytań, w czasie ich wspólnego śniadania panowało milczenie, które rosło mu w ustach. Nim dotarł po milowym spacerze do fabryki sera, marzył o przyjaznej twarzy, ciemnym pokoju i szklance zimnej wody. Westchnął i sięgnął po swój bagaż.

- Dzięki - powiedział do Dermota i w tej samej chwili dostrzegł na jego skórze czerwone pręgi. - Pszczoły? - zapytał.

Dermot przez chwilę spoglądał na niego nic nierozumiejącym wzrokiem, ale widząc, gdzie kieruje się spojrzenie Kita, obejrzał swe ramiona, na których odznaczyła się po wielekroć laska Mickeya. Spojrzenie mu stwardniało.

- Pchły - rzucił ponuro - wielkie jak szczury. Radzę uważać, gdzie pan siada.

I z tymi słowy minął Kita i ruszył dalej drogą.

Są ludzie, którzy nie powinni robić sera.

Na przykład kłamcy: ich ser wygląda dobrze, ale ma fatalny smak.

Oszuści też źle wytwarzają ser i nigdy nie ma go tyle, ile zapowiadają.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Abbey spoglądała na budynek ozdobiony kolumnami i białym stiukiem, usiłując wypatrzeć jakieś ślady swojej matki, ale niczego nie potrafiła dostrzec. Nie była też pewna, czego tak naprawdę się spodziewa. Budynek był ładny, tak jak go zapamiętała, ale Kensington, podobnie jak większa część Londynu, wyglądał schludniej. I bardziej elegancko. Wziąwszy głęboki wdech, poprawiła torbę na ramieniu i weszła po stopniach. Nie zdziwiła się bardzo, gdy zobaczyła, że dłoń, którą wyciąga do dzwonka apartamentu C, drży. Kiedy mosiężny dzwonek zawibrował pod jej palcem, poczuła moment paniki. Przesadą byłoby powiedzieć, że uczucie to opanowało ją nagle, bo czuła się tak samo poprzedniego dnia, całując Shirl na do widzenia na międzynarodowym lotnisku w Brisbane, i jeszcze dzień wcześniej. Czy rzeczywiście pragnęła opieki i wsparcia od Rose? Czy jedenaście lat bez siebie wystarczyło? Abbey poczuła, jak ogarnia ją fala emocji, i przez chwilę zastanawiała się, czy nie obrócić się na pięcie i nie zwać. Ale odwrócić się do kogo? I zwać gdzie? Wzięła jeszcze jeden głęboki oddech i jeszcze raz nacisnęła dzwonek. Tylko dlatego stała na progu Rose, ponieważ zupełnie nie miała dokąd pójść, całkiem dosłownie. To było tak, jakby wybierać Rose albo cokolwiek. Lub kogokolwiek. A więc Rose.

Miała jeszcze przyjaciółkę ze szkoły, Virginie Barker, ale w ostatnim liście, który otrzymała dwa lata temu, Virginia

informowała ją, że przenosi się wraz z mężem i dwoma synami do Szkocji. Abbey nawet nie wiedziała dokładnie gdzie. Ani czy Virginia zmieniła nazwisko. Ani czy nie urodziła od tego czasu kolejnych dzieci.

Dzieci. Abbey przycisnęła dzwonek trzeci raz.

- Zapomniałbyś swoich jaj, gdybyś nie nosił ich w saszce - rozległ się w głośniku mocny, charakterystyczny głos matki, a zamek w drzwiach kliknął. Abbey, kompletnie nieprzygotowana na takie powitanie, gapiła się milcząco w domofon, ale wreszcie pchnęła drzwi i ruszyła na górę. Jakie jaja?, zastanawiała się niepewnie. I jaki saczek?

Wysiadła na drugim piętrze, a drzwi windy zamknęły się za nią z brzękiem. Serce biło jej młotem. Już miała zapukać do drzwi, gdy się otworzyły, ale zobaczyła tylko plecy matki oddalającej się bez jednego spojrzenia, by sprawdzić, kto przyszedł.

- ...ten nicpoń znowu zapomniał kluczy - mówiła Rose do telefonu. - Właśnie mu powiedziałam, że zgubiłby własne jaja, gdyby nie były przytwierdzone na stałe. - Roześmiała się do słuchawki.

Abbey zrobiła krok do środka. Nie tak wyobrażała sobie powrót do domu.

- Cóż, dobrze, że sobie z nimi nieźle radzi - ćwierkała matka do telefonu.

Przesunęła starannie wypedikiowaną stopę, żeby zamknąć drzwiczki od szafy, które zasłaniały ją, gdy siedziała na krześle przy telefonie w holu. Obojętnie spojrzała na stopy Abbey, ale gdy jej oczy wędrowały w stronę kolan, wyraz jej twarzy zaczął zmieniać się w zwolnionym tempie, przenosząc się dalej na biodra i tors kogoś, kogo się najwyraźniej zupełnie nie spodziewała, a mianowicie swego jedyne dziecko. Widziała przed sobą ciało, które zgodnie z jej wiedzą powinno

smażyć się na słońcu po drugiej stronie globu. Wpatrywała się w Abbey wzrokiem trudnym do opisanie.

- Jezu. - Jej idealnie wymalowane usta otworzyły się ze zdumienia, pozwalając wypłynąć strużce dymu z papierosa. - Oddzwonię. - Rzuciła słuchawkę na widełki, zdusiła, nawet nie patrząc, papierosa, i powoli wstała, wpatrując się w Abbey z niedowierzaniem.

- Cześć, Rose - powiedziała Abbey. - Wróciłam do domu.

Nie wiedzieć czemu zapomniała, że matka jest tak niezwykle piękna. Jej rude włosy sięgały do ramion, uczesane tak, jak nosiły je gwiazdy w latach czterdziestych, a skóra była kremowobiała. Wszystko, co miała na sobie, służyło podkreśleniu zalet ciała. Makijaż był może o warstwę grubszy, ale oczy, ocienione wspaniałymi długimi rzęsami, nie straciły nic z niesamowitego odcienia zieleni niczym las wiosną. Jej matka - uświadomiła sobie Abbey - nie wyglądała ani o dzień starzej niż wtedy, gdy widziały się ostatni raz jedenaście lat temu.

- Jezu! - wykrztusiła z siebie znowu matka. Miała na sobie niegdyś biały, zwiewny i półprzezroczysty szlafrok z niemożliwie szerokimi rękawami, zebranymi w nadgarstkach i ozdobionymi piórkami. Był to dość dziwaczny strój jak na późne popołudnie, ale matka zawsze preferowała takie romantyczne ubiory.

- Chyba jestem w szoku - powiedziała Rose. Abbey ostrożnie zbliżyła się o krok.

- Wiesz, kim jestem, prawda? - zapytała i nie był to do końca żart. Widziała, że pod maską twarzy matki odbywa się jakiś poważny proces myślowy, i przez jedną przerażającą chwilę zastanawiała się, czy ta naprawdę o niej całkiem nie zapomniała. Połączył je przerażający okropny korytarz milczenia, ale po chwili kurtyna podniosła się, ukazując aktorkę Rose.

- Kochanie! - wykrzyknęła, wyciągając zapraszająco ramiona, a na jej twarzy malowała się matczyna serdeczność. - Jak to cudownie cię widzieć, naprawdę. Tyle tylko, że bardzo mnie zaskoczyłaś. Okropnie zaskoczyłaś. Uważaj na moje włosy.

Ucałowała powietrze po obu stronach twarzy córki i cofnęła się, ale Abbey to nie zmartwiło. Nigdy nie czuła się komfortowo w ramionach matki i ta chwila nie różniła się od podobnych w przeszłości.

- Aż trudno mi uwierzyć, że to ty, Abbey. - W głosie Rose zabrzmiała jakaś dziwna nuta. Obejrzała córkę od stóp do głów. - Proszę, proszę. Masz teraz całkiem niezłe ciało, dziewczyno. Obróć się no.

Abbey upuściła torbę i zrobiła, co jej kazano. Nie zaskoczyło jej wcale, że matka najpierw sprawdza jej wymiary, nie pytając wcześniej o zdrowie, stan finansów czy plany na przyszłość. Są rzeczy niezmiennie.

- Byłam w powietrzu dwadzieścia siedem godzin - wyjaśniła Abbey, odsuwając podkoszulek od nieco spoconego brzucha.

- Chodź tu i usiądź, musisz być wykończona - powiedziała Rose, sięgając po papierosa i wskazując Abbey palcem mały stołeczek. - Ćwiczyłaś, co?

- Rose, spędziłam jedenaście lat na wyspach - przypomniała jej Abbey. - W tamtej części świata nie ma zbyt wielu sal gimnastycznych.

Choć tak naprawdę miała dostęp do przyrządów ćwiczenia mięśni Nautilus, bieżni i innych urządzeń stojących w domku Tomiego Papary, ale nigdy nie czuła potrzeby, by z nich korzystać.

- Oczywiście, kochanie. - Rose poprawiła się na sofie, potrząsając wdzięcznie głową, jakby odrzucała własną głupotę. - To ten szok. Dostałaś mój list?

Abbey spojrzała na matkę.

- Mówisz o tym, który napisałaś do mnie osiem lat temu?
- zapytała pogodnie. - Tak, Rose, dostałam. A czy ty dostawałaś ode mnie listy, no wiesz, na każdą Gwiazdkę, urodziny i wiele, wiele pomiędzy?

Do jej matki dotarło znaczenie tych słów i natychmiast zmieniła ton na karcący:

- Abbey, nie patrz tak na mnie. Dobrze wiesz, że jeśli chodzi o pisanie listów, jestem beznadziejna. Jestem człowiekiem czynu, co w sercu, to na dłoni. Nie pouczaj mnie, proszę. Z kontaktami na odległość zawsze byłam na bakier.

Abbey przełknęła tę odpowiedź. Była roztrzęsiona fizycznie i emocjonalnie i nie chciała tu siedzieć, dyskutując o problemach związanych z pisanem listów. Chciała opowiedzieć matce, przez co przeszła. Chciała się wypłakać i otrzymać nawet jeśli nie współczucie, to przynajmniej radę, jak ułożyć sobie teraz życie. Jeśli chodzi o mężczyzn, Rose z pewnością miała doświadczenie.

- Rose, nie uwierzysz... - zaczęła.

- Nie uwierzysz, ile... - zaczęła w tym samym momencie jej matka i całkowicie ignorując słowa Abbey, mówiła dalej, patrząc gdzieś ponad głowę córki - się wydarzyło od chwili, gdy wyjechałaś. - Zapaliła papierosa i ciągnęła dalej: - Tuż po twoim wyjeździe dostałam rolę w kampanii reklamowej herbaty w torebkach. To było naprawdę ważne. Byłam nominowana wśród najpopularniejszych gwiazd telewizji. Uwierzysz? Po reklamie herbaty? Ale dzięki temu dostałam niewielką rolę jako jedna z dziewczyn Phila Mitchella w „Mieszkańcach East Endu”. Całkowicie rzuciłam producentów na kolana. Całkowicie, mówię ci. No i potem dostałam główną rolę w „Jaka jestem”. Mieliście to u siebie? To był świetny sitcom, Abbey, bardzo by ci się podobał. Pokazywali go przez cztery lata! Cztery cudowne lata. A teraz gram na West Endzie

rolę Marilyn Monroe w „Przystanku autobusowym”. Krytycy powiedzieli, że ja i Marilyn Monroe mogłybyśmy być siostrami. I co na to powiesz?

Abbey, patrząc na nią, uświadomiła sobie, że matka zachowuje się niesłychanie nerwowo, w ogóle nie przypominając dawnej Rose.

- Tylko popatrz. - Dłoń Rose zatrzepotała, wskazując zawieszony na ścianach okładki kolorowych pism z jej piękną twarzą. - „Radio Times”, „You”, oczywiście „Hello”, no i „Women's Own”, i „Sunday Times”. Czy możesz w to uwierzyć?

- Rose - powiedziała Abbey - nie zamierzasz mnie w ogóle zapytać, co tutaj robię?

Jednocześnie zastanawiała się, czy obsesja jej matki na własnym punkcie i kompletny brak zainteresowania ją boli, ale nic takiego nie czuła. Była zdziwiona, wręcz oszołomiona. Ale to nic nowego. Najwyraźniej musiała uodpornić się na Rose, a to była Rose w najlepszym wydaniu.

- Co tutaj robisz? - powtórzyła Rose i zdusiła kolejny niedopalek, po czym z przyklepionym do twarzy uśmiechem spojrzała na stojący na marmurowym wymyślnym kominku wymyślny złoty zegar. - Chyba wiem, co tutaj robisz. Pozwól, że pomyślę - powiedziała i bezwiednie kolejny raz sprawdziła godzinę. - Przyjechałaś z kochanym Bruce'em, aby odnowić program, w którym bierzecie udział, czy jak to się u was nazywa, a przy okazji wpadłaś złożyć mi wizytę i pokazać, że nadal żyjesz i nie zostałam ugotowana w wielkim kotle. Za pięć minut pewnie znikniesz za tymi drzwiami i znowu cię nie zobaczę przez kolejnych dziesięć lat. - Pusty uśmiech trwał nieporuszenie na jej twarzy, gdy spoglądała na córkę, potem pozwoliła sobie na malutką zmarszczkę smutku na całkowicie gładkiej skórze ponad brwiami. W oczach Rose pojawił się smutek, spuściła wzrok na dłonie leżące na kolanach i zaczęła

się bawić pierścionkami. - Nauczyłam się żyć z bólem, kiedy mnie opuściłaś, Abbey - powiedziała. - Ale żyłam dalej. Musiałam. Nie mogłam przecież tu siedzieć całymi latami, zapłakując się i czekając, kiedy moja jedyna córka przestanie się odwracać ode mnie plecami.

Abbey, prawdę mówiąc, całkowicie zapomniała, jak wspaniałą aktorką jest jej matka. Teraz mogłaby przysiąc, że nawet drży jej dolna warga. Zastanawiała się, dlaczego kobiece sztuczki nie wydają jej się godne pogardy. Nagle w jej pamięci pojawiło się wspomnienie samej siebie, pozostawionej w szkole na kolejny samotny weekend. Zasada numer jeden - widziała siebie, jak siedzi nad notatnikiem i pisze - nie dać się zwieść. Zasada numer dwa, nie wpadać w gniew. Przypomniała sobie, jak matka zadzwoniła kiedyś do szkoły, by powiedzieć, że jej najbliższa przyjaciółka, Jacinta Jolly (pseudonim sceniczny), ma zapalenie opon mózgowych i potrzebuje Rose w szpitalu, na wypadek gdyby jej koniec miał nadejść niebawem. Kiedy Abbey włączyła tego wieczora telewizor, zobaczyła obie damy drepczące po czerwonym dywanie podczas jakiegoś jubla telewizyjnego. Wtedy właśnie ustaliła zasadę pierwszą, by nie dać się zwieść, nie pozwolić się omamić kłamstwami matki.

Nie poddawaj się rozpacz, mówiła teraz do siebie, wpatrując się w matkę i słuchając jej słów. I nie wpadaj w gniew.

- Tak się składa, że już nie jesteśmy razem z Bruce'em - powiedziała tak spokojnie i pewnie, jak tylko potrafiła. - Zostawiłam go na wyspie. Wróciłam do domu, Rose.

Głęboki smutek malujący się na twarzy Rose zastąpiła panika.

- Wróciłaś do domu? - zapytała wyraźnie poruszona. - Jakiego domu? A gdzie jest Bruce? Nie możesz zostawić tego biednego człowieka samego na drugim końcu świata, bez

żadnego wsparcia w tym, no, cokolwiek on tam robi. - Była tak zdenerwowana, że nie zdołała zapalić kolejnego papierosa, po którego sięgnęła, mimo że poprzedni jeszcze się tlił w popielniczce. - A co z twoją przysięgą małżeńską?

- A od kiedy ty się przejmujesz przysięgami małżeńskimi? - zapytała Abbey, dusząc w sobie załazek gniewu, który poczuła, gdy matka przejęła się wyłącznie losem Bruce'a, człowieka, którego określiła podczas jedyne go spotkania (ceremonii ślubu) jako „mokry fajerwerk”.

Rose otworzyła usta, jakby chcąc coś powiedzieć, ale najwyraźniej uznała, że lepiej nie.

- Chciałabym tylko tego, co dla ciebie najlepsze, Abbey, przecież wiesz - dodała słodziutko. - A ty i Bruce stanowiliście taką cudowną parę, jakbyście byli dla siebie stworzeni. Co wam poszło nie tak?

- Bruce mnie oszukiwał, Rose - oznajmiła Abbey. - Miał dzieci z inną kobietą. Nie ze mną. - Usłyszawszy te słowa wypowiedziane na głos, właściwie po raz pierwszy poczuła, że zostawiając Bruce'a na wyspie, zrobiła jedyną słuszną rzecz. Jej matka zaś na słowo „dzieci” aż zakrztusiła się dymem z papierosa.

- A ty? - zapytała, wydmuchując strużkę prosto w twarz córki. W jej głosie brzmiało nieukrywane przerażenie. - Czy są jakieś wnuki? - To ostatnie słowo wymówiła z obrzydzeniem, jakby ktoś kazał jej przełykać zielony muł.

Abbey musiała wbić paznokcie w rękę, by nie stracić opanowania.

- Nie - odparła, próbując spojrzeć na Rose, ale jej wzrok zatrzymał się na jakiejś plamie na podłodze. - Nie mogę mieć dzieci. Miałam szansę, ale jedną na milion. I wykorzystałam ją. No wiesz. Przed tym.

Rose nie zrozumiała.

- Przed? - powtórzyła. - Przed czym?

- Wtedy, gdy zaszłam w ciążę - wyjaśniła Abbey, ból w dłoniach ledwie powstrzymywał ją przed wybuchem gniewu. - Dziecko Jaspera. Musisz pamiętać, mamó. Usunięte.

Twarz Rose stała się tak blada, że idealnie pasowała do kremowego obicia fotela.

- Jezu, Abbey - wydusiła z siebie. - A niech to, Chryste, a niech to.

Abbey błędnie odczytała cierpienie w głosie Rose jako wyrzut sumienia z powodu uczynku sprzed lat i poczuła, że jej rezerwa topnieje, traciła też pewność siebie.

- Wiesz - z trudem wymawiała słowa - kiedy lekarz powiedział mi, że moje jajniki nie działają jak trzeba, zaczęłam myśleć, że to kara za...

- Przestań! - Matka uciszyła ją nagle, wyciągając przed siebie dłoń. - To stało się bardzo dawno temu i nie ma potrzeby tego wyciągać. Co było, nie wróci.

Dałam się zwieść, pomyślała Abbey. Teraz muszę pamiętać, żeby nie wpaść w gniew.

- Wyciągam to, ponieważ ma wpływ na moje obecne życie - powiedziała, bardzo uważnie dobierając słowa. - Dziecko Jaspera było moją jedyną szansą na bycie matką.

Ale jej matka tylko potrząsnęła głową, jakby odpędzając te słowa, i wyciągnęła przed siebie dłonie, jakby nie pozwalając, by coś jeszcze do niej dotarło.

- Na litość boską, Abbey, przestań - powiedziała. - Bycie matką nie jest wcale tak różowe, jak się to przedstawia. Nie masz o tym pojęcia. - Podniosła się i wygładziła negliz, po czym zerknęła na zegar, wyraźnie spięta. - Musisz się z tym uporać.

- Uporać się z tym? - powtórzyła w zdziwieniu Abbey. Przyglądała się matce, która opanowała panikę i przeobraziła się znowu w perfekcyjną panią domu. Abbey czuła się, jakby jechała kolejką górską.

- Czy chciałabyś coś zjeść, zanim pójdziesz? - zapytała Rose, jakby poprzednia rozmowa w ogóle się nie odbyła. - Na pewno umierasz z głodu. Spójrz tylko na siebie, jesteś chuda jak patyk, poza biustem. Przydałoby ci się trochę ciała. Jak tu przyjechałaś?

Abbey zganiła sama siebie w myślach, że w ogóle miała nadzieję na rozmowę o bolesnej przeszłości z kobietą, która była za tę przeszłość odpowiedzialna.

- Nie jestem głodna, Rose - powiedziała. - Przyleciałam z Australii. Spędziłam kilka dni u przyjaciół po tym, jak zostawiłam Mar... po tym jak zostawiłam Bruce'a. Na lotnisku Heathrow wsiadłam w linię ekspresową do Paddington, a potem taksówką dojechałam tutaj. Ale co masz na myśli, mówiąc: zanim pójde? Nie mam dokąd pójść, Rose. Myślałam, że zostanę z tobą. W tym mieszkaniu. Nie mam żadnego miejsca, gdzie bym mogła pójść.

Matka najwyraźniej walczyła z załamaniem nerwowym. Na jej twarzy odbił się wysiłek, by pojawił się tam jakiś możliwy do przyjęcia wyraz. Ale trudno było to osiągnąć, gdy malowały się na niej na zmianę przerażenie i groza, a to, co wreszcie osiągnęła, było jakimś uczuciem pomiędzy.

- Jezu Chryste najświętszy - wykrzyknęła Rose, wyciągając dłonie w geście poirytowania. - Nie mogę sobie z tym poradzić. Po prostu nie mogę. Nie zasłużyłam na coś takiego!

Kiedy załamywała dłonie, brzęknęły pierścionki i wtedy coś kliknęło w głowie Abbey. Jej matka miała pierścionki i obrączkę. Na palcu serdecznym.

- Jesteś mężatką - stwierdziła ogłupiała.

- Och, Abbey - powiedziała jej matka, łapiąc za papierosy i zapalniczkę leżące na sofie - musimy porozmawiać, naprawdę musimy porozmawiać.

Znowu zapaliła papierosa wciąż drżącymi rękami, po czym minęła ją i ruszyła prosto do kuchni. Abbey podążyła za nią, akurat by zdążyć zauważyć, jak wyrzuciła do kosza coś, co było przyklepione na drzwiach lodówki. Rose odwróciła się gwałtownie i aż jęknęła, widząc Abbey tuż za sobą.

- To będzie mój koniec - powiedziała. - Nic nie wiesz. To już koniec ze mną, Abbey.

Przez chwilę Abbey myślała, że matka naprawdę się rozpłacze.

- Czy chcesz się napić herbaty? - zapytała spokojnie i uprzejmie, ponieważ nie miała pojęcia, cóż innego mogłaby zrobić. Podeszła, by napełnić wodą elektryczny dzbanek.

- Herbatę? Teraz? Dobrze - zgodziła się Rose gwałtownie, jakby to była jakaś nadzwyczajna propozycja. - Zrób herbatę. A ja muszę gdzieś szybko zadzwonić. Jeden krótki telefon.

Zniknęła w holu, trzaskając niepotrzebnie drzwiami i pozostawiając Abbey, by ta sama odkryła, gdzie się co znajduje w klaustrofobicznej kuchni. Pochylając się nad ogromnym wyborem torebek z herbatą, Abbey domyśliła się, co się dzieje, nie wymagało to zresztą wielkiego wysiłku umysłowego. Wszystko było raczej oczywiste. Matka zawsze miała bzika na punkcie wieku, utrzymując przez wiele lat, nawet podczas szesnastych urodzin Abbey, że skończyła dopiero dwadzieścia siedem lat. Ani przez moment nie przyszło jej do głowy, że ktoś może być lepszy od niej w matematyce. Zawsze przeraźliwie bała się starości i brzydoty i wolała spędzać czas z mężczyznami o wiele od siebie młodszymi.

Jej nowy mąż, doszła do wniosku Abbey, nalewając wrzątek do herbaty, jest najwyraźniej bardzo młody i całkowicie nieświadomy faktu, że jego żona ma dwudziestoparoletnią córkę. Ale to jej nie poruszyło. Połowę

swego życia była przedstawiana jako siostrzenica, sąsiadka czy wręcz kompletnie obca osoba.

- Jakżeż się tu dostała? - zdziwiła się kiedyś matka, zwracając się do odwiedzającego ją późną porą dżentelmena, gdy natknęli się na dziecko. I wystawiła ją za drzwi, szepcząc do ucha: „Wejdiesz przez okno”, zanim zamknęła drzwi i przekręciła w nich klucz. To było jeszcze w ich starym mieszkaniu.

Abbey zauważyła kiedyś, że u nich w domu nigdzie nie ma jej fotografii. Trzeba też przyznać, że na ścianach w salonie nie było kawałka wolnego miejsca. Uśmiechnęła się.

- Odbierz, złamasie, telefon! - usłyszała zrozpaczony głos jej matki przynaglającej kogoś po drugiej stronie.

Torebki od herbaty zjechały z łyżeczki do kosza na śmieci, lądując na zgniecionej fotografii. Aha, pomyślała Abbey, schylając się po nią. To tego matka nie chciała jej pokazać. Zdjęcie na lodówce. Drzwi do kuchni otworzyły się w chwili, gdy zagłębiła rękę w koszu. Usłyszała wrzask matki i odwróciła się, by zobaczyć, że twarz Rose jest ciemnofioletowa z wściekłości.

- Nie waż się tego ruszyć! - wrzeszczała. - Ty mały potworze! Wszystko zniszczysz, Abbey. Wszystko, na co tak ciężko pracowałam przez te lata. - I wybuchnęła płaczem, tym razem prawdziwym, bo łzy płynęły jej po policzkach.

- Rose, Rose, uspokój się - powiedziała tak łagodnie, jak to było w ogóle możliwe w tych okolicznościach, wpychając w dłoń matki filiżankę z gorącą herbatą. - Wypij to. Chodź i usiądź. Nic się nie stało, wszystko rozumiem. Nie martw się. Rozumiem.

- Nie sędzę. - Matka roześmiała się przez łzy, ale dała się poprowadzić do salonu.

- Jest młody, tak? - zapytała Abbey, kiedy już posadziła roztrzęsioną matkę na sofie. Rose roześmiała się i przytaknęła, po czym rozplakała się jeszcze bardziej.

- I nie wie o mnie?

- To nie o to chodzi - łkała Rose. - Tyle tylko że lada chwila zjawi się w domu. Dobry Boże, Abbey, nie odbiera telefonu. Musisz sobie iść.

Abbey poczuła, że zasada numer dwa chwieje się w posadach.

- Już ci powiedziałam, Rose - odparła twardo - że nie mam dokąd pójść. Na wypadek gdybyś zapomniała, jesteś moją matką. Zostanę tylko kilka dni. Możesz mu powiedzieć, że jestem córką twojej starszej koleżanki czy cokolwiek chcesz. Najwyraźniej okłamywanie go nie stanowi dla ciebie problemu.

Jej matka postawiła z taką mocą filiżankę na dębowym stoliczku przy sofie, że aż herbata wylała się na sąsiednią popielniczkę.

- Abbey - odezwała się, z jej twarzy zniknął gniew, a zamiast niego przywołała wyraz mający wzbudzić litość: jej oczy w czarnych smugach tuszu wyglądały dramatycznie i nagle staro - musisz sobie iść. Nie możesz tutaj zostać. Po prostu nie możesz. - Wstała z sofy, podpierając się ciężko, nagle widać było po niej wszystkie czterdzieści sześć lat i podeszła do torby Abbey. Podniosła ją trzęsącymi się rękami i wręczyła córce.

- Wyrzucasz mnie? - zapytała osłupiała Abbey. - Ale, Rose...

- Dam ci pieniądze - powiedziała matka, potrząsając walizką. - Dam ci pieniądze, ale idź gdzieś indziej. Gdzieś, gdzie możesz mieszkać. Abbey, proszę, ja tylko...

Zgrzytnięcie klucza w zamku po drugiej stronie drzwi sparaliżowało Rose w połowie zdania. Więc, pomyślała Abbey, jego jaja są jednak na miejscu. Nie zgubił ich.

- Nie wchodź tu - wyszeptała ochryple matka, wciąż nie odrywając od niej wzroku. - Nie wchodź - spróbowała znowu, ale w tym momencie usłyszały kliknięcie zamka. - Odejdź - zakrakała, gdy drzwi się otwarły, a Abbey zachwiała się na widok postaci, która w nich stała.

Jego włosy były nieco dłuższe i z lekka przerzedzone. Pod garniturem zaczynał rysować się brzusek, wynik zbyt częstych lunchów biznesowych, na ręce miał mięsistą złotą bransoletę, która błysnęła, gdy podniósł dłoń, by rozluźnić krawat. Wyglądał tak dorośle, że Abbey ledwie go poznała, ale przecież nie mogła go zapomnieć. Był to Jasper Miles i nosił na palcu ślubną obrączkę.

- No, nie - wykrztusił z siebie zszokowany, gdy dotarło doń, kto na niego patrzy. - Na Boga. - I odruchowo odstawił teczkę pod stolik z telefonem, najwyraźniej tak jak co dzień. - To może być nieco kłopotliwe - powiedział zażenowany. - Rose? Kochanie?

Przez ułamek sekundy Abbey poczuła dreszcz na jego widok, tej rozmazanej wersji jej pierwszej, a może i jedynej miłości. Przez ostatnie lata wyobrażała sobie ów moment wiele razy. Chwilę, gdy Jasper Miles z jej marzeń, młody, przystojny i buzujący hormonami, widzi ją i uśmiecha się uszczęśliwiony, jednocześnie przeklinając dzień, w którym pozwolił jej się wymknąć.

I oto stali naprzeciw siebie, ale nie zdarzyło się nic z tego, a na dodatek on był mężem jej matki. Skurcz, który czuła w żołądku, nie był spazmem radości, uświadomiła sobie nagle, gdy zaczął obejmować całe jej ciało. Czuła gorącą, czystą wściekłość.

- Ty draniu! - Abbey nigdy by nie pomyślała, że potrafi wydać z siebie głos wypełniony takim jadem. - Ty palancie, śmierdzący gnoju, pieprzony kutasie bez serca! - Wzbierający nagle gniew dodał jej sił. Przemknęła koło stojącej jak w paraliżu matki, rzuciła się na Jaspera i uderzyła go najmocniej, jak potrafiła, w gardło.

- Jezu - zagulgotał Jasper, łapiąc się za szyję. - Pomocy!

Ale Abbey jeszcze z nim nie skończyła. Unosząc kolano, wymierzyła mu kopa między nogi, a kiedy zgiął się z bólu, uderzyła ponownie, tym razem trafiając w szczękę, która aż chrupnęła. Jasper opadł na krzesło przy stoliku z telefonem, jęcząc, a Abbey stała nad nim, dygocząc i zastanawiając się, jak jeszcze mogłaby go zranić. Zamachnęła się z całej siły i walnęła go prawym sierpowym w głowę tak mocno, że aż upadł obok krzesła na ziemię.

Chwilę zajęło jej uświadomienie sobie, że choć ona już nie krzyczy, krzyk wciąż wisi w powietrzu, to jej matka wrzeszczała, żeby zostawiła Jaspera, tłukąc ją przy tym w plecy.

- Zostaw go! - zawodziła Rose. - Zostaw mojego ślicznego chłopca!

Gwałtowny gniew, który tak szybko opanował Abbey, równie szybko ją opuścił. Stała teraz, oddychając ciężko i patrząc w przerażeniu na swą zapłakaną matkę klęczącą koło Jaspera i całującą jego łysiejącą głowę.

- Zostaw mojego ślicznego chłopczyka - załkała znowu Rose. Te słowa dźwięczały wokół Abbey, która próbowała się pozbierać. Mówiły wszystko. Ojciec nienarodzonego dziecka Abbey stał się teraz ukochanym syneczkiem jej matki. Witaj, bolesna rzeczywistości, pomyślała Abbey.

W mieszkaniu panowała cisza przerywana tylko cichym szlochem Rose głaszczącej uspokajająco Jaspera, któremu z ust płynęła strużka krwi. Abbey ogarnęło nagle ogromne

zażenowanie tym, co się przed chwilą wydarzyło. Mimo to w jakimś surrealistycznym następstwie tej gwałtownej i wyczerpującej sceny czuła się zmuszona, by dowiedzieć się wszystkiego dogłębnie.

- Jak długo to trwa? - zapytała.

Jasper jęczał coś nieinteligentnie z poziomu podłogi, a Rose, obejmując go teraz ramionami, okrywała mu twarz pocałunkami, podczas gdy jej własna zalana była wciąż łzami rozmazującymi makijaż.

- Jak długo? - powtórzyła Abbey.

- Przyszedł się ze mną zobaczyć jakiś czas po tym, jak wyjechałaś na wyspy - odpowiedziała matka, trzymając nadal w dłoniach głowę Jaspera, ale patrząc na Abbey. - W Ameryce mu się nie powiodło. Pocieszyliśmy się wzajemnie - dodała wyzywająco, nawet w takiej sytuacji nie potrafiła przestać grać. - Oboje byliśmy zdruzgotani i znaleźliśmy w swoich ramionach wsparcie. Czy możesz nas za to winić? Czy to aż taka zbrodnia?

Abbey spojrzała prosto w oczy matki i powiedziała:

- Myślę, że doskonale wiesz, co zrobiłaś.

To, co ujrzała w zielonych tęczówkach, utwierdziło ją, że ma całkowitą rację.

Rose, podobnie jak Martin, wybrała zdradę, nie zważając na miłość, bez jednej chwili zastanowienia.

Jasper trzymał twarz w dłoniach i kaszłał, Rose nadal cicho popłakiwała. Abbey w milczeniu zastanawiała się nad swoją sytuacją. Uświadomiła sobie, że zostało jej tylko jedno rozwiązanie.

- Gdzie mieszka mój dziadek? - zapytała. - Gdzie jest ta farma?

Rose przestała płakać.

- Nigdy nie pozwolę ci pojechać do tego złośliwego starucha - oświadczyła. - Przysięgłyśmy, że nigdy już tam nie wrócimy.

- Nie, Rose - odparła Abbey. - To ty przysięgłaś, że nigdy tam nie wrócimy. Ja miałam pięć lat i o ile pamiętam, byłam tam całkowicie szczęśliwa.

- Jak możesz? Chyba pamiętasz, co zrobili twojej babce?

- Wiem tylko to, co ty mi opowiadałaś, a jak mogę wierzyć w cokolwiek, co mówisz? Szczególnie teraz? Po nim?

Spojrzała na nieruchomo skulonego Jaspera. Rose milczała.

- Powiedz mi, gdzie jest mój dziadek, bo jeśli nie, to wyślę moją historię do „OK!”, podając przy okazji twój prawdziwy wiek. - Abbey nie ustąpiła. - Opowiem im, jak zmusiłaś mnie, żebym pozbyła się dziecka mojego chłopaka, potem wysłałaś mnie na drugi koniec świata, a sama się za niego wydałaś.

Matka czknęła, rozpatrując wszystkie konsekwencje spełnienia groźby.

- Powiem im też, że mój ojciec był Cyganem, który pracował w wędrownym cyrku, i że nawet nie znałaś jego nazwiska. - Temat ojca Abbey stanowił tabu przez te wszystkie lata i nigdy nie dostała od matki w tej sprawie satysfakcjonującej odpowiedzi. Zawsze chciała poznać prawdę, ale podejrzewała, całkiem słusznie zresztą, że byłby to słaby punkt w plątaninie kłamstw, jakie snuła Rose.

Rose puściła Jaspera i opadła na podłozie obok niego, opierając się plecami o stół z telefonem, z nogami wyciągniętymi do przodu, niczym zepsuta lalka. Otwierała i zamykała usta jak ryba wyrzucona na brzeg.

- Ty mała dziwko - powiedziała wreszcie.

Abbey poczuła, jak twardnieje jej serce. Jak to możliwe, że ta kobieta potrafiła ją jeszcze zranić?

- Powiedz mi - zażądała.
- Już nigdy się do ciebie nie odezwę - zagroziła Rose.
- Nigdy już nie chcę cię słyszeć - odparła Abbey -
powiedz mi.
- Coolarney House - wyszeptała Rose. - Schillies.
Hrabstwo Cork.

Abbey obróciła się na pięcie, poszła po torbę do salonu, po czym minęła Rose i Jaspera i otworzyła drzwi ich mieszkania.

- Jeśli pojedziesz do dziadka, między nami wszystko skończone - odezwała się jej matka lodowatym tonem. -
Mówię poważnie.

Abbey odwróciła się, by na nią jeszcze raz popatrzeć. Czowała się kompletnie pusta. Miała wrażenie, że powinna cieszyć się z własnej siły i triumfu, ale nie mogła. Było jej przykro, została upokorzona i zbrukana.

- A czy coś między nami kiedykolwiek było, Rose? -
zapytała. - Poza twoim i moim nazwiskiem na akcie urodzenia? - Spojrzała na Jaspera, który wciąż krył twarz w dłoniach, by nie dać się wmieszać w tę sprawę. - No tak, i poza nim.

Jej matka nagle przestała ukrywać, jak wielka wściekłość ją ogarnia, i zapominając o wszelkich pozorach elegancji, zerwała się na nogi.

- I zapytaj tego starego knura, co się stało z twoją babcią!
- wrzeszczała z podestu za Abbey, która szła w stronę windy.

- Zapytaj go też, co jest zakopane pod jego ukochaną fabryczką - załkała, kiedy winda stanęła. - Zobaczysz! -
krzyczała Rose. - Jeszcze się dowiesz. To ci dopiero... - ale drzwi windy zamknęły się za Abbey. Wokół niej panowała cisza, która jak płaszcz otulała ją wraz z jej hańbą i wstydem.

Kiedy już wszystko jest wymieszane i pozostało tylko czekanie, i minie odpowiedni czas, przychodzi taka chwila i wcale sobie z was nie żartuję, jest taka jedna chwila, gdy wszystko się łączy i zdajesz sobie nagle sprawę, że to, co było mlekiem, staje się już serem.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Przed godziną trzecią Brian Clancy znowu poległ. Zrezygnował z kanapek, w zamian uzupełniając herbatę przyniesioną przez Avis sporą porcją whisky z piersiówki. Podczas gdy jego konkurenci dyskutowali o problemach świata - na przykład o wyższości pasty z tuńczyka nad tuńczykiem w płatach - siedział sobie, całkowicie zadowolony, podrzemując i pochrapując. Nie można tego było powiedzieć o Thomasie Brennanie. Ten biedny człowiek praktycznie rwał się do działania i gdy nadeszło popołudnie, jego pseudobiznesowa cierpliwość została nadużyta do granic możliwości.

- To doprawdy śmieszne! - zachnął się, gdy popołudniowe cienie urosły na tyle, że słońce prawie całkowicie zniknęło z podwórka i czekający na pracę opierali się o ścianę fabryczki, by złapać ostatnie promienie. - Czy oni myślą, że nie mamy nic lepszego do roboty przez cały dzień niż stać tu i czekać na audiencję? - zapytał Thomas, spoglądając na dom w poszukiwaniu jakichś śladów życia.

- Myślę, że stwierdzenie, iż rzeczywiście nie mamy nic lepszego do roboty - zamruczał Fergal - nieźle oddaje sytuację większości z nas.

Thomas rzucił mu kwaśne spojrzenie.

- Mów za siebie, Fergal - oświadczył w swój nadęty sposób. - Ale ja na przykład prowadzę interes i każda chwila kosztuje mnie pieniądze.

- A jaki to właściwie interes, Thomas? - zapytał Fergal, a w jego oczach pojawiły się niebezpieczne błyski. - Właśnie chcieliśmy cię zapytać.

- Też coś! - Thomas zawrzał z gniewu. - Mam dosyć. Podszedł do drzwi kuchennych i zaczął w nie z całej siły walić.

- Pani O'Regan! - wrzeszczał. - Pani O'Regan! Proszę otworzyć!

Słyszając te wrzaski, Fee zerwał się z fotela i rzucił do okna.

- Thomas Brennan wpada w histerię! - ogłosił podekscytowany. - Woła cię, Avis. Masz zamiar zejść?

- I tak muszę iść. - Podniosła wzrok znad cerowania i sprawdziła godzinę. - Już prawie czas dojenia. - Spakowała przybory do szycia w staroświecką torbę z materiału i spojrzała na Corriego. Był dzisiaj nie w sosie, co jej bardzo ciążyło na sercu, za to Fee tryskał energią, co z kolei w tych okolicznościach wydawało się nieco bez sensu.

- A kto powiedział, że musi mieć? - zapytał bezczelnie Fee. - Dlaczego wszyscy zawsze oczekują, że to wszystko ma sens? A może właśnie nie ma. Może nawet nie powinno mieć. Czy kiedykolwiek przyszło wam to do głowy?

- Och, przestań, Josephie, to niegrzecznie - złąła go.

- A co on robi? - zapytał Corrie.

- Po prostu czyta mi w myślach, a ja tego nie lubię - odpowiedziała Avis. - Uważam, że to świadczy o złych manierach.

- No już dobrze - odparł zawstydzony Fee. - Ale czy człowiek w mojej sytuacji nie ma prawa do odrobiny rozrywki?

Corrie i Avis popatrzyli na siebie, wążąc za i przeciw, i jednocześnie odpowiedzieli:

- Nie!

Co prawda był chory, ale najwyraźniej nie aż tak. Kiedy ten złośliwy chochlik zniknie z jego oczu, pozwolą mu na odrobinę rozrywki. Na razie lepiej nie.

- Czy chcecie, żebym coś z nimi zrobiła? - zapytała Avis, spoglądając na Corriego znad okularów i kiwnięciem głowy wskazując okno. - Przyspieszymy odrobinę?

- To może być niezły pomysł. Nie chcemy przecież, żeby zmarli. Co na to powiesz, Josephie? Czy przyszedł czas na próbowanie sera?

Fee aż dygotał z podniecenia na swej placówce przy oknie i nawet nie słyszał, co do niego mówi Corrie. Avis westchnęła. W najlepszych momentach trudno było zrozumieć sens tego, co robił Fee, a dzisiaj to zadanie wydawało się całkiem beznadziejne.

- Brian Clancy znów pociąga z butelki - stwierdził rozradowany. - Ma facet zdrowie, niech Bóg nad nim czuwa.

Przespacerował się z powrotem do fotela i zasiadł w nim. Kiedy już się umościł wygodnie, jego stopy nie sięgały podłogi.

- Co w ciebie dzisiaj wstąpiło, Josephie Feehan? - zapytała Avis. - Można by powiedzieć, że wygrałeś los na loterii.

- Nigdy nie wiesz, co cię czeka za najbliższym rogiem, Avis O'Regan - odpowiedział, a jego błękitne oczy zaśniły.

Corrie przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Czy jest coś, czego nam nie mówisz, Josephie? Czy tam na zewnątrz znajduje się jednak jakiś serowar?

Fee próbował poskromić swój znakomity humor, na wypadek gdyby jego przeczucia miały się okazać równie musujące jak otwarty dzień wcześniej szampan, ale ponieważ przeczucia nigdy wcześniej go nie zawiodły, nie było żadnych powodów, by w nie wątpić dzisiaj.

- Chciałem tylko powiedzieć, że nigdy nie wiesz, co cię czeka za chwilę.

Avis zwróciła oczy ku niebu, po czym skierowała się w stronę salonu.

- W takim razie przeprowadzamy test sera - powiedziała z jedną ręką już na klamce. - Tak dla zabawy. A ty możesz przyglądać się z okna.

Obaj - i Corrie, i Fee - skinęli głowami na zgodę. Obaj też się uśmiechali.

- Thomas - powiedziała Avis, otwierając kuchenne drzwi w chwili, gdy najbardziej niecierpliwy z oczekujących już miał je wyłamać. - Czym ci mogę służyć?

Biedak był już purpurowy z gniewu.

- Możesz przekazać swoim pracodawcom - był tak rozwścieczony, że mówiąc, pluł - że trzymanie kandydatów na rozmowę kwalifikacyjną na prażącym słońcu przez sześć godzin jest wysoce nieprofesjonalne.

- Nikt cię nie poczęstował rano herbatą? - zapytała słodko Avis. - A potem lunchem?

- Możesz przekazać swoim pracodawcom - kontynuował Thomas, kompletnie ignorując jej słowa - że nie jest to odpowiedni sposób poszukiwania najbardziej odpowiedniej osoby do tej pracy i na przykład ja nie zamierzam stracić już ani minuty mojego cennego czasu, stercząc tu z tymi... tymi...

- Innymi kandydatami? - podsunęła usłużnie Avis.

- Tymi beznadziejnymi kreaturami - Thomas poprawił ją dobitnie. - I potępiam brak zasad zaprezentowany tu dzisiaj.

- Czy mam w takim razie przekazać moim pracodawcom, że nie jesteś zainteresowany tą pracą? - zapytała Avis.

- Owszem - powiedział Thomas i przyglądziwszy włosy dłońmi, odwrócił się na pięcie i ruszył podjazdem.

- A kto tu potrzebuje zasad - odezwał się Fergal, czarująco uśmiechając się do Avis, kiedy już odprowadził

wzrokiem Thomasa - gdy ma się okazję spróbować wypieków Avis? Czy pogratulowaliśmy ci kulinarnych talentów?

- Zachowaj miód na języku do drugiego etapu - odparła Avis, obrzucając Fergala spojrzeniem, zanim wycofała się do kuchni, skąd wróciła po chwili z wielką tacą serów. Postawiła ją na składanym stole i wyprostowała się, zacierając dłonie, podczas gdy kandydaci przyglądali się serom - wszyscy z wyjątkiem Briana Clancy'ego, który spał w najlepsze.

- Oto wybór serów z prywatnej kolekcji Corriego i Fee, w tym kilka z Coolarney, a kilka z innych miejsc - oświadczyła Avis. - Zostawię je tutaj i pójdę do obory, bo zbliża się pora dojenia, a potem wrócę, a wy mi powiecie, jakie to sery. Czy wszyscy zrozumieli?

Brian zachrapał. Fergal i Mickey wyglądali na zmartwionych, a Jamie nie mógł się skupić, po części ze zmartwienia, że Avis musi dać sobie sama radę z dojeniem, a po części z powodu jakichś dziwnych odgłosów, które dochodziły do niego zza domu.

- Po pierwsze - powiedziała Avis - zadam wam bardzo proste pytanie dotyczące wyrobu sera. Odpowiedź będzie się liczyła w ostatecznej punktacji.

- Jest punktacja? - denerwował się Mickey.

- Oczywiście - odparła Avis. - Posłuchajcie, wszystkie sery z Coolarney wytwarza się w dwóch wielkościach: kilo i dotko.

Fergal i Mickey skinęli głowami.

- W takim razie - kontynuowała Avis - co to jest dotko? Mickey się rozluźnił. Znał odpowiedź.

- Może otworzymy okno, Joe? - zapytał Fee, spoglądając w dół. - Chcę słyszeć, co mówią.

- Zgodnie z irlandzką tradycją jest to mały ser, który babka narzeczonego daje narzeczonej w dzień ślubu - z dumą wygłosił Mickey.

- Co za bzdura - stwierdził Fergal. - Wcale nie. To jest kształt, jaki powstaje na ziemi przy pierwszym strzyknięciu mleka, jeśli doisz krowę bez cebrzyka.

- A dlaczego ktoś miałby doić krowę bez cebrzyka? - chciał się dowiedzieć Mickey.

- Żeby wiedzieć, jaki kształt ma dotko, ty głupku. Avis spojrzała pytająco na Jamiego, na którego twarzymalowała się niepewność.

- Nie mam pojęcia - powiedział. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Avis uśmiechnęła się znacząco, po czym skierowała kroki do obory, pozostawiając trzech mężczyzn pochylonych nad tacą z serami. Po dobrej minucie milczenia Mickey wskazał wreszcie swoim spiczastym kijem wspaniałą zielonożółtą skórę.

- To wygląda obrzydliwie - powiedział, a jego stara twarz zmarszczyła się i skurczyła.

- Nie dotykaj, Mickey - krzyknął Fergal - twój kijaszek siedział do połowy w tyłku Dermota McGratha.

- Ale nie ten koniec, ty głupku. Wiedziałbym, gdybym doszedł tak daleko.

Jamie nie mógł się skupić, bo znowu usłyszał jakiś dźwięk dochodzący gdzieś z dzikich rododendronów rosnących między domem, fabryką a oborą.

- Słyszycie to? - zapytał, ale starsi mężczyźni go zignorowali.

- Śmierdzi jak zgniłe jajo - stwierdził Mickey, wciąż wykrzywiając się z obrzydzeniem.

- Coś słyszę - powiedział Jamie, odsuwając się od sera w stronę oplecionej różą bramy. - A wy?

- Jamie pobiegł w krzaki - zaraportował Fee, mimo że Corrie stał tuż za nim. - A Brian śpi.

Tuż za rogiem budził się właśnie Kit. Ujrzał przed sobą małe stworzenie przypominające trolla, spoglądające na niego gniewnie. Wyglądała jak tamto coś, co Niamh włożyła do jego pudła z zabieranymi z firmy rzeczami, gdyby to powiększyć i zmyć zieloną farbę.

- Może pan coś wie o Jezusie? - zapytał troll.

Kit zamrugął ze zdziwienia i wyprostował się. Musiał dość długo spać, bo słońce znajdowało się dużo niżej, niż kiedy siadał na drewnianej ławce - potwierdzał to kompletnie zdrętwiały kark.

- Witaaaam! - odezwał się znowu troll, zdaniem Christophera, całkiem sarkastycznie jak na chrześcijanina i zapytał znowu: - Może pan coś wie o Jezusie?

- Jestem baptystą - odparł Kit, masując bolący kark. - A przynajmniej moja rodzina jest, co pewnie oznacza, że tak, co nieco wiem.

Jakbym nie miał dotąd dość powodów, by zabić Niamh, gdy ją spotkam znowu, pomyślał. Troll spoglądał na niego speszony, a potem uśmiechnął się nagle i to uśmiechem tak promiennym, że Kit zaczął się zastanawiać, czy to przypadkiem nie jest jednak dalsza część snu.

- Nie zrozumiał mnie pan - wykrztusił wreszcie troll i śmiejąc się serdecznie. - Jezus to kot. Wielki, pomarańczowy kot. Znalazłam Marię i Wszystkich Świętych, ale po Jego Wysokości nie ma ani śladu, a jest już po czwartej, więc małe kochane dotko będzie umierać z głodu.

Kit sprawdził z przerażeniem zegarek. Troll miał rację. Była prawie czwarta trzydzieści. Musiał przespać ponad trzy godziny.

- Jestem Lucy - odezwał się znowu uśmiechnięty troll i Kit dostrzegł nagle, że ma przed sobą wcale nie jakieś dziwaczne stworzenie, tylko całkiem ładną punkową dziewczynę z masą dredów związanych na czubku głowy, w

zbyt wielu warstwach czarnej odzieży i z łańcuchami wiszącymi wzdłuż ud.

- A ja jestem Kit - odpowiedział z uśmiechem, który Lucy potrafiła docenić. Wyciągnął rękę i uścisnął jej dłoń, kiedy wreszcie mu ją podała. Dotyk tej drobnej ciepłej łapki był bardzo przyjemny.

- Czekam tu na Avis O'Regan - wyjaśnił.

- Tutaj? - roześmiała się Lucy. - Musiałbyś mieć bardzo dużo szczęścia. Jest tylko jedna rzecz, której bardziej nie znosi niż słońca i jest nią ogród. Mówi, że widok kwiatów ją zasmuca. Beznadziejne, co? - Spojrzała na Kita, który wyraźnie wyglądał na przybitego. - Nie czekałeś zbyt długo?

- Spotkałem chłopaka, który stąd wyszedł, i on kazał mi tu poczekać na Avis. Powiedział, że jest dzisiaj wściekła i nie powinienem jej wchodzić w drogę.

- Avis wściekła? Nie sądzę - powiedziała Lucy, myśląc jednocześnie, że nawet lekko przygnębiony Kit wygląda wspaniale. - W niej nie ma za grosz złości. Prawdę mówiąc, jest tak dobra, że chce się rzygać. Teraz już pewnie jest w oborze, bo nadchodzi pora dojenia, ale możesz na nią poczekać w domu. Corriemu i Fee nie będzie to przeszkadzało. Pewnie nawet nie zauważą. Przesłuchują dziś kandydatów do pracy przy serze i jest tu dziś taki zbiór ptasich mózdków, jakiego w życiu nie widziałeś. Ten, który ci kazał czekać tu na Avis, musiał być jednym z nich. - Wzruszyła ramionami, a po chwili zastanowienia zapytała: - Czy to była góra mięsa w śmiesznej czapeczce?

Kit roześmiał się na tak dobry opis.

- Tak - powiedział. - Mówił, że pogryzły go szczury. Dziwaczne, nie?

- Chodź - odrzekła Lucy. - Zaprowadzę cię.

Kit podniósł swój bagaż i ruszył za nią, minęli szklaną werandę i weszli do domu. Ciemny korytarz prowadził do

dużej przytulnej kuchni, gdzie Lucy wskazała Kitowi miejsce przy potężnym drewnianym stole ustawionym przy ścianie.

- Lepiej, żebym już poszła - oświadczyła, otulając się mocniej ciężką skórzaną kurtką. - Powiem Avis, że czekasz tu na nią.

Na zewnątrz jeden z kandydatów do pracy spał między dwoma beczkami z kwiatami, które stały wzdłuż ściany fabryki. Dwóch pozostałych spoglądało bezmyślnie na tacę z pleśniowymi serami. Lucy nie zwróciła w ogóle na nich uwagi, tak samo zresztą jak przez cały dzień, i ruszyła ścieżką do domku dojarek, żeby zabrać swój sprzęt. W połowie drogi zatrzymał ją widok wystającego z krzaków tyłka okrytego dżinsem.

- Wszystko dobrze - dochodziło z krzaków. - No, już, już... Szszszsz.

Przestraszona, niewiele myśląc, wymierzyła w wystający zadek silnego kopniaka.

- Ajjjj! - wrzasnął Jamie Joyce, wyskakując spomiędzy liści wprost na rozgniewaną Lucy.

- Po co to zrobiłaś? - zapytał urażonym głosem.

Lucy spoglądała na jego czerwoną spoconą twarz i pomyślała, że może kopniak był jednak przedwczesny.

- Wystawał - powiedziała, mimo wszystko starając się zachować marsa na twarzy. - Przez to miejsce wyglądało nieporządnie.

Jamie postanowił zmienić temat.

- Tam jest kot i myślę, że zaraz będzie miał dzieci.

Lucy nawet nie zauważyła, że chłopiec ma kłopoty z mówieniem.

- Rudy? - zapytała nagle przestraszona. - Gruby i rudy? Jamie skinął głową.

- Jezus! Pokaż mi gdzie.

Jamie cofnął się, by wpuścić Lucy między liście.

- Tuż poniżej najniższej gałęzi rododendronu. - Pokierował nią. - Jest coś w rodzaju gniazda. Widzisz?

- Jezus - wyjęczała Lucy. - Jezus!

- Nic się nie dzieje. - Jamie, zaalarmowany jej zdenerwowaniem, próbował ją uspokoić. - Dobrze daje sobie radę.

- Nie - uspokoiła go Lucy. - Ten kot nazywa się Jezus. Jezus będzie miała kociaki! Boże, muszę iść. Czas doić krowy. Czy możesz tu z nią zostać, dopóki nie wrócę? To potrwa tylko godzinkę. Góra dwie. Znasz się na kociakach?

- Wychodzą z kotów. - Jamie się uśmiechnął. - Tak, znam się na kotach.

Lucy spojrzała na niego podejrzliwie, po czym biegiem ruszyła w stronę domku. Ale po chwili stanęła i spojrzała na niego. - A tak przy okazji, myślałam, że nie mówisz.

- Zazwyczaj nie mam nic do powiedzenia - odpowiedział.

- Rozumiem - przyjęła ze zrozumieniem jego wyjaśnienie.

- Do zobaczenia za godzinę. Nie pozwól, żeby coś jej się stało.

Kiedy zniknęła, Jamie wpęłzył z powrotem w krzaki.

Do Kita siedzącego w kuchni dochodziły fragmenty najdziwniejszej rozmowy, jaką mu przyszło słyszeć w życiu.

- Jesteś pewien, że to jest w ogóle ser? - zapytał z powątpiewaniem Fergal.

- Ten kwadratowy zawinięty w plastik na pewno tak - powiedział Mickey, wskazując laską. - Ale niech mnie, jeśli wiem, czy ten fioletowy jest.

- Jasne, weź kawałek z tego, co zostało na twoim kiju, Mickey, i dajmy to Brianowi. Jeśli się obudzi, zapytamy go, czy wie, co to jest, a jeśli nie, no cóż, nawet nie zauważy.

Mężczyźni zachichotali niczym pensjonarki, a Mickey wsadził kij w największy z serów. Kiedy przekłuł skórkę, uwolnił zapach przebijający nawet ten, który wydobywa się z miejskiej męskiej toalety.

- Boże - jęknął Fergal, zatykając nos. - Wsadź mu to do gęby, zanim się porzygamy.

Mickey pochylił się tam, gdzie leżał zaśliniony Brian, a obok niego prawie opróżniona butelka. Wepchnął kij w usta śpiącemu i zostawił ser na dolnych zębach. Brian odkaszlnął, potem przełknął ser i nagle usiadł wyprostowany i otworzył oczy.

- Przejrzały stanser schafchas - wyrzucił z siebie. - Szwajcarski. - A następnie osunął się znów na ziemię i spokojnie zachrapał.

Mickey i Fergal wpatrywali się w niego ze zdumieniem.

- Czy ty to słyszałeś? - wyszeptał Mickey.

- Może zaraził się od Jamiego Joyce'a wadą wymowy - zastanawiał się Fergal - czy jednak była to nazwa sera?

- Niech mnie, jeśli wiem - odpowiedział Mickey. - Spróbujemy jeszcze jeden.

Przykuśtykał do tacy i uciał kijem kawałek następnego sera, po czym odwrócił się do Briana i powtórzył operację testowania. Raz jeszcze Brian odkaszlnął i głośno przełknął ser. Mickey i Fergal wpatrywali się w niego. Brian zachrapał cicho i oblizwał wargi.

- To, co usłyszeliśmy wcześniej, musiało być chrapnięciem, Mickey, jak myślisz?

Brian otworzył jedno oko, które jednak spoglądało błędnie.

- Picodine feuille chabis - powiedział. - Francuski. Mickey i Fergal popatrzyli na siebie.

- Wprowadza nas w błąd, co? - zapytał podejrzliwie Mickey i złośliwie szturchnął kijem umazanym w serze w pierś Briana. Ale ten spał dalej.

- Trudno powiedzieć, naprawdę - odparł Fergal. - Wydaje mi się, że kiedyś pracował w jakiejś fikuśnej restauracji w Dublinie. Słyszałem kiedyś w pubie, jak opowiadał. Ale czy to

brzmiało dla ciebie jak angielski, Mickey? Daj mu kawałek tego niebieskiego.

I znowu starzec odłamał laską kawałek tym razem błękitnego sera i wepchnął go do ust Briana.

- Gamedo! - wrzasnął drzemiący smakosz. - Najlepszy hiszpański ser. - I kolejny raz zsunął się do pozycji leżącej.

- Trudno powiedzieć, naprawdę. - Fergal podrapał się po głowie. - Sam nie jestem najlepszym specem, jeśli chodzi o sery.

- No to już jest nas dwóch - powiedział Mickey. - Prawdę mówiąc, wcale nie lubię tego paskudztwa.

- Zgadza się z tobą całkowicie, Mickey. Chleb z masłem mogę jeść codziennie, ale z serem, o nie, dziękuję bardzo.

Popatrzyli na siebie.

- Czy to samo chodzi ci po głowie, co i mnie, Mickey?

- Jeśli to, co myślisz, ma związek z kuflem piwa i kiełbaskami na okrasę.

- Zdecydowanie tak.

- No to myślimy o tym samym. - Mickey spojrzał na Briana. - A co z nim zrobimy?

- Widziałem, jak pokonywał większe odległości w gorszym stanie, niż jest teraz - powiedział Fergal, ciągnąc Briana za jedno ramię. - Jeśliby nawet się nie budząc dostał pracę i znalazł skarb, tylko by wystawił nas na pośmiewisko. Bierz go z drugiej strony, na górze popchniemy go, a na dole zgarniemy.

Fee przyglądał im się z niedowierzaniem z okna.

- Zniszczyli sery kijem Mickeya, wepchnęli je do gardła temu zdechlakowi, a teraz wszyscy odchodzą - nie mógł się nadziwić.

Corrie podniósł wzrok znad komputerowego pisma.

- To ilu ich zostało na przesłuchanie?

- Żaden - radośnie oświadczył Fee. - Nie ma nikogo. Corrie odłożył pismo.

- Nie rozumiem cię, Josephie - powiedział. - Przegraliśmy. To się nie uda. Nie znamy nikogo, kto... więc czemu masz tak świetny humor?

Fee spojrział na niego zagadkowo.

- Człowieku małej wiary - odezwał się. - Czy znasz skądś słowa: „nie martw się”, ty stary dziadygo? Rusz no tyłek i zjedźmy na dół na kawałek brie, będzie dojrzały za dziesięć minut. Podejrzewam, że mamy do niego odrobinę chateauf - du - pape - a może guigal?

- Dobrze - odpowiedział jego przyjaciel wręcz ponuro. - Ale który rocznik?

- Dziewięćdziesiąty ósmy, oczywiście - odpowiedział jego przyjaciel. - I nie próbuj mnie przyłapać. Powinieneś już wiedzieć, że to ci się nie uda.

Obietnica wina z serem pokrzepiła nieco Corriego, podniósł się i ruszył ku schodom. Wiedział, że nie powinien się czuć tak zawiedziony dzisiejszym wynikiem. Trudno oczekiwać, że znajdą kogoś odpowiedniego od razu pierwszego dnia. A nawet w pierwszym miesiącu. Czy choćby w pierwszym roku. Ostatecznie nie każdy może być serowarem. Wręcz mało kto. I nawet Corrie nie wiedział, kogo właściwie szukają. Po prostu kogoś z pewnym czymś. Ser rozpozna tę osobę. I, najprawdopodobniej, Fee także.

Wszedł do kuchni, gdzie zaskoczył go widok smutnego mniej więcej trzydziestoletniego mężczyzny siedzącego przy stole. Corrie usłyszał, że Fee na jego widok aż westchnął.

- Mam nadzieję, że nie weźmiecie mi za złe - powiedział mężczyzna z amerykańskim akcentem - ale zrobiłem sobie kawę. Pewnie Avis O'Regan zapomniała o mnie.

Corrie przez chwilę przyglądał się silnym gładkim dłoniom trzymającym kubek z parującą kawą i pociągłej miłej

twarzy nieznajomego. Odwrócił się do Fee, który uśmiechał się tak szeroko, że aż się wydawało, iż uśmiech odpadnie mu z twarzy.

- Jestem Kit Stephens - odezwał się Kit i wyciągnął rękę.

- Joseph Corrigan - Corrie podał mu swoją - a to jest Joseph Feehan.

- Jesteście serowarami - powiedział Kit.

- Owszem - odparł Fee - i chętnie z tobą o tym porozmawiamy.

- Ze mną?

- Jak długo czekasz?

Kit poczuł się zakłopotany.

- Zjawiłem się jakoś tak w porze lunchu, ale pewien facet w śmiesznej czapeczce powiedział mi, żebym poczekał w ogrodzie, i siedziałem tam, aż taka dziewczyna, no z masą włosów, szukała kota i przyprowadziła mnie tutaj... jakieś trzy godziny temu.

Jego tłumaczenia przerwało delikatne pukanie w kuchenne drzwi.

- Dziękujemy, ale już nie potrzebujemy pracownika! - krzyknął Fee, nie spuszczając wzroku z Kita.

- Wiem, że ogłosiliście, że szukacie pracownika - powiedział Kit - i wydaje mi się, że zaszło nieporozumienie...

Znowu rozległo się stukanie, tym razem mocniejsze.

- Miejsce już zajęte! - krzyknął znowu Fee. - Ale dzięki za fatygę. Może następnym razem.

- Przyjechałem zobaczyć się z Avis O'Regan - próbował wytłumaczyć Kit. - Chciałbym tu jakiś czas zostać. Ja tylko...

Znowu rozległo się pukanie, tym razem bardziej natarczywe.

Fee otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nagle znieruchomiał, jakby coś zrozumiał. W ułamku sekundy

znalazł się przy drzwiach, otworzył je i wpuścił kolejnego gościa.

Była średniego wzrostu, miała duże brązowe oczy i długie włosy koloru rdzy. Wyglądała na zmęczoną i może nawet nieco przestraszona. Ale miłą, pomyślał Kit. Stała na progu kuchni nieco zgarbiona od ciężkiej torby i tego, co ją tu przywiodło, najwyraźniej niepewna, co powinna zrobić czy powiedzieć. Z gardła Corriego wydobyło się coś jakby pomiędzy gulgotem a sapnięciem, w chwili gdy zrozumiał, kto przed nimi stoi. Pojedyncza łza opuściła jego oko i szybko potoczyła się po pomarszczonym policzku. Poza tym nie wykonał żadnego ruchu - zamarł cały w mieszaninie lęku i nadziei.

- Abbey - powiedział cicho, jakby głośniejsze słowo mogło ją spłoszyć. - Abbey.

Oczywiście, nie możesz spocząć wtedy na laurach, bo jest jeszcze trochę do roboty.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Pierwsze, co zauważyła Abbey, to że kuchnia pachniała słońcem i cynamonem. Staroświecki piec węglowy zbudowany przy ceglanej ścianie po drugiej stronie pomieszczenia był na wpół przykryty suchymi skórkami cytryny i pomarańczy i w powietrzu unosił się lekki zapach cytrusów. Podłogę zrobiono z dużych kwadratowych czarno-białych płytek, a na blatach po obu stronach zlewu zobaczyła stosy owoców i warzyw, ziół i kwiatów, butelki z egzotycznie wyglądającymi napojami, bochenki chleba, nieprzyzwoite ilości sera i mnóstwo kolorowych słoików z przetworami. Na ścianach wisiały pęki suchej lawendy, sąsiadując z kolekcją kapeluszy i upierzonym ptactwem, miała nadzieję, że nieprawdziwym (przynajmniej jeśli chodzi o ptaki). Na półce stało mnóstwo miedzianych naczyń, w których odbijały się ostatnie promienie wpadającego przez okno słońca.

Na ławie przy długim stole siedział gładko wygolony młody człowiek z workami pod oczami, najwyraźniej należący do wyższej klasy społecznej. Postawny wysoki starszy mężczyzna wymawiający jej imię był jej dziadkiem, a mały gruby nie. Tyle Abbey wiedziała. Poza tym świat wydawał się jej jednym wielkim zamieszaniem.

- Co to jest „dotko”? - zapytał nieoczekiwanie niski grubasek, zwracając się do eleganckiego mężczyzny.

- Jestem Kit - powiedział Kit.

- Jestem Abbey - powiedziała Abbey.

- Co to jest dotko? - nie ustępował niski człowieczek. - Czy masz jakiś pomysł?

- Fee - powiedział Corrie, otrząsając się z paraliżu. - To jest Abbey.

Fee uśmiechał się tak szeroko, że jeszcze moment, a twarz rozpadłaby mu się na dwoje. Włożył rękę do kieszeni i podszedł do Abbey, wyciągając ze swych niemożliwie obrzydliwych spodni garść kolorowych cukierków. Wzięła jeden i powoli rozwinęła z papierka, a potem włożyła do ust. Corrie patrzył na to oniemiały. Ten stary pierdoła przestał nosić słodczyce w kieszeniach ponad dwadzieścia lat temu. Skąd mógł wiedzieć, że ma je włożyć dzisiaj znowu?

Kit przyglądał się tej scenie z rosnącym zakłopotaniem. Nie znał tych ludzi, ale powietrze aż gęstniało od ich tajemnic. Był pewien, że za chwilę wydarzy się coś bardzo osobistego i bardzo bolesnego.

- No i jak, wiesz? - zwrócił się do niego Fee. - Co to jest „dotko”?

Rozsądek podpowiadał, że w tych okolicznościach pytanie jest niestosowne, ale ponieważ nikt się nie odzywał, Kit pomyślał o dziewczynie o wyglądzie trolla, która poszukiwała w ogrodzie kota.

- Coś małego i uroczonego? - zaproponował. - Jak na przykład kociątko?

Fee o mało nie uniósł się nad podłogą z zadowolenia.

- To trzeba uczcić - ogłosił zachwycony. - Zamierzam przygotować pieczeń.

- Właśnie widziałam się z Rose - powiedziała Abbey, obracając cukierek w ustach. - Nie poszło nam najlepiej.

- Czy mogę ci pokazać twój pokój, Abbey? - zaproponował nieporuszony tym Corrie.

- Mógłbyś? - zapytała, po czym ruszyła za dziadkiem.

Dom był labiryntem korytarzy, drzwi, podestów i schodów. Przez liczne szpary i otwory dostawały się smugi słonecznego światła, w których tańczyły drobinki kurzu, tak

że wszystko wyglądało jak obsypane złotym czarodziejskim pyłem. Na końcu korytarza na pierwszym (a może drugim, straciła orientację) piętrze Corrie zatrzymał się i otworzył drzwi, po czym cofnął się, wpuszczając Abbey do środka.

Pokój był ogromny, z dwoma dwudzielnymi oknami otwieranymi w górę i w dół, porośniętymi z zewnątrz bluszczem i wychodzącymi na rozbuchany ogród. Na łóżku - szerokim, wysokim i puchatym - leżała patchworkowa kapa okrywająca białą płócienną pościel. Żółte ściany ozdobiono gdzieśdelikatną czerwienią maków, a przy ścianie rozpięta była staroświecka toaletka. Zasłony miały ten sam zgaszony odcień czerwieni co maki. Przy przeciwległej ścianie stała komoda, a na niej mlecznożółta miska i dzban na wodę, obok wazon w podobnym kolorze pełen prawdziwych czerwonych maków. Tu również musiał zadziałać dzisiaj Joseph Feehan, pomyślał Corrie.

- To był pokój Rose - powiedział cicho, rozglądając się wokół. A po chwili dodał: - Tutaj się urodziłaś.

Pamiętał tamten dzień, jakby to było wczoraj. Rose, przerażona i wściekła, przeklinała i obwiniała ich za wszystkie własne problemy, jednocześnie rozpaczliwie ich potrzebując i nienawidząc siebie za to. Wydawało mu się tamtego dnia, że serce mu pęknie z rozpaczyny nad piękną, zagniewaną córką i z lęku o życie, które miała właśnie wydać na świat. Ale w chwili gdy pojawiła się Abbey, wszystko się zmieniło. Wydawało się, że nawet Rose pokochała tę maleńką, ciemnowłosą i ciemnooką prześliczną kruszynę, która tak łatwo wydostała się na świat, że nie umęczyła nawet swej delikatnej matki.

Corrie nigdy nie czuł się tak blisko Rose jak tamtego dnia, przytulał ją tak samo jak ona tuliła Abbey. Pomyślał wtedy, że jego córkę da się jeszcze uzdrowić. Że może on wraz z Fee i Avis staną się dla niej wystarczającą rodziną. Ale nie trwało

długo, a córka wróciła do starych sztuczek, stosując swój prywatny zestaw tortur wobec tych, którzy ją kochali. A kiedy Abbey skończyła pięć lat, Rose odkryła sposób, jak najgłębiej zranić swego ojca, zabierając wnuczkę daleko, daleko od niego. By nigdy już jej nie przywieźć.

A jednak oto była tu.

Abbey podeszła do łóżka i usiadła, sprawdzając jego sprężystość.

- Nie wiem, jak się do ciebie zwracać - powiedziała, spoglądając na dziadka oczami tak ciemnymi, że nie potrafił zrozumieć, co się za nimi kryje.

- Wszyscy mówią do mnie Corrie - odparł, uznając, że coś, co bardziej przypominałoby o ich rodzinnej relacji, mogłoby być na tym wczesnym etapie zbyt trudne.

- Nie miałam gdzie pójść - odezwała się Abbey prawie przepaszająco. - Mam nadzieję, że wam nie przeszkadzam. - Przesuwała palcem po szwach, łączących sąsiednie kwadraty kapy.

Przeszkadzać? Corrie nie mógł znieść myśli, że ta cudowna, samotna, zagubiona dziewczyna może uważać, że nie jest tu mile widziana. Tak bardzo chciał wziąć wnuczkę w ramiona, by ukoić jej smutek i lęk, i nigdy, już nigdy jej nie wypuścić. Ale zbyt dobrze wiedział, że rany zadane przez Rose nie goją się ani szybko, ani łatwo.

- Ależ oczywiście, to jest twój dom - powiedział tak obojętnie, jak tylko potrafił. - Możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz.

W tym delikatnym momencie chciał tylko skierować Abbey na mniej bolesną ścieżkę. Póki nie będzie gotowa, nie będą rozmawiać o jej złamanym sercu. Już miał wyjść z pokoju, ale zatrzymał się jeszcze:

- Wiem, że tego nie widać - rzucił od drzwi - ale Fee jest ciężko chory.

Abbey spojrzała na niego zdziwiona.

- Ser się zepsuł - mówił dalej - co prawdopodobnie na razie nic dla ciebie nie znaczy, ale zwiastuje nieszczęście.

Abbey siedziała na łóżku, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Jesteśmy za starzy na ser... a przynajmniej na jego robienie. Chodzi o to, Abbey, że Fee właśnie wczoraj zadał pytanie, czy Abbey nie mogłaby zostać serowarką? Czy Abbey nie chciałaby wrócić do domu i robić sera? I oto jesteś. Po tych wszystkich latach. To wydaje się...

Po raz pierwszy od opuszczenia Ate'ate Abbey poczuła, jakby jej coś zajaśniało w głowie, to była nadzieja.

- To wydaje się... - powtórzyła jak echo.

- No cóż. - Corrie starał się nie przedobrzyć. - To wydaje się właściwe. Jakoś.

Popatrzyli na siebie, ale dzieliło ich jeszcze morze niezadanych pytań i nieudzielonych odpowiedzi.

- Pozwolę ci się zainstalować - powiedział. Widział w niej rezerwę, ale jednocześnie wiedział, że jeśli pozostanie tu, na farmie, z pewnością on i czas, i może ktoś jeszcze pomogą jej stanąć znowu na nogi. - Będzie z ciebie znakomita serowarką, widzę to - dodał i zamknął drzwi.

Abbey padła na łóżko i starała się uspokoić wirujące myśli. Ucieczka z Ate'ate wydawała się teraz snem, podobnie jak dni spędzone na nieutulonym płaczu w poduszki Shirl. Długi lot z Brisbane był już bardziej realny, ale może dlatego że wciąż czuła zapach samolotowego jedzenia. Potem następowała ta zawstydzająca scena z poprzedniego dnia w domu jej matki. A następnie powrót na Heathrow, gdzie spędziła noc w obskurnym pensjonacie, i ranny lot do Cork, a potem autobus do Schillies i wędrówka pieszo do Coolarney House. Pomyślała teraz, że w krótkim czasie przebyła długą drogę. I była zmęczona. Pewnie powinna zapytać o swą babkę. Co się z nią stało? I co miał z tym wspólnego Corrie?

Ale wysiłek poszukiwań wydawał się teraz ponad jej możliwości. Ponadto pomysł, że miałyby robić sery, rozniecił małą iskierkę nadziei, którą lada podmuch mógł ugasić. Jej myśli i wrażenia mieszały się z sobą, a gdy do tego poczuła cudowny zapach pieczeni, odpłynęła w sen.

- Czy wygląda na wegetariankę? - zapytał Fee w pustkę kuchni.

- Nie jestem pewien - odrzekł Kit. - A jak wyglądają wegetarianki?

- Nieważne - powiedział Fee. Teraz, gdy się nad tym zastanawiał, doszedł do wniosku, że Coolarney House najprawdopodobniej nie jest najlepszym miejscem, by stwierdzić, jak wygląda przeciętna wegetarianka, szczególnie w związku z ciążami i tym wszystkim.

Kit podniósł się od stołu.

- Przepraszam - powiedział - ale naprawdę muszę znaleźć Avis O'Regan.

- Wcale nie - odparł Fee. - Czekales cały dzień, chłopcze, to możesz poczekać jeszcze chwilę. A poza tym przydałaby mi się pomoc przy obieraniu ziemniaków i chciałbym porozmawiać z tobą na temat sera.

Kit zauważył, że wszystko, co mówił ten mężczyzna, nie trzymało się kupy. Ale jednocześnie w jakiś dziwny sposób nie miało to znaczenia. Fee wręczył mu płachtę starej gazety, miskę wypełnioną brudnymi ziemniakami i małe coś z gumową rączką i ostrzem, które służyło najprawdopodobniej do ich obierania. Tam, skąd pochodził Kit, ziemniaki nie miały skóry i były sprzedawane na tackach przez chude niczym bociany przyszłe aktorki. Od czasu wypadku Jacey nie zjadł ani jednego posiłku w swoim apartamencie, a z nią też zdarzyło mu się to tylko kilka razy. Westchnął na wspomnienie o Jacey i spróbował skoncentrować się na

obieraczce, tak by zamiast skóry z ziemniaka nie ściąć swojego własnego kciuka.

Fee przyglądał się Kitowi skrycie kątem oka, przygotowując przy blacie krowią nogę. Wiedział, że się nie myli co do niego. Biedaczysko spędził cały dzień na palącym słońcu, a i tak miał dość rozumu, by dojść do tego, co to dotko. Zjawił się w Coolarney odpowiedniego dnia w odpowiednim czasie. I miał fantastyczne długie palce. Które obecnie miały problem z obieraniem ziemniaków, to prawda, ale jeśli pominąć zdolności manualne, posiadał wszelkie cechy urodzonego serowara.

- Nie musiałeś zbyt dużo pracować rękami, co? - zagadnął Fee, gdy kolejny ziemniak wypadł z rąk Kita i potoczył się po podłodze.

- No cóż, to zależy od tego, co uznaje pan za „dużo” - odparł Kit, szukając zbiega pod stołem, a znajdując go pod własną nogą. - Pracuję w finansach, jako broker, więc moimi narzędziami pracy są głównie telefon i komputer.

- To coś jak sekretarka? - zapytał bez większego zainteresowania Fee.

- Pewnie można tak powiedzieć - przyznał Kit. - Jeśli odejmiemy się wszystkie zera, można porównać to do pracy sekretarki. Więc Abbey i Corrie nie widzieli się dobry szmat czasu? - zapytał z kolei on, zmieniając temat. Na jego twarzy malowało się pełne skoncentrowanie na opornych ziemniakach.

- Zgadza się - odparł Fee. - Wiele lat spędziła na wyspach na Pacyfiku, robiąc dobre uczynki.

To pasuje, pomyślał Kit. Miała w sobie coś z niezbyt zadbanej chrześcijanki.

- A kim ona jest? Jego wnuczką?

- Zgadza się - powtórzył Fee, ucierając tymianek, czosnek i cytrynę z oliwą w staroświeckim moździerzu.

- A gdzie jest jej rodzina? - zapytał Kit i nagle zaciął się ostrzem. Patrzył z przerażeniem, jak smużka krwi spływa po źle obranym kartoflu.

- My jesteśmy jej rodziną - odparł Fee, gdy stukot butów tuż za drzwiami ogłosił nadejście przynajmniej pół tuzina rozgadanych kobiet. - Chociaż ma w Londynie matkę.

W tym właśnie momencie do kuchni wpadła niesłychanie podekscytowana Lucy, za którą podążał Jamie i rząddek dziwnie wyglądających dziewczyn w ciąży.

- Jezus się właśnie okociła i ma sześć absolutnie cudownych kociaków - wyrzuciła z siebie Lucy, podbiegając do zlewu, by nalać sobie szklankę wody. - Mieszczą się dwa w dłoni, ale nie radziłabym tego sprawdzać - oznajmiła, pokazując wszystkim podrapany nadgarstek.

Kiedy zrzuciła z siebie kurtkę, Kit dostrzegł zaokrąglenie jej brzucha i uświadomił sobie, że ona także jest w ciąży.

- Wygląda na kompletnie wykończoną, biedactwo. Więc jak myślicie, kto jej to zrobił? I jak zareagują Maria i Wszyscy Święci? O, cześć! - Nagle zobaczyła Kita i w tym samym momencie zakryła usta w geście przerażenia. - A niech to szlag! Zupełnie zapomniałam powiedzieć Avis, że tutaj jesteście!

- Cześć - odezwała się Jack, siadając koło Kita i zabierając mu obieraczkę. - Nie zwracaj na nią uwagi. - Pokazała na Lucy. - Jest w euforii. Kim jesteś?

- Jestem Kit - odrzekł, czując się znów kompletnie nie na miejscu. Nie bardzo rozumiał, gdzie się znajduje.

- A ja Jack, szósty miesiąc - przedstawiła się, przesuwając nieco, by jej bliźniaki mogły się wygodnie ułożyć, i obierając ziemniaki w astronomicznym pędzie. - To są Tessie i May, czwarty miesiąc z kawałkiem, a ona - pokazała na Wilhie, która opierała się o drzwi plecami, wydając z siebie odgłos ulgi - jest Wilhie. Prawie ósmy. Jesteśmy ciężarnymi śpiewającymi dójkami wegetariankami.

Kit roześmiał się, ale nikt mu nie zawtórował.

- To nie jest żart - powiedziała znad zlewu Lucy. - Jesteśmy jak nowy gatunek.

- Właśnie - dodała Wilhie, myszkując po kredensie pełnym czekoladowych deserów - Ciężozaurusy.

Kit roześmiał się znowu. Teraz już był pewien, że przeszedł przez jakieś zaczarowane lustro i znalazł się w świecie równoległym. Wilhie wyciągnęła wreszcie blaszane pudło z ciasteczkami, którego szukała, a hałas panujący w kuchni wzrósł do dość przerażającego poziomu. Talerze i szklanki dzwoniły, kredens skrzypiał przy ciągłym otwieraniu i zamykaniu, drzwi lodówki wydawały się w permanentnym ruchu, a na dodatek ktoś włączył radio na stację jazzową, stwarzając tło muzyczne. W środku tego rozgardiaszu pojawiła się postać, którą Kit natychmiast uosobił z Avis O'Regan.

- On jest tutaj - usłyszał głos Fee, przekrzykujący zgiełk.

- A więc jesteś - powiedziała Avis. Nachyliła się nad siedzącym Kitem, który poczuł, jak ciepła uśmiechnięta twarz przytula się do jego policzka. Pachniała różami i gorzką czekoladą i przez moment Kitowi zrobiło się słabo. Wydawało mu się, że wyszeptała do niego: „Jesteś bezpieczny”, ale zanim te słowa dotarły do jego ucha, kobieta była już po drugiej stronie kuchni i sprawdzała wołowinę.

- Abbey wróciła do domu - poinformował ją Fee. - Przygotowuję pieczeń.

- Abbey wróciła do domu? - Avis spoglądała na niego z niedowierzaniem, a w jej głosie zadźwięczały podniecenie i radość. A więc to dlatego był tak spokojny przez cały dzień, ten stary lis, pomyślała. Oczywiście przeczuł jej przyjazd. Dlatego upierał się, by odświeżyć pokój Rose. W tym momencie przyszła jej do głowy mniej miła myśl.

- Więc widziała się z Rose?

Fee skinął głową, przyprawiając mięso.

- Widziała.

Avis patrzyła badawczo na jego pomarszczoną twarz.

- I jak, dobrze się czuje?

- Powiedziałbym, że w tym momencie nie za bardzo - odparł Fee. - Ale wkrótce dojdzie do siebie. Z małą pomocą przyjaciół. Może jednego w szczególności. - Uśmiechnął się i skinął głową w stronę Kita.

- O nie! Nie będziesz wysmażał mi tu niczego, co smażenia nie potrzebuje, słyszysz, Josephie? - ostrzegła go Avis. - Ostatecznie nie rozmawiamy o ludziach w najlepszej kondycji. Wilhie, nie powinnaś pić gazowanej oranżady w twoim stanie - podniosła nieco głos. - Weź mleko. Którego mamy dość. A jeśli już mówimy o mleku - zwróciła się znowu do Fee - co z nowym serowarem?

Fee jeszcze raz pokazał głowę Kita.

- Wszystko będzie w jak najlepszym porządku, Avis. Mamy odpowiedniego mężczyznę i odpowiednią kobietę. Czy możesz uwierzyć w taki traf?

Avis przyjrzała się Kitowi, próbując bezskutecznie otworzyć słoik z piklami, który jej podała Lucy.

- Daj mi go tutaj - powiedziała Jack. Otworzyła słoik jednym ruchem.

- Jesteś pewien, Josephie? - zapytała z powątpiewaniem Avis, kiedy Jack żartobliwie próbowała namówić Kita, by ten zmierzył się z nią na rękę. - On nie wygląda jak serowar. I nie przyjechał tu, by robić ser.

- Możesz mi w tym względzie zaufać, podobnie jak ufasz mi w innych sprawach, pani O'Regan. - Fee nie miał żadnych wątpliwości.

- Wiesz o jego żonie? - W głosie Avis czaił się niepokój.

- Wiem o jego żonie.

- I człowiek w jego stanie będzie się nadawał do tego, by robić ser?

- Doświadczenie mi mówi, że nie ma takiego stanu - rzeczowo odpowiedział Fee - którego nie dałoby się znacznie poprawić dzięki przebywaniu z serami. Zwłaszcza naszymi.

- A to kto? - Avis spoglądała zaskoczona na nieznaną parę nóg.

Fee do tej chwili nie dostrzegł Jamiego, ale trudno było go ignorować teraz, kiedy stał na stołku pośrodku kuchni, reperując łańcuch, który utrzymywał wieszak na naczynia pod sufitem. Łańcuch zerwał się trzynaście lat temu i od tego czasu garnki wisiały na jednym ze starych krawatów Corriego. Jamie jednak miał odpowiednie narzędzia i w tej właśnie chwili łączył brakujące ogniwo.

- A, to ty - uśmiechnęła się Avis. - Nie poznałam cię, patrząc pod tym kątem.

Ujrzała, jak czerwona fala rozlewa się od jego szyi aż do czoła. Jamie po raz pierwszy wszedł do domu i przez ekspozycję na stołku pośrodku kuchni stał się bardzo widoczny. Spojrzała pytająco na Fee, który wzruszył tylko ramionami i rozłożył ręce w geście: „mnie nie pytaj”.

- May! - wrzasnęła Avis, dostrzegając, co się dzieje przy stole. - Nie zmuszaj Kita, by jadł ciasteczka, skoro tego nie chce. Wystraszysz na śmierć biedaka.

- Twój podopieczny i Abbey - powiedział Fee, znowu się uśmiechając. - Mówię ci.

Avis zastanowiła się na chwilę nad tą perspektywą. Wcale jej nie cieszyła. Ale dyskusja z Fee nie miała żadnego sensu. Ani teraz, ani nigdy. Lepiej było po prostu poczekać i zobaczyć. Pomyślała za to o dreszczu, jaki poczuła od najmniejszego palca u nogi po czubek skomplikowanej fryzury przypominającej babkę z owocami, na samą myśl, że Abbey jest znowu pod ich dachem. Po tych wszystkich latach.

Ona i Kit zjawili się w tym samym czasie, dokładnie wtedy, gdy Corrie i Fee potrzebowali kogoś, kto by pomógł im robić ser. To rzeczywiście wyglądało bardziej jak magiczny przypadek, pomyślała Avis. Uwielbiała takie przypadki.

- Dziewczęta, dziewczęta, dziewczęta! - zawołała, by uspokoić zamieszanie. Wysokie głosy tworzyły ogłuszający harmider, aż trudno było zrozumieć, kto mówi do kogo. - Dziewczęta! - krzyknęła znowu, wreszcie zwracając na siebie uwagę. - Ktoś nowy i bardzo specjalny dołączył dzisiaj do naszej rodziny.

Jack tak trzepnęła Kita w plecy, że aż zaczął kasłać, a dziewczęta chórem wiwatowały wokół.

- Ciii... Jestem pewna, że Kit jest kimś wyjątkowym, ale mówię teraz o Abbey Corrigan, wnuczce Josepha.

Paplanina dziewcząt ucichła.

- Abbey wróciła do domu po długim pobycie za morzami - mówiła dalej Avis - więc zamierzamy przygotować dzisiaj trochę bardziej uroczystą kolację. Dla mięsożerców Fee przygotowuje pieczeń - zignorowała wszystkie „oj” i „pfuj” - więc proponuję, żebyście teraz poszły do siebie i może by Jack przygotowała zapiekankę z fasolki?

Spojrzała na zegarek, było już wpół do ósmej. W słoneczne letnie dni czas biegł inaczej.

- Spotkamy się tutaj o dziewiątej, dobrze?

Dziewczęta zerwały się na nogi, wydając zaskakująco wiele różnych jęków i stęknień, po czym zniknęły za drzwiami, zabierając ze sobą cały zgiełek. Pozostał tylko Jamie, stojący ze zmieszana miną pod wieszakiem, i zmieszany Kit, zupełnie już niewiedzący, gdzie się znalazł.

- Pomyślałem sobie, że przyjdę jutro po dojeniu - Jamie zwrócił się do nikogo w szczególności, patrząc uważnie na swoje stopy - i zreperuję dach fabryczki. Od strony obory odrywają się dachówki - aż skurczył się, przestraszony swoim

nowym wcieleniem - i przy następnej dużej burzy mogą całkiem odlecieć.

- Świetnie - zgodził się Fee. - Zostaniesz z nami, żeby coś zjeść?

Jamie znowu poczerwieniał, ale uśmiechnął się i wyciągnął z kieszeni mały śrubokręt.

- No to poprawię drzwi od kredensu, żeby nie skrzypiały, jeśli już tu jestem, dobrze? - I od razu się zabrał do roboty. Avis skinęła na Kita, by podążył za nią do domku Fee, gdzie miał się zatrzymać.

- Osiem lat! - Potrząsnęła głową, maszerując przez dziedziniec. - Osiem lat i nic się z niego nie dało wyciągnąć. Co za dzień!

- Zazwyczaj nie jest tak rozmowny? - zapytał Kit, włączając się do pogawędki.

- Pracuje przy stadzie od czasu, gdy skończył dwanaście lat, i rzadko kiedy słyszałam, żeby się odezwał - powiedziała Avis. - Biedactwo jest tak nieśmiały, że nawet Marii nie patrzy w oczy. Chyba ze sto razy prosiłam go, żeby przyszedł do kuchni na herbatę, i nigdy nie wykazał najmniejszej chęci, ale dzisiaj... dziwny dzień.

- Więc pan Feehan tutaj mieszka? - zapytał Kit.

- Nawet go nie zauważysz - zapewniła go Avis, otwierając drzwi do domku ukrytego za kępą platanów po przeciwnej stronie podjazdu niż zabudowania gospodarcze. Miał taki sam czerwony dach jak fabryczka i domek dziewcząt, ale był z gładkiego kamienia, pomalowany na biało, a nie z szarego łupku jak pozostałe. Kit musiał pochylić głowę, wchodząc do środka. Znalazł się w skromnym pomieszczeniu z kominkiem na jednej ścianie, z drugiej strony drzwi prowadziły do sąsiedniego pokoju, a na końcu widać było schody na górę.

- Zostawię cię, żebyś się rozgościł - powiedziała Avis. - Twój pokój jest na górze. Uważaj na głowę. Ogień nie powinien ci być potrzebny, ale jeśliby zrobiło się zimno, w kredensie jest drewno, a w szafie na górze dodatkowe koce. Do zobaczenia o dziewiątej na kolacji.

Już chciała wyjść, ale Kit poczuł nagle przemożną potrzebę zapytania jej:

- Avis, czy oni wszyscy wiedzą, dlaczego znalazłem się tutaj?

Odwróciła się, by popatrzeć na niego, i Kit znowu poczuł, jak roztopia się w jej obecności.

- Dlaczego znalazłeś się tutaj? - zapytała bardziej bezpośrednio, niż się spodziewał.

- Aby odzyskać równowagę? - rzucił, czując się jakoś głupio. - No wiesz, stanąć znowu na nogi?

- Jestem pewna, że z czasem do tego dojdiesz - pogodnie stwierdziła Avis, jakby nieprawidłowo odpowiedział na pytanie. - A tymczasem może praca przy robieniu sera okaże się dobrą terapią? - Ostatnie słowo przeciągnęła tak bardzo, że dopiero po chwili je zrozumiał.

- Praca przy robieniu sera? - powtórzył niepewnie.

- No to ustalone - oświadczyła. - A na wypadek gdybyś tego nie zauważył, to jest trochę dom wariatów. Tak naprawdę nikt nie wie zbyt wiele o pozostałych i całkiem nieźle to działa w ten sposób.

Kit nie wyglądał na przekonanego.

- Nikt nie będzie cię tu osądzał, Kit. - Jej serdeczne spojrzenie złagodziło wątpliwości. - Jesteś tutaj, by uciec od wszystkiego, i znalazłeś się w odpowiednim miejscu - ale od czego uciekasz, to wyłącznie twoja sprawa. Możesz tu robić, co tylko zechcesz, i nie robić tego, czego nie chcesz. Tak naprawdę nie bardzo nas to obchodzi. Czy to nie świetnie? I żeby nie wiem co, będziemy o ciebie dbać.

A potem w jednej chwili już jej nie było, a Kit wykończony, ale jednocześnie dziwnie podekscytowany, wspiał się po wąskich schodkach do swego pokoiku na piętrze.

Oczywiście istnieje coś takiego jak martwy przerób i mimo że masz dobre składniki w dobrym miejscu i o dobrym czasie, mleko pozostaje mlekiem, a nie serem.

Nam się to nie zdarzyło, ale podobno się zdarza.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Corrie i Fee wymknęli się do palarni, by w spokoju wypić kieliszeczek przed kolacją.

- Wyciągnij no coeur de coolarney, Joseph - zarządził tak obojętnie Fee, jakby zdarzało im się to codziennie.

Corrie spoglądał na niego ze zdumieniem.

- Coeur de coolarney? - powtórzył. - Co chcesz zrobić z coeur de coolarney?

Fee wyglądał, jakby coś przeszkrobał, jednak nie ustąpił.

- Nie marudź, tylko zrób, o co proszę - polecił, masując sobie kark, by wywołać u przyjaciela współczucie.

- Chętnie bym to zrobił, gdybyśmy nie dali go tej twojej damie z Golen z czyrakami na twarzy - powiedział Corrie. - Chyba że...

- To, że dama z Golen zdecydowała się pozostać niezamężna, okazało się ostatecznie nie najgorszym rozwiązaniem - poinformował go Fee. - I przestań już na mnie tak patrzeć, tylko wyjmij tę błogosławioną... - po czym machnął jednym ze swych pulchnych ramion w stronę półki z książkami.

Corrie, bardziej z ciekawości, posłuchał go i podszedł do litery „S”. Zahaczył paznokciem „Sery świata” i otworzył fałszywą część biblioteki, odsłaniając fromagerie (Lodówka na sery.) wielkości małej lodówki. Zobaczyli z Fee taką fałszywą bibliotekę w jakimś starym filmie i natychmiast zainstalowali u siebie identyczną. To zawsze działało piorunująco na gości, którzy chcieli zobaczyć „Sery świata”, a

zamiast tego dostawali je na półmisku. Corrie codziennie sprawdzał stan serów i z całą pewnością wiedział, że coeur de coolarney już dawno nie ma. A jednak gdy otworzył drzwiczki, znajdował się tam ser w kształcie serca, gładki niczym z mosiądzu, owinięty w płócienną szmatkę, gotów dla świata, jakby kobieta z czyrakami na twarzy wybrała mimo wszystko los dziewicy.

Ostrożnie wyjął go i odwrócił się w stronę przyjaciela.

- To dla nowo przybyłych - powiedział Fee, jakby chciał coś wytłumaczyć. - A kiedy już tu siedzimy, wyjmij dla nas odrobinę gruyere.

Corrie wyciągnął trójkątny szwajcarski ser z fromagerie i przyniósł go wraz z coeur na serowy ołtarz. Nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Coeur de coolarney był ich tajemnicą sekretnie używaną jako oręż w sprawach miłosnych. Robili jeden taki ser w roku pierwszego czerwca, w rocznicę dnia, gdy dziadek Corriego, Joseph Corrigan, postanowił oświadczyć się babce Corriego, Mary Roberts, w 1893 roku. Kiedy zdecydował dać się usidlić, dziadek Corrigan poszedł na wzgórze za domem i uciął giętką młodą gałąź z ogromnego dębu, który rósł tam nikt nie wie jak długo. Wygiął ją w kształt serca, a następnie z mleka swojej ulubionej krowy zrobił twarożek, który włożył w formę serca i zostawił w piwnicy, dodając dwa kieliszki hiszpańskiego sherry. Co dwa dni odwracał ser, aż po miesiącu stał się on gładki i kremowy z białą pleśniową skórką. Dwa tygodnie później spotkał się z Mary pod dębem, gdzie zjedli razem ser, popili sherry i tak rozpoczął się ich romans, który przetrwał następne siedemdziesiąt lat i został okrzyknięty najszcześniejszym małżeństwem w całej okolicy.

Od tego czasu ser ten był pożądany przez wszystkich usychających z miłości i choć nie mógł utrzymać ludzi razem, potrafił z pewnością zbliżyć ich do siebie. Corrie skorzystał z

jego pomocy, by uwieść swą przyszłą żonę, Maggie, a rok później Fee w ten sam sposób nakłonił Mary - Therese McGrath, by padła mu w ramiona.

Od tego czasu był oferowany z rzadka tym, którzy słyszeli o jego właściwościach, a poprzedniego roku podczas aukcji na eBay ser osiągnął cenę dwóch tysięcy sześćdziesięciu siedmiu dolarów. Akurat ten ser Corrie i Fee podarowali siostrzenicy Maureen McCarthy, Sheili, która skończyła trzydzieści dziewięć lat i nie była zamężna i - jak skomentował Fee, gdy usłyszeli, za jaką cenę został sprzedany - dziewczyna nie była taka głupia, na jaką wyglądała.

Corrie spoglądał na tegoroczny kawałek. Nie bardzo potrafił zrozumieć, w czym miałyby im ten ser dopomóc, ale tak naprawdę w ogóle nic już nie rozumiał z wydarzeń tego dnia. Zawsze mu się wydawało, że gdy Abbey powróci do domu, oznaczać to będzie zacerowanie jego dziurawego szczęścia, ale choć zjawiała się tu parę godzin temu, czuł się bardziej niż kiedykolwiek jak ementaler.

- Wszystko się tak szybko dzieje, Josephie - powiedział drżącym, nieswoim głosem. - Twój kręgosłup, zepsuty ser, ten chłopak z Nowego Jorku, a teraz Abbey. - Gdy wymawiał jej imię, głos mu odmówił posłuszeństwa. Fee nic nie powiedział, pozwolił przyjacielowi mówić. - Tak długo czekałem na ten dzień, na to, żeby Abbey wróciła, a teraz, kiedy tu jest, czuję się zagubiony. Wydaje się taka inna od tej kruszynki, która mieszkała w tym domu wiele lat temu.

I wcale jej nie znam. A ona wygląda na załamana. Kto jej to zrobił? Czy to Rose? Czy powinienem winić siebie? Nie wiem, co z tym wszystkim zrobić.

Fee nie mógł patrzeć na przyjaciela w tym stanie. Corrie lubił, gdy świat był uporządkowany, zawsze to lubił. To była jedna z wielkich różnic między nimi. Fee nie ufał zdrowemu rozsądkowi, wierzył w przeznaczenie, być może dlatego, że

zawsze wiedział, gdzie ich prowadzi. Zazwyczaj potrafił przełożyć to, co sam wiedział, w to, co Corrie chciał usłyszeć, tak by brzmiało to racjonalnie i rozsądnie, ale tego wieczoru było inaczej. Wiedział, że Corrie pragnie usłyszeć, że czas jest wielkim lekarzem i jeśli się pozwoli mu działać, wszystko się dobrze skończy. To była główna dewiza Fee, która prawie zawsze okazywała się słuszna. Ale w tym wypadku, i Fee wiedział o tym dobrze, pozostawienie spraw samym sobie nie było dobrym rozwiązaniem. Tym razem czas nie pracował na ich korzyść. O to właśnie chodziło. Nie było czasu do stracenia. Nie mogli go zmarnować. Zastanawiał się, jak najdelikatniej o tym powiedzieć.

- Wydaje mi się, że Abbey zawiódł mąż i im szybciej wskoczy na kolejnego konia, tym lepiej dla nas - postanowił nie owijać niczego w bawełnę.

- Dlaczego wszystko musi się sprowadzać do jednego? - prychnął Corrie.

- Nie wiem - odpowiedział zgodnie Fee. - Dziwaczne, prawda?

- Nie, nie, nie - Corrie potrząsał głową sfrustrowany. - Chciałem powiedzieć, że życie nie sprowadza się do tej jednej sprawy.

- Sprowadza.

- Nie sprowadza.

- Sprowadza.

Corrie był za mądry, by prowadzić taką rozmowę z Fee. Miał ponad siedemdziesięcioletnie doświadczenie, że nie doprowadzi ich to nigdzie. A jednak...

- Nie sprowadza.

- Sprowadza - odpowiedział z niezachwianą pewnością Fee. - Ale chodzi też o nasz ser i jej zbawienie, więc przestań już biadolić i otwórz wino. Umrę tu zaraz z pragnienia. I

przestań robić takie miny, Josephie, tak, dobrze wiesz, o czym mówię.

- A co się stało z twoimi rękami i nogami, że nie możesz się ruszyć? - chciał wiedzieć Corrie, ale jednocześnie podchodził już do stojaka na wina.

- Więc nie masz litości nad człowiekiem, który cierpi na chroniczny ból? - zwrócił się Fee do pleców przyjaciela, wyginając swoje demonstracyjnie, ale gdy zobaczył, że ramiona Corriego opadają na samo przypomnienie jego choroby, dodał prawie przeprasząco: - No, to nie tak, że cały czas mnie boli.

- Zawsze uważałem, że potrafię naprawić różne rzeczy - tłumaczył Corrie stojakowi na wina. - I dotąd, poza Rose oczywiście, no i pewnie Maggie, myślałem, że zrobiłem sporo dobrego. Ale nie jestem pewien co do tego akurat, Josephie, a to jest prawdopodobnie najważniejsza rzecz do naprawienia. Co, jeśli nie potrafię tego zrobić?

Widok roztrzęsionego przyjaciela ranił Fee i już miał powtórzyć kwestię o wskoczeniu Abbey znowu na siodło, ale pomyślał, że może lepiej nie.

- Zapominasz - powiedział zamiast tego - że już nie jesteś sam, Josephie. Nigdy nie byłeś i nigdy nie będziesz. - Przyglądał się, jak Corrie wyciąga drżącą rękę i kładzie ją na butelkach, jakby ich dotyk miał w sobie coś kojącego.

- Z Abbey wszystko będzie dobrze - mówił dalej Fee tonem sugerującym, że śmieszne jest myśleć co innego. - Wszystko będzie dobrze. Tak jak to się normalnie dzieje, Josephie. Ona jest jak świeży coolarney gold, który leży w piwnicy. Trafiła w odpowiednie miejsce w odpowiednim czasie, teraz tylko my musimy jej dać, co w nas najlepsze i to miejsce również, a rezultat będzie wspaniały. Tak jak zawsze.

Dłoń Corriego oparła się na czerwonym kalifornijskim winie.

- Saintsbury pinot noir - westchnął z zachwytem Fee, zanim jeszcze Corrie zdjął butelkę ze stojaka. - Doskonale.

Corrie wrócił na swój fotel, powłócząc nogami, z winem w rękę i bólem w sercu. Zazdrościł przyjacielowi jego pewności w czasie, gdy jego dopadały wątpliwości. Wątpliwość, czy żyje zgodnie z daną obietnicą, tak jak dotąd uważał. Wątpliwość, czy to wszystko jest coś warte. Wątpliwość, czy to, czego dokonał w życiu, miało jakąś szczególną wartość. Przez długi czas uważał, że jego udziałem było tworzenie sera. Wiedział, że ser, jaki robili, był lepszy niż cokolwiek, co stworzyli ich przodkowie. Zawdzięczali to głównie jego chęci modernizacji i usprawniania produkcji, na co poprzednicy nie chcieliby się zgodzić, ale jednocześnie wyczuciu Fee, w którą stronę powinni podążać. Gdy Fee brał sprawy w swoje ręce, nie było żadnych wahań przy podejmowaniu decyzji. I nawet gdy ser wydawał się dobry, on wiedział, kiedy go można jeszcze ulepszyć.

Potem, spotkawszy Maggie, myślał, że to ona jest tym kimś specjalnym lub kobietą, przy której on może stać się kimś specjalnym. Kiedy stało się jasne, że tak nie będzie, przelał swoje nadzieje na Rose. Gdy córka rosła, coraz częściej miał powody, by w to wątpić, a kiedy Maggie odeszła, zastanawiał się, co złego zrobił, że spotkało go tyle bólu. A to był dopiero początek.

- Przestaniesz bawić się tym winem i otworzysz je wreszcie? - zażądał Fee, wyrywając Corriego ze wspominków.
- To nie jest wino mszalne i nie musisz się nad nim modlić. Usycham na twoich oczach, a korek tkwi ciągle w szyjce.

Corrie wkręcił korkociąg i poczuł, jak jego serce wykonuje jeden radośniejszy podskok, słysząc „hop” korka wyskakującego z butelki i czując zapach pinot.

Fee wciągnął go niczym pies powietrze nad morzem i uśmiechnął się.

- A przy okazji - powiedział - gdybyś przez chwilę przestał się nad sobą użalać, może byś sobie przypomniał o takich drobiazgach jak Avis O'Regan i dojarki.

Czy człowiek nie może być sam ze swoimi myślami, zastanowił się Corrie.

- Nie, nie może, a teraz nalej wreszcie - odpowiedział Fee.

Kiedy Kit powrócił do przepelnionej hałasami wiejskiej kuchni, stoły ugiwały się od jedzenia. Dziewczyny biegały wokół jak pracowite pszczołki, przynosząc pełne półmiski, a między nimi stawiając sery, dzemy, chutneye, musztardy, marynaty, pieczywo i talerze. Dwa ciężkie świeczniki po dwóch stronach stołu, w każdym po dwanaście płonących świec, oplecione były świeżo zerwanymi rozmarynem i fiołkami, wypełniając pomieszczenie silnym zapachem. Avis nakładała warzywa, a Fee kroił pieczeń, podczas gdy Jack usiłowała ustalić, po której stronie stołu zasiądą wegetarianie.

Lucy, nadal w stanie ekstazy z powodu narodzin kociaków, złapała Kita za rękę i siadając, pociągnęła go koło siebie.

- A więc - skierowała na niego swój spiczasty podbródek - jesteś z Nowego Jorku.

Kit się wzdrygnął. Męczyło go, kogo mu przypomina ten mały troll. Kiedy zamrugała zalotnie, zrozumiał. To była Jacey. Nie sama Jacey, ale może jej młodsza siostra. Albo raczej młodsza wersja Jacey, zanim została modelką, zanim przyjechała do wielkiego miasta, no, zanim wszystko się stało.

- Tak, jestem z Nowego Jorku - odpowiedział świadomy, że teraz, kiedy wszyscy rozsiedli się wokół stołu, każdy go może słyszeć. - Przyleciałem wczoraj.

Podniósł wzrok i zobaczył Corriego wchodzącego z Abbey, niezupełnie jeszcze rozbudzoną i koniecznie potrzebującą szczotki do włosów. Jej miedziane loki sterczały

we wszystkich kierunkach poza lewą stroną głowy, gdzie pozostały płasko przyklapnięte, co dawało jej absurdalnie asymetryczny wygląd. Wsunęła się za stół naprzeciwko Kita i oparła bezwładnie o ścianę. Avis szybko przedstawiła wszystkich po kolei, a Abbey tylko czerwieniła się i kiwała głową.

Dziwaczna, pomyślał Kit, jakby nie pasowała do tego miejsca, mimo że z tego, co wiedział, była jedyną osobą tak naprawdę tu przynależną. Fee przyniósł półmisek z pieczenią i postawił go po stronie mięsożernych, intensywny zapach sosu przypomniawszy Kitowi, że nie jadł nic od śniadania u Maureen McCarthy. Obliznął usta i przełknął ślinę; nie pamiętał, kiedy ostatnio miał ochotę na coś do jedzenia. Corrie usiadł u szczytu stołu po tej stronie, gdzie Abbey i Kit, a Fee zajął miejsce naprzeciwko niego, podczas gdy Avis ulokowała się na ławie od strony kuchni między bliźniaczkami i Jamiem.

- Josephie - powiedziała, spoglądając na Corriego - myślę, że to ty powinieneś dzisiaj odmówić modlitwę.

Dziewczęta pochyliły głowy, Abbey i Kit po chwili zrobili to samo.

- Pobłogosław nas, Panie - odezwał się Corrie głosem silnym i czystym, w którym nie było już śladu wcześniejszych wątpliwości i upadku na duchu - pobłogosław to jedzenie i każdego z nas siedzących tu dzisiaj. I dziękuję Ci, Panie, że sprowadziłaś Abbey z powrotem do domu i że opiekowałaś się nią przez te wszystkie lata i dzięki Ci za przysłanie nam Kita, a także za to, że mogliśmy lepiej poznać zalety Jamiego Joyce'a, którego, jeśli przypomnisz mi o tym jutro, poproszę, by pomógł mi przy Starym Pierdzącym Tyłku.

Dziewczęta zachichotały.

- Amen - powiedział Corrie. Kolejne „amen” rozległy się ze wszystkich miejsc wokół stołu, a chwilę potem zaczęto napełniać w niesłychanym pośpiechu talerze.

- Jak długo planujesz z nami pozostać? - zapytała Lucy Kita, nakładając sobie brukselkę.

- Nie jestem pewien. Tak długo, jak ze mną wytrzymacie - powiedział, odbierając od niej miskę z warzywami.

- O, będziemy cię tu trzymać tak długo, jak zechcesz, prawda, dziewczęta? - rzuciła frywolnie Lucy, a Ciężozaurusy zawtórowały jej chichotem.

Kit rozejrzał się, speszony, i zauważył, że Avis patrzy z naganą na dziewczynę.

- Wydaje mi się, że mam jutro uczyć się robić ser - spróbował skierować rozmowę na obojętny tor.

Abbey poczuła coś, co zidentyfikowała jako urazę. Myślała, że to ona ma robić ser.

- W takim razie będziemy o tobie myśleć podczas dojenia - powiedziała Lucy do Kita, wykonując gest ciągnięcia za wymię tak obscenicznie, że Wilhie musiała wetknąć sobie serwetkę między nogi ze strachu, że się posiusia.

- Och, dajcie już spokój - Avis nie była zadowolona. - Czy to jedyny sposób, żeby się popisać przed naszymi gośćmi?

- Mną się proszę nie przejmować - Kit uśmiechnął się do Lucy. - Dawałem sobie radę z gorszymi.

- Mogłabym się założyć, że tak właśnie było - wtrąciła się Jack - więc teraz czas, byś podniósł swe wymagania.

- Josephie, zrób coś z nimi. - Avis spojrzała na Fee. - Czuję się jak podczas sitcomu, a nie mam na to wcale ochoty.

Podniósł wzrok znad krojonej właśnie wołowiny.

- Jesteś naszym czarnym koniem, Avis O'Regan - powiedział i ponownie skierował wzrok na stół. - Komu ziemniaków?

Abbey złapała ciężką miskę pełną kartofli i podała ją Kitowi, żeby przekazał ją dalej. Znaczenie sceny, która rozegrała się na jej oczach, dotarło do niej mimo

spowijającego ją kokonu obojętności i to ją zirytowało. Wszyscy przystojni mężowie zachowują się tak samo, uznała. Nie mają wstydu.

- Co wiesz na temat sera? - Zadając pytanie Kitowi, starała się przybrać obojętny ton, ale niechcący zabrzmiało to jak zaczepka.

- Podejrzewam, że niewiele - odparł - choć moja mama była wielką miłośniczką sera i kiedy byłem mały, dużo go jadłem. A ostatnio mieszkałem tuż obok bardzo słynnego sklepu serowarskiego w Nowym Jorku, U Murraya. Znacie go?

Corrie i Fee przytaknęli entuzjastycznie. Coolarney gold i blue sprzedawały się tam jak świeże bułeczki, sporo też zamawiali Księżnej Grace. A co więcej, Murray przysyłał im na każdą Gwiazdkę dobrego szampana. Bardzo go lubili.

- Powiedziałeś, zdaje się, że twoja matka lubiła ser, tak? - dopytywała się Avis, w której oczach rozbłysły nagle iskierki.
- A gdzie ona mieszka, Kit?

Kit przełknął ślinę, czując, jak mu się robi niedobrze.

- Jest w Vermoncie. - Nagle znowu bardzo chciał się napić.

- A twoja żona? - zapytała Abbey. Znowu nie potrafiła tego powiedzieć obojętnie, zabrzmiało to raczej jak prychnięcie.

- Słucham?

- Twoja żona - powtórzyła Abbey, wskazując na cienką złotą obrączkę na palcu Kita. - Co na to twoja żona, że siedzisz sobie tutaj, w Irlandii, i zamierzasz nie wiadomo jak długo zabawiać się w robienie sera?

Jowialna atmosfera panująca przy stole prysła, dziewczęta jadły w milczeniu, słychać było tylko skrobanie sztućców po talerzu.

- Moja żona - powtórzył Kit nagle schrypniętym głosem. Wszystkie oczy wlepione były w niego. Nóż i widelec zamarły mu ponad talerzem. - Moja żona... - zaczął znowu, upuszczając na talerz sztucce, świadom, że jest w centrum uwagi.

- Zostawcie tego biedaka w spokoju - powiedziała nagle Jack. - Wszystko w porządku, chłopie. Nie musisz nikomu niczego tłumaczyć. - Przechyliła się przed Lucy, by spojrzeć znacząco na Abbey.

- Ale nie jesteś gejem, prawda? - zapytała Lucy, nie ukrywając przerażenia. Jak mogła nie zauważyć obrączki!

- No już, zostawcie go - powiedziała z gniewem Wilhie. - Popatrzcie tylko na niego!

- Możesz sobie być alternatywny - odezwała się łagodnie Jack. - Mnóstwo ludzi jest.

- No ale, na litość, nie wszyscy! - wykrzyknęła Lucy. Jack znowu ją uciszyła. Kit próbował się uśmiechnąć, jednak nie bardzo mu to wyszło. Powoli odłożył na talerz nóż i widelec obok mięsa, na które stracił apetyt, po czym odchrząknął:

- Straciłem żonę trzy miesiące temu - powiedział, nie podnosząc wzroku.

Fee spojrział na Avis, która zajęta była przyglądaniem się temu, co leżało na jej własnym widelcu. No tak, pomyślał.

- Och. - Abbey cofnęła się do swojej skorupy. - Przepraszam. - Czuła, że dojarki patrzą na nią z pogardą, i nie miała im tego za złe, była rzeczywiście okropna. Kit wyglądał na bardzo miłego faceta i nie wiedziała, co ją tak źle do niego nastawiło - poza tym, że wyglądał, jakby nie miał żadnej skazy i wszyscy go od razu polubili.

- No to w takim razie nie jesteś gejem - powiedziała Lucy, starając się nie pokazać po sobie ulgi.

- A ja jestem zamężna - powiedziała Abbey głośno, choć do nikogo w szczególności. W chwili gdy wypowiadała te

słowa, już chciała, by nigdy nie padły. - Ale mój mąż zabawiał się z moimi sąsiadkami.

Nikt się nie odezwał. Przede wszystkim nikt nie był pewien, co miała na myśli. Jamie wyglądał, jakby oczy miały mu wyskoczyć z orbit. Jack znieruchomiała z otwartą buzią pełną jedzenia. Lucy siedziała z taką miną, jakby w nią piorun strzelił. A sama Abbey nie potrafiła uwierzyć, że to powiedziała. Czuła, jak ogarnia ją fala złych emocji.

- No cóż, po prostu z nimi sypiał - dodała, przesuwając z uwagą pagórek jarzyny po talerzu, i czuła, jak wielkie łzy wzbierają w jej oczach. - I one rodziły jego dzieci. - Odłożyła teraz sztucce, by wytrzeć łzy. Walczyła, by odzyskać panowanie nad sobą. - Całą gromadkę. A ja nie.

Corrie patrzył na jej zaczerwienioną twarz i czuł, jak i jemu zbierają się łzy w oczach. Takie nieszczęście. Co się stało z tą śliczną małą dziewczynką?

Avis rozejrzała się wokół i powiedziała dokładnie to, co powinno zostać powiedziane.

- Ja też miałam kiedyś męża - oświadczyła pogodnie - i gorszego łobuza nie spotkaliście w całym swoim życiu. A teraz, Abbey, czy mogłabyś podać Wilhie zieleninę? Potrafi zjeść każdą ilość szpinaku, a Bóg jeden wie, że to dla niej jedyne źródło żelaza.

- Josephie - zawołał Fee z drugiej strony stołu - czy mógłbyś rozwinąć coeur de coolarney, zamiast siedzieć i gapić się w ziemniaki?

- Myślałem, że będziemy też mieli puree - odparł Corrie, zadowolony ze zmiany tematu i z tego, że stół znowu rozbrzmiewał melodią sztucców.

- No cóż, nie widziałem, żeby Wasza Wysokość zgłosił się do pracy w kuchni - odparował Fee.

Te pogodne docinki wywołały śmieszki i powoli cała kuchnia znów rozbrzmiewała gwarem. Tylko Abbey i Kit

siedzieli nieruchomo w milczeniu. Corrie rozwinął ser w kształcie serca i gdy dotarło doń wreszcie znaczenie przerażających min, które przesyłał mu przyjaciel z drugiego końca stołu, ukradkiem położył coeur de coolarney między dwojgiem ludzi zbyt pogrążonych we własnym nieszczęściu, by to zauważyć. Owionął ich zapach irlandzkiego miłosnego sera.

- Bardzo mi przykro - odezwała się wreszcie Abbey - z powodu twojej żony.

Kit wciąż nie mógł wydobyć z siebie słowa ani spojrzeć na nią, więc tylko potrząsnął głową. Odezwał się dopiero po jakimś czasie:

- Przykro mi z powodu twojego męża.

Macki niezwykłego serca czuły opór, ale próbowały się przez niego przebić. Kit miał ochotę wstać i wyjść, ale nie mógł. Czuł się jak przymarznięty do krzesła. Jakby był nagi i wystawiony na widok publiczny i bardziej niż kiedykolwiek marzył o drinku.

Abbey zaś czuła się ciężka jak ołów i nagle rozpaczliwie zapragnęła naprawić wyrządzoną przez siebie krzywdę. Wiedziała, że nie jest zła, i pragnęła, by i inni to wiedzieli. Usiłowała wymyślić coś, by przywrócić humor Kitowi, ale nie potrafiła.

Czuła wokół siebie woń miłosnego sera.

- Zgoda? - zaproponowała wreszcie, nieśmiało wyciągając do Kita dłoń, którą pokrył niewidoczny duch sera niczym rękawiczka.

Kit spojrzał na jej rękę. Wsadź ją sobie w tyłek, pomyślał i już miał to powiedzieć, kiedy i jego dopadł zapach coeur.

- Jasne - powiedział więc. - Czemu nie. - I ujął wyciągniętą dłoń.

Fromage d'amour wydał okrzyk triumfu, a Kit poczuł się tak, jakby go poraził prąd. Od dłoni przez ramiona, w dół

klatką piersiową, przez łądzwie aż do stóp. Siedział wstrząśnięty. Wypuścił dłoń Abbey z westchnieniem i uniósł dłoń do oczu, by się jej przyjrzeć, zdziwiony, że nie ma nigdzie śladu działania ognia. Ale mógłby przysiąc, że wciąż czuje dotyk palców tej kobiety. Spojrzał na nią i to, co zobaczył, wstrząsnęło nim jeszcze bardziej. Rozczochrane wcześniej włosy układały się teraz w równych lokach wokół głowy. Wpatrywała się w niego z takim samym zdziwieniem w oczach jak to, które on czuł, i nie miał wątpliwości, że ona też coś poczuła.

Corrie nachylił się i porwał ser sprzed Abbey, ten nagły ruch wyrwał ją z transu. Spojrzała na niego pytająco.

- Pachnie cudownie - wyjaśnił. - Ale smakuje gównianie.

Była to prawda. Ci, którzy go zjedli, byli zaskoczeni zbyt nachalnym smakiem, pozostawiającym w ustach zapach, jakby się piło wodę z wazonu, w którym za długo stały kwiaty. Kiedy magia się już dokonała, lepiej było trzymać się jak najdalej od sera miłości.

Jeśli potrafisz dostrzec magię w serze, potrafisz ją dostrzec wszędzie.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Kit stał koło Avis, odmawiając wiary w to, co widziały jego oczy.

Poranne powietrze w oborze gęste było od zapachu mleka, szumu deszczu na pąkach róż i popiskiwań kociaków. Ciężozaurusy doily krowy w rytm „Dźwięków muzyki” i przez chwilę Kitowi wydawało się, że krowy naprawdę tańczą. Kiedy się przyjrzał lepiej, zobaczył, że tylko przestępują z nogi na nogę, ale nie dałyby głowy, czy nie robią tego do taktu.

Stojąca po drugiej stronie Avis Abbey była równie zdziwiona. Niedobrze spała, wszystko wokół wydawało się nie takie, jak trzeba. W środku nocy doszła do wniosku, że raz jeszcze znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Była przecież wnuczką Corriego, jednak czuła się mniej częścią tej rodziny niż ktokolwiek inny tutaj. Nie przeszkadzało jej, że otacza ją zbieranina przyszłych matek. Aura niecodzienności odpowiadała jej naturze. Ale było coś, co ją drażniło. I nie umiała tego nazwać. Może coś wysokiego i przystojnego, co powodowało, że dostawała gęziej skórki.

- Co za słodka piosenka - uśmiechnęła się do Avis, patrząc na ręce dojarek pracujących w rytm ulubionej melodii.
- Kiedy pies szczeka, a pszczoła brzęczy, powinno się myśleć o czymś, co cię uszczęśliwia. Czy to z „Pollyanny”?

Kit zerknął ponad Avis, sprawdzając, czy Abbey żartuje.

- To z „Dźwięków muzyki”. No, wiesz, najslynniejszego musicalu wszech czasów.

Avis wdrapała się na traktor i ruszyła w kierunku obory.

- Tak? Nigdy tego nie widziałam - odparła Abbey.

- Nigdy nie widziałaś „Dźwięków muzyki”? - Kit nie mógł uwierzyć. - Myślałem, że to obowiązkowe dla wszystkich dzieci w przedszkolu.

- Tak? No to rozejrzyj się - powiedziała Abbey. - Ile przedszkoli tutaj widzisz? Tu właśnie mieszkałam do piątego roku życia, a potem przeniosłyśmy się do Londynu, gdzie, proszę mi wybaczyć, też nigdy nie widziałam „Dźwięków muzyki”, za to widziałam wiele razy „Les Mis” i „The Rocky Horror Picture Show”. Chcesz mnie przepytąć?

- Nie, bo ja tego nigdy nie widziałem - odrzekł Kit, podchodząc do miejsca, gdzie zatrzymała się Avis, by pomóc jej załadować mleko.

Avis spoglądała na tych dwoje pogrążonych w rozmowie, zastanawiając się, do czego to wszystko doprowadzi. Wiedziała, że Fee pokłada w nich duże nadzieje, ale gdyby sama miała postawić własne pieniądze, nie zrobiłaby tego. Pochodzili z zupełnie różnych światów i już na początku ich wspólnej drogi wydarzyła się poważna kolizja. Gdy patrzyła na Abbey, bolało ją serce, bo dostrzegała, że dziewczyna odziedziczyła po matce niezręczność w kontaktach z ludźmi. Rose radziła sobie z tym w taki sposób, że sama musiała być w centrum zainteresowania, ale Abbey brakowało koniecznej do tego śmiałości - za co, myślała Avis, prawdopodobnie powinni być ogromnie wdzięczni jej matce. Już teraz mogła powiedzieć, że ta dziewczyna ma więcej uczuć w małym palcu niż Rose w całym ciele. Musiała się tylko zdobyć na odwagę, by sobie z tym poradzić. Obecność Abbey, niezależnie, w jakim stanie, uskrzydlała Fee, pomyślała teraz z uśmiechem Avis, choć z kolei przyłapała tego ranka Corriego, jak siedział nad zimną herbatą z takim wyrazem twarzy, że serce aż jej się ścisnęło. Podejrzewała, że przyjazd wnuczki obudził wszystkie wspomnienia o Rose.

Mogła mieć tylko nadzieję, że radość z jednego przeważy smutek z drugiego.

Kit i Abbey wdrapali się na tył przyczepy i siedzieli z nogami dyndającymi w powietrzu, jadąc wraz z Avis do fabryczki.

- W takim razie czy masz jakiegokolwiek pojęcie o Julii Roberts i Meg Ryan? - zapytał Kit.

- Co? Są ze sobą?

- Nie - zaprzeczył. - O tym że są, no wiesz, najlepiej zarabiającymi gwiazdami. I czy używałaś kiedyś poczty elektronicznej lub telefonu komórkowego?

Abbey wzniosła oczy ku niebu.

- Mieszkałam na Wyspach Sulivana, a nie - starała się wymyślić miejsce bardziej odległe, a udało jej się tylko wykrztusić nieprzekonująco - na Islandii. Mieliśmy telewizję satelitarną i DVD wcześniej niż reszta świata, w tym Stany Zjednoczone. - Chciała nawet dodać, że gdyby lepiej się przyjrzał, zobaczyłby, że Abbey ma taką samą fryzurę jak Julia Roberts, a to dzięki ostatniemu numerowi „Być stylowym” oraz fryzjerskiemu zestawowi Imi.

Ależ to jest twardy orzech do zgryzienia, myślał w tym czasie Kit. Można by pomyśleć, że to on zapytał w pomieszczeniu pełnym ludzi o jej nieżyjącą żonę, a nie, że było odwrotnie. Nieżyjącą żonę? Powtórzył to sam do siebie, zastanawiając się, czy kiedyś przestanie myśleć o Jacey. Był zmęczony jej władzą nad jego myślami. Za każdym razem, kiedy zaczynał gdzieś czuć się dobrze, zjawiała się w eleganckiej kiece i sprowadzała go z powrotem na ziemię, wywołując jednocześnie tę pustkę w żołądku, która nawoływała, by zapełnić ją alkoholem.

Zamknął oczy, poddając się kołysaniu traktora. Poranne słońce zapowiadało upalny dzień, ale teraz jeszcze grzało

przyjemnie w kark, wzbudzając uczucie spokoju. Rozluźnił ramiona, przyjmując z wdzięcznością to ciepło.

Abbey przyglądała mu się kątem oka. Nie wiadomo czemu miała cały czas ochotę dać mu mocnego klapsa. Czy dlatego, że był taki przystojny?, zastanawiała się. Tak dobrze ubrany? Tak gładko rozmawiał? Był tak pewien siebie? I miał tyle wdzięku? I tak łatwo szło mu wszystko, czego się dotknął, że aż jej się chciało krzyknąć. A może to z powodu tego, co zdarzyło się między nimi wieczorem przy stole? Nie chodziło jej o rozmowę p jego nieżyjącej żonie. Nie. Chodziło o ten prąd, który ją przeszedł, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Czy może ten prąd przeszedł od niej. Tak czy siak, przeskoczyła między nimi iskra i Abbey nie wiedziała, co to może znaczyć, ale wcale jej się to nie podobało. Po tym wydarzeniu siedzieli jeszcze, jedząc sery, i starając się ignorować siebie nawzajem, aż zmogło ją zmęczenie i pewnie też różnica czasu, tego zresztą użyła jako wymówki, by wymknąć się do swego pokoju, gdzie zresztą nie zmrużyła oka.

Fee poinformował ich wcześniej, że takiej sytuacji jak teraz jeszcze nie było i że oboje mają podjąć pracę przy serach, ale mimo to Abbey była zdziwiona, gdy Corrie zastukał do jej drzwi o szóstej rano.

- Czy kiedykolwiek...

- Czy to pierwszy...

Abbey i Kit równocześnie starali się przerwać nieznośne milczenie, jakie zapanowało między nimi.

- Nieważne.

- To nie ma znaczenia.

Oboje parsknęli mało wesołym śmiechem i z ulgą przyjęli fakt, że dojechali właśnie do fabryczki.

- Najświętsza Panienko - modlił się Fee, przyglądając się, jak szli ku niemu, w czasie gdy Avis zawracała traktorem w stronę wschodniego wejścia i zbiornika na mleko.

Coeur de coolarney tu nie wystarczy. Kit i Abbey bez słowa włączyli mleko do zbiornika, a potem na zapraszający gest Fee weszli do środka, by przyjrzeć się pierwszemu napełnianiu Starego Pierdzącego Tyłka. Corrie chował się gdzieś w kącie, spoglądając stamtąd niczym jastrząb na wnuczkę.

- Ta kupa złomu - powiedział Fee, pstrykając w pasteryzator - ma za zadanie grzać mleko w siedemdziesięciu dwóch stopniach Celsjusza przez piętnaście sekund, a podczas tego procesu zginie większość rzekomo szkodliwych bakterii. Dzięki serdecznie, panie mądralo Pasteur, bo to samo stanie się z większością zapachu.

- Myślisz, że pasteryzowanie sera jest niedobre? - zapytała zbity z tropu Abbey.

- A nie żyło nam się całkiem nieźle bez tego? - odparł gniewnie Fee.

Kit już miał otworzyć usta, żeby się z nim nie zgodzić, ale uznał, że lepiej nie. Abbey brnęła jednak dalej:

- To ser nie zawsze był pasteryzowany?

- Oczywiście że nie! - wykrzyknął Fee, a Corrie mruknął z tyłu: - Jezu. Znowu się zacznie.

- To ostatnie wymagania irlandzkich urzędników służby zdrowia - wyjaśnił Fee z wymuszonym uśmiechem - na wypadek gdyby jeden człowiek na milion gorzej się poczuł przez coś, co może pochodzić, ale też może nie pochodzić od jakiejś substancji zawartej lub niezawartej w serze zrobionym w tym kraju lub pochodzącym z zupełnie innego miejsca. We Francji oczywiście... - zamilkł i uśmiechnął się uspokajająco sam do siebie.

- Szczęśliwie, że ci to przyszło do głowy - sucho rzucił z kąta Corrie.

Abbey i Kit wymienili niepewne spojrzenia.

- Możemy porozmawiać o tym później - oświadczył Fee z wymuszonym spokojem. - Teraz - wskazał na wylot ze zbiornika z mlekiem - nasz cudowny nieszkodliwy eliksir wypłynie tą rurką i zostanie wpompowany dokładnie tu.

Podążyli wzrokiem za jego palcem do zbioru jednakowych rurek ze stali nierdzewnej, które biegły za pasteryzatorem powyginane niczym olbrzymia waltornia, by na koniec rozdzielić się na różne strony wokół beczki Pierdzącego Tyłka.

- I wreszcie mleko wychodzi tędy. - Fee podążył teraz za rurą po drugiej stronie pasteryzatora - do cysterny, w której powstaje ser. Nazywamy ją Anneke.

- Poczekaj - poprosił Kit, wciąż przyglądając się Staremu Pierdzącemu Tyłkowi. - Mleko przepływa ze zbiornika przez pasteryzator i wychodzi tędy?

- Tędy dostaje się do cysterny - powtórzył Fee, klepiąc po boku Anneke - tak jak powiedziałem poprzednio.

- Ale wychodzi z tej rury tutaj? - upierał się Kit. Stał przy zbiorniku, wskazując odpowiednią rurę.

- Jeśli nie nadążasz, mogę mówić wolniej - powiedział nieprzyjemnym tonem Fee, ale Corrie uśmiechał się tylko.

- A właściwie o co ci chodzi? - zapytała niecierpliwie Abbey.

- Nic specjalnego, naprawdę - odparł Kit. - Tylko o to, że jeśli mleko wychodzi stąd i płynie tędy - przesunął swym gładkim długim palcem po rurze, która obiegała Stary Pierdzący Tyłek - i kończy tutaj, to tak naprawdę cały czas jest w jednej rurze.

Fee wlepił wzrok w ziemię.

- A to oznacza...? - usiłowała popchnąć dalej sprawę Abbey.

- A to oznacza, że na żadnym etapie mleko nie przechodzi, hm..., procesu pasteryzowania.

Na chwilę zapadła cisza.

- Jeśli on się zamierza czepiać - w głosie Fee zabrzmiała skarga - to niech sobie od razu pójdzie.

Kit uznał, że nie będzie się obrażał. Jego matka zawsze twierdziła, że sery z okolicznych farm w Vermoncie nigdy nie były pasteryzowane. Wychował się na naturalnie robionych serach o mocnym, ziemnym zapachu i nie miał nic przeciwko temu, że Fee chroni oryginalny smak sera z Coolarney, chociaż martwiły go ewentualne konsekwencje, gdyby zostali przyłapani.

- Więc tylko udajecie, że pasteryzujecie mleko. - Abbey nie mogła uwierzyć.

- Pasteryzujemy wtedy, kiedy musimy - odparł Corrie. - Co zazwyczaj zbiega się z odwiedzinami miejscowego inspektora.

- Pan Wól - powiedział gorzko Fee.

- Oni wszyscy są nieprzyjemni - zgodził się Kit. - Ale czy nie musicie mieć odpowiednich papierów?

- Oczywiście, że musimy i są prowadzone bez zarzutu - oświadczył Fee.

- Musiałbyś daleko szukać, żeby znaleźć papiery prowadzone porządniej od naszych - dodał Corrie.

- Avis robi to co wtorek, a ma kobieta najporządniejsze pismo na świecie. Z takim pismem mogłaby zostać zakonnicą.

Kit nie dał się wyprowadzić w pole.

- Ale czy nie powinniście prowadzić zapisów w trakcie trwania samego procesu? No wiecie, czas, temperatura i wszystkie takie?

- Czy on sobie ze mnie kpi, Joseph? - zapytał Corrie. Corrie potrząsnął głową.

- Prowadzimy bardzo rygorystyczne pomiary czystości, mamy procedury o wysokim stopniu bezpieczeństwa, opracowaliśmy też znakomity system pakowania, no a Fee doskonale wie, kiedy... - Zamilkł i zmienił temat. - Na twoim miejscu wcale by mnie to nie interesowało.

- Czy możemy kontynuować? - zapytał Fee znacząco i otworzył zawór, pozwalając, by popłynęło przezeń mleko.

Zapach ciepłego mleka wpadającego do idealnie czystej kadzi ze stali nierdzewnej wypełnił całe pomieszczenie. Kitowi przypomniał o dzieciach, domach i kuchniach, o wszystkim tym, o czym tak bardzo starał się nie myśleć.

Abbey również poczuła się jak zanurzona w tym zapachu. Przypomniała sobie teraz, że kiedy bywała tu jako dziecko, nie mogła nawet sięgnąć brzegów kadzi. Podłoga była znajoma, podobnie jak dźwięki wydawane przez setki galonów mleka, które rozpoczynały swą podróż ku czemuś znacznie, ale to znacznie bardziej interesującemu. Powietrze w pomieszczeniu było ciepłe i wilgotne, a mimo to dziwnie odświeżające. Czulo się w nim początek czegoś.

- Kiedy kadź jest pełna, sprawdzamy mleko, czy osiągnęło mniej więcej trzydzieści pięć stopni - powiedział Fee, wkładając łokieć w mleko, zamykając jedno oko i wyciągając język.

- Na litość boską - krzyknęła Avis przez drzwi po wschodniej stronie - przestań błaznować!

Fee popatrzył na nich z głupawym uśmiechem i wyciągnął termometr zawieszony na łańcuszku na zewnątrz cysterny.

- Nic nie umknie Jej Wysokości - mruknął. - No, niech ci będzie. - Wetknął termometr do mleka, a rtęć podjechała dokładnie do kreseczki pokazującej trzydzieści pięć stopni. -

No a kiedy mleko ma odpowiednią temperaturę, dodajemy zaczyn.

Corrie podał plastikowy kubek, wypełniony czymś, co wyglądało jak małe granulki, podobne do dmuchanego ryżu. Fee wlał to do mleka, po czym zamieszał długim prętem z nierdzewnej stali, przypominającym ogromną ubijaczkę do kartofli.

- Nie będę wchodził w szczegóły techniczne, ponieważ nie jesteście na to jeszcze gotowi - powiedział Fee, rzucając Kitowi szczególne spojrzenie - ale zaczyn kupujemy i zawiera pałeczki kwasu mlekowego. Dobra staroświecka bakteria. Wiemy dokładnie, co w tym jest, skąd pochodzi, wszystko co trzeba. Żadnej niespodzianki. Jeśli się tego doda do dobrego mleka, otrzyma się dobry ser.

Kit przeniósł wzrok z Fee na Corriego i z powrotem.

- Więc gdzie jest problem?

- Czy brak niespodzianek jest czymś złym? - chciała wiedzieć Abbey. - Czy nie jest dobrze zawsze otrzymać z mleka ser?

- Jesteście ukrytymi agentami rządu czy co? - ponuro zapytał Fee, któremu aż poczerwieniały uszy, kiedy skoncentrowany mieszał mleko.

- Czasami Joseph ma kłopot z akceptacją zmian - powiedział Corrie. - Nie zwracajcie wtedy na niego uwagi.

- Akceptacja, też mi coś - burkliwie skwitował Fee.

- Ale dlaczego nie chcecie, żeby wasz ser był zawsze taki sam? - zapytała Abbey dziadka.

Corrie odpowiedział bardzo szybko, żeby uprzedzić wybuch Fee:

- No cóż, ser jest właściwie taki sam - wyjaśnił - chociaż oczywiście codziennie odrobinę inny, co zależy od dziewcząt, trawy, mleka i także w jakiś sposób ciebie. Ale dzisiejsze różnice są znacznie subtelniejsze niż kiedyś i puryści -

spojrzał na Fee - powiedzieliby, że sto lat temu dużą część przyjemności z porządnego coolarney dawało właśnie oczekiwanie, a nie pewność.

- Podejrzewam, że niespecjalnie pasuje to do nowoczesnych planów marketingowych, prawda? - wtrącił Kit. - Element zaskoczenia nie najlepiej sprzedaje się w dzisiejszych czasach.

- Posłuchajcie go tylko, z całą tą nową mądrością marketingową - mruknął Fee pod nosem, chociaż w duchu był niezmiernie zadowolony, że chłopak tak szybko wszystko łapie. - A teraz, gdybyście przestali przez chwilę gadać i zaczęli uważać - powiedział ważnym tonem - zobaczylibyście, jak dodaję podpuszczkę, która powoduje, że mleko podlega procesowi koagulacji, dzięki czemu powstaje ser.

- A podpuszczka skąd pochodzi? - zapytała Abbey.

- Kiedyś braliśmy ją z cielęcych żołądków - odparł Fee - ale teraz także kupujemy.

- To jest enzym - dodał Corrie - który powoduje, że płyn zamienia się w ciało stałe. Niektórzy używają enzymów roślinnych, ale Jego Wysokość nie chce nawet o tym słyszeć.

- Nie wiesz nawet, jak oni to męczą - wybuchnął Fee. - Kombinują z DNA. DNA drożdży! Czy w ogóle wiedzieliście, że drożdże mają DNA? Niedługo będą hodować ser na plecach myszy.

- Ale co z wegetarianami? - zapytał Kit, myśląc o reakcji Ciężozaurusów na podpuszczkę z cielęcego żołądka.

- No cóż, zawsze mogą kupować ser dla wegetarian, jeśli tylko chcą - odparł Fee. - Ja im nie zabraniam.

Zanim Kit zdążył cokolwiek odpowiedzieć, z biura fabryczki doszła ich kakofonia hałasów.

- Cóż to jest, na litość boską? - zapytał zdziwiony.

- To Ruby i Marie - odparł Corrie. - Przyjmują zamówienia i zajmują się całą administracją, pracują bardzo ciężko, a my to bardzo cenimy.

- Szkoda tylko, że nigdy nam nie dały sposobności, byśmy im to mogli powiedzieć, ale po prostu nigdy nie milkną na dość długo - dodał Fee.

Godzinę później Kit i Abbey czuli się całkowicie wykończeni samym chodzeniem za Ruby i Marie, które zdążyły pokazać im działanie komputerowego systemu przyjmowania zamówień, proces pakowania, a także jak zaparzyć cztery herbaty z jednej torebki i jak tańczyć, nie poruszając ramionami - to szczególnie zdziwiło Abbey, która nigdy nie słyszała o Riverdance. Kiedy wrócili do fabryczki, zastali Corriego i Fee, wpatrujących się z uśmiechem w każdą. W tym czasie ser się wytrącił i teraz pływał w serwatce.

- A to co? - zapytał Kit. Musiał przyznać, że zrobiło to na nim wrażenie, nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad procesem robienia sera. Zaczynało się to od czegoś, co nadawało się do picia, a kończyło na czymś do jedzenia.

- Teraz jest zabawa - powiedział Fee, uśmiechając się. Podał Abbey ostrze i pokazał własnym, jak mieszać i ciąć ser.

- Nie pomyślałabym, że jest na tyle twardy, by dać się ciąć - dziwiła się Abbey, tnąc twaróg. - Ale patrzcie tylko!

Fee wręczył krajarkę należącą do Corriego Kitowi, a potem przyglądał się, jak jego młode silne ramię manewruje ostrzem w twarogu. W porannym świetle wpadającym przez okna Amerykanin przez chwilę wydawał mu się tak podobny do Corriego sprzed czterdziestu lat. Zauważył, że przyjaciel też to zobaczył, i wiedział, co jego przyjaciel poczuł w tym momencie. Oczywiście to, że los podsunął im niczym na talerzu nie jednego, lecz dwóch serowarów tego samego dnia, było fantastyczne, ale z drugiej strony... Życie już nigdy nie będzie takie samo i wiedzieli o tym obaj.

Pomieszczenie, w którym się znajdowali, było wilgotne i gorące, więc cięcie sera okazało się wcale nie takie łatwe, ale przedzieranie się w milczeniu przez skrzypiącą masę i dzielenie jej na coraz mniejsze kawałki sprawiało Kitowi dziwną satysfakcję.

- Czy teraz bryłki są wystarczająco małe? - zapytał, korzystając z chwili przerwy, by wytrzeć czoło.

- Dalej, ty leniwa bryłko - pogonił go Fee. - To nie jest marketing, tylko prawdziwa praca!

Kiedy ser został rozdrobniony na kawałki wielkości okruszków, Fee wyciągnął z boku Anneke rodzaj szpuntu i serwatka zaczęła wypływać wprost na podłogę, gdzie wyłobiony kanał wyprowadzał ją na zewnątrz.

- Gdzie to płynie? - chciała się dowiedzieć Abbey.

- Zazwyczaj z powrotem na farmę - odparł Corrie. - To jest w zasadzie woda z dodatkiem protein, ale pozwala nam zachować równowagę.

- A poza tym żaden głupek nie chciał jej kupić - dodał Fee. Potrafi być naprawdę opryskliwy, pomyślała Abbey.

- Czy już ci mówiłem - odezwał się szczwany lis, spoglądając na nią nieśmiało - że wyglądasz dzisiaj prześlicznie?

Opryskliwy to złe słowo, poprawiła samą siebie. Po prostu jest niesłuchanie bezpośredni.

Kiedy jakaś jedna trzecia serwatki wypłynęła, Fee popatrzył na Corriego. To był bardzo ważny moment dla przyszłości serów z Coolarney, obaj to wiedzieli. Wszystko zależało od tego, co się miało stać w tej chwili. Ich twarze nic nie zdradzały, ale serca biły szybko, gdy pochylili się, by spróbować twarogu. Kit zagarnął garść i podniósł do nosa.

- Pachnie słodziej, niżbym się spodziewał - powiedział. Fee czuł, jak napięcie ściska mu gardło.

- Boże, ależ to jest pyszne - dodała Abbey. Odrobina sera spłynęła z jej warg na podłogę.

- Niesamowite - zgodził się Kit. - Po prostu fantastyczne. Starając się nie zdradzić swego skrajnego napięcia, Fee

zanurzył rękę w cysternie. Podnosił dłoń powoli do warg, zamknął oczy w oczekiwaniu doskonałości. Ale zanim jeszcze ser trafił do ust, wiedział, że coś jest nie tak.

Ten sam smak. Bez wątplenia. I zapach porażki.

Potrząsnął głową delikatnie, a na twarzy Corriego pojawił się cień katastrofy. Zanurzył własną dłoń i włożył do ust ser Kita i Abbey, pragnąc, by ten zaśpiewał i zatańczył na jego wargach, ale tak się nie stało. Siedział na widowni. Może nawet zaklaskał grzecznie, ale to nadal była tylko publiczność. Nie okazując zawodu, zachęcił kiwnięciem głowy swych młodych adeptów, a potem pozostawił Fee, żeby ten pokazał im, jak drugi raz podgrzewać ser, po czym go wysuszyć, a później wkładać w formy aż do ostatniego okruszka.

Kiedy Fee odnalazł go jakiś czas później, siedział w ogrodzie na tej samej ławce, która przez tak wiele godzin poprzedniego dnia dała schronienie Kitowi. Był szary na twarzy i wyglądał staro.

- Jeśli naprawdę uważałeś, że uda im się za pierwszym razem, jesteś większym sklerotykiem, niż myślałem - powiedział Fee.

Corrie tylko westchnął.

- A ty nie oczekiwałeś tego? - zapytał przyjaciela. Fee tylko wzruszył ramionami i usiadł obok.

- Czy to on, Josephie? - zapytał Corrie. - Czy pomyliłeś się co do niego?

- No cóż, nie wiem, ale czy nie moglibyśmy sobie dać, no przynajmniej jeszcze minuty, zanim porzucimy nadzieję i strzelimy sobie w głowy?

Corrie westchnął znowu.

- Pewnie masz rację - odrzekł. - Poczekamy. Co innego możemy zrobić? - Siedzieli w milczeniu, przyglądając się, jak wietrzyk przygina maki w ogrodzie.

- Tyle że nie mamy zbyt wiele czasu - odezwał się wreszcie Fee, siedząc nieporuszenie na ławce. Corrie chciał wstać, ale Fee go zatrzymał. - Nie mówię, że nie ma go wcale - dodał, unikając wzroku przyjaciela.

Corrie usiadł.

- Co właściwie chcesz mi powiedzieć?

- Nic szczególnego. Po prostu uważam, że nie mamy zbyt wiele czasu.

Corrie poczuł, jak ból ściska mu serce. Pierwszy raz w całym swoim życiu Fee, dla którego czas był zawsze najważniejszy, nie miał go już. Fee, który wierzył, że czas uleczy wszystkie rany. Który zawsze czekał, nigdy nie pośpieszał. Fee oddzielony od czasu nie jest sobą, pomyślał Corrie. Jest po prostu niskim, grubym serowarem w śmiesznych butach. To niemożliwe. Poczuł, jak ból w sercu rośnie i zamienia się w kulę stojącą w gardle, gorące łzy napłynęły mu do oczu. Przez chwilę walczył ze sobą, żeby się wziąć w garść.

- W takim razie chodźmy - powiedział, uśmiechając się, choć z trudem, i udając pewność, której w ogóle nie czuł - pokażmy im, jak to się robi.

- Nie, nie, nie - powtarzał Kit. On i Abbey stali oparci o półki pełne form z serami, w pomieszczeniu, które przepełniał zapach sera - była w nowicjacie, ale zamiast zostać zakonnica, została wysłana, żeby zająć się dziećmi von Trappa.

- Kto ją wysłał? - zapytała Abbey.

- Matka przełożona czy jak to się nazywa - odpowiedział.

- Nie wiem dlaczego, ale Maria najwyraźniej nie stanowiła najlepszego materiału na zakonnice. Uciekała cały czas w Alpy ze swoją gitarą i śpiewała.

- Najwyraźniej nie orientujesz się w przymiotach zakonnich.

- No cóż, wiem, że ważny jest charakter pisma - odrzekł Kit, ale Abbey już go nie słuchała, bo pojawili się znowu Corrie i Fee. Kit nie był pewien, czy sobie tego nie wyobraził, ale na widok dziadka zeszywniała. Wiedział, że ledwie się znają, jednak...

Fee rozejrzał się z wyraźną przyjemnością, widząc, że wszystkie jego formy napełnione serem spoczywają spokojnie na półkach i na podłodze.

- Niezły zrobiliście bałagan, wystarczyło się na chwilę odwrócić. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Jutro namoczmy sery w roztworze soli w tej wielkiej stalowej wannie, która stoi tu z tyłu. Tymczasem trzeba odwracać co godzinę formy, żeby sery miały równy kształt, a także by odcisnąć resztkę serwatki.

- A to co za mina? - zapytał Fee, patrząc na Kita. - Znowu masz jakiś problem?

- Po co musicie je solić? - zapytał Kit. Lata spotkań w klubie odnowy biologicznej, gdzie często bywał, zanim Jacey zawładnęła całkowicie jego czasem, spowodowały, że powoli coraz mniej używał soli, aż wreszcie w ogóle mógł z niej zrezygnować.

Fee prychnął bardzo spektakularnie.

- Ratujcie nas wszyscy święci - powiedział. - Jak myślisz, co dzieje się wewnątrz tego naczynia? - Fee postukał energicznie palcem w najbliższą formę, tak że krople serwatki rozprysły się na wszystkie strony. - Mamy tu coś mokrego i ciepłego, do czego dodaliśmy bakterię. To żyje - wyszeptał dramatycznie. - To, co otrzymujemy tutaj, jest rezultatem naszej specyficznej równowagi. Czy wiesz, co to jest równowaga, Kit?

Kit skinął głową. Doskonale rozumiał, na czym polega równowaga. Równowaga, lub raczej jej brak, spowodowała, że znalazł się tutaj.

- Weź trochę tutejszej ziemi - Fee kiwnął głową w stronę farmy - nastrój, w jakim są krótkorogie, to, jaka jest akurat trawa, ilość mleka, jaką otrzymujemy, porę roku i powietrze, zmieszaj to wszystko razem i co otrzymasz?

- Bibbity - bobbity - boo! (Słowa wypowiedane przez wróżkę wysyłającą Kopciuszka na bal, w wersji Disneya.) - wykrzyknęła Abbey. - Ten widziałam!

Corrie roześmiał się, ale Fee jeszcze raz zastukał tylko mocno kostkami w formę, przesyłając przez całą półkę gniewną wiadomość.

- Jeśli nie zaczniecie tego traktować poważnie... - ostrzegł ich.

- No dobrze, dobrze - powiedział Kit. - Ja słucham. Ty lizusie, pomyślała Abbey.

- Musicie czuć to ciepło, tę wilgotność, zapach, samą esencję tego miejsca - mówił Fee, zadzierając w górę swój czerwony nos. - To wszystko, co się tu odbywa.

Zamknął oczy i wciągnął powietrze, a Kit i Abbey razem z nim.

- Ser na tym etapie to dynamit - ciągnął, wysuwając głowę do przodu i wpijając wzrok w pomocników. - Gdyby wszystko szło w tym tempie co teraz, moglibyśmy wysadzić całe królestwo.

Kit poczuł, jak włosy stają mu na karku.

- Sól zatrzymuje wewnątrz życie bakterii, tak byśmy mogli odzyskać kontrolę. Sól zatrzymuje smak i aromat, zamraża równowagę - dodał Fee. - Żebyśmy mogli wybrać właściwy moment.

Zamrożona równowaga, pomyślał Kit. Właściwy moment.

- Używamy tutaj alchemii: przemieniamy płyn w ciało stałe dzięki procesowi zakwaszania, używając podpuszczki jako katalizatora, żeby zatrzymać proteiny - mówił Fee. - Tyle chemii. Każdy może to zrobić. Małpa, trzylatek, broker...

Pokazał Kitowi i Abbey, że mają pójść za nim z powrotem do wnętrza fabryki, i sprowadził ich schodami do złotego pokoju. Stał w pozie pełnej szacunku i skłonił się (przesadził, pomyślał Corrie) przed drzwiami, po czym otworzył je i wślizgnął się do środka, otwierając je szerzej dla innych. Rozchodzący się tam zapach zwałał z nóg. Orzechowy, pomyślała Abbey, ale też trochę jak trawa i może tamarillo, i jakby kwiat kiwi. I była też w tym kwaśność, tak jak pachniały pozostawione przy drzwiach buty Juniora w szczególnie gorący dzień.

- Tak więc podstawową wiedzę każdy może uzyskać - powiedział Fee - ale reszta zależy tylko od nas samych i to się odbywa właśnie tutaj. - Rozejrzał się wokół, spoglądając na starannie opakowane sery leżące na wszystkich półkach. - Przynosimy tutaj coolarney gold i smarujemy go co dwa dni drożdżami, co zmienia smak i powoduje, że skórka staje się jasnożółta. - Wskazał na najbliższy stojak. - Coolarney gold to nie jest ser dla mięczaków. To ser dla tych, którzy naprawdę kochają sery. A jeśli będziemy smarować ser już po tym, jak dojrzeje, znowu zmieni kolor i stanie się złoty, a nawet pomarańczowy - powiedział, pokazując na półki w głębi pomieszczenia.

- Nie chciałbym nikogo obrażać - odezwał się odważnie Kit - ale śmierdzi tu przepoconymi skarpetami.

- Żadna obraza - z zadowoleniem stwierdził Fee - właśnie tak ma śmierdzieć. To są nasi najlepsi staruszkowie. Niczego takiego nie spotkacie na całym świecie. Zawsze się różnimy. Mamy coś, czego nigdzie indziej się nie dostanie. Coś wyjątkowego - podkreślił.

Stali we czworo, chłonąc zapach serów z Coolarney.

- Oto, co robimy - mówił dalej Fee. - Przynosimy nasze doskonale wykalkulowane sery, robione w odpowiedniej temperaturze z odpowiednich składników przez odpowiedni czas - to wszystko, co dziś oglądaliście na górze - tu, do tego pomieszczenia, i pozwalamy, by to się działo. Zawsze tak to się odbywało, czy robiliśmy nasz własny zaczyn i naszą własną podpuszczkę czy też nie. Robimy na górze wszystko, co się da, zgodnie z rygorami, a potem się odsuwamy i pozwalamy pracować farmie, powietrzu, deszczom, księżycowi i samemu pomieszczeniu, w którym stoimy, by odcisnęły się na serach, a one dzięki temu mają markę Coolarney Gold.

W półmroku panującym wokół ujrzeli na jego twarzy uśmiech.

- Jesteście w stanie w to uwierzyć? - zapytał. - To magia sera.

Kit poczuł dreszcz biegnący mu po krzyżu. Miał trzydzieści dwa lata i do niedawna był szanowanym doradcą finansowym. Nosił buty od Prady, bokserki Calvina Kleina i płacił co tydzień sto dolarów za obcięcie włosów. Miał nawet walizki od Louisa Vuittona, na litość boską. A jednak spieprzył swoją równowagę i w rezultacie stał teraz w wilgotnej piwnicy w jakiejś zapyziałej irlandzkiej wiosce. Co za dziwny niedzisiejszy świat, pomyślał, wzruszając ramionami.

Abbey też czuła się roztrzęsiona i przestraszona, jednak z innego powodu. Nie była pewna, czy to zmęczenie, czy stres, nadzieja, a może strach, ale niezwykłość pomieszczenia, w którym dojrzewały sery, spowodowała, że jej serce zaczęło bić w rytmie słów, rzuconych przez Rose, kiedy wybiegała z jej londyńskiego mieszkania. „I zapytaj tego starego knura, co się

stało z twoją babką", słyszała jeszcze krzyk matki. „Zapytaj go tylko, co jest zakopane pod tą jego ukochaną fabryczką”.

Corrie odwrócił się, by coś do niej powiedzieć, ale na odgłos jego kroków rozbrzmiewających w podziemnym pokoju ogarnęła ją panika. Ze szlochem wyminęła starca, z całej siły szarpnęła drzwiami i wybiegła po schodach na górę. Już na zewnątrz oparła się o ścianę, dłonie miała całkiem mokre, coś ugniatało jej klatkę piersiową. Odrzuciła w tył głowę i zaczerpnęła świeżego czystego wiejskiego powietrza. - Co ja tu w ogóle robię? - zapytała niebo.

Jeśli myślisz, że ser to tylko jedzenie, jesteś dupkiem, ponieważ to znacznie więcej.

To poezja. To wzniosłość. To nie żaden przypadek, że mleko i ludzka krew mają prawie tę samą temperaturę.

Myśleliście o tym kiedyś? „Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Okazało się, że Jezus jest złą matką. W czasie gdy Abbey i Kit odbywali swoją pierwszą lekcję robienia sera, Lucy pobiegła sprawdzić, jak się mają kocięta. Najwyraźniej Jezus uległa chęci włóczenia się w nocy i pozostawiła nowo narodzone kociaki bez opieki. Dwa małe ciała leżały pod drzewem, na starym kocu, który umościł tam poprzedniego wieczoru Jamie i Lucy, po pozostałej czwórce nie było śladu. Natomiast samą Jezus widziano raniutko, jak zlizywała śmietaną na progu obory, potem zaś spędziła wiele czasu, kręcąc się przy drzwiach kuchennych, zwracając na siebie uwagę i prosząc o jedzenie. Poza lekko spuchniętym brzuchem nie widać było u niej żadnych cech charakterystycznych dla młodej mamy, nie miała nawet tyle wstydu, by wykazać chociaż odrobinę poczucia winy.

Lucy była niepokieszona. Nic, co mówiła Avis i pozostałe dziewczęta, nie potrafiło jej uspokoić. Kiedy Kit umknął po lunchu, by znaleźć w ogrodzie odrobinę ciszy i spokoju, natknął się na dziewczynę, zalewającą się łzami na ławce. Po gwałtownym zniknięciu Abbey z piwnicy, gdzie dojrzewały sery, Corrie poszedł szukać wnuczki, zostawiając Fee z Kitem, by ci posmarowali sery roztworem drożdży, co stanowiło żmudne acz uspokajające zajęcie. Wykonawszy tę pracę, prawie że rzucili się na zapiekankę z jarzynami podaną przez Avis na lunch. Do tego doszedł jeszcze spory kawałek coolarney blue i wreszcie Kita ogarnęła chęć drzemki na

słonku, ale najwyraźniej potrzeba Lucy, by wypłakać się na jego ramieniu, była silniejsza - więc podjął się tego obowiązku.

- Jak ona mogła je tak zostawić? - jęczała. - Takie kruszyny.

Kit nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć.

- Może po prostu nie nadszedł ich czas - próbował wyjaśnić.

To wywołało jeszcze mocniejszy atak płaczu. Jej kościste ramiona drgały, a młodzieńka, spoglądająca teraz na Kita twarzyczka cała była w rozmazanym tuszu. Wyglądała jak pięcioletnia dziewczynka, wzruszył się Kit. Zniknęły wszelkie ślady flirciary, a pozostało tylko zapłakane dziecko. Przysunął się bliżej i objął ją ramieniem, przytulając mocno.

Lucy łkała w jego podkoszulek, Kit czuł ciepłą wilgoć na skórze. Pomyślał o Flynnie i zastanowił się, jak sobie radzi jego młodszy brat. Wysłał mu czek i list, w którym wyjaśnił, że musi na jakiś czas wyjechać, ale nie był na tyle twardy, by zadzwonić do niego i powiedzieć dlaczego. Flynn wiedział oczywiście o Jacey, ale nie zdawał sobie sprawy z późniejszych problemów Kita. Westchnął i mocniej przyciągnął do siebie Lucy. Trudno było przyznać się przed samym sobą, że życie wymknęło mu się spod kontroli. Tym bardziej nie umiał przyznać się do tego komuś innemu, szczególnie Flynnowi, który jako jeden z nielicznych na tym świecie wciąż wierzył, że Kit jest gwiazdą.

Łkanie Lucy powoli cichło, ale wciąż opierała głowę o jego pierś. Zdał sobie sprawę, że nigdy dotąd nie widział z bliska dredów.

- Ja tego po prostu nie rozumiem - powiedziała łzawo. - Jezus jest normalnie taką słodką istotą. To Maria i Wszyscy Święci mają niedobre charaktery.

- Może po prostu nie nadaje się na matkę - powiedział Kit, przyglądając się uważnie jej głowie i zastanawiając się, czy dredy są do końca czyste.

- Tego się właśnie obawiam. - Lucy rozpląkała się znowu, wtulając się jeszcze mocniej w podkoszulek Kita. - I to jest takie przerażające - lamentowała coraz głośniejszym głosem. To wydało się Kitowi jednak przesadzone. Oczywiście historia z kociakami była smutna, ale uznał, że łzy dziewczyny są nieproporcjonalnie wielkie. Kiedy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że taka rozpacz nie może dotyczyć wyłącznie instynktów macierzyńskich kotki imieniem Jezus.

- Lucy - odezwał się - czy coś jeszcze cię gnębi? Wygląda tak niewinnie, pomyślał, patrząc w jej okrągłe niebieskie oczy. Tak bezradnie i młodo. Wytarła oczy i skinęła głową.

- Chodzi o dziecko? - zapytał. Pociągnęła nosem.

- Może - odparła krótko.

Chciał coś odpowiedzieć, ale się zawahał. Zanim się zdecydował, zastanowił się nad jej słowami.

- Czy gnębi cię, że nie nadajesz się na matkę? Lucy zagryzła drżącą wargę.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Wzięła głęboki wdech i usiadła prosto, tak żeby go lepiej widzieć.

- Tylko ty tutaj mnie rozumiesz - powiedziała.

- Przecież prawie cię nie znam - odrzekł Kit z braterskim uśmiechem. - Jestem pewien, że wszyscy by cię zrozumieli, tylko im na to pozwól.

- Ja jestem inna niż tamte - powiedziała Lucy. - Nawet nie wiedziałam, że jestem w ciąży, dopóki się tutaj nie znalazłam. Mogłam być jedną z tych dziewczyn, które kończą, rodząc dziecko w toalecie klubu nocnego, nikomu nic o tym nie mówiąc.

- Coś takiego się zdarza? - zapytał Kit.

- Ciągle. - Znowu pociągnęła nosem, wróciła jej na chwilę odwaga, kiedy dotykała delikatnego tematu własnego stanu. - A potem ich matki dostają szału, a przyjaciele uciekają i zaczyna się całkowity koszmar.

Trudno na to było wprost odpowiedzieć, więc Kit zdecydował się zamiast tego zadać pytanie:

- Więc jak tutaj trafiłaś?

- Po prostu poszłam na przystanek autobusowy i kupiłam bilet za tyle kasy, ile miałam.

- Dlaczego? - zapytał. - Przed czym uciekałaś?

- Przed wielkim śmierdzącym kutasem Eamonem Caseyem, ot co - wyrzuciła z siebie z nienawiścią. - Moim tak zwanym chłopakiem z Dublina.

- Tak zwanym?

- No, kiedyś był to po prostu mój chłopak, do chwili kiedy... - Głos jej się załamał.

- Kiedy co?

- Mój Boże, trudno mi o tym mówić. - Po twarzy Lucy znowu spływały łzy.

Potem opowiedziała Kitowi, że spotykała się z tym chłopakiem prawie rok. Eamon grał na basowej gitarze w zespole grunge o nazwie „Październik”, a ona była na pierwszym roku wydziału muzyki w Trinity College. Spotkali się na przyjęciu urządzonym przez parę przyjaciół w domu studenckim Dun Laighoire i z miejsca obiecali sobie „wyłącznieść”, a przynajmniej tak się Lucy wydawało.

- Tyle tylko że kilka miesięcy temu mieliśmy się spotkać wieczorem, ale otrzymałam wiadomość na sekretarce, że zespół ma dodatkową próbę i nie uda mu się przyjść.

Szykowali się wtedy do takiego dużego występu w Siane Castle, co stanowiło wstępny krok do wstępnego kroku przed występem w trakcie The Red Hot Chili Peppers, więc miało to ręce i nogi. Tyle tylko... - warga jej zadrżała - tyle tylko, że

zadzwoił do mnie ze swojej komórki i albo nacisnął zły przycisk, albo nie wyłączył telefonu, albo jeszcze coś innego, bo wiadomość na sekretarce nie skończyła się, kiedy powiedział do widzenia.

Kit milczał. To nie miała być historia z happy endem.

Odwaga Lucy zniknęła znowu i Kit znowu pomyślał, że dziewczyna byłaby idealną młodszą siostrą Jacey.

- Był z jakąś dziewczyną, gadał jej o mnie, nazywał mnie fanką ich zespołu i opowiadał, że się za nimi wszędzie włóczę. Powiedział, że jestem biedną bogatą dziewczynką i że nie mam nic lepszego do roboty, jak stawiać im piwo. - Jej głos był ledwo słyszalny. - Śmiali się ze mnie - dodała. - I myślę, że byli razem w łóżku. No wiesz, pieprzyli się.

Eamon Casey nie był szalenie oryginalny, pomyślał Kit.

- Tak mi przykro, Lucy - powiedział. - Ten facet to prawdziwy dupek.

- Tyle tylko, że ja go kochałam - odparła Lucy z uczuciem. - Miałam przed nim mnóstwo, ale to mnóstwo facetów, ale jego kochałam naprawdę. Napisał dla mnie piosenkę - dodała łzawo - zatytułowaną „Zasrane ciasteczko”.

Nie wypadało się roześmiać.

- I mówił, że też mnie kocha - dodała Lucy - ale wiem, że komuś, kogo się kocha, nie mówi się nigdy niemiłych rzeczy.

Ani nie sypia się z kimś innym, pomyślał Kit.

- Więc co zrobiłaś? - zapytał.

- Wyszłam tego wieczoru, wypłam siedem red bulli z wódką, a potem pieprzyłam się z Gordym Wildem, solistą „Października” - odpowiedziała Lucy. - Byłam pewna, że to wkurzy Eamona, bo nienawidził Gordy'ego. Gordy fantastycznie wygląda, ale tak naprawdę wcale nie umie śpiewać i nie napisał żadnej z ich piosenek ani nic innego, a mimo to fani właśnie jego uwielbiają. On jest gwiazdą. Tak czy siak, zostawił mnie po Chili Peppers dla jakiejś

siedemnastoletniej klakierki, która mówiła, że jest kuzynką jednego z the Corrs.

O Jezu, pomyślał Kit. Moje życie może i jest gówniane, ale dzięki Bogu nie mam już dziewiętnastu lat.

- A co z Eamonem? - zapytał.

- Gordy powiedział mu, ale wcale go to nie obeszło - wyszeptała Lucy. - Powiedział Gordy'emu, że może sobie mnie mieć. A potem chłopcy w zespole przegłosowali, że mam się już z nimi nigdzie nie pokazywać. - Podniosła wzrok na Kita. - Całymi tygodniami wydzwaniałam do Eamona, prosząc, żeby się ze mną spotkał, ale zawsze odmawiał. Mówił, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

- Czy wiesz, czyje jest dziecko? - zapytał Kit, chociaż odpowiedź nie miała właściwie żadnego znaczenia.

Lucy potrząsnęła głową.

- Myślę, że Gordy'ego. - Pociągnęła nosem. - Zrobiliśmy to sześć razy.

No tak, przemknęło przez myśl Kita, pewne aspekty bycia dziewiętnastolatkiem nie są takie złe.

- Ale tak naprawdę nie wiem. - Znowu wybuchnęła łzami. - Wiem tylko, że nie chcę tego dziecka, ale nie chcę też, by wiedziało, że go nie chcę.

Znowu wtuliła się w podkoszulek Kita, a on jej pozwolił, myśląc o własnym utraconym dziecku, które urodziłoby się za kilka miesięcy, gdyby Jacey nie... Kit zastanowił się, jakim byłby ojcem. Nigdy tak naprawdę nie zastanawiał się nad posiadaniem dzieci, zanim nie pojawiła się Jacey. Była pierwszą kobietą, z którą chciał się ożenić, założyć rodzinę, trzymać ją i nigdy nie puścić.

Przed nią miał oczywiście kilka „znaczących związków”, w szczególności dwa. Ellen była koleżanką Eda i z nią prawie by zamieszkał, gdyby jej nadopiekuńcza mama nie wiedziała, co jest dla niej lepsze, i nie nakłoniła córki, by znalazła sobie

jakiegoś miłego żydowskiego chłopca. Ellen była świetna, ale fakt, że specjalnie go nie obeszło, kiedy z nim zerwała, sugerował, że może wybór oddzielnych dróg był niezłym rozwiązaniem.

Z Sal trudniej mu było się rozstać. Ta niesłychanie ambitna redaktorka pracowała w wydawnictwie prasowym, które specjalizowało się w pismach reklamujących markowe ciuchy. Wspólnie zdobywali Nowy Jork. Była tak nakręcona na pięcie się w górę, że jedyne, co mógł zrobić, to dotrzymać jej kroku. Przez jakiś czas robienie kariery związało ich tak mocno, że nie potrafił sobie wyobrazić życia z kimkolwiek innym. Przez prawie dwa lata wynajmowali wspólnie apartament na Zachodnim Manhattanie, zanim zdecydowali się na dwutygodniowe wakacje w Paryżu. Ich wspólny świat zawałił się w barach i kafejkach Dzielnicy Łacińskiej. Bez stymulacji pracą i szumu Manhattanu wokół nie mieli sobie nic do powiedzenia. Sal też zdała sobie z tego sprawę.

- Jesteśmy nudni - łkała nad frytkami. - Jak to się stało? Ale nie byli nudni, byli tylko znudzeni. Sobą nawzajem.

Więc kiedy wrócili do Nowego Jorku, Kit spakował się i wyprowadził. Pozostali jednak przyjaciółmi i zapewne pozostaną. Sal wyszła za męża, mniej więcej w tym samym czasie kiedy Kit się ożenił, za kolegę z pracy. Ich ślub został opisany we wszystkich odpowiednich miejscach. Wyglądała cudownie i była szczęśliwa nie do opisania. Zdziwiłbym się, gdyby w niedalekiej przyszłości miała usłyszeć tykanie biologicznego zegara, pomyślał teraz. Czekają na nią zbyt wiele pracy. Westchnął i poczuł, jak Lucy wygodniej mości się u jego boku.

- Często się zastanawiasz nad życiem? - zapytała.

- Pewnie tak - odparł Kit.

- Czy myślisz o swojej żonie? - drażyła Lucy.

- Ciągłe - odrzekł, czując się coraz bardziej niezręcznie.

- Jak wyglądała? Była ładna?

Blond włosy prawie do pasa, uśmiech, który roztopiłby masło, nogi jak u wyścigowego konia czystej krwi.

- Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem - odpowiedział, odsuwając się od Lucy, a potem wstał. Nie chciał rozmawiać o Jacey. Pragnął spokoju i ciszy. - Idę się teraz zdrzemnąć. Czuję się padnięty. Ale chciałbym, żebyś mi coś obiecała, Lucy. Gdy będziesz miała ochotę, przyjdiesz do mnie porozmawiać. Kiedy tylko zechcesz. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Zrobisz tak?

W pełnym uwielbienia wzroku dziewczyny trudno było dostrzec siostrzane uczucie, ale to mu umknęło.

- Oczywiście - powiedziała. - Obiecuję.

Kit pomaszerował prosto do domku Fee i rzucił się na łóżko. Żołądek miał ciężki od sera, a w głowie wirowały obrazy Jacey, dzieci i Lucy. Wreszcie powieki mu opadły i spadł na niego litościwy sen.

Nie śnił jednak ani o żonie, ani o kłopotach nastolatki z Dublina. Śnił o Abbey. W tej samej chwili kiedy zamknął oczy, jego głowę wypełniły obrazy tej, z którą przyszło mu razem robić ser. W jego śnie Abbey jechała na rowerze i śmiała się z odrzuconą w tył głową, promieniowała szczęściem. Po chwili zdał sobie sprawę, że rower zamienił się w konia i że jej nogi pod nieco przezroczystą satynową sukienką są nagie. Ponagliła ogiera, ściskając go udami. Jego sen miał wszystkie cechy reklamy gównianej czekolady i nawet śniąc, Kit zdawał sobie sprawę, że chciałby uciec od Abbey i sera, ale to mu się nie udawało. W kolejnej scenie Abbey leżała na boku w wysokiej trawie, rozsmarowując kleisty coolarney blue na kawałku farmerskiego sera, a następnie oblizwała wargi w oczekiwaniu na przyjemność.

Miała na sobie porwaną sukienkę, tak że jej krągłe biodro zostało odsłonięte, widać też było, że nie ma nic pod spodem.

Szedł w jej stronę, a ona nagle przekręciła się i teraz leżała na plecach na podłodze Giełdy Nowojorskiej. Kit uklęknął przy niej i patrząc w jej ogromne błagalne oczy, pochylił się, by zębami odpiąć stanik rozpierany przez piękne piersi. Miała na sobie najbardziej seksowny stanik, jaki widział w życiu. Jasnozielony, haftowany w różowe różyczki.

- Kit - powiedziała głosem, który zdawał się współgrać z językiem jej ciała. - Kit - powtórzyła, jej urywany głos wdzierał się w jego podświadomość. - Kit!

Otworzył oczy, z przerażeniem uświadamiając sobie, że obiekt jego marzeń sennych stoi w drzwiach, powtarzając jego imię.

- Nie śpisz? - zapytała głupawo.

- Nie, nie śpię - odparł równie głupio, starając się stłumić podniecenie, jakie nadal czuł. Było mu gorąco, czuł na sobie pot, krew pulsowała mu w miejscach, których nie chciał pokazać Abbey. Przecież nawet jej nie lubił. A już na pewno nie w ten sposób. Była za mała i za smutna i w ogóle nie w jego typie. Stanowiła przeciwieństwo kobiet, które mu się podobały. Miała zbyt długie włosy i kobiece biodra. Żadnych ostrych linii, same krągłości i pełny, ciężki biust, który jakoś do niej nie pasował.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - wyskrzeczwał, zdając sobie sprawę, że sen nadal panował nad częścią jego umysłu... i pewnymi częściami ciała. Obraz Abbey, nagiej i jęczącej pod jego dotknięciem, wdzierał się niechciany w jego świadomość.

- Nic, tylko Fee chciał wiedzieć... - mówiła coś Abbey, ale kiedy Kit spojrzał na jej usta, nie słyszał słów, jedyne, co widział, to jej wargi na jego brzuchu, jego udach, jego... Zdusił jęk, który był wynikiem na równi zawstydzenia i

przenikającego go żaru, usiadł na łóżku i ukradkiem podciągnął poduszkę na kolana.

- Myślał, że może jeśli ty i ja... - tłumaczyła dalej Abbey, ale Kit nadal nie słuchał.

Siedział jak zamurowany, wpatrując się w miejsce, gdzie jej podkoszulek podjechał parę centymetrów w górę, ujawniając kawałek gładkiego brzucha. Czuł się oczarowany. I ogłupiały. Nie czuł się tak od, no, oczywiście, od Jacey, ale nawet wtedy... Nie pozwolił sobie na analizowanie tej myśli i nagłym ruchem padł na łóżko.

- No więc? - zapytała Abbey, robiąc niepewnie krok do środka maleńkiego pokoju, przez co znalazła się na wyciągnięcie dłoni od Kita. - Co o tym myślisz?

- Tak, tak - wyjęczał. Tak bardzo starał się nie myśleć o własnym języku na jej skórze, że na jego twarzy pojawił się wyraz bólu. Jezu. Czuł się jak postać z kiepskiego romansidła.

- Kit? - Głos jej się załamał. - Czy wszystko w porządku? - zapytała z troską. Wyglądał nie najlepiej.

- Tak, tak - przyciskał poduszkę z całych sił do krocza i modlił się w duchu, żeby wyszła. - Wszystko w porządku. Proszę. Gdybyś tylko mogła... - Nie miał wątpliwości, że jeszcze chwila, a eksploduje. Podciągnął kolana i odwrócił się od niej, by ukryć zawstydzające wybrzuszenie w spodenkach.

- Kit? - Zaniepokojona Abbey przysunęła się jeszcze bliżej, tak blisko, że czuł jej zapach. Zamknął oczy i wdychał go. Na jedną chwilę przestał walczyć z pożądaniem i skoncentrował się na jej zapachu. Pachniała zieloną trawą i marakują, zwaną też owocem miłości, i limonkami, było to jak narkotyk. Wódka, pomyślał Kit. Potrzebuję wódki.

- Abbey - usłyszał swój własny szept i jej słodki cytrusowy zapach owionął go jeszcze mocniej. Poczował ciężar jej ciała na łóżku, a potem wilgotną, ciepłą dłoń na czole. Przez jedno drgnienie serca nie zrobił nic. Potem powoli

odwrócił się do niej i otworzył oczy. Jej nieco piegowaty nosek był tuż przed nim, czarne oczy niczym jeziora bez dna, ocienione równie czarnymi firanami rzęs, tuż powyżej. - Abbey - wyszeptał znowu.

Patrzyła na niego. To był ten moment.

Czaił się i kusił.

Czekał.

A potem uległ. Krew waliła mu w uszach, podniósł się i przycisnął swe spragnione usta do warg Abbey, nie słysząc jęku świadczącego, że to nie jest coś, na co czekała. Jego język wsunął się między jej wargi. Poczuł, jak jej dłoń zsuwa się z jego czoła, by ująć jego policzek, kiedy przyciskała wargi do jego warg.

Całowała go.

W jednej chwili przyciągnął ją do siebie i przekręcił tak, że teraz ona leżała na łóżku. Patrzył w jej ogromne oczy, patrzył, jak jej usta wilgotnieją, kiedy wkładał rękę pod podkoszulek, pod jej dobrze przylegający sportowy stanik, by móc kciukiem dotknąć sutka, o czym wcześniej śnił. Zamknęła oczy i wciągając powietrze, rozchyliła wargi, ale Kit zamknął je swoimi, czując pod dłonią pełnię urody jej cudownych piersi. Wypchnęła biodra ku niemu, a jego ciało odpowiedziało natychmiast na ten ruch. Podniósł się nad nią i położył dłoń na jej brzuchu, po czym przesunął ją niżej, do wiązanych spodni, które rozwiązał jednym szarpnięciem i natychmiast wsunął w nie dłoń, wyczuwając kształt bioder, potem łono, by dotrzeć do ciepłego wilgotnego miejsca, które na tak długo opuszczone, z radością go teraz witało.

Nie zauważył tego wcześniej, ale miała doskonałą linię szyi, a kiedy jego palce poniżej dokonywały cudu, odsłonił delikatnie jej kark i wędrował ostrożnie językiem od ramienia w stronę ucha. Abbey miała otwarte oczy, wzrok utkwiała gdzieś w oddali. Dotyk rąk na jej ciele był precudowny. Tak

długo na to czekała. I wydawało jej się, że nigdy wcześniej nie czuła się tak wspaniale. Oddychała teraz szybciej, krople potu perlily się na ciele, które Kit teraz odsłonił, by przebyć pocałunkami drogę w dół, zatrzymując się przy piersiach i nie mogąc się od nich oderwać. Przytuliła się do niego ze wszystkich sił, a po chwili poczuła, jak Kit odrywa się od niej, i usłyszała dźwięk rozsuwanego zamka błyskawicznego.

O tak, pomyślała. Co ja wyprawiam? Tak, tak. Co ja tutaj robię? O, mój Boże. O, tak.

Poczuła, jak Kit twardnieje, i zamknęła oczy, wiedząc, że za chwilę będzie go mieć całego. Ale zamiast anielskich chórów dla jej napiętych do ostatnich granic nerwów, osiemdziesiąt dziewięć kilogramów męskiego ciała opadło na nią ciężko.

- Jezu - jęknął, spoglądając na drzwi, w których stała jak wrośnięta w ziemię Lucy. Obróciła się na pięcie, dredy zatańczyły wokół jej twarzy niby konary drzew i zbiegła po schodach, tupiąc swymi ciężkimi martensami - ale Abbey zdążyła ujrzeć morderczy wyraz na jej twarzy.

Chwila, która jeszcze sekundę wcześniej wydawała się magiczna, nagle spakowała się i odeszła, zabierając ze sobą erekcję Kita. Leżał teraz na Abbey, zastanawiając się, jak ma się, u diabła, wytłumaczyć.

- O cholera - powiedział wreszcie, zsuwając się z niej i znowu szarpiąc się z suwakiem. - Niech to jasna cholera. - Zamknął oczy, przeklinając się za własną głupotę.

Abbey, nagle odsłonięta, poczuła, jak cudowne szczęście przenikające ją zaledwie moment wcześniej znika, zastąpione świadomością upokorzenia. Czując je każdym centymetrem ciała, zastanawiała się, jak u diabła przeszła od grzecznego pytania w drzwiach do przewracania się na łóżku z Kitem, wkładającym rękę do jej majtek. Trzęsącymi się dłońmi

zawiązała sznureczki spodni i nie patrząc na niego, usiadła, spuszczać nogi na podłogę.

- Tak mi przykro - powiedział Kit, łapiąc ją za rękę. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Nie powinienem...

- Ależ nic takiego - przerwała mu Abbey tak grzecznie, że aż przerażająco. - To moja wina. Ja...

- Nie, nie, to nie ty - porywczo wszedł jej w słowo Kit. - To tylko...

Chciał jej powiedzieć, dlaczego to nie było dobre. Dlaczego było to przedwczesne. Czemu powinien być wdzięczny Lucy, że im przeszkodziła. Ale nie chciał jej ranić.

- Zapomnijmy o tym po prostu, dobrze? - powiedziała Abbey, widząc, że Kit grzęźnie, nie umiejąc się wysłowić. - Nie zdawałam sobie sprawy, że ty i Lucy... - Podniosła się i wciągnęła podkoszulek. - Cokolwiek między wami jest.

- Nic nie ma - odparł z naciskiem, zastanawiając się, czy sytuacja może się jeszcze pogorszyć. - Powiedziałem jej, że może przyjść do mnie pogadać. Obawia się, że będzie równie złą matką jak Jezus. Abbey, czy możemy o tym porozmawiać?

Abbey nie chciała rozmawiać. Nie chciała myśleć. Chciała seksu. Nie aż tak bardzo, żeby wykradać Kita z ramion ciężarnej dziewiętnastolatki, ale mimo to naprawdę bardzo. Więc jednak oni wszyscy to skurwiele. A myślała, że jest ich tylko dwóch i że na dodatek to jej właśnie udało się ich spotkać wcześniej. No cóż, jeśli Kit Stephens myśli, że jego odrzucenie może ją jeszcze zranić, to się myli.

- Myślę, że można bezpiecznie powiedzieć - oświadczyła, odwracając się w jego stronę, ale nie patrząc mu w oczy, które i tak wpatrywały się w jakiś punkt na pościeli - że dla nas obojga było to przedwczesne i w tych okolicznościach trudno, byśmy do siebie pasowali.

Kit starał się nie patrzeć na jej kark, skinął tylko głową. Zgadzał się. Całkowicie. Z całego serca. A przynajmniej jego

głowa się zgadzała. Pozostałe członki, poruszone najwyraźniej samym wspomnieniem jej karczku, trudno było tak łatwo przekonać.

Nawet coolerney gold może smakować gównianie, jeśli nie da mu się dość czasu, by dojrzeć.

Pewnie, że musi to potrwać kilka tygodni, ale po co pić kwas, jeśli można mieć merlota?

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Lucy doiła tak szybko, jak jej pozwalało „Do zobaczenia, zegnajcie”.

Na Mariach zły humor dziewczyny nie robił żadnego wrażenia, a koleżanki dojarki raczej podzielały to podejście, choć nie chciały sprawiać jej przykrości. Była w fatalnym nastroju od trzech dni, od chwili kiedy odkryła „tę starą pomarszczoną dziwkę”, jak nazywała Abbey, cudzołożącą z Kitem.

- A dlaczego by nie miała tego robić? - zapytała Wilhie, kiedy wreszcie wyciągnęły z niej prawdę po pierwszym dniu złego humoru. - To wolny kraj.

Gdyby Lucy umiała nazwać swoje uczucia, kłóciłyby się, że nie miałyby nic przeciwko wolności Kita, ale tylko dla niej, ponieważ był jedynym człowiekiem na całej planecie przebywającym na tej samej orbicie co ona i rozpaczliwie go potrzebowała. Choć nie powiedziała nic, zdradził ją wyraz twarzy.

- Sama masz na niego chętkę, co, ty głupia krowo? - roześmiała się hałaśliwie Jack. - On jest dla ciebie grubo za stary, Lucy. I dlaczego miałbyś chcieć ciężarną dziewiętnastkę, jeśli może mieć, no, każdą inną.

Nie chciała, by jej słowa zraniły Lucy, ta jednak podskoczyła jak oparzona rozpaloną kratką od grilla. Jack miała rację. Kto chciałby ciężarną dziewiętnastolatkę? Na pewno nikt, kogo znała, pomyślała, szarpiąc Marię za wymię.

- Lucy. - Poczula, że ktoś klepie ją po ramieniu, obejrzała się i zobaczyła Avis. - Jak by ci się podobało, gdyby ktoś ciebie tak szarpał za cycki?

Lucy spojrzala na nią oczami zwężonymi jak szparki.

- Tak długo, jak nie grają „Dźwięków choleryjnej muzyki”, bardzo mi to pasuje - powiedziała.

- No cóż - Avis wyprostowała się, naciągając swój płowy kardigan gestem znamionującym irytację - taka niemila młoda dama najwyraźniej nie chce usłyszeć wiadomości, którą ci przynoszę. W takim razie zostawiam cię. Mam tylko nadzieję, że to nie mnie przyjdzie zbierać z podłogi obory szare komórki, kiedy wreszcie któraś z naszych niesłychanie kosztownych krówek o złotych sercach zdecyduje się przykopać w twoją główkę za takie zachowanie.

Avis obróciła się na pięcie i wyszła energicznym krokiem z obory, pozostawiając Lucy w pułapce własnej wściekłości wpatrującą się rozgoryczonym wzrokiem w nogę Marii.

- Poczekaj chwilę! - krzyknęła zdławionym głosem, ale Avis szła dalej.

Lucy zerwała się i ze złością kopnęła stółek. Potoczył się pod Marię, a krowa kopytem posłała go w stronę Jack, gdzie uderzenie wyróciło skopek z mlekiem, a to z kolei oblało Wilhie, która przez całą noc miała skurcze i teraz padała wprost z nóg. Wiązanki, jakie przetoczyły się przez oborę, zagłuszyły Julie Andrews, kapitana von Trappa i wszystkie jego dzieci, a już szczególnie orkiestrę. Lucy odwróciła się plecami do wywołanej przez siebie wrzawy, wypadła ze swojego stanowiska i głośno tupiąc, ruszyła w pogoni za Avis, która jak na osobę jej tuszy i wieku poruszała się nadzwyczaj szybko.

- Powiedziałam, poczekaj chwilę! - wołała Lucy, przechodząc w trucht, kiedy stało się jasne, że kobieta się nie

zatrzyma. - Nie słyszałaś, jak cię wołam? - zapytała rozniewana, gdy wreszcie ją dogoniła, dobry kawał za oborą.

Avis stanęła i odwróciła się do niej twarzą.

- Najwyższy czas, żebyś przestała powarkować i uświadomiła sobie parę faktów, młoda damo - powiedziała, a jej uśmiech i łagodna twarz przeczyły lodowatemu tonowi. - Może takie zachowanie uchodziło ci w domu, ale w naszej rodzinie nie jest tolerowane. Ofiarowaliśmy ci pomoc i wsparcie, Lucy, w zamian jednak oczekujemy przynajmniej odrobiny grzeczności, może nawet odrobiny wdzięczności, a ani jednego, ani drugiego nie raczyłaś podczas ostatnich trzech dni okazać nam ani Mariom, które o ile się orientuję, nie uczyniły nic złego, żeby zasłużyć na takie traktowanie z twojej strony.

Zawstydzona Lucy wycofała się w swój niegrzeczny pancerz.

- To tylko głupie krowy - stwierdziła, wydymając wargi.

- No cóż, my tutaj traktujemy głupie krowy z takim samym szacunkiem jak każdego innego. - Avis popatrzyła na nią znacząco.

Lucy poczerwieniała na tę obrazę, ale ugryzła się w język. Avis doceniła to małe ustępstwo i dodała nieco miększym tonem:

- Posłuchaj, Lucy. Nie wiem, co się tam dzieje w tej twojej ładniutkiej główce, ale prawda jest taka, że nikt nie ląduje tutaj, i jak sądzę, pan Feehan już ci to powiedział, jeśli ma jakieś inne miejsce. Byłoby lepiej, gdybyś uzmysłowiła sobie, że jesteś w ciąży. Pracujesz jako dojarka. A będziesz matką. Czy nią zostaniesz potem, czy nie, zależy od ciebie, to bardzo poważna decyzja i nie ma powodu, by podejmować ją w pośpiechu. Jednakże - mówiła dalej - to, co zdecydujesz, będzie miało wpływ na całe twoje życie i na całe życie

dziecka, więc dobrze by było, żebyś trochę dorosła od dzisiaj do dnia, kiedy wydasz ją lub jego na świat.

Lucy już otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz zamiast tego wybuchnęła łzami.

- Ale Kit zakochał się w Abbey - załkała. - Zobaczyłam, jak to ze sobą robili, a przecież każdy widzi, jacy są dla siebie okropni.

Avis spojrzała na nią zdumiona. W tych stronach nigdy nie wiadomo, z której strony wiatr zawieje.

- A co jest złego w tym, że Kit zakochał się w Abbey? - zapytała mimo wszystko łagodnie.

- Chcę, żeby się zakochał we mnie - ryczała Lucy. Wyglądała przy tym na jeszcze młodszą. - On jest taki cudowny. - I Lucy wylądowała na obfitym biuście Avis. Minęło sporo czasu, zanim ta mogła jej przekazać dobrą wieść, że jedno z dzieci Jezus odnaleziono żywe i zdrowe w torbie na robótki Ruby O'Toole.

Fee w tym samym czasie siedział przy kuchennym stole, zajadając domową marmoladę Tessie. Była prawie siódma i lada chwila w fabryce mieli się zjawić Abbey i Kit na swoją czwartą próbę robienia sera, a Corrie właśnie ogłosił, że, po raz pierwszy od greckiej grypy w 1972 roku, nie idzie dziś do pracy. Zamierzał zostać w domu z powieścią Johna le Carre oraz camembertem i czekać na swego porannego drinka.

- Nie możesz mnie zostawić samego z tymi nieszczęsnymi nieudacznikami - zaprotestował Fee. - Zamarnę między nimi na śmierć.

- Dobrze ci to zrobi. To ty mi wciąż powtarzasz, że wszystko będzie dobrze - odparł Corrie - mimo że nic na to nie wskazuje...

- Już dobrze, dobrze - przerwał mu Fee, stukając filiżanką o stół. - Dzięki za pańską pomoc. Dowody mu potrzebne, do diabła. - I siedział dalej z ponurą miną.

Prawda była taka, że jego też nie cieszyły postępy tej dwójki. Już teraz wiedział, jak będzie smakował dzisiejszy twaróg. Jakby jego babka wsadziła weń swój paluch od nogi. A nie bez powodu przezywali ją Starą Krową. Spojrzał poprzez stół na przyjaciela i dostrzegł, że Corrie nie wygląda dobrze. Ostatnie parę dni miało na to wpływ. Fee wyprostował się, wyciągając swój bolący krzyż.

- Ufałeś mi wcześniej, Josephie - powiedział - więc teraz też możesz mi zaufać, z dowodami czy też bez. Oni mają w sobie tę chemię, nawet ty potrafisz to dostrzec, jedyne, czego nam potrzeba, to czasu, a ponieważ czasu nam brak, potrzebują trochę pchnięcia.

- Mówisz o nich, jakby to były dwa sery, ale tak nie jest - powiedział Corrie prawie burkliwie. - To są ludzie, z krwi i kości, i jak na razie nie wiemy, co w nich siedzi. Chemia czy nie, na razie nic nie wskazuje, że nawet się lubią, a ser, który robią, smakuje jak wywar ze skarpetek.

A ja jestem tym, który ma wiedzieć, co się dzieje w ludzkich głowach, pomyślał Fee.

- Nie mówiąc o tym - ciągnął Corrie - że to ty powiedziałaś, że nie mamy czasu do stracenia, a to było trzy dni temu, co oznacza, że trzy dni zostały zmarnowane.

Fee milczał. To nie on ustalał zasady, tyle tylko że wiedział, kiedy nastąpi koniec.

- A to nie może być Abbey - mówił dalej Corrie. - Ona należy do rodziny. Jest jedną z nas. Nasze ciało i krew. To musi być Kit. Byliśmy głupi, sądząc, że chłopak z Nowego Jorku, w ogóle niezwiązany z Coolarney, może robić ser, tylko dlatego, że zjawił się tutaj w odpowiednim czasie. Wiem, że go lubisz, Josephie, ale czy nie uważasz, że jego zęby są zbyt duże i białe? Bo ja tak właśnie uważam. Coś mnie męczy od chwili, kiedy go pierwszy raz zobaczyłem, i myślę, że to te za duże zęby.

Fee spojrział na Corriego, jakby ten całkiem zwariował, i pokręcił głową z niesmakiem.

- Tylko dlatego, że zjawił się tutaj w odpowiednim czasie? - powtórzył Fee. - Tu jest tylko jeden głupiec i jesteś nim ty, Josephie Corrigan, jeśli wątpisz w niego z tego właśnie powodu. Pojawienie się we właściwym czasie to jedyne, co się liczy, jeśli muszę ci to mówić. Czas jest najważniejszy. Wszystko zależy od odpowiedniego czasu. Powtarzałem ci to milion razy, a ty wciąż mi nie wierzysz. Zawiodłem się na tobie, Josephie, naprawdę.

Corrie westchnął. Musiał być jakiś powód, dlaczego tym razem odpowiedni czas nie okazał się wystarczający, ale nie warto było kłócić się dalej z Fee, kiedy przyjaciel już posunął się do tego, by mu wyrzucić, że się na nim zawiódł. Tego argumentu używał tylko w ostateczności.

- Nadal upieram się, że to te zęby - mruknął, gdy Avis pojawiła się w korytarzu, niosąc pod pachą album ze zdjęciami i uśmiechając się od ucha do ucha.

- Masz rację, to te zęby - potwierdziła, rozsiadając się pomiędzy nimi i otwierając album na latach siedemdziesiątych. Pokazała obu zdjęcie w prawym górnym rogu strony. Widniała na nim uderzająco piękna ciemnowłosa kobieta, mniej więcej w szóstym miesiącu ciąży, uśmiechająca się promiennie do aparatu. Tuż za nią stał bardzo wysoki, poważny i nieco już łysiejący mężczyzna. Miała na sobie bawełnianą bluzkę bez rękawów w biało - czerwoną kratkę, rozszerzającą się na dole na jej wypukłym brzuchu, i czerwone spodnie.

- Greta - natychmiast rozpoznał ją Corrie i palcem dotknął jej twarzy, po czym zamarł, zrozumiałwszy to, co widzi.

- Zęby! - zawołał Fee.

- To są zęby Kita - ogłosiła z dumą Avis. - Byłam pewna, że już je gdzieś widziałam. A potem wspomniał, że jego

matka jest wielką znawczynią sera. Mogę tylko powiedzieć, że takie rzeczy nie dzieją się tutaj bez powodu.

- Greta? - zapytał ze zdziwieniem Corrie.

- Matka Kita była jedną z naszych dziewcząt! - Zachwycony Fee aż zaklaskał w pulchne dłonie. Corrie podniósł na niego wzrok, po czym sięgnął ponad Avis i walnął go w głowę.

- Jezu! - Fee zawołał oszołomiony. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Czemu mi nie powiedziałeś, że matka Kita była jedną z naszych dziewczyn? - chciał wiedzieć Corrie.

- Właśnie powiedziałem - odparł poirytowany Fee, masując sobie ucho.

- Ale Avis powiedziała to wcześniej! - wrzasnął na niego przyjaciel.

- A dlaczego ja zawsze muszę być ten pierwszy? - zapytał retorycznie Fee.

- Ponieważ ty jesteś tym, który...

Avis cofnęła się, sięgnęła dłońmi ponad ich głowami i zakryła im usta.

- Panowie - powiedziała, przyciągając ich głowy na swoją potężną pierś - poczyniliśmy właśnie bardzo budujące odkrycie, które powinniśmy uczcić, a nie wrzeszczeć na siebie jak ci z rynsztoka. Nie wiem, co dziś we wszystkich wstąpiło. Coś musi wisieć w powietrzu. Nic dziwnego, że ser smakuje, jakby pewna babka moczyła w nim nogi. Pytam, czy jest jakaś szansa, żeby w Coolarney zapanowały cisza i spokój?

Kiedy ich puściła, Corrie i Fee milczeli.

- Ktoś ma ochotę na herbatę? - zapytała, a obaj przytaknęli.

- Matka z Coolarney - nie wytrzymał wreszcie Corrie, a na jego ustach pojawił się dawno zapomniany uśmiech. - To

najlepsze, co może być po pokrewieństwie z krwi i kości, co powiesz, Joey?

- Przypomnij mi Gretę. - Fee zwrócił się do Avis. Usiadła za stołem, opierając dłonie na dzbanku od herbaty, a na jej twarzy pojawił się marzycielski wyraz.

- Pamiętam dzień, w którym się zjawiała, jakby to było wczoraj, a ty, Josephie?

Corrie uśmiechnął się i przytaknął. Rzeczywiście pamiętał dobrze ten dzień. Greta była jedną z najlepszych dojarek, jaką kiedykolwiek mieli, a w dodatku znakomicie grała w scrabble. Była jego faworytką, przynajmniej o tyle, o ile pozwalał sobie mieć ulubienice.

- Zjawiała się tu z bratem, Morrisem, byli bliźniakami, prawda? To był taki przystojny mężczyzna, że aż trudno sobie wyobrazić, naprawdę zniewalający, a obok niego siedziała Greta, promieniała zdrowiem i czymś jeszcze, co okazało się małym Christopherem.

Greta, przypomniała teraz Avis Corriemu i Fee, spędzała wakacje w Europie ze swym bratem i tam uległa wdziękowi francuskiego saksofonisty, a urok ten został wzmocniony tanim chianti i jam session w klubie 606 w londyńskim Chelsea. Zachwyciła ją uroda Coolarney House i zamierzała tu osiąść, ale gdy była w szóstym miesiącu ciąży, odwiedził ją stary przyjaciel jeszcze ze szkoły, z którym przez cały czas korespondowała, i błagał, by wyszła za niego i wróciła do domu jako jego żona.

- Pamiętasz go? - Avis zapytała Fee. - Na pewno. Nie mieliśmy przedtem wiele takich przypadków. Strasznie nerwowy, kupka nieszczęścia. Całym sercem chciałam mu pomóc, a ona tak bardzo się ucieszyła, kiedy go ujrzała. Spójrzcie tylko na jej uśmiech. - Avis wróciła do zdjęcia. - Co za przepiękna dziewczyna.

Avis zadumała się, myśląc, czy długo ten uśmiech pozostał na twarzy Greta Stephens. Wiedziała, że dziewczyna wróciła do domu z dzieckiem w brzuchu i obrączką Bena Stephensa na palcu, ale ojciec więcej się do niej nie odezwał. Wiedziała, że Morris poszedł na architekturę, mimo że było to marzenie siostry, nie jego. Wiedziała, że Greta urodziła pełnego życia chłopca imieniem Christopher, ale to już wszystko. Kiedy dziecko było jeszcze bardzo małe, dziewczyna przestała do niej pisać, a przedtem każdy z kolejnych listów był odrobinę smutniejszy od poprzedniego i przebijał z nich coraz większy zawód. Avis potrafiła wypełnić lukę w wiedzy o Grecie, wiedząc, gdzie zmierzała jako dwudziestolatka, a gdzie skończyła, siedząc teraz w ośrodku opieki i mając głowę pełną przygód, których nigdy nie przeżyła.

- Powinna była zostać tutaj - powiedziała do mężczyzn.
- Powinna była tutaj urodzić dziecko i żyć swoim życiem.
- Jestem pewien, że jej rodzina by się z tobą nie zgodziła - odparł Corrie. - Jestem pewien, że jej rodzina myśli, że żyła w zgodzie ze sobą. I najwyraźniej sprawiła się dobrze, wychowując Kita, no może nie do końca. - Przypomniał sobie powód, dla którego Kit zjawił się u nich. - Poza tym - zwrócił się do Avis - wiesz równie dobrze jak my, że fakt, iż nasze życie nie wygląda tak, jak sobie to planowaliśmy, nie oznacza, że je zmarnowaliśmy. - Takie rozmowy prowadzili już wiele razy wcześniej.
- Podchodźcie do tego od dupy strony - wtrącił się Fee.
- Gdyby nie odeszła, jak miałby pojawić się tu Kit? Będzie z niego serowar, więc przestańcie mi tu biadolić.
- Myślicie, że on wie? - zapytał nagle Corrie.
- Jestem pewna, że nie - odpowiedziała porywczo Avis.
- Czy powinniśmy mu powiedzieć? - Fee aż podskoczył. - To mogłoby przyspieszyć cały proces.

- Nie! - wykrzyknęli unisono tamci dwoje.

- Wiesz, jaka jest nasza zasada w tych sprawach - zezłościła się Avis. - To, co zdarza się na farmie, pozostaje na farmie i nie robimy tu żadnych wyjątków.

- Ale czy on nie ma prawa, żeby...

- Nie! - Znowu skoczyli na niego oboje. - Żeby ci się nie wymknęło słówko na ten temat, Josephie Feehan - ostrzegła go Avis. - Ani słówko.

Fee dopił herbatę, oblizał usta i wstał.

- Ale gdyby wiedział o... - Nie!

Fee uniósł, a następnie opuścił ramiona w przerysowanym geście. Wiedział, że mieli rację, i nie zamierzał się sprzeciwiać, choć nie było to łatwe.

- Ale - powiedział już do siebie, wychodząc kuchennymi drzwiami - to była dziewczyna z Coolarney. I jeśli w tym nie ma sensu, to nie wiem, w czym jest.

Rozgrzany ostatnimi wydarzeniami, choć musiał je zatrzymać dla siebie, ruszył pospiesznie do fabryczki, gdzie powitała go atmosfera równie lodowata jak dzień wcześniej i jeszcze dzień wcześniej. Kit i Abbey w całkowitym milczeniu cięli twaróg, wykonując znakomitą robotę, to musiał przyznać, ale można też było ciąć powietrze, jakie wisiało pomiędzy nimi. Napięcie rykoszetem odbijało się od wyszorowanych podłóg, a potem świstało między urządzeniami, cisza w pomieszczeniu aż dzwoniła.

Krzyż dawał mu się bardzo we znaki i Fee wiedział, nawet nie sprawdzając, że twaróg będzie zwykłym twarogiem, nie musiał go próbować. Ruby i Marie twierdziły, że produkcja zwykłego sera jest im bardzo na rękę. Od miesiący czekały już zamówienia na taki ser i dopiero teraz mogli je wykonać, więc ta partia wcale się nie zmarnowała. Pamiętając o tym, Fee starał się pohamować złość, odpychając ją gdzieś do tyłu, i spokojnie pomagał Kitowi i Abbey wkładać ser do form. Ale

nie mógł pozbyć się myśli, że jeszcze trochę, a lodowata atmosfera dopadnie i jego. Było jasne jak słońce, że tych dwoje miało wszystko, co potrzeba, więc nie mógł zrozumieć, dlaczego to nie wychodzi.

- Na litość boską - warknął nagle, kiedy wypełnili ostatnią formę, otrząsając twaróg z serwatki - jeśli ten cholerny ser nie był jeszcze kwaśny, powinien już teraz być. Złazcie na dół odwracać blue, bo patrzeć na was nie mogę.

Jak zbesztane dzieciaki, Abbey i Kit odwrócili się i ruszyli w stronę schodów, bez słowa idąc do dojrzewalni sera blue. Kit umył ręce w zlewie przy drzwiach, Abbey stała za nim, czekając, by zrobić to samo. Przysięgłby, że czuje jej oddech na łopatkach, ruszył więc na drugą stronę piwnicy, zostawiając dziewczynie półki w pobliżu wejścia.

Po raz pierwszy od epizodu sprzed trzech dni znaleźli się sami w jednym małym pomieszczeniu i czuł lekką panikę. Jego umysł i ciało miały kompletnie inną opinię na temat Abbey i przebywanie w pobliżu niej, delikatnie mówiąc, nie było łatwe. Przez ostatnie dni starał się jak mógł jej unikać, oczywiście poza czasem, który spędzali na robieniu sera, ale kiedy był sam, jego myśli wypełniało pożądanie. Nie miał żadnych wątpliwości, że istnieje między nimi jakaś przedziwna chemia i nie miał pojęcia, co z tym zrobić.

Ona go nie lubiła i on też jej nie lubił i im szybciej to dotrze do jego hormonów, tym lepiej. Klękając przy najniższej półce, żeby obrócić ser, zerknął ostrożnie, by zobaczyć, jak jej dłonie zręcznie obracają formę. Starał się nie zauważać, że miała bardzo ładne ręce. Nie były to wypieszczone dłonie, ale bardzo kobiece.

Jego własne sięgnęły teraz po kolejny ser i obróciły go. Skóra była chłodna i lekko wilgotna w dotyku, a dźwięk, jaki wydawał blue, gdy odkładało się go z powrotem na półkę, sprawiał Kitowi przyjemność. Wydawało się, że ser wzdycha

z zadowoleniem, kiedy wraca na znajome miejsce. Tak jakby nanosekunda poza tą bezpieczną strefą była nanosekundą za długo. Z serami wszystko wiadomo, pomyślał Kit. Wiesz, czego im potrzeba, i wiesz, jak im to dać. Podejrzewał, że to właśnie chciał im przekazać Fee tego pierwszego dnia, kiedy Abbey zezłościła się i uciekła. Trzeba tylko było pilnować go do pewnego momentu, a potem pozwolić, żeby sam zakończył to, co zostało rozpoczęte. Można było na nim polegać. Kit zdał sobie sprawę, że obracają z Abbey formy w tym samym rytmie, stłumione „plumf” unoszonych i powracających na półkę serów brzmiało w tej samej chwili, tworząc urywany, prawie funkowy rytm. Znowu zerknął pomiędzy półkami na dłonie Abbey, tym razem półkę wyżej odprawiające swoją magię.

Miała też piękne nadgarstki, pomyślał. Nigdy wcześniej tego nie zauważył. Ich obwód znakomicie pasował do jej dłoni, a kiedy podnosiła i obracała ser, kość nadgarstka poruszała się niezwykle seksownie. Odwrócił się i przekreślił kilka kolejnych form, starając się o niej nie myśleć. Zamiast tego zaczął się zastanawiać nad jej mężem. Co za faceta poślubiła? Musiał to być niezły skurwiel, jeśli ją oszukiwał, a ona była tak nieprawdopodobnie... Parsknął śmiechem. To naprawdę idiotyczne. Nie był przecież jakimś krostowatym nastolatkiem buzującym testosteronem, tylko dojrzałym mężczyzną i potrafił się kontrolować. Przez moment wydawało mu się, że czuje jej świeży owocowy zapach, ale w tej samej chwili zrozumiał, co to oznacza, wcale nie panował nad sobą, więc zaczął przypominać sobie stolice stanów, zaczynając od Alaski.

Abbey także nie potrafiła zignorować tego nieproszonego napięcia, które pojawiało się między nią a Kitem, kiedy tylko znaleźli się w pobliżu, i starała się nad sobą panować. Kit był seksualnym prowokatorem, wysłannikiem piekieł, by

zniszczyć ją, Lucy, a najprawdopodobniej też Jack, Wilhie, a nawet Avis O'Regan, przekonywała samą siebie, kiedy jej palce dotykały świeżego coolarney w jego najbardziej wilgotnym miejscu, by go przełożyć. Był dupkiem najczystszej wody i powinna o tym poinformować... zastanowiła się, kogo powinna o tym poinformować? Swego dziadka? Hmmmm. Może matkę Kita? Hmmmm. A poza tym, o czym właściwie miałyby im powiedzieć? Przecież to ona sama podeszła do niego i położyła mu dłoń na czole. Ale przecież wyglądał na chorego, próbowała przekonać samą siebie. To mogłaś stwierdzić, stojąc w drzwiach, przywołała samą siebie do porządku. Przecież próbowałam, usprawiedliwiła się. A to, że go pocałowałaś, pomogło mu, skontrowała sama siebie sarkastycznie.

Zdała sobie sprawę, że nie może myśleć o czymkolwiek innym, to było beznadziejne. Powinna jak najszybciej obrócić wszystkie sery i uciec stąd, zanim całe to pomieszczenie spłonie lub się roztopi. Przez trzy dni od tamtego kłopotliwego epizodu starała się wymyślić, co powinna zrobić ze swoim życiem i dokąd zmierzać. Z jednej strony sytuacja dwudziestodziewięciolatki, która nie ma własnego miejsca poza farmą dziadka, była rozpaczliwa. Z drugiej jednak strony uczucie, że znajduje się w złym miejscu w nieodpowiednim czasie, z którym musiała ciągle walczyć, w ostatnich dniach zniknęło, zastąpione zabawną świadomością, jaką odczuwała codziennie, kiedy się budziła, a która, jak podejrzewała, oznaczała, że jest gdzieś blisko miejsca, które może nazwać domem. Nie mówiąc już o tym, co odczuwała, pomyślała teraz, przechodząc do półki stojącej pośrodku pomieszczenia, gdy miała do czynienia z serem.

Dźwięk, jaki wydawało mleko wlewane co rano do cysterny, wywoływał mrowienie w kościach. Przysięgłaby, że krew pulsuje szybciej w jej żyłach na sam ów widok. Już po

czterech dniach cięcia twarogu czuła, że ma bardziej muskularne ramiona. A słodkawy skrzypiący płyn między jej palcami powodował, że chciało jej się krzyczeć. Taki sam dźwięk wyrywał jej się z gardła na widok tłusciutkiej miękkiej rączki nasyconego mlekiem niemowlaka. To był krzyk radości.

Pochyliła się, by sięgnąć do sera leżącego w głębi półki, i nagle stanęła oko w oko z Kitem, który zakłopotany patrzył na nią z drugiej strony. Abbey złapała oddech i cofnęła się nagle. Spotkali się pośrodku pomieszczenia.

- Chcesz o tym porozmawiać? - odezwał się Kit, pochylony lekko ponad smakowitymi dwutygodniowymi serami.

- Porozmawiać? - zapytała, poczerwieniawszy, serce biło jej mocniej, niżby chciała. - O czym?

- O wszystkim - odrzekł, bezmyślnie obracając ser. Wcale nie zamierzał niczego powiedzieć, a szczególnie czegoś takiego, ale wyrwało mu się. - Chodzi mi o to, że sam też nie bardzo wiem, co się dzieje, to chyba nas przerasta i myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać.

- Nie jestem pewna, czy wiem, o czym mówisz - oświadczyła niezdecydowana, sięgając po następny coolarney.

Kit westchnął. Nie chciał tego robić. To nie było łatwe. Jego ręce zamarły z serem w połowie ruchu.

- Abbey - powiedział - proszę, nie utrudniaj tego jeszcze bardziej. Myślę, że wiesz równie dobrze jak ja, że po pierwszym wieczorze zdarzyło się między nami coś wielkiego i czy nam się to podoba czy nie, nie możemy temu zaprzeczyć, a ponieważ jesteśmy dorośli i dojrzały, możemy zdecydować, co z tym zrobimy.

Abbey przestraszyła jego otwartość. Przeszedł ją dreszcz. Czy ta fala gorąca, która ją zalała, oznaczała lęk?

- Corrie i Fee chcą, żebyśmy robili razem ser - odezwała się łagodnie, zaciskając dłonie na jeszcze nieprzewróconym serze.

- Ja nie mówię o serze - odparł Kit, ściskając swój tak mocno w poczuciu frustracji, że zniekształcił go do stanu niesprzedawalnego. - Mówię o tobie i o mnie, i tej cholernej energii, która jest między nami. Jezu, Abbey, od trzech dni staram się z tym walczyć, ale nie mogę przestać myśleć o tobie. W każdej chwili jesteś albo naprawdę koło mnie, albo w mojej głowie. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale mam wrażenie, że oszalałem, i chciałbym o tym porozmawiać.

- Wy, Amerykanie, zawsze chcecie o wszystkim rozmawiać. - Abbey próbowała mówić lekkim tonem, ale jej nie wyszło.

Kit nie odpowiedział, więc teraz ona westchnęła. Wyglądał na zgnębionego i zrobiło jej się go żal. Wykazał się dużą odwagą, podnosząc ten upokarzający temat, i mogła przynajmniej przyznać, że wie, o czym do niej mówi.

- To samo - przyznała się wreszcie, wbijając kciuki w coolarney, który wciąż trzymała. - Ze mną jest to samo. I też nie wiem, co z tym zrobić. W ogóle nie wiem, co powinnam zrobić.

- Nie możesz przestać o mnie myśleć? - zapytał Kit, przyglądając jej się. Odrobina koloru pojawiła się na jego policzkach, a oczy zabłyśły.

- Nawet nie jesteś w moim typie. - Abbey zignorowała pytanie.

- Och, to nic nie szkodzi - entuzjastycznie stwierdził Kit. - Prawdę mówiąc, to świetnie. Ty też nie jesteś w moim typie.

Znowu zapadła między nimi cisza.

- Tyle tylko, że nie czułam czegoś takiego do nikogo od bardzo, bardzo dawna, a nie jestem pewna, czy chcę to czuć

teraz - odezwała się powoli, uświadamiając sobie, że to, co mówi, jest prawdą.

- No cóż, jeśli to miałyby ci pomóc, to ja z pewnością nie chcę, ale czuję - odrzekł Kit. - Czy to ma jakiś sens?

Spojrzeni na siebie ponad serami. Kit nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że w tej piwnicy jest tak cicho. Śmiertelnie cicho. Przysięgłby, że wszystkie blue ich słuchają.

- Więc - zapytała Abbey - co z tym zrobimy?

- Z nami? - odpowiedział pytaniem Kit. - Nie wiem. Wydaje mi się, że możemy umówić się, że tak długo, jak robimy razem sery, nie walczymy ze sobą, mimo że to coś, co jest tu w powietrzu, powoduje, że zwariowaliśmy na swoim punkcie.

- Zwariowałeś na moim punkcie? - Abbey aż się uśmiechnęła, jej palce puściły biedny zmasakrowany coolarney blue i ruszyła powoli wzdłuż półki.

- Tak. - Kit również się uśmiechnął, zostawił swój ser i podążył w tym samym kierunku. - Całkowicie. Cały czas widzę cię nagą.

Spotkali się twarzą w twarz na końcu półki.

- A co jeśli... - zaczęła, ale Kit przyłożył palec do jej ust. Pachniał miodem, słońcem, niebieską pleśnią i nim.

- O nic nie pytaj - powiedział, wziął ją w ramiona i zaczął całować jak nigdy wcześniej nikogo.

- Hej, wy dwaj, co też na litość Boga wyprawiacie?

Przenikliwy szept Avis tak wystraszył Corriego i Fee, że zerwali się na równe nogi, odskakując od drzwi pomieszczenia, w którym dojrzewał blue, tak gwałtownie, aż uderzyli się głowami.

- O, cholera! - wykrzyknął Fee, łapiąc się za skroń. - Złamałeś mi kość.

- Co ty tam trzymasz, dupku, kule do gry? - jęczał Corrie, rozcierając sobie czoło, gdzie już teraz wyskoczył mu guz wielkości średniego jajka.

- Wstyďte się, wy dwaj - oświadczyła Avis, biorąc się pod boki. - Dorośli mężczyźni podsłuchują dwoje nieszczęśliwych ludzi. To obrzydliwe.

- Nie podsłuchiwaliliśmy. - Corrie chwiał się na nogach. - Upuściłem coś na podłogę i Fee pomagał mi to znaleźć.

- Ach, tak - powiedziała Avis. - A co to takiego?

- Coś bardzo, bardzo małego - odrzekł tym razem Fee, wciąż rozcierając sobie głowę.

- Naprawdę? - Avis nie odpuszczała. - A jak małego? Mężczyźni popatrzyli na siebie.

- Tak małego, że nawet nie ma nazwy - oświadczył z dumą Fee.

Corrie wzniosł oczy do nieba i aż jęknął z bólu, który ten ruch wywołał.

- To najlepsze, co potrafiłeś wymyślić? Tak małego, że nawet nie ma nazwy?

- Wstrząs mózgu to coś okropnego - roześmiał się Fee, za co otrzymał jeszcze pacnięcie w głowę od Avis.

- Idźcie sobie i zostawcie ich samych - powiedziała - zanim przyłożę wam miotłą.

- Daj spokój. - W oczach Fee błyskał złośliwy ognik. - Chcesz wiedzieć tak samo jak my.

- Oczywiście, że tak - powiedziała Avis - ale nie mam zamiaru ich podsłuchiwać. Powinieneś mieć więcej oleju w głowie, Josephie, by nie naruszać czyjejś prywatności. A tak przy okazji, przyszedłam tylko, by wam powiedzieć, że jest czas niskiego cukru we krwi, więc postawiłam w palarni świeżo upieczony chleb rodzynekowy i dzbanek herbaty. Jeśli pójdziecie tam teraz, będzie jeszcze ciepła.

Abbey była tak spragniona Kita, że nie potrafiła jasno myśleć. Ich pocałunki przepęłniała uwolniona nagle namiętność, a dłonie poszukiwały pospiesznie dróg na ich ciałach, jakby bojąc się, że nie znajdą powtórnie właściwych miejsc. Abbey opierała się o ścianę z jedną nogą oplecioną wokół uda Kita, przyciskając się do niego ciałem i pozwalając, by jego pocałunki całkowicie ją pochłonęły. Dolna połowa jej ciała już dawno się poddała jego dłoniom, ale umysł wciąż walczył, nie z nim, ale z czymś ważnym.

- Nie jestem pewna - szeptała do sufitu, gdy wargi Kita paliły ją w kark. - Może moglibyśmy... - Ich usta spotkały się i wydała z siebie jęk. - Och - spróbowała znowu, wdychając czystą świeżość jego włosów, kiedy wsuwał kolano między jej uda, unosząc ją w górę. - Kit - krzyknęła głośno, nagle całkowicie pewna, co robią źle, odrywając się od niego w panice. - Nie tutaj!

Nagle dotarł do niego jej przestach i odsunął się zdyszany. Dygotała, ale był pewny, że nie przez niego.

- Nie tutaj - powtórzyła.

- O co chodzi, Abbey? - zapytał tak delikatnie, jak tylko potrafi mężczyzna, mimo że zżera go dzikie pożądanie. - O co chodzi?

- Tylko tyle, żebyśmy nie robili tego tutaj, na dole - odpowiedziała, umykając przed nim spojrzeniem. Frustracja - oto najdelikatniejsze określenie tego, co odczuwał teraz Kit. Wiedział, że Abbey pragnie go równie mocno jak on jej, i nie potrafił odgadnąć, co spowodowało, że się odsuwała. Nie droczyła się z nim, tego też był pewien, ale dziwaczność jej zachowania naprawdę wprawiała go w zmieszanie.

- Tutaj, tam, gdziekolwiek - powiedział. - Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Nie chodzi o ciebie - wyjaśniła. - Chodzi o to miejsce. Kit przypomniał sobie jej ucieczkę z piwnicy w pierwszym dniu robienia sera.

- Czy coś ci się tutaj stało? - zapytał. - Czy wydarzyło ci się tutaj coś złego?

Abbey czuła, że jest na granicy hysterii. Wiedziała, że to głupie, że głupio się zachowuje, ale nie potrafiła opanować strachu.

- Nie mnie - odparła, kiedy Kit położył jej dłonie na ramionach i pochylił się tak, by musiała mu patrzeć w oczy.

- W takim razie komu? I co się wydarzyło? Powiedz mi.

- Mojej babce - wyszeptała, a jeziora jej przepastnych brązowych oczu wypełniły się łzami. - Powiedziała mi o tym moja matka... O, mój Boże, nie wierzę, że w ogóle ci to powtarzam. - Wzięła głęboki wdech. - Myślę, że moja babka jest tu pochowana - dodała. - Że Corrie ją tu zakopał.

Kit wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

- Myślisz, że Corrie pochował w tej piwnicy twoją babcię? Abbey przytaknęła, czując, jak ogromny ciężar spada jej z ramion, taka ogarnęła ją ulga, że może się podzielić straszliwymi wątpliwościami na temat człowieka, o którym wszyscy myśleli, że jest miły, uroczy, pomocny i kochany.

- Dlaczego? - zapytał Kit. - Czy coś jest nie tak z cmentarzem?

- Nie. - Abbey potrząsnęła głową i uderzyła zaciśniętą pięścią w ścianę, czuła taką bezradność. - Nie rozumiesz. Myślę, że zakopał ją - w sekrecie - po tym, jak, no wiesz, pozbył się jej.

- Pozbył się jej? - powtórzył z niedowierzaniem Kit. Skinęła głową.

- Własnymi rękami?

Znowu przytaknęła, chociaż wcześniej akurat o tym nie myślała.

- Uważasz, że on się jej pozbył i to własnymi rękami, a potem pochował ją pod tymi cudownymi serami i pod tą kamienną podłogą, na której stoimy?

Abbey przytaknęła, a łzy jak groch toczyły jej się po policzkach.

- Pod tą kamienną podłogą? - zapytał, znowu stukając nogą w kamień. - Tą gładziutką nieporysowaną podłogą, na której nie widać pozostałości po żadnej dziurze wielkości człowieka?

- Tak mi się wydaje - powiedziała.

- Co z tobą? Zwariowałaś? - zapytał Kit, odrywając od niej rękę. - Uważasz, że twój własny dziadek mógłby coś takiego zrobić? Jezu, Abbey, nawet nie wiesz, jak to śmiesznie brzmi. Czy patrząc na tego faceta, chociaż przez chwilę mogłabyś pomyśleć, że to morderca?

Dopiero po dobrej chwili do Abbey dotarło, że Kit się z nią nie zgadza. Ciężar znowu wylądował na jej ramionach. Dlaczego mu w ogóle powiedziała?

- A co ty w ogóle wiesz? - zapytała wściekła, że przez chwilę straciła nad sobą panowanie. - Nie wiesz o nim nic.

- No dobrze, ale ty też nic o nim nie wiesz. - Słowa Kita nie zabrzmiały jakoś niemiło, ale dźwięczało w nich poirytowanie. - Wyjechałaś stąd, mając pięć lat, a potem najwyraźniej twoja matka zaśmiecała ci głowę jakimiś bzdurami o tym biednym człowieku. Zastanów się przez chwilę, Abbey. Czy twój dziadek naprawdę chciałby, żeby rozkładające się ciało psuło powietrze, w którym leży jego najdroższy ser?

- Pamiętaj, że mówimy o mojej babce - odpowiedziała ze złością, ale Kit tylko się roześmiał.

- Corrie mordercą? Jezu, chyba pękał ze śmiechu, kiedy mu o tym powiedziałaś? A tak poważnie, co powiedział? Czy natychmiast się przyznał i błagał cię, byś wezwała policję?

Abbey odwróciła wzrok i Kit już wiedział na pewno, że nie zapytała dziadka o jego żonę i dlatego właśnie sztywniała za każdym razem, kiedy wchodził do pomieszczenia, w którym była, i czuła się tak niepewnie w jego towarzystwie.

- Och, na świętego Piotra, Abbey! - Nagle i niespodziewanie serce Kita wypełniło współczucie dla niej. Była tak pokręcona wewnątrz, że stracił ochotę do śmiechu. Zupełnie nie wydawało mu się to zabawne. Zwiesiła głowę.

- Wiem, że kiedy teraz to mówię, brzmi głupio - przyznała. - Ale dlaczego uciekła stąd i przysięgła, że nigdy tu nie wróci? Dlaczego trzymała mnie z daleka od niego przez te wszystkie lata? Nie robi się takich rzeczy bez powodu, prawda?

- Nie wiem, dlaczego zrobiła to, co zrobiła - przyznał. - Ale jestem pewien, że powinnaś porozmawiać z dziadkiem na ten temat. - Pochylił się i ujął Abbey za podbródek, tak by musiała mu patrzeć w oczy. - I obiecuję, że jeśli zadzwoni po karetkę, by cię zabrała do najbliższego domu wariatów, będę z nim walczył ze wszystkich sił.

Jeśli choć trochę mi ich zostanie, pomyślał jeszcze, po walce z samym sobą, by cię nie rzucić tu na podłogę i kochać się z tobą, nieważne, czy leży tu twoja babka czy też nie.

Twoje kłopoty są jak bakterie, nie możesz ich wnosić do wytwórni.

Ser jest wrażliwy, czuje, że coś ci ciąży na sercu, i doświadczenie nauczyło mnie, że wtedy ser nie wychodzi.

Chce, żebyś sobie poszedł i wrócił dopiero, kiedy wszystko będzie w porządku.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Corrie i Fee siedzieli w palarni nad wiekowym cheddarem, którego Fee wyłuskał z fromagerie. Herbata Avis całkiem wystygła, ale i tak obaj uznali, że na ich bolące głowy pomoże zupełnie co innego.

A Corrie wiedział, że ma coś, co doskonale by pasowało do cheddara, nie był jednak nawet w połowie drogi do stojaka z winami, kiedy Fee zapał z zachwytem.

- Masz rację - powiedział. - Chilean merlot. Kto by pomyślał?

- Tego nie znasz - odparł Corrie. - Sprowadziłem go specjalnie z Londynu.

- Casa lapostolle clos apalta, zdaje się, że taką ma nazwę? - podrzucił Fee. - Dobra robota.

Corriego rozdzierały dwie sprzeczne emocje: był pod wrażeniem, a jednocześnie czuł się głęboko poirytowany.

Czy naprawdę nie mógł zrobić nic, co by zaskoczyło tę małą ropuchę? A mała ropucha tylko przyjrzała mu się, kręcąc głową, i uśmiechnęła się od ucha do ucha, gdy otwierał wino.

- Czy „gówniany” jest odpowiednim słowem, jak myślisz? - zapytał, zmieniając temat i wyciągając przed siebie krótkie pulchne nóżki.

- Na co? - zapytał Corrie.

- Na przykład w zdaniu: „Dzień zaczął się całkiem dobrze, a potem stał się gówniany” - odparł Fee.

- Naprawdę myślisz, że zaczął się dobrze? - zapytał Corrie.

- Nie mówię konkretnie o dzisiejszym dniu - powiedział Fee. - Mówię o jakimś gównianym dniu.

- No cóż, ja myślę, że ten dzień zaczął się gównianie, potem był trochę mniej gówniany, a potem znowu bardziej, a mam nadzieję, że zakończy się nie tak gównianie - odparł Corrie, masując śliwę na czole, podczas gdy pozwalał merlotowi pooddychać.

- A więc myślisz, że „gówniany” jest odpowiednim słowem - uśmiechnął się Fee. - Ja też tak myślałem. A teraz, kiedy już żeśmy to ustalili, czy mógłbyś nam zrobić tę grzeczność i trochę się rozpogodzić?

Prawda była taka, że Corrie bał się szczęścia. Wydawało im się, że słyszeli dające nadzieję dźwięki z pomieszczenia, w którym dochodziły sery, ale przecież mogli się pomylić.

- Na litość Boga! - krzyknął Fee, czytając w jego myślach. - Czy spojrzenie na świat od jaśniejszej strony zabiłoby cię? Abbey wróciła do domu, zjawił się facet, który chce robić ser, i wie też, co z nią zrobić, słońce świeci i wszystko będzie jak należy.

- Nie jestem pewien, czy ona go lubi - powiedział Corrie. - Mam też wrażenie, że nie przepada za nami.

- W stosunku do mnie zachowuje się w porządku - odparł Fee. - A co mogłaby mieć przeciw tobie?

Corrie odkroił kawałek dojrzałego sera i włożył go w usta, ukryta w nim energia pomogła mu nieco.

- Nie jestem tego do końca pewien - powiedział wreszcie - ale chyba się mnie boi, Josephie, i potrafię sobie to wytłumaczyć jedynie w ten sposób, że Rose naopowiadała jej o mnie jakichś bzdur, które ją przestraszyły.

Fee upił łyk wina, potrzymał je w ustach, a potem przełknął.

- A więc - powiedział wreszcie - już wie, że masz sztuczne zęby.

Corrie zignorował tę kiepską próbę poprawienia mu humoru i mówił dalej:

- To musi mieć związek z Maggie, jak zawsze. Podejrzewam, że Rose wyciągnęła swoje stare sztuczki i opowiedziała Abbey o Maggie. Jej ulubione historie.

- A co cię skłania do takich wniosków? - zapytał Fee.

- Bo dlaczego niby ktoś miałby się mnie bać? Bóg wie, że popełniałem błędy, ale zawsze starałem się postępować słusznie. No cóż, to, czego chciała Rose, nie zawsze miało wiele wspólnego z tym, co było słuszne, ale starałem się, jak mogłem. Zastanawiam się...

Fee przełknął i oblizał wargi.

- Zastanawiasz się nad czym?

- Zastanawiam się, czy to, co mogłem, było wystarczające - dokończył Corrie.

- Nie bądź wobec siebie tak cholernie wymagający, Joseph - odpowiedział Fee. - Wcale nie byłeś złym ojcem. Po prostu nie miałeś idealnej córki. To się zdarza. A jeśli chodzi o dzieci, to nie jesteś jedyny na tym świecie, dla kogo jest to twardy orzech do zgryzienia.

- Wiem, ale ona jest moim jedynym dzieckiem, a Abbey jedynym jej. Są wszystkim, co mam, więc musiałem zrobić coś straszliwego, jeśli straciłem je obie. Nie wiem co, Josephie. Po prostu nie wiem.

Po raz pierwszy od długiego czasu poczuł swój wiek. Czuł się stary i obolały, i nieco zbity z tropu, i nie bardzo wiedział, co powinien z tym wszystkim zrobić. Wcześniej myślał, że powrót Abbey do domu będzie czymś najwspanialszym, co może mu się przytrafić. Czekał na to tak długo. A teraz była tu i on był. Oboje nieszczęśliwi.

No i jeszcze ser, kolejne nieszczęście. Dobry na twaróg, ale gdzie jego magia? No i Fee. Nikt by nie powiedział, patrząc, jak wtyka do ust okruchy sera, że jego dni są policzone, ale ser nigdy się nie mylił. I czy przyjaciel wyglądał na choć odrobinę zaniepokojonego faktem, że sprawy przyjęły taki obrót? Wcale, pomyślał Corrie, grzęznąc coraz bardziej w smutek.

I właśnie w tej chwili Abbey wpadła do palarni. Corrie nie widział jej jeszcze tego dnia, była rozplomieniona, a jednocześnie zdenerwowana. Miał rację, kiedy mówił, że ona się go boi, i to zasmuciło jego stare serce bardziej niż cokolwiek, co się wcześniej wydarzyło.

Thusta dłoń Fee sięgnęła po kolejny kawałek sera, ale miał na tyle przyzwoitości, by przestać się uśmiechać. Może wreszcie dojdą do czegoś.

- Co stało się z moją babką? - wyrzuciła z siebie Abbey, stając na rozstawionych nogach, z rękami założonymi na piersiach. - Co jej zrobiłeś?

Corrie odstawił kieliszek z winem i spojrzał na Fee w sposób: „a nie mówiłem ci?”. Nie mógł przy tym nie zauważyć, jak bardzo Abbey w gniewie przypomina swoją matkę. Ale potrafił też dostrzec, że mimo wściekłości jest w niej również łagodność, której nigdy nie miała Rose.

- Nie wiem, co powiedziała ci twoja matka... - zaczął.

- Nie wciskaj mi żadnego gówna - przerwała mu niegrzecznie Abbey. - Mam tego dość. Musiałam to znosić przez całe życie.

- Mówisz: gówno? - wtrącił się Fee, zarabiając mroczne spojrzenie od obydwójga.

- Zadałam proste pytanie - powiedziała Abbey, kładąc ręce na biodrach. - I chcę prostej odpowiedzi. Co stało się z moją babką?

- Nic, co mogę ci powiedzieć o twojej babce, nie spowoduje, że poczujesz się lepiej - powiedział spokojnie Corrie ale Fee widział, jak drżały mu ręce. - Nic dobrego z tego nie wyniknie.

- No cóż, jeśli się tego nie dowiem, nie mogę tu zostać - oświadczyła Abbey, tupiąc nogą jak pięcioletnia dziewczynka.
- Nie mogę i nie zostanę.

Dzielna dziewczynka, pomyślał Fee, obserwując ją z boku. Może jednak ma ikrę.

- Nie mogę ci powiedzieć - odrzekł smutnie Corrie. - Ale nie chcę, żebyś odeszła.

- Wiesz co, ja myślę, że powinieneś jej powiedzieć - wtrącił się Fee.

- A co ty tam wiesz - kłóliwie odparł Corrie.

- Więcej niż wy oboje razem wzięci - powiedział.

- Przepraszam - wtrąciła się Abbey, próbując przesterować rozmowę na siebie. Wiedziała, że dowie się teraz albo nigdy. - Czego nie możesz mi powiedzieć?

- Masz wyjście - zasugerował Fee. - Jeśli powiesz jej to, czego nie możesz powiedzieć, to oficjalnie jest tak, jakbyś jej nie powiedział.

- Nie bądź śmieszny - Corrie zwracał się do przyjaciela. - Oglądasz za dużo seriali. Wciąż ci powtarzam, że prawdziwe życie jest inne

- Zabrnąłeś w ślepy zaułek - oświadczył Fee. - Prawdziwe życie polega na tym właśnie, jak z tego wybrniesz. Ulżyj tej biednej dziewczynie.

- Och, Josephie. - Corrie potrząsnął głową. - Czy nie mówiliśmy zawsze...

- Och, Josephie, powiedz tak lepiej sam do siebie - zadrwił Fee. - Zawsze mówiliśmy, że nie chcemy, by prawda kogoś zraniła, ale ją rani fakt, że nie zna prawdy. Nie chcę na ciebie naciskać, ale jeśli Abbey trzyma w tych swoich

gorących rączkach przyszłość całego imperium Coolarney, dlaczego nie zrobisz tego kroku i nie powiesz jej.

Abbey odwróciła się i spojrzała na Fee, który napełniał swój kieliszek. Przez chwilę przysięgłaby, że naprawdę widzi jakąś niezwykłą emanację unoszącą się nad jego fotelem.

- Niczego się nie osiągnie, grzebiąc w przeszłości - upierał się Corrie.

Spokój, jaki zachowywał, był nie do przyjęcia.

- Nie proszę cię, żebyś ją ekshumował - odezwała się z niedowierzaniem. - Proszę cię, żebyś mi powiedział, co jej zrobiłeś.

- Ekshumować ją? - Fee poruszył ustami. A więc jednak Rose posłużyła się swoimi starymi sztuczkami.

- Święta Panienko! - wykrzyknął Corrie. - Siadaj tu, Abbey. To nie jest tak, jak myślisz. - Rzeczywiście nie miał wyboru. Spojrzał na Fee, wziął głęboki wdech i zwrócił się do wnuczki. - Twoja babka porzuciła mnie dla innej kobiety.

Abbey stała jak zamurowana.

- Dla innej kobiety? - zapytała głupawo. - Jakiej?

- Mary - Therese McGrath - odpowiedział Fee. - W swoim czasie miała zostać panią Feehan.

Corrie i Fee równocześnie sięgnęli po ser.

- Jeszcze parę tygodni - zauważył Fee, popatrując na wiekowy cheddar - i on by nas zjadł.

- Moja babka uciekła z twoją dziewczyną? - Abbey popatrzyła na niego.

- Narzeczoną - nonszalancko rzucił Fee, oblizując wargi - dokładnie mówiąc.

Abbey czuła w głowie wirowanie myśli. Z pewnością była to ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć od dziadka. Jej zdecydowanie ulotniło się, zastąpione zmieszaniem.

- Więc nie jest martwa? - zdołała jeszcze zapytać.

- Zgodnie z informacją na ostatniej pocztówce ma się świetnie - odpowiedział Corrie.

- Pocztówce? - powtórzyła jak echo Abbey.

- No oczywiście. Dostajemy od nich raz na rok wieści. Są jak najbardziej żywe i dobrze im się wiedzie w Portugalii - odparł niechętnie. - Znakomicie się bawią.

- Najwyraźniej kurczaki w Portugalii smakują im bardziej - dodał Fee. - No i oczywiście mają własny basen.

Abbey była całkiem zbita z tropu. Więc jej babka mieszkała w Portugalii z inną kobietą, zajadając się kurczakami i pływając w basenie. I z pewnością nie leżała pod podłogą piwnicy, w której dojrzewały sery. Ale to dopiero otwierało puszkę Pandory.

- Dlaczego Rose mi tego nie powiedziała? - zapytała Corriego. - Dlaczego mówiła, że ją zabiłeś? Dlaczego tak bardzo cię nienawidzi?

Corrie poczuł rozdzierający ból w sercu. Zdawał sobie sprawę z nienawiści córki i miliony razy w życiu zadawał sobie pytanie, co zrobił, by zasłużyć na taki ból.

- No tak - zaczął, starając się nie pokazać Abbey, jak bardzo jest wstrząśnięty - z pewnością jest kilka powodów, a pierwszy to taki, że dwunastoletnia dziewczynka nie chce uwierzyć, że matka ją porzuciła.

- Szczególnie dla lepszego klimatu i kogoś, kto jest narzeczoną innego mężczyzny - dodał Fee, popijając kolejny łyk wina. - Ale trzeba przyznać, że Mary - Therese miała fantastyczne nogi. Dużo lepsze niż Maggie, która nosiła befsztyki na obcasach.

- Żadna dwunastolatka nie chce uwierzyć, że matka ją zostawiła - ciągnął Corrie, ignorując go. - I ma do tego prawo. Sam nie chciałem w to wierzyć.

- Tak, to rozumiem - powiedziała Abbey, ponieważ rzeczywiście rozumiała to aż za dobrze - ale dlaczego

wymyśliła taką straszliwą historię? Dlaczego zachowała się tak podle?

- Daj spokój - mitygował ją Corrie. - Rose nie jest podła. Tylko w trudnym wieku została odrzucona. - Poprawił się w fotelu, jakby nagle zrobiło mu się niewygodnie. To nie było terytorium, po którym poruszał się z przyjemnością, ale już teraz wiedział, że jeśli Abbey ma zacząć normalne życie, musi poznać wszystkie rodzinne sekrety. - Zanim dostaliśmy pierwszą kartkę, nie wiedzieliśmy na pewno, że Maggie i Mary - Therese uciekły razem - wyjaśnił. - Chociaż fakt, że obie zniknęły w jednym czasie, na to wskazywał. I oczywiście Fee miał pewne podejrzenia, chociaż przez kilka lat tutaj Mary - Therese zamuliła nieco jego radar, czy jak to nazwać. W każdym razie przez pierwsze dni nie wiedziałem, co mam powiedzieć Rose, więc powiedziałem tylko, że jej mama wyjechała i nie wiadomo, czy wróci.

- I to była prawda - wtrącił Fee, wpychając sobie do ust ostatni kawałek sera. - Mówiłeś jej prawdę.

- Ale parę dni po tym, jak twoja babcia mnie porzuciła... a pamiętaj, Abbey, że Rose była bardzo zmartwiona i bardzo rozgniewana, zobaczyła coś, czego nigdy nie powinna była zobaczyć, a biedaczka była w takim stanie, że dodała dwa do dwóch i wyszło jej, no... - zamilkł wyczerpany.

- I co jej wyszło? - Abbey nie rezygnowała.

- No cóż, nie była to prawidłowa odpowiedź - dodał Fee, co nikomu specjalnie nie pomogło.

- Trudno to wytłumaczyć - wymigiwał się Corrie. - Zdarzył się tu wypadek. Może byś mi zechciał choć odrobinę pomóc, Josephie? Po tym jak Rose już poszła spać, staraliśmy się to posprzątać, kiedy... - umilkł znowu ku irytacji Abbey.

- Kiedy co? - wykrzyknęła. - Co takiego straszego zobaczyła Rose?

- To był pan O'Regan - oświadczyła od progu Avis. - Niech Pan świeci nad jego duszą.

Cała trójka odwróciła się w zdumieniu.

- To się nazywa mieć wielkie wejście - westchnął z podziwem Fee.

- Nie mogłam stać z boku, kiedy sam walczysz z tym sztormem - powiedziała Avis, podchodząc do fotela, na którym siedział Fee, i kładąc dłonie na oparciu.

- Sztormem? - powtórzył głupawo Corrie.

- To było ciało nieżywego Owena O'Regana - Avis zwracała się tylko do Abbey. - Twoja matka zobaczyła tych dwóch kochanych dżentelmenów ciągnących przez podwórko jego ciało, w którym nie było już ani iskierki życia, do fabryki, gdzie zakopali je pod podłogą piwnicy, gdzie dojrzewają sery.

Fee zakrztusił się merlotem, a Corrie zbladł, przybierając kolor camemberta.

- Twoja matka wstała w nocy - mówiła dalej Avis, spoglądając na Abbey, której broda trzęsła się podejrzenie - zobaczyła ich z podestu schodów i wyobraziła sobie, że widzi, jak pozbywają się ciała jej matki.

- Ale dlaczego przede wszystkim Owen O'Regan był martwy? - zapytała Abbey. - Skąd on się w ogóle tutaj wziął?

- Znalazł się tutaj, bo przyszedł za mną, kiedy uciekłam po najgorszym laniu, jakie od niego oberwałam - ciągnęła Avis, a łzy kapały jej na rumiane policzki. - Byłam w ciąży z jego dzieckiem i przybiegłam tutaj po pomoc, mieszkałam milę dalej, a potem zepchnęłam go ze schodów, gdy ten pijany prostak kolejny raz chciał mnie okładać pasem. - Teraz już nie płakała, czuła jedynie gniew. - I gdybym miała jeszcze raz szansę, zabiłabym go znowu.

Zapanowała kamienna cisza.

- Tak się składa, że możesz mieć szansę, Avis - odezwał się Fee.

- On nie był wcale martwy - dodał Corrie. Tym razem to Avis zbladła.

- Daliśmy mu dwieście funciaków i wsadziliśmy go do autobusu do Limerick.

- Limerick? - wyszeptała Avis.

- Usiądź, Avis - powiedział Corrie. Abbey wstała i pomogła oszołomionej kobiecie usiąść na swoim krześle, po czym sama przysiadła na poręczu fotela Corriego. Ten drobny gest sprawił, że jego serce zalała fala ciepła.

- Myślę, że kieliszek wina pomoże ci odzyskać równowagę - odezwał się Fee, ale gdy nalewał wino, widać było, że jego ręka też drży.

- Przez te wszystkie lata myślałaś, że zabiłaś Owena? - zapytał ją Corrie.

Avis skinęła głową.

- To był wypadek - powiedziała. - Ale tak naprawdę nie żałowałam go. Prawdę mówiąc, uważałam, że świat bez niego jest o wiele lepszym miejscem.

- I myślałaś, że pozbyliśmy się jego ciała? - dopytywał się Fee.

- Zapytałam, co się z nim stało, i odpowiedzieliście, że już nie muszę się martwić - broniła się Avis. - Powiedzieliście, że on już tutaj nikogo nie będzie nachodził.

- Myśleliśmy o Limerick, nie o zaświatach - wyjaśnił Fee. Znowu zapadła cisza, gdy wszyscy usiłowali zrozumieć to, co przed chwilą zostało powiedziane.

- Czy to oznacza, że wszyscy żyją? - zapytała Abbey, po prostu żeby się upewnić.

- Zgadza się - potwierdził Corrie. - Przynajmniej wszyscy, o których wiemy.

- Nalej jeszcze trochę wina, Josephie. - Avis wyciągnęła kieliszek w jego stronę.

- A tobie nigdy nie przyszło do głowy, że Avis ma się za morderczynię, a nas za współników? - zapytał Corrie z nutą oskarżenia Fee.

Ten poczerwieniał po cebulki swych białych włosów.

- Nie, nic takiego mi nie przyszło do głowy.

- I jak możesz twierdzić, że zawsze wiesz o wszystkim z góry - powiedział z nutą irytacji Corrie. - Dlaczego wiesz, jakiego koloru majtki włoży do kościoła Patsy O'Connell, a nie wiesz, że przygarnęliśmy morderczynię?

- Co mają do tego majtki Patsy O'Connell? - zdumiała się Avis.

- Ona nie jest morderczynią - przypomniała Abbey.

- Ale myślała, że jest - odbił piłeczkę Corrie. - A on mógł oszczędzić jej wiele stresu, mówiąc, że nie jest.

- Nie byłam zestresowana - odparła Avis. - Ale teraz jestem. Wszystkie te lata przeżył sobie w Limerick i nawet kartki mi nie przysłał!

- Kolor majtek po prostu zgadłem - mruknął ponuro Fee. - Widziałem, jak je rozwieszała do wysuszenia. Wszystkie były czerwone.

- Kartki pocztowe nie zawsze są miłe, Avis - oświadczył Corrie. - Lepiej ci się żyło bez nich.

- I mogliśmy mu troszkę uszkodzić jego małą główkę, jak ściągaliśmy go w dół po schodach do piwnicy z serami - zwierzył się Fee. - Kiedy mu wróciła przytomność, mógł czuć się trochę zagubiony.

- Kiedy mu wróciła przytomność? - powtórzyła Avis.

- Wsadzaliśmy go do autobusu rano, wtedy jeszcze się nie obudził, ale na pewno gdy dojechał do Limerick, wiedział już, gdzie jest - odparł kłótniwie Fee. - Ostatecznie są tam przecież napisy z nazwami.

- Avis - odezwał się Corrie. - Mieszkałaś tutaj przez te wszystkie lata, myśląc, że w piwnicy leży zakopany twój mąż. Co ty sobie o nas w ogóle myślałaś?

- Że jesteście najkochańszymi, najmiłszymi, najśłodszymi ludźmi w całej Irlandii - oświadczyła Avis, czerwieniąc się po brzeg przypominającej tort fryzury. - Dziękowałam Bogu za dzień, w którym Owen O'Regan podniósł na mnie rękę. Dzięki temu przeżyłam ja i przeżyło moje dziecko, i nie ma minuty, żebym nie była za to wdzięczna wam obu. Jesteście najlepszymi z ludzi i kocham was obu. - Ze łzami wychyliła swój kieliszek do dna.

- Było dziecko? - zapytała Abbey.

- Tak, było dziecko - odpowiedziała Avis, uśmiechając się do niej oczami pełnymi łez. - Pierwsze dziecko Coolarney. Od tego czasu mieliśmy ich na pęczki, ale moja Josephine była pierwsza.

- Była taka śliczna - rzucił półgłosem Corrie. - Prawda, Josephie?

- Piękna - potwierdził, a jego oczy też pełne były łez.

- Gdzie teraz jest? - chciała wiedzieć Abbey.

- Mieszka w Galway, jest pielęgniarką i ma dwoje własnych dorosłych dzieci. Adoptowała ją wspaniała rodzina. Prawda, że byli kochani, Josephie? Lekarz z żoną. Moja Josephine miała fantastyczne życie. Odwiedzam ją raz lub dwa razy w roku, a piszę do niej co tydzień.

- Dlaczego jej nie zatrzymałaś? - Abbey nie mogła powstrzymać się przed tym pytaniem.

- W tamtych czasach to było niemożliwe - odpowiedziała Avis, ssąc brzeg pustego kieliszka, policzki jej płonęły, ale oczy miała jasne i czyste. - Byłam wdową, a przynajmniej tak o sobie myślałam, nie miałam nic poza miesięczną zaległą zapomogą i dzieckiem w drodze... - Głos jej się urwał. - O to

właśnie chodziło - powiedziała w oszołomieniu. - Myślałam, że jestem wdową.

Fee poprawił się w fotelu.

- Ale ty wiedziałaś, że jestem mężatką. - Wskazała jedną nogą na Fee. - I to dlatego przez te wszystkie lata nigdy...

Oczy Fee spoglądały wszędzie, tylko nie na nią, jakby chciały umknąć.

- Nigdy co? - zapytali jednym głosem Corrie i jego wnuczka.

Avis nagle wyrwała się z oszołomienia.

- Nigdy nic - odpowiedziała energicznie, siadając prosto. - W ogóle nigdy nic.

Abbey przeniosła podejrzliwe spojrzenie z Avis na Fee, a potem z powrotem. Jeśli się nie myliła, coś tam było w powietrzu.

- Wy dwoje! - wykrzyknęła.

Fee i Avis wymienili spojrzenia, w których mieszały się obawa i zachwyt, poczucie winy i radość, i przerażenie, że zostali odkryci. Corrie poczuł, jak serce zwalnia mu do powolnego bam - bam, siedział teraz na samym skraju fotela, wpatrując się w rzeczoną dwójkę.

- Wy? - wyszeptał.

Fee i Avis siedzieli nieporuszeni, nie odrywając od siebie wzroku.

- I jak długo to już trwa? - zapytał Corrie nieswoim głosem.

- Dopiero od 1977 roku - wyszeptała Avis.

- Mieliśmy zamiar ci powiedzieć, ale wtedy właśnie Rose zabrała Abbey i uważaliśmy, że to nie jest najlepszy czas i lepiej trochę poczekać - dodał Fee.

- Nie gniewasz się? - zapytała Avis, a lęk zmarszczył jej brwi.

- Gniewam? - powtórzył Corrie. - Gniewam?

Jego najlepszy przyjaciel złapany tuż pod jego nosem przez dziewczynę, którą przygarnął wiele lat temu. Czy się gniewał? Zastanawiał się nad tym. No cóż, przecież nawet nie zauważył, więc jaka to różnica?

- Oczywiście, że się nie gniewam - powiedział z całym przekonaniem. - Prawdę mówiąc, bardzo się cieszę ze względu na ciebie, Josephie. Nic nie mogłoby mnie bardziej ucieszyć. Przez cały ten czas zamartwiałem się, że nie masz rodziny, jesteś samotny, a ty, stary knurze, a ty tutaj...

- Nie należy zapominać, że nie jesteście tylko w męskim towarzystwie - wtrąciła pruderyjnie Avis.

- Nie uważałem, że będziesz się gniewał - ostrożnie zaczął Fee - ale nie zawsze mogę polegać na moich uczuciach, jeśli chodzi o Avis. - Podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej, a ona uścisnęła mu ramię. - Ona też zamuliła mój radar.

- Czy jest jeszcze choć trochę wina? - zapytała Abbey. To było zdecydowanie dość jak na jeden raz.

- I nigdy nie rozmawialiście między sobą, czy Owen nie żyje, czy jest w Limerick? - zapytał Corrie. Fee i Avis jednocześnie potrząsnęli głowami.

Boże, żeby tylko nie powiedzieli, że mieli co innego do roboty, niż gadać, Abbey poprosiła w duszy.

- Słyszałem to - mrugnął do niej porozumiewawczo Fee. Kiedy skończyli drugą butelkę, Abbey wybrała się na spacer z Corriem. Chciał przejść się ścieżką nad morzem, szczególnie po tak ekscytujących chwilach. To go uspokajało. Ku jego wielkiej radości wnuczka miała ochotę mu towarzyszyć. Najwyraźniej też potrzeba jej było trochę ukojenia. Mimo że tyle spraw zostało rozwiązanych, czuła nadal dziwne doskwierające jej napięcie, jakby jeszcze coś trzeba było wyjaśnić.

- Dlaczego Rose nie uwierzyła ci, że mama pojechała do Portugalii z Mary - Therese, że siedzą tam nad basenem i w

ogóle? - zapytała Corriego, spacerując w popołudniowym słońku.

Westchnął.

- Nie przyjmowała w ogóle tej wersji, Abbey. To było dla niej zbyt trudne. Nie chciała uwierzyć. Powiedziała mi, że widziała, jak ciągnąłem zwłoki, więc wyjaśniłem, czyje było to ciało i w dodatku w znakomitym stanie zdrowia. Ale ona po prostu nie chciała mi uwierzyć.

Abbey ujęła jego rękę i ścisnęła. Wiedziała wszystko na temat dopasowywania rzeczywistości do oczekiwań Rose.

- Łatwiej było obrócić się przeciwko mnie, niż uwierzyć, że matka mogła ją porzucić dla innej kobiety, to po pierwsze - mówił dalej Corrie. - Dopiero znacznie później zrozumiałem, że opowiedziała w szkole i wiosce swoją wersję wypadków, ale ci, co się liczą, znają prawdę.

- Jaka ona była? - odważyła się zapytać cichutko Abbey. - Zanim ja się urodziłam.

- Twoja matka?

Było wiele do opowiedzenia, ale takich rzeczy, o których nie chciał mówić. Tak bardzo chciałby jej powiedzieć, że miała matkę, która kochała ją całym sercem, była dobrą i miłą dziewczyną, tyle tylko, że to nieprawda. Już wcześniej egoistyczne serce Rose po odrzuceniu przez Maggie stwardniało. Musiał się przyglądać, jak jego jedyne dziecko z każdym rokiem stawało się coraz dziksze i trudniejsze.

- Była skomplikowaną dziewczyną, która wyrosła na skomplikowaną kobietę - odpowiedział wnuczce. - A najlepsze, co kiedykolwiek zrobiła, to urodzenie ciebie.

- A co z... - Głos odmówił jej posłuszeństwa. - Nie przypuszczam, żebyś wiedział...

Gdyby nie chciała się tego dowiedzieć, byłoby to nienaturalne, przypuszczał Corrie.

- O twoim ojcu - podsunął. - Nie całkiem.

- Nie całkiem?

- Joseph wie coś na ten temat, ale już zrezygnowałem z wypytywania go. Prawdę mówiąc, nigdy mnie to nie obchodziło, jak się wzięłaś na tym świecie, ważne tylko to, że jesteś, Abbey.

Zagryzła wargi. Ciężko było znaleźć się tak blisko, a jednocześnie tak daleko od prawdy.

- Rose chciała, byśmy sądzili, że twoim ojcem był słynny dyskdzokej z Dublina - mówił dalej Corrie. - Ale Fee twierdzi, że to ktoś z okolicy. A nawet z bliskiej okolicy. Dokładnie z Schillies.

- Miejscowy chłopak? Corrie wzruszył ramionami.

- Fee twierdzi, że ten facet załapał, że jest twoim ojcem, i musiał porozmawiać z Rose, która wróciła do domu, spakowała torbę i najbliższym promem przepравиła się przez kanał.

- Ale dlaczego miałyby wyjechać i nigdy tu nie wrócić? Dlaczego miałyby to zrobić?

Jedyne, czego Rose nigdy nie chciała, to być zwykłą małomiasteczkową dziewczyną, noszącą w brzuchu bękarta lokalnego barmana. Jej pragnienia były dużo większe.

- W Londynie dostała pracę modelki - odpowiedział. - To było spełnienie jej marzeń. A nigdy nie miała żadnego powodu, żeby tu wrócić.

- Ale co ze mną? - zapytała Abbey, starając się, by jej głos nie brzmiał płaczliwie. - Czy nigdy nie próbowałeś mnie szukać?

- Abbey, twoja matka złamała mi serce, zabierając cię stąd. Byłem w Londynie kilkanaście razy, a dzwoniłem z tysiąc - odpowiedział. - Ale nigdy mnie nie wpuściła, a nawet nie chciała ze mną rozmawiać, poza zamienieniem kilku słów. Taka już jest Rose. Trzymanie cię z daleka ode mnie sprawiało jej uciechę.

- A historia o podłodze w piwnicy z dojrzewającymi serami miała przypieczętować to, że będę się trzymać z daleka od ciebie - powiedziała powoli Abbey. - Tak właśnie myślała, prawda?

Popatrzyli na siebie ze smutkiem. Rose kreowała świat, który był skupiony całkowicie na niej, i fakt, że jej ojciec i córka odkryli siebie od nowa, mimo wszelkich jej wysiłków, zakrawał na cud.

Abbey myślała o swoim nieznanym ojcu. Potrzeba będzie czasu, uświadomiła sobie, i to wcale niemało, by uleczyć rany przeszłości. Ale na razie była szczęśliwa, że jest, kim jest, że jest tu, gdzie jest, z tym ciepłym, wspaniałym staruszkiem.

- Czuję się tutaj jak w domu, czy to nie cudownie? - powiedziała do Corriego, a na jej twarzy pojawił się taki sam uśmiech, jaki zapamiętał sprzed dwudziestu pięciu lat. Wrócili do domu, zgodnie milcząc, trzymając się za ręce i ciesząc się słodyczą tego wszystkiego, co było im wspólne.

- Pomyślałam, że zabiorę Kita na piknik - powiedziała nieśmiało Abbey, kiedy dochodzili już do domu. - Jak myślisz, będzie miał na to ochotę?

- Byłby wariatem, gdyby nie chciał - odpowiedział Corrie.
- A nie wygląda mi wcale na wariata, oczywiście jeśli go porównać do większości ludzi. Pamiętasz, gdzie chodziliśmy piknikować, kiedy byłaś mała? Na pole za domem, za oborą, po drugiej stronie wzgórza, pod starym dębem. O tej porze roku jest tam bardzo pięknie.

Kiedy dotarli do podwórka, na końcu podjazdu zobaczyli traktor.

- Co robisz? - zapytał Corrie Fee, który przemknął koło niego z termosem w jednej ręce i pudełkiem ciasteczek w drugiej, by wskoczyć na czekającą maszynę.

- Wrócę później - odpowiedział Fee, sadowiąc się na siodełku traktora i ruszając powoli naprzód, a potem w dół drogą. - Nie czekajcie na mnie.

- A dokąd on się znowu wybiera? - zapytała Abbey. Corrie tylko wzruszył ramionami. Fee nigdy nie nauczył się prowadzić samochodu i niezwykle rzadko siadał na traktor, ale z jakiej okazji zrobił to teraz, nie miał pojęcia.

- Czy to tylko moje wrażenie - zapytała Abbey, przyglądając się tłustemu okrągłemu tyłkowi na siodełku maszyny kierującej się w dół podjazdu - czy on jest kompletnie kopnięty?

- Nie tylko twoje - odpowiedział serdecznie Corrie, po czym ruszył do domu, by znaleźć kosz piknikowy.

Nie myśl, że kiedy ser trafił do pomieszczenia, w którym ma dochodzić, ciężka praca się skończyła.

Nic takiego, jeszcze ciągle możesz go zepsuć.

Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby odrobina niebieskiej pleśni dostała się do złotego pokoju?

Całkowite nieszczęście, nawet gdyby był to już ostatni etap.

Błękitna pleśń w odpowiednim miejscu jest darem od Boga, ale jeśli trafi nie tam, gdzie powinna, rozprzestrzenia się jak rak.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Abbey i Kit siedzieli na kocu w szkocką kratę pod dębem na stoku wznoszącym się na tyłach domu, testując swoje zęby na orzechowych toffi produkcji May. Toffi były przepyszne, ale dla dentysty stanowiły prawdziwe wyzwanie.

Było późne popołudnie i wyjedli już prawie wszystko z kosza, który Abbey wcześniej wypełniła owocami i słodkościami oraz kawą w termosie, a potem odnalazła Kita i zaprosiła go na późny lunch na wzgórzu. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się tak szczęśliwa i tak wolna. Opowiadała teraz swemu wspólnikowi w robieniu sera o wszystkim, co się wydarzyło w palarni, a on słuchał, śmiał się i prosił o jeszcze.

- Jak mogłam uwierzyć, że Corrie zamordował własną żonę - dziwiła się Abbey. - Teraz nawet myśl o tym wydaje mi się śmieszna.

Kit pomasaował szczękę bolącą od słodkich ciągutek.

- Owszem, ale w tym miejscu jest coś takiego - powiedział - że to, co dziwaczne, wydaje się całkiem normalne. Zauważyłaś?

Abbey zamknęła powieki i pozwoliła płynąć leniwie myślom w ciepłe słońca. Zgadzała się, że w Coolarney House

zwyczajne mieszało się z niezwykłym. Ale w ogóle jej to nie przeszkadzało. Wręcz rozumiała to. Podobnie jak rozumiała teraz, a może nawet zawsze, że jej matka była osobą trudną, wręcz niebezpieczną, ale ona sama się uratowała i nigdy nie będzie taką kobietą, jaką stała się Rose. Miała w swoich genach dobroć, wiedziała teraz, że zawdzięcza to Corriemu. I zamierzała tu pozostać i robić ser, bo na myśl o tym jej serce podskakiwało, a czubek nosa poruszał się na wspomnienie ciepłego, wilgotnego drożdżowego zapachu fabryki.

Kit przyglądał się jej rozjaśnionej pod wpływem szczęśliwych myśli twarzy i poczuł ból, którego nie potrafił rozpoznać. Chciał ją pocałować i nie tylko, pragnął jej tak bardzo mocno, już, od razu, wiedział to bardzo dobrze. Ale w jego pragnieniach było też dużo więcej. Kiedy słońce się przesunęło, a na policzku Abbey pojawił się cień konarów dębu, niczym sękatych palców, uświadomił sobie, że chciałby się z nią zestarzeć. Chciał spoglądać na nią poprzez każdą z mlekiem przez następne powiedzmy czterdzieści lat i patrzeć, jak Abbey się starzeje, jak zmarszczki na jej twarzy przełamują się w uśmiechu, kiedy próbuje twarogu ze swej pomarszczonej dłoni. Chciał stać za nią, kiedy będzie wkładała ser do formy, i wspomóc ją siłą swoich własnych starych ramion. Pragnął dzieci, i to całej gromadki, które by doprowadzały oboje do szału ciągłymi bójkami i pomysłami z piekła rodem. A im dłużej o tym myślał, tym bardziej zupełnie zwyczajnie jej pragnął.

Abbey otworzyła oczy i odwróciła się ku niemu, cień zsunął się z policzka na ucho i na trawę.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - zapytała z szelmowskim uśmiechem.

Kit nachylił się i pocałował ją, długo i mocno. Jego dusza uleciała, gdy poczuł, jak ciało Abbey unosi się, by spotkać z

jego ciałem. Podłożył dłoń pod wyprężony kręgosłup i gwałtownie przyciągnął ją bliżej, a potem sam przetoczył się na trawę, a ją wciągnął na siebie. Smakowała ciągutką. Poczuł się wolny od wszystkich problemów, jego złamane życie, jego ból, wszystko to pozostało gdzieś za nim. Kiedy poczuł bicie jej serca koło własnego, z całą jasnością zobaczył, że wszystko będzie dobrze. Oderwał się od jej ust, a ona siedziała na nim, opierając się kolanami o ziemię i zlizywała jego smak z własnych warg. Powoli zaczął rozpinać jej bluzkę.

Czując jego palec wsuwający się pod stanik, aż jęknęła i w nagłym dreszczu zrozumiała, że to ten palec, o którym marzyła na Ate'ate. Gdy jego silne dłonie wędrowały od żeber w górę, by pieścić jej piersi, całe ciało Abbey się rozpląnęło. Odrzuciła głowę w tył, ale w tym samym momencie usłyszała jakiś samochód wspinający się podjazdem. To pozwoliło jej wziąć w karby namiętność i zwyciężyć rozumowi.

- Nie tutaj - wyszeptała, odsuwając dłonie Kita. - Nie na wzgórzu. Chodźmy do domu.

Zajęczał.

- Tylko mi nie mów, że pod tym drzewem może być pochowana twoja siostra - powiedział. - Tego już nie zniosę.

Abbey się roześmiała.

- Już ci powiedziałam - oznajmiła, zapinając bluzkę - że wszyscy żyją.

Kit jęknął znowu, ale uznał, że jednak Abbey ma rację. Piknikowe miejsce było doskonale widoczne z domu, a że ich zaloty zostały już dwukrotnie przerwane, należałoby znaleźć jakieś bezpieczne miejsce. Położył dłonie na biodrach Abbey, dźwigając się do pozycji siedzącej. A potem pochylił się, by wyszeptać w jej doskonały karczek:

- Jesteś piękna.

Chciała go tak bardzo i już zaraz, że zastanawiała się, jak zdoła zejść ze wzgórza.

Wstała uśmiechnięta, spragniona i w oczekiwaniu wyciągnęła do niego dłoń. Kit ujął ją, po czym podniósł do ust i ucałował, a potem delikatnie polizał słonawą skórę. Drugą ręką złapał koszyk i koc, ruszyli w stronę domu.

Abbey czuła się tak szczęśliwa, że z całej siły musiała się powstrzymać, by nie skakać i nie krzyczeć z radości. Całe jej ciało nuciło radośnie, a serce mu wtórowało. Nic innego nie było ważne. Czuła to w samym środku siebie. Przysunęła się do Kita i pocałowała go w ramię, poniżej własnego ramienia. Jaki to dobry mężczyzna, pomyślała. Jest taki, taki dobry.

Gdy byli w połowie drogi, zauważyła samochód, który wcześniej słyszała. Był to żółty kabriolet z czarnym opuszczonym dachem, stał na podjeździe między domem a oborą.

- Ciekawe, kto to może być - powiedziała do Kita. - Rzadko coś takiego się zdarza w tych stronach.

Spojrzał na nią, uśmiechnął się beztrosko i wzruszył ramionami.

- A kogo to obchodzi - powiedział. - Teraz nikt nas nie powstrzyma.

- To nie zadziałało Coolarney, no wiesz, że ty i ja? - zapytała Abbey nagle przestraszona, że to, co się dzieje, jest za dobre, żeby mogło być prawdziwe. - To nie jest jedna z tych śmiesznych rzeczy, które tylko tutaj wydają się normalne, bo Coolarney już takie jest.

Kit roześmiał się znowu i objął ją ramieniem.

- Nie czuję się wcale śmieszny - odparł. - Nie wiem jak ty, ale myślę, że też traktujesz to normalnie.

Ma rację, pomyślała Abbey. Oczywiście, że ma rację. Wszystko było w porządku. Mogła być teraz tego pewna. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy będzie przy nim naga. Kiedy będzie się z nim kochać. Kochać.

Dotarli już do stóp wzgórza, a Kit pomagał jej właśnie przejść przez bramę, kiedy niedobra ciemna chmura przetoczyła się przez horyzont ich szczęścia. Głos, który zawołał do nich z podjazdu, jakby zmroził Kita. Abbey obejrzała się, by spojrzeć ponad jego ramieniem, bo trzymał ją właśnie w pasie, gotowy, by postawić ją na ziemi.

Wysoka piękna blondynka w maleńkiej sukience w słoneczniki szła ku nim, stukając po żwirze parą cienkich i wysokich szpilek czerwonych pantofli. Była prawie boleśnie chuda, ale o to właśnie chodziło, a wąskie ramiączka nie zasłaniały obojczyków ani ramion. Nogi miała niemożliwie długie - jak u klaczy czystej krwi - opalone i gołe. Podeszła bliżej i przesłoniła oczy dłonią.

- Witajcie - zamruczała, a Abbey ujrzała, jak życie odpływa z twarzy Kita, a jego ręce opadają, puszczając jej talię, i jak powoli odwraca się do tej, kimkolwiek była, kobiety, zbliżającej się ku nim.

- Nie dziw się tak, kochanie - zawołała piękność. - Musiałeś wiedzieć, że przyjadę cię szukać.

Ruszyła ścieżką prowadzącą od podjazdu do bramy, przy której stali.

- Jezu Chryste - wyszeptał Kit. Czuł, jak wszystko wibruje mu w głowie, jakby miał tam młot pneumatyczny zawinięty w belę waty.

- Kto to jest? - zapytała zmieszana Abbey. - I kogo szuka?

- Powiedziałam: „witajcie” - zwróciła się do Kita długonoga blondynka, podchodząc do nich blisko. - O co chodzi, słonko? Nie tylko znikłeś, ale i ogłuchłeś?

Z bliska Abbey widziała, że nieznajoma jest szczytem doskonałości. Jej złota skóra nie miała żadnych skaz, oczy były świetliste niebieskie i szeroko rozstawione, usta pełne i duże, a rozchylając się w uśmiechu, pokazywały dwa rzędy równych nieskazitelnych zębów.

- Nie zamierzasz mnie przedstawić swojej przyjaciółce? - zapytała.

- Jezu Chryste - wyszeptał jeszcze raz Kit. Wydawało mu się, że stoi pośrodku wielkiej pustki, cały krajobraz wokół niego zamazał się i rozplątał, jakby deszcz zmył farby.

- Wyglądasz na zmieszanego. - Blondynka zignorowała go i wyciągnęła rękę do Abbey. - Słoneczko, nazywam się J.C. Jacey Stephens. Miło mi cię poznać.

Abbey spojrzała na wyciągniętą do niej dłoń, a potem przeniosła wzrok na Kita. Wyglądał, jakby patrzył na ducha.

- Jacey - prawie jęknął, w oczach miał rozpacz i niedowierzanie, twarz kompletnie bladą.

Abbey poczuła, że robi jej się niedobrze. Szarpnęła się, by przetrwać ten stan niby - zamrożenia, i nie upadła na ziemię tylko dzięki temu, że przytrzymała się ręką płotu.

- Myślałam... - zaczęła i zamilkła.

- Co myślałaś? - zapytała blondynka. Chłód w jej głosie zadawał kłam promiennemu uśmiechowi.

- Myślałam, że nie żyjesz - powiedziała Abbey.

Przez ułamek sekundy nic się nie działo, potem Jacey odrzuciła w tył długie jasne włosy i roześmiała się głębokim zmysłowym śmiechem, w którym brakowało tylko wesołości.

- Nie żyję? - powtórzyła. - Do diabła, słoneczko. Nie umarłam, przechodziłam tylko odwyk. - Powróciła wzrokiem do swego oszołomionego męża. - Coś ty, na litość boską, naopowiadał ludziom, kochany?

Abbey spojrzała na Kita, szukając oznak jakiegoś skomplikowanego oszustwa, ale coś w jego twarzy powiedziało jej, że tak nie jest. Ramiona miał opuszczone, oczy jakby głębiej zapadły mu się w twarzy. Usta pozostały trochę otwarte, jak gdyby miał się z nich wyrwać krzyk, żyłka na skroni pulsowała tak mocno, że prawie było ją słychać. To nie był ten sam mężczyzna, któremu tak bardzo chciała się

oddać zaledwie kilka chwil temu. Wyglądał jak ktoś zupełnie nieznajomy.

- Kit? - spróbowała z drzeniem w głosie. - Kit?

- Nie żyłaś - zwrócił się szorstko do Jacey, ignorując Abbey. - Myślałem, że nie żyjesz.

- Powiedzenie, że ja nie żyję, kochanie, nie oznacza jeszcze, że jest tak naprawdę. Może być to miła myśl, ale to tylko życzenie, skarbie.

Kit zamknął oczy i potrząsał głową. Nie mógł tego zrozumieć.

- Wiesz co, pączusiu - zwróciła się do Abbey blond piękność. - Mój mąż i ja potrzebujemy teraz chwili na osobności, więc gdybyś się mogła zmyć, byłoby świetnie.

Abbey chciała spojrzeć Kitowi w oczy, by potwierdził, że to, co ona widzi, nie dzieje się naprawdę, ale jego powieki były wciąż zaciśnięte.

- Kit? - spróbowała jeszcze raz, ale najwyraźniej jej nie słyszał.

- Zmykaj, skarbie. - Uśmiech Jacey miał temperaturę zmrożonej margarity. - Muszę odnowić znajomość z moim facetem.

- Muszę iść - powiedziała Abbey, jakby nie była już dwa razy o to poproszona. Odwróciła się, przeszła parę kroków, po czym ruszyła biegiem do domu.

Kit przysłuchiwał się odgłosom jej stóp oddalających się od niego, ale był bezsilny. Nie mógł zrobić ani powiedzieć nic, by ją zatrzymać. To był sen, najpewniej, który teraz zamienił się w koszmar. Chciał się obudzić i znowu schodzić ze wzgórza z kobietą swoich marzeń. Otworzył oczy. Nieżywa żona przyglądała się mu z zainteresowaniem.

- Ocknij się, chłopczyku. - Pstryknęła palcami przed jego twarzą. - Trochę trudniej udawać, że nie żyję, jeśli stoję tu przed tobą, co? Podobało ci się, że zabrali mnie na detoks?

- Co tutaj robisz, Jacey? - wyskrzeczwał Kit, nadal nic nie rozumiejąc, ale żołądek mu się powoli uspokajał. - Nie rozumiem.

- No cóż, mogę odświeżyć twoją pamięć, słoneczko. Miałam w domu drobny wypadek i wylądowałam w szpitalu. Wtedy mnie zostawiłeś. Potem sąd mnie wysłał na dziewięćdziesięciodniowy odwyk. I właśnie te trzy miesiące minęły i jestem tu, więc może byśmy sobie stąd poszli? Całe to świeże powietrze i wioskowy klimat nie służą mi.

Kit poczuł, że panika, która opuściła go podczas ostatnich dni, ponownie złapała go w swe kleszcze. Znowu widział przed sobą Jacey leżącą na podłodze, z resztkami ich dziecka obok. Jej blada twarz, włosy rozrzucone na płytkach niczym wachlarz, krew. Nachylający się nad nią sanitariusze, szpitalne łóżko, rurki, tlen, lekarz, wódka.

Kit zaczął dygotać, starając się odrzucić wspomnienie lekarza. Potrzebował się napić i to tak bardzo, że nawet jego paznokcie w butach tego pragnęły. Lekarz.

- Myślałem, że nie żyjesz - wymówiły jego usta, nagle sztywne, niczym z drewna. - Naprawdę myślałem, że nie żyjesz.

Gdy Jacey zobaczyła, że rozpacz jej męża jest prawdziwa i że próbuje poskładać z kawałków wspomnień układankę, na jej pięknej twarzy pojawił się prawdziwy uśmiech. Ujęła jego dłonie w swoje.

- Nie myśl o tym teraz, słonko - powiedziała łagodnym tonem. - Wszystko będzie dobrze. Z nami wszystko będzie dobrze.

Jacey nie żyje. Jacey nie żyje. Jacey nie żyje. Wróciło to do niego z niedawnej przeszłości niczym mantra. Może gdyby mówił te słowa wystarczająco często, przypomniał sobie własną myśl z dni po wypadku Jacey - kiedy rany były jeszcze świeże i otwarte - stałoby się to prawdą.

Stojąc teraz przed żoną, Kit nagle zrozumiał, dlaczego zalewał tę pustkę w sobie wódką. To on zabił Jacey. Zabił ją w swojej świadomości. Życzył jej śmierci i dlatego utrzymywał się w alkoholowym kokonie, by bolesna prawda o tym, że Jacey przeżyła, nie dotarła do niego.

- Jezu Chryste - powiedział, walcząc z nudnościami. - Jacey, co ja zrobiłem?

Przysunęła się do niego, objęła go ramionami za szyję i sięgnęła ustami do jego szczęki, koło ucha.

- Nie myśl o tym teraz, kochanie - wyszeptała. - Po prostu chodź. Zabierzemy twoje rzeczy. Chcę, żebyś wrócił ze mną do Nowego Jorku. Żebyśmy znowu żyli tak jak kiedyś. Ty i ja, wszystko jak dawniej.

Odsunęła się od niego i wyciągnęła długie delikatne ramię. Kit popatrzył na jej rękę. Miała swoje pierścionki. Zaręczynowy z diamentem i obrączkę. Była jego żoną.

- Na dobre i na złe, tak to miało być, Christopher - powiedziała, teraz już bez uśmiechu, i leciutko zadrżała, wyczuwając z jego strony wahanie. - Sam mówiłeś. Nigdy, przenigdy nie przeszłoby mi przez myśl, że mnie opuścisz, kiedy tak bardzo cię potrzebowałam. Nie przyszłoby mi do głowy, że jesteś tego typu facetem.

Corrie przyglądał się oniemiały przez okno salonu na górze, kiedy tych dwoje szło w stronę domku Fee, gdzie potem Kit zniknął w środku, podczas gdy Jacey oczekiwała go niecierpliwie przy drzwiach. Corrie i Avis natknęli się na zrozpaczoną Abbey przebiegającą kilka minut wcześniej przez kuchnię w drodze na pięterko. Corrie usiłował dowiedzieć się, co złego się wydarzyło, ale wnuczka tylko krzyknęła, żeby zostawił ją samą, i pomknęła, łkając, do siebie. Corrie chciał pójść, by odnaleźć Kita, ale Avis go powstrzymała.

- Co ma być, to będzie, Josephie - powiedziała. - Zostaw ich. Musi sam się z tym uporać.

- Kim ona jest? - zapytał Corrie, przyglądając się Jacey lustrującej podwórko, na wypadek gdyby miał się pojawić ktoś, kto by chciał zatrzymać Kita.

- To jego żona - odparła Avis.

- Ta, która nie żyje?

- Jak się okazuje, nie jest znowu tak bardzo nieżywa - zauważyła. - Nie jest pierwsza w tej kategorii, czyż nie? - Przyglądali się jej przez okno. - Ma na niego haka, to widać - powiedziała wreszcie. - Ale to Abbey jest dla niego stworzona. W tej sprawie możesz mi zaufać.

- Tylko czy Abbey to wie? - zapytał Corrie. Smutek tak go kąsał, że aż drżały mu dłonie.

- Ona też musi ufać.

Corrie zerknął jeszcze raz na Jacey. Przypominała mu Maggie, choć Fee na pewno powiedziała by, że miała nogi Mary - Therese. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest niebezpieczna i jeśli potrafił to dostrzec siedemdziesięcioletni mężczyzna, jak mógł tego nie zauważyć Kit? Nie potrafił znieść myśli, że serce Abbey zostanie kolejny raz złamane. Wiedział, że ona tego już nie wytrzyma. I on także.

- Chciałbym, żeby Joseph już tu był - powiedział. - Kiedy wraca?

- Phi - rzuciła drwiąco spoza firanki - a czy otrzymałeś kiedykolwiek jednoznaczną odpowiedź od tego pana, jeśli chodziło o czas?

Oczywiście Corrie nigdy nie otrzymał takiej odpowiedzi.

- Wróci w odpowiednim czasie i musimy mu zawierzyć. - Przysunęła się bliżej do Corriego, gdy Kit wyszedł z domku ze swą torbą i poruszając się jak we śnie, opadł na siedzenie sportowego kabrioletu. Zniknęli z rykiem silnika i w kłębach kurzu.

Kiedy samochód skręcił z podjazdu na drogę, Kit poczuł, że wiatr targa mu włosy i wysusza łyzy, których nie potrafił powstrzymać. Dziki rododendron, rozświetlający okolicę swą purpurą, kiedy pierwszy raz szedł drogą do Coolarney House zaledwie kilka dni temu, wydawał się teraz wyblakły i smutny.

Ponad poważną zielenią mijanych wzgórz widać było morze, ale nawet ono straciło swój blask i wydawało się bez życia. Miał wrażenie, że patrzy na wszystko przez szary filtr, co tylko pogłębiało jego niepewność. Nie wiedział, co właściwie robi ani co zrobił. Jeszcze godzinę temu wszystko wydawało się takie jasne i pełne nadziei, a teraz znowu pogrążony był w rozpacz i niepewności, podążając do domu z żoną. Jego żona. Popatrzył na Jacey i jej piękność go oszołomiła. Wyczuła to spojrzenie i lekki uśmiezek pojawił się w kąciu jej lśniących warg, potem odwróciła się w jego stronę i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Ten uśmiech. Lekarz. Wspomnienia przełamały tamę.

Nagle zobaczył, jak stoi w szpitalu koło łóżka Jacey i mówi jej, że wszystko między nimi skończone, że nie jest tą kobietą, którą poślubił, że dla niego umarła, odeszła na zawsze. Potem przypomniał sobie, jak wyszedł ze szpitala i wstąpił do najbliższego baru, w którym tak się upił, że kiedy wreszcie dotarł do domu, nie wiedział nawet, jaki jest dzień. Jedyne, czego wtedy pragnął, to udawać, że jego żona nigdy nie istniała.

I właśnie to robił przez następne kilka tygodni. Udawał, że Jacey nigdy nie było, udawał, że umarła, aż nie musiał już dłużej udawać, bo jego znieczulony mózg sam mu mówił, że odeszła, że ją stracił, że nie żyła. Kit złapał za tablicę rozdzielczą i wydał z siebie nagły jęk, gdy rzeczywistość uderzyła go w twarz. Musiał być potworem, jeśli potrafił sobie wmówić śmierć żony i nawet potem nie zdawał sobie sprawy z tego, co właściwie zrobił.

Jacey przechyliła się i położyła mu dłoń na kolanach.

- Nie wiń się, kochany - powiedziała. - Najprawdopodobniej większość facetów zachowałaby się w ten sposób.

Umysł Kita nie nadążał za tym, co się działo. Czuł się tak, jakby całe jego życie podzieliło się na fragmenty, a te rozproszył wiatr. Kiedy potem wylądowały pomieszczone na ziemi, trudno je było z powrotem poskładać. Podczas rekonstruowania tej układanki wrócił pamięcią do telefonu, który odebrał od Sashy Peterson w ten okropny, koszmary poranek. Powiedziała mu wtedy, że administrator usiłuje się włamać do ich mieszkania, bo podejrzewają, że Jacey stało się coś złego.

Okazało się potem, że Sasha chciała porozmawiać z Jacey na temat palenia narkotyków w windzie, w dodatku w obecności córek. Kiedy zobaczyła sąsiadkę wracającą o jedenastej, wypła jeszcze kawę, by uspokoić nerwy, i zastukała do drzwi Jacey. W tym samym momencie usłyszała hałas ze środka, jakby ktoś przesuwiał jakiś mebel, tak powiedziała Kitowi. Czuła, że dzieje się coś złego, więc wezwała pomoc. Kiedy Kit dotarł cały spocony i bez tchu dwadzieścia minut później do domu, Sasha i Benny byli już w mieszkaniu. Jacey leżała na podłodze pomiędzy stolikiem do kawy a sofą i wyglądała równie pięknie jak zawsze, tyle tylko, że nie żyła. Miała na sobie biały obcisły top zawiązany na szyi i białe spodnie, które stawały się coraz czerwieńsze od krwi wypływającej z krocza. Na stoliczku do kawy leżała przezroczysta torebka plastikowa wypełniona białym proszkiem i małe srebrne lustro zmatowiało od tego samego proszku. Jacey, mimo że pogrążona w narkotycznej śpiączce, nie wypuściła z dłoni zrolowanego studolarowego banknotu. Obrazek mówił sam za siebie, a jego wymowa była tragiczna.

Kit stał w drzwiach mieszkania jak zamurowany. Ruszył się dopiero po kilku sekundach - przynajmniej jemu wydawały się to sekundy - gdy zjawili się sanitariusze, przepchnęli się koło niego i rozpoczęli rutynowe działanie, by określić stan Jacey, a potem ją reanimowali.

Następne, co pamiętał, to że stoi na korytarzu szpitalnym z łysym lekarzem w okularkach jak z dowcipu, który mówił mu, że jego żona przedawkowała heroinę - głównie z powodu valium i alkoholu, które już miała we krwi - i w konsekwencji straciła jedenastotygodniowy płód.

Heroina? Płód? Kit nie miał pojęcia ani o jednym, ani o drugim.

Zaufaj mi.

Jeśli zrobisz wszystko tak, jak powiedziałem, będziesz mieć swój ser.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

W czeluściach Coolarney House Lucy odkrywała żalostną stronę macierzyństwa. W brzuszku Dzieciątka Jezus, dziecka Jezus, działo się coś niedobrego i temu zawdzięczała to niemiłe odkrycie. Kociątko, które poza tym wyglądało na całkowicie zdrowe, jakąś godzinę wcześniej wpadło w amok i ganiało z piętra na piętro, z korytarza do korytarza, z pokoju do pokoju, pozostawiając za sobą śmierdzące kupki, które Lucy usiłowała posprzątać, zanim ktoś inny przyłapie na tym winowajcę i wyrzuci go z domu.

Wreszcie na drugim piętrze wykończony kociak zatrzymał się i położył pod drzwiami.

- Też by mi się przydał odpoczynek, ty niewdzięczne małe stworzenie - powiedziała Lucy, łapiąc malucha, by nie uciekł i nie narobił już więcej nieporządku. Jednak kiedy podnosiła zwierzątko, zaniepokoił ją dźwięk dochodzący zza drzwi. Odgłos płaczu. Nie zastanawiając się, otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Pokój był bardzo jasny, wypełniały go dźwięki świadczące, że osoba, które w nim się znajdowała, czuła się bardzo nieszczęśliwa, a to Lucy знаła aż za dobrze. Domyśliła się, że niezgrabny kształt leżący tyłem do niej na łóżku to Abbey. Lucy przyglądała się jej od drzwi, czując nagle przemożne pragnienie, by coś zrobić, uspokoić jakoś te drgające plecy. Poczwała w sobie nieznaną ciepło. Było jej żal płaczącej kobiety. Chciała jej pomóc. Odchrząknęła.

- Dzieciątko Jezus ma sraczkę - ogłosiła, wchodząc do pokoju. - Obsrał wszystkie piętra, biedaczek.

Plecy zamarły w pół szlochu.

- Wyjdź stąd. - Głos Abbey był mokry od łez.

- Co się stało? - zapytała Lucy, nie zwracając uwagi na to, co powiedziała Abbey, tylko podchodząc jeszcze bliżej do łóżka.

- Powiedziałam: idź sobie - rzuciła szorstko Abbey. - Zostaw mnie samą.

Lucy zrobiła krok do przodu, przez parę chwil stała nieruchomo, a potem usiadła na skraju łóżka.

- Odejdź stąd - powtórzyła Abbey.

Lucy nie zwracała na nią uwagi, zastanawiając się pospiesznie. Niepowiązane dotąd zdarzenia tego popołudnia zaczęły się układać w logiczny obrazek. Widziała, jak podjeżdżał żółty sportowy samochód, ale nie zwróciła na niego uwagi. Ostatecznie ludzie bardzo często odwiedzali fabryczkę serów. Potem Jamie powiedział, że widział, jak z samochodu wysiadła fantastyczna supermodelka, ale uznała, że mówił to tylko po to, by poczuła się zazdrosna, bo Jamie miał bzika na jej punkcie. Ale teraz samochód z super - modelką odjechał, a Abbey była bardzo, ale to bardzo smutna. Poczowała, jak podskoczyło w niej serce. To mogło oznaczać tylko jedno. Chociaż nie, to mogło oczywiście oznaczać kilka rzeczy, ale wydawało jej się, że wie co.

- Gdzie jest Kit? - zapytała wprost. Plecy poruszyły się jeszcze raz.

- Czy Kit wyjechał? Czy ten cholerny pieprzony skurwiol wyjechał?

Plecy kilkakrotnie zadrgały, na co Lucy wypuściła wiązkę przekleństw tak soczystych i odrażających, że aż czknęła, by odzyskać oddech. Ogień w jej słowach poruszył Abbey, która odwróciła się powoli i spojrzała na dziewczynę, opierając się na łokciu. Oczy miała czerwone od płaczu, wilgotne włosy wisały w strąkach wokół twarzy.

Kiedy Lucy patrzyła na nią, gniew, że Kit wyjechał, zastąpiło to, co poczuła przed chwilą. Bardzo, ale to bardzo, z całego serca pragnęła, by Abbey przestała płakać. Doskonale знаła to uczucie i nie życzyła go nikomu innemu.

- To była jego żona - powiedziała Abbey, a świeże łzy spływały po jej policzkach. - Żona przyjechała i zabrała go.

Lucy się roześmiała.

- Przecież jego żona nie żyje.

- Najwyraźniej żyje. - W głosie Abbey zabrzmiała ostra nuta. - Przynajmniej mnie wydała się cholernie żywa.

- Więc to była ona - westchnęła Lucy. - Piękna super - modelka?

Abbey skinęła głową.

- Prosto z grobu?

- Nigdy nie była w grobie - jęknęła Abbey - tylko na odwyku. Patrzyła na mnie, jakbym była śmieciem. A Kit po prostu stał, Lucy. Nie robił nic, tylko stał.

- Skurwiel - Lucy głęboko odetchnęła. - Całkowity dupek. Jak mógł?

- Po prostu wskoczył do samochodu i odjechał z nią - powiedziała Abbey, siadając, na jej twarzy malowała się rozpacz - nawet nie pożegnał się z nikim. Potrafisz w to uwierzyć?

Lucy nie potrafiła.

- Myślałam, że on był zakochany w tobie - oświadczyła wprost.

- Naprawdę? - Abbey pociągnęła nosem. Wiedziała, że jej głos brzmi żałośnie, ale nie mogła tego już zmienić.

- Nie tylko ja, wszyscy tak myśleli - ciągnęła Lucy. - To było widać. Avis powiedziała, że tak właśnie powinno być.

Mógł też mieć mnie - dodała z pewnością, jaką mają tylko dziewiętnastolatki - ale nie chciał.

Abbey zastanawiała się nad tymi słowami, wycierając oczy.

- Więc dlaczego wrócił do żony? - zapytała. - Do żony, o której mówił nam jako o martwej.

Na to Lucy nie miała odpowiedzi, ale po chwilowym zastanowieniu jej twarz nieoczekiwanie się rozświetliła.

- No to spójrz na to z innej strony - odezwała się - nie byłoby zbyt ładnie tak go capnąć, kiedy żona dopiero co wyciągnęła nogi. No i przynajmniej tego nie zrobiłaś. - Abbey udało się słabo uśmiechnąć. - Chociaż - dodała Lucy - oznacza to, że on ją z tobą zdradzał.

- Do niczego nigdy nie doszło - odpowiedziała Abbey, a na jej twarzy znów zagościł smutek. - Zawsze nam coś przeszkodziło.

- O Jezu - Lucy przełknęła. - Tak mi przykro.

- To nie ty, tylko raczej ta martwa żona pokrzyżowała nam plany - odrzekła rozsądnie Abbey.

Przez chwilę panowała cisza, a potem ona i Lucy spojrzały sobie w oczy i parsknęły śmiechem. To był raczej nerwowy śmiech, taki, który łatwo może przejść w płacz, jednak śmiech.

- To nie jest zabawne - stwierdziła Abbey pomiędzy kolejnym histerycznym atakiem. - To w ogóle nie jest zabawne.

- Wiem - powtarzała Lucy. - Wiem, wiem, wiem.

- Mężczyzna, którego kocham do szaleństwa, opuścił mnie na zawsze - udało się wykrztusić Abbey, trzymającej się za brzuch.

- A ja będę miała dziecko, którego nie chcę mieć i nawet nie mam pojęcia, kto jest jego ojcem - śmiała się Lucy, kulając się po łóżku i też trzymając się za brzuch.

- Co za parka! - wykrzyknęła Abbey.

- Bliźniaczki! - zaryczała Lucy.

Objęte kulały się teraz po łóżku, zaśmiewając bez pamięci, przez cały czas świadome, że sytuacja żadnej z nich w ogóle nie jest zabawna.

- Może on wróci - podsunęła Lucy, gdy wreszcie ucichły i wycierały oczy.

- Nie sędzę - odparła Abbey. - Ale pewnie nigdy nie wiadomo. - Westchnęła i spojrzała na Lucy. - A co z tobą? Myślisz, że zmienisz zdanie i zatrzymasz dziecko?

- Nie sędzę - odpowiedziała Lucy. - Ale pewnie nic nie wiadomo.

W tej chwili zaatakowała je fala smrodu. Abbey pociągnęła nosem.

- Pfuj! - zawołała, krzywiąc się. - Co to, u diabła, jest?

W błękitnych oczach Lucy zamigotał przestech.

- Dzieciatko Jezus! - wykrzyknęła. - Na śmierć zapomniałam.

Trzydzieści mil dalej Jacey, kontemplując pagórkowaty krajobraz Irlandii, stawała się coraz bardziej zaniepokojona milczeniem Kita. Nie przypuszczała, że wyciągnięcie go z tej dziury okaże się takie łatwe. Spodziewała się gniewu, wzajemnych oskarżeń i zawstydzającej sceny, ale mąż na jej widok po prostu jakby zapadł się gdzieś w głąb. Zawsze był bezwolną marionetką w jej rękach. Większość mężczyzn pozwalała tak sobą manipulować, ale Kit szczególnie. I nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło, najwyraźniej wciąż miała na niego ten magnetyczny wpływ, który istniał od chwili, gdy się spotkali. A jednak panująca teraz między nimi cisza zaczęła ją niepokoić. Od czasu gdy opuścili farmę, Kit przebywał cały czas we własnym świecie.

Jacey przechyliła się i położyła dłoń na jego kolanie, zignorowała wzdrygnięcie i przesunęła palcami wzdłuż jego nogi, aż natrafiła na rączkę spoczywającej u jego stóp torby od Prady. Szukała po omacku, wreszcie wyciągnęła srebrną

flaszeczkę. Odkręciła ją i odrzuciwszy głowę do tyłu, łyknęła zawartość, po czym wyciągnęła piersiówkę do spoglądającego na to w milczeniu męża.

- No dalej. - Przyjrzała mu się z uśmiechem, ponaglając, by wziął butelkę. - Napijże się. Przecież wiem, że masz ochotę. Poza tym, przydałoby ci się odrobinę rozluźnić, słonko. Znowu znajdziemy się na szczycie. I znowu będziemy się bawić. - Odrzuciła włosy w tył i uniosła twarz do słońca.

Kit ujął butelkę w palce, dotyk jej gładkiej chłodnej powierzchni sprawił mu przyjemność. Miał ochotę się napić, oczywiście, że miał ochotę. Teraz nawet bardziej niż kiedykolwiek. Zrobiłby wszystko, by uspokoić rosnącą w nim panikę. Jacey straciła dziecko po przedawkowaniu heroiny. Pamiętał teraz każdy przerażający szczegół, a na wspomnienie jej zdrady i własnej słabości robiło mu się niedobrze. Wiedział, że to, co znajduje się we flaszeczce, najprawdopodobniej wódka, pomoże mu wymazać niechcianą prawdę tak samo, jak było już tysiące razy wcześniej, tyle tylko że teraz wszystko się zmieniło, po tym jak miał czas, by się zastanowić.

Wciąż nie potrafił poskładać razem wszystkich kawałków i powoli zaczęło do niego docierać, że prawdy nie powinno się odrzucać. Może słusznie czuł do siebie obrzydzenie i wstyd. Może te uczucia chciały mu coś powiedzieć. Uświadomił sobie, że im bardziej oddala się od Coolarney House, tym bardziej docenia stan, w którym się tam znajdował, stan bez wódki, z jasną głową i jasnymi myślami. Nie chciał znowu zostać wciągnięty w mroki picia, choć w tym momencie go to kusiło. Zdusił to pragnienie i zakręcił flaszkę.

- Więc, jak widzę, terapia rzeczywiście pomogła, Jacey? - zapytał ze smutkiem, patrząc na wpół z niesmakiem, na wpół z zazdrością, jak kręci ją alkohol.

- Och, daj spokój. - Uśmiechnęła się. - Pojechałam tam tylko dlatego, bo sąd mi nakazał. Nie mam żadnego problemu alkoholowego, kochanie. Powinieneś to wiedzieć. - Znowu odkręcała butelkę i skupiona na tym wyjechała na środek drogi, póki nie odbiła kierownicą, zanosząc się beztroskim śmiechem.

- Jacey! - zawołał zaniepokojony i odebrał jej srebrzystą flaszeczkę, po tym jak znowu wypić potężny haust. - Zabijesz nas. Jezu, weź się w garść. - Jacey tylko się roześmiała i wyciągnęła do niego rękę, żądając ruchem dłoni kolejnego drinka.

- Nie możesz mówić, że nie masz z tym żadnego problemu, Jacey. - Kit schował piersiówkę do kieszeni drzwi, tam, gdzie żona nie mogła jej dosięgnąć. Mówił, powoli i starannie dobierając słowa. - Przedawkowałaś heroinę, na litość boską. Poroniłaś nasze dziecko na podłodze naszego mieszkania. Okłamywałaś mnie przez cały czas, od dnia kiedy się spotkaliśmy do dnia, kiedy poszłaś na odwyk. Jezu Chryste, Jacey, nawet nigdy nie powiedziałaś, że ci przykro.

Uśmiech Jacey zbladł. Poczzerwieniała, ale udało jej się opanować chęć kłótni. Nie chciała teraz żadnych komplikacji.

- No dobrze, kochany, jeśli to właśnie chciałeś usłyszeć, to w porządku, jest mi przykro. Czy teraz czujesz się lepiej? Naprawdę jest mi przykro.

- I daj sobie spokój z tym południowym akcentem. - W głosie Kita brzmiały zmęczenie i pustka. - Pochodzisz z Jersey, pamiętasz? Proszę, daj sobie spokój z tą pozą, Jacey. Byłem u twoich rodziców. Wiem, skąd jesteś. Wiem o tobie wszystko. I nie ma w tym nic złego.

Oczy Jacey stwardniały. Nie była zachwycona, że prawda wychodzi na jaw. Czowała się, jakby ktoś smagnął ją rzemykiem. Ale była też zdeterminowana, by sprawy doprowadzić w spokoju do końca.

- Ale nie jesteś już na mnie wściekły, prawda? - zamruczała. - Kochanie, spróbuj o tym zapomnieć.

- Zapomnieć o tym? - powtórzył Kit osłupiały. - Zapomnieć? Jacey, wszystko, co wiedziałem o tobie, o mojej żonie, każdy najmniejszy szczegół, okazało się kłamstwem. Naprawdę myślisz, że mógłbym o tym zapomnieć?

Gdyby mógł o tym zapomnieć, z pewnością nie byłiby teraz tutaj. Po tym okropnym dniu wróciliby ze szpitala i wiedli dalej życie napędzane tym samym paliwem co wcześniej. Zamiast tego Kit przypominał sobie ze szczegółami mrożącymi krew w żyłach, co czuł, gdy odkrywał prawdę na temat Jacey.

Ed i jego żona Mary zjawili się w szpitalu, jak tylko lekarz w śmiesznych okularach wystrzelił ze swą niespodzianką i wtedy też przyjaciel przypuścił śmiertelny atak. Świadomy spirali prowadzącej prosto w dół, którą toczyło się życie Kita pod wpływem jego ślicznej rozrywkowej żony, Ed zdecydował się zbadać przeszłość Jacey, a pomogła mu w tym uwaga rzucona przez kuriera z firmy. Kurier widział kiedyś Jacey, która wpadła zabrać Kita na lunch, i powiedział wtedy do Pearl, że pani Stephens przebyła długą drogę. Wtedy to Ed spróbował zlokalizować barona prasowego z Luizjany, który, jak twierdziła Jacey, był jej ojcem, tyle tylko, że taki w ogóle nie istniał.

Rodzice się jej wyrzekli, Kit bronił żony, stojąc w szpitalnym korytarzu oświetlonym chorobliwym zielonkawym światłem. Uciekła przed ułożonym małżeństwem i teraz się ukrywała przed bogatą i wpływową nowoorleańską rodziną.

Jej rodzina mieszka w New Jersey, spokojnie tłumaczył Ed, i nie jest ani bogata, ani wpływowa. Kurier wciąż utrzymywał kontakty z jedną z jej sióstr, Cherie, i Ed się z nią spotkał. Tak naprawdę Jacey nazywała się Marlena Blundt. Jako nastolatka uciekła do Los Angeles, gdzie wyszła za mąż

za właściciela podmiejskiego baru ze striptizem, lecz ten zbankrutował i skończył, sprzedając kradzione samochody.

W czasie ostatnich dziesięciu lat Jacey kontaktowała się ze swoją rodziną tylko raz, mówił Ed, prosiła o pieniądze, kiedy jej mąż trafił do więzienia. Miała dwadzieścia dziewięć, nie dwadzieścia sześć lat. Z narkotykami miała do czynienia, od kiedy skończyła lat dwanaście. Na piętnaste urodziny jej dużo starszy chłopak załatwił jej pracę, w której pokazywała cycki.

Okazało się, że Kit tak naprawdę nie wie na temat Jacey nic.

- Spróbujesz o tym zapomnieć, prawda, kochanie? -
Uśmiechała się do niego słodziutko z siedzenia kierowcy. -
Dla mnie? Dla nas? Wiesz, że możesz zrobić wszystko, tylko musisz chcieć.

- Proszę, Jacey, przestań się zgrywać na damę z Południa. To bzdura i wiesz o tym dobrze.

- Słonko, nie sądzę, byś potrafił docenić, ile ten akcent dla mnie zrobił w pracy. - Jacey nie ulegała, ignorując chłód w jego słowach. - Nie jestem przekonana, czy chłopcy od Forda cieszyliby się z takiej zmiany. - Kit nie musiał ostatecznie wiedzieć, że chłopcy od Forda leją na to, czy coś się dzieje z nią czy z kimkolwiek jej rodzaju.

- Ależ, Jacey - zaprotestował blado - to nie jest w porządku udawać, że jest się kimś, kim się nie jest. Tu zaczynają się wszystkie twoje kłopoty. I ty akurat spośród wszystkich ludzi... nie ma nic złego w tym, jaka jesteś naprawdę.

- Wiesz co, skarbie, a może wcale nie będzie ci się podobało, jeśli zobaczysz, jaka jestem naprawdę - odparła. -
Czy kiedykolwiek o tym pomyślałeś?

Kit westchnął i potrząsnął głową.

- Oczywiście, że nie - odrzekł smutno. - Uważasz, że w ogóle nie znam prawdziwej ciebie?

- Nikt nie zna prawdziwej mnie, słoneczko - stwierdziła Jacey. Najwyraźniej była z tego dumna. - I właśnie to mi się podoba.

- Ale ja jestem twoim mężem, Jacey, i jeśli mam nim pozostać, to musisz odrzucić to całe gówno i być po prostu sobą. W przeciwnym razie po co to wszystko? Nie chcę spędzić reszty życia z kobietą, której tak naprawdę nie znam. Czego się tak boisz? Co jest takiego złego w byciu Marlene Blundt z Freehold w stanie New Jersey?

Jacey, zła, że wyciągnął znowu jej przeszłość, z trudem opanowała irytację.

- No cóż, nie uważam, żebyś miał prawo pouczać mnie, kim powinnam lub nie powinnam być, panie Burlington z Vermontu - oświadczyła ze złośliwą słodyczą. - Ty także stworzyłeś siebie od nowa. Czy ukrywanie pochodzenia to tylko mój grzech?

- Nigdy nie udawałem kogoś, kim nie jestem - nie zgodził się Kit. - Pracowałem ciężko i dopiero kiedy ty się pojawiłaś, zacząłem tracić grunt pod nogami. Jezu, to całe ciągle balowanie. A picie? Nigdy wcześniej się nie zalewałem.

- Ach, więc to moja wina, że stałeś się alkoholikiem - oświadczyła Jacey. - Oczywiście. Świat by się skończył, gdybyś musiał przyznać, że coś jest twoją winą.

- Nie powiedziałem tego i oczywiście nie obwiniam ciebie - odparł spokojnie. - Nie obwiniam nikogo poza samym sobą, obwiniam też siebie za to, co przydarzyło się tobie, bo najwyraźniej tak się pogubiłem, że nawet nie zauważyłem twojego stanu. Co ze mnie za mąż, jeśli tak się mogłem zachować?

- Na Boooga! - jęknęła Jacey - daruj sobie te analizy. Poczulałam się znowu jak na terapii. Wiesz, kochany, musiałam przełknąć tyle tego gówna, że starczy mi do końca życia.

Naprawdę nie potrzebuję, powtarzam ci, nie potrzebuję już ani odrobiny. Mógłbyś być skarbem i podać mi moją wódeczkę.

- Usiłuję ci właśnie powiedzieć - Kit zignorował jej prośbę - że będąc sobą, prowadziłem całkiem szczęśliwą egzystencję i chciałbym do tego wrócić. I nawet myślę, że wróciłem podczas ostatnich kilku dni.

Jacey potrząsnęła głową i wydeła szyderczo wargi.

- Ten pączuś naprawdę zakręcił ci w głowie? - zdziwiła się. - I cóż takiego ona zrobiła, upiekła dla ciebie jabłecznik? Zaufaj mi, skarbie, dwa dni prawdziwego życia na Manhattanie, a zapomnisz o niej i o całej tej idiotycznej przygodzie na świeżym powietrzu.

- Kiedy stałaś się taka twarda? - zapytał Kit. - Nie pamiętam cię takiej.

- Kochanie, nie pamiętasz połowy rzeczy i nie ma żadnego powodu, żebyś pamiętał. A teraz po prostu siedź sobie i relaksuj się.

- Wiesz co, chyba tak zrobię - zgodził się Kit. - I wiesz, co jeszcze? Zrobię tak bez użycia tego. - Jednym szybkim ruchem wyrzucił piersiówkę Jacey z samochodu, srebrzysta flaszeczka zatoczyła łuk i upadła gdzieś w wysoką trawę na poboczu drogi.

Śliczna buźka Jacey wykrzywiła się w grymasie złości. Uderzyła nogą w hamulec, tak że samochód aż wpadł w poślizg, zatrzymując się.

- Kompletnie straciłeś już swój pieprzony rozum - warknęła wściekle głosem całkowicie z przedmieść New Jersey. - Wyłaź i szukaj, masz mi ją przynieść z powrotem.

- Nie zrobię tego - odparł Kit, spoglądając w jej gniewne puste oczy i uświadamiając sobie, że porozrzucone fragmenty jego życia zaczynają się znowu układać w całość. - Ja nie chcę, by wróciło nasze dawne życie, Jacey. Lepiej nam będzie bez niego.

- Nie rozśmieszaj mnie - odgryzła się. - Zanim mnie poznałeś, byłeś tylko nudnym głupim facecikiem z banku. Twoje życie ograniczało się do chodzenia do pracy i siedzenia przed telewizorem. Myślałeś, że Bang i Olufsen to szwedzcy magicy, na litość boską. Póki nie pojawiłam się u twojego boku, nikt cię nawet nie zauważał, słonko. Byłeś tapetą. Chciałbyś wrócić do takiego życia? - Jej oczy lśniły furją. Przyglądając mu się, wiedziała z całą pewnością, że niezależnie od tego, co podpowiada mu rozum, ona wciąż ma nad nim wystarczającą władzę, by wymusić to, o co jej naprawdę chodziło.

- Nie zależy mi, by mnie zauważano - odpowiedział cicho i spokojnie. - Chcę być normalny. Chcę mieć rodzinę. Chcę w niektóre wieczory zostać w domu i siedząc w kapciach, oglądać telewizję. Chcę zapraszać przyjaciół na partyjkę kart i kolację.

Jacey odrzuciła w tył głowę i roześmiała się. I nie brzmiało to jak słodki południowy dzwoneczek czy głęboki zmysłowy chichot. Twardy nieprzyjemny śmiech zdawał się płynąć z jej wnętrza.

- Zmiłuj się - nie przestawała się śmiać - to, co powiedziałaś, to mój wizerunek piekła. Nie wytrzymałbyś pięciu minut, tak żyjąc, Kit, i ja również nie. Może ta twoja mała pasterka tak się zabawia na farmie, ale na litość, kowboju, komu to się podoba? Nie sądzę, by tobie. Chcesz czegoś więcej, Kit, wiesz dobrze, że tak jest. Ty i ja jesteśmy z tej samej gliny. Chcemy więcej i oboje to dostaniemy. I zrobimy wszystko, żeby to więcej osiągnąć. A teraz bądź aniołem i idź po flaszkę.

Kit poczuł, jak ogarnia go smutek, gdy uświadomił sobie, że jeśli chodzi o Jacey, była to prawda. Ale dla niego nie. I w tym właśnie momencie zadziwiające uczucie, które, jak sądził, żywił dla swej wspaniałej, wdzięcznej, nieskazitelnej żony, i

od którego uciekał od momentu jej przedawkowania i zdrady, nagle gdzieś znikło. Patrzył na nią i po raz pierwszy w życiu nie widział fascynującej urody, która zawładnęła jego duszą i złamała mu serce, tylko popękana pustą skorupę. Jacey przez cały czas jedynie manipulowała nim z zimną krwią. Wiedział teraz, że źle zrobił, zostawiając żonę i życząc jej śmierci. To nie była słuszna decyzja, okazał się tchórzem i to go doprowadziło na ścieżkę, gdzie jedyną ucieczką przed rzeczywistością stała się wódka. Ale w tej właśnie chwili, siedząc w samochodzie i spoglądając na Jacey, Kit widział całkowicie jasno, że nawet gdyby przy niej pozostał i zachował się jak odważny wybaczący mąż, doszedłby do tej samej konkluzji, do której dochodził właśnie teraz.

Jacey, znudzona napotkanym oporem i przestraszona tym, co mógł oznaczać, wysiadła z samochodu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Myślisz, że jesteś taki cholernie nadzwyczajny - mówiła, idąc na swych wysokich obcasach po piersiówkę - że jesteś taki cholernie porządny, wyrzucając wszystkie pieniądze na tego niedojdę brata i zwariowaną mamuszkę, ale też lubisz balować z dużymi chłopcami, przyznaj to, Christopher. Przyznaj to. Nie jesteś taki święty, jak myślisz.

Zeszła z drogi i na czworakach szukała w trawie flaszki. Kit przyglądał się jej przejęty zgrozą, gdy rozpaczliwie przeczesywała dłońmi trawę.

- Jeśli myślisz, że pojedę do Nowego Jorku bez ciebie, lepiej się jeszcze raz zastanów, ty egoistyczny skurwielu - mówiła, nie podnosząc głowy, skupiona na szukaniu. - Nie mam zamiaru wrócić do mieszkania z jakimiś dziwkami i do szwendania się po mieście w poszukiwaniu głupich robótek za grosze. - W jej głosie słychać było wysiłek, gdy starała się jeszcze kontrolować. - Nie dam się obmacywać obrzydliwym żonatym grubasom, tylko marzącym, by dostać się do moich

majtek za to, że postawili mi w barze martini. Nie mam zamiaru już podlizywać się Ghislaine, by mnie wystawiła na wybiegu, ani nosić zniszczonych butów Violet, po tym jak była w nich wszędzie tam, gdzie ja chciałabym być. - Zupełnie nie zwracała uwagi na mijające ich samochody, których pasażerowie gapili się z otwartymi ustami na piękną dziewczynę czołgającą się przy drodze. - Nie będę przetrząsała domu, szukając drobnych, żeby kupić sobie działkę. Jestem panią Stephens, żoną Kita Stephensa, i w przyszły czwartek będę warta kupę forsy, którą zamierzam dobrze wykorzystać. - Oparła się czołem o ziemię, tyłek miała wypięty w górę i wrzeszczała wściekła, zdając sobie sprawę z beznadziejności swych poszukiwań.

Przyszły czwartek? Kit zaczął obliczać, co to za data. I uświadomił sobie, to był kolejny wstrząs, że mówiła o dziesiątej rocznicy rozpoczęcia przez niego pracy w firmie Fitch, Wright i Ray - dniu, kiedy dostanie wartość swoich udziałów. Ostatnia warstwa łusek spadła mu z oczu w chwili, gdy Jacey, z twarzą na poziomie trawy, ujrzała coś błyszczącego i rzuciła się w tę stronę.

- Znalazłam! - krzyknęła i roześmiała się, wstając, po czym wlała sobie do gardła tak dużo alkoholu, jak potrafiła przełknąć.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że mąż przygląda się jej, ale próżno by szukać w jego wzroku zachwyty. Zdała sobie sprawę, że inicjatywa wymyka jej się z rąk.

- Och, przestań już zgrywać świętego! - Otarła spocone czoło grzbietem nieco brudnej dłoni. - Zanim wylądujemy na JFK, będziesz już w ciągu. Nie wciskaj mi tu tego szczęśliwego - w - domowych - kapciach gówna, Kit. Cała ta stuknięta farma pomieszała ci w głowie.

- Jak mnie tu znalazłaś? - zapytał.

Spojrzała na niego pod słońce, ocieniając sobie oczy butelką.

- Ta nędzna kreatura z twojego biura wiedziała, gdzie jesteś.

- I ona ci powiedziała? Niamh podała ci mój adres?

- Czy to ma jakieś znaczenie? - odpowiedziała Jacey, podnosząc się niezgrabnie. Przez chwilę stała niepewnie, po czym pochyliła się, by oczyścić kolana z ziemi i trawy.

- Dla mnie tak - odparł Kit. - Czy Niamh powiedziała ci to sama, czy dowiedziałaś się w jakiś inny sposób?

Jacey miała twarz czerwoną z wysiłku i brudną w miejscu, gdzie dłonią przejechała po spoconym czole. Stała na drodze i ruszyła w jego stronę i właśnie wtedy Kit uświadomił sobie, jak bardzo jest pijana lub na haju, a może jedno i drugie. Uśmiechnęła się leniwie, a potem, obchodząc go opartego o samochód, pocałowała serdeczny palec i przesunęła nim po ustach Kita.

- Oczywiście, że mi nie powiedziała - rzuciła już przez ramię - nienawidzi mnie do szpiku kości. Powiedział mi to jej nowy chłopak. Wpadłam na niego w naszym starym mieszkaniu.

Kit odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Wpadłaś na niego?

- No cóż, mam ciągle swoje klucze, skarbie. Trochę się zdziwiłam, zastając go tam, zaręczam ci, ale okazał się bardzo miły i powiedział, gdzie mogę cię znaleźć, a potem dał mi twoją korespondencję.

Więc Tom chciał zniszczyć możliwość powrotu Kita do pracy, a Jacey chciała po prostu pieniędzy. Do tego to się sprowadzało.

- Chodź, kochanie - zamruczała Jacey. - Na końcu tej drogi czeka na nas stary dobry jet, a na nim miejsca na nasze nazwiska. Twoje i moje, dziecino.

Odgarnęła włosy z twarzy, pozostawiając kolejną smugę na policzku, uśmiechnęła się do niego, po czym elegancko wślizgnęła się na swoje siedzenie i przekręciła kluczyk. Kit ruszył w jej stronę, w jego głowie pracowało tysiące trybików, które wreszcie zsynchronizowały maszynę, będącą życiem takim, jakie je znał. Stał przy drzwiczkach pasażera. Spojrzał na Jacey, która wypijała właśnie ostatni łyk z prawie pustej butelki, i wiedział tylko jedno. Nie chciał się starzeć nawet przez dziesięć minut z tą kobietą, a co dopiero mówić o czterdziestu latach. Nie potrafił sobie wyobrazić jej pomarszczonej twarzy uśmiechającej się do niego, nie widział własnych starych rąk podtrzymujących ją. Nie mógł wyobrazić sobie ich dzieci. I nie chciał.

- Jacey - powiedział, czując się bezpiecznie i pewnie na zewnątrz samochodu, z daleka od tego czegoś, co powodowało, że żona miała na niego tak śmiertelnie magnetyczny wpływ - dlaczego nie powiedziałaś mi o dziecku?

Przewróciła oczami, ale kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy, postarała się, by jej głos zabrzmiał słodko:

- Wciąż jesteś o to wkurzony, tak, skarbie? - zapytała.

- Wkurzony? - Kit musiał się złapać maski samochodu, zacisnął kciuki, aż stały się całkiem białe, tak bardzo miał ochotę zamknąć dłonie na jej zgrabnej szyi za tę nieczułość. - Ćpałaś, kiedy byłaś w ciąży z moim dzieckiem, dzieckiem, o którym mi nawet nic nie powiedziałaś. „Wkurzony” niezupełnie jest tym słowem, które by oddawało moje uczucia. Czy nawet tego nie potrafisz dostrzec?

Jacey przyglądała mu się, kalkulując, jak powinna to rozegrać.

- Oj, kochany - zaczęła - tak naprawdę nie powiedziałam ci o dziecku, bo jeszcze nie planowałam dziecka. Nie byłam jeszcze gotowa na dzieci. Zbyt dobrze się

bawiłam i ty też. - Uśmiechnęła się najbardziej uwodzicielsko, jak potrafiła, nie zdając sobie sprawy, jak wygląda jej twarz i ubranie. - Dowiedziałeś się tylko dlatego, że zapomniałam o valium i koce, i spróbowałam tego gówna od Violet. Miałam sobie z tym poradzić następnego dnia i wtedy nigdy byś nie musiał się martwić.

Obserwowała go z uwagą, pewna, że powiedziała, co należy.

- Możemy sobie sprawić tyle dzieci, ile tylko będziesz chciał, kiedy już się wyszalejemy, kochanie - dodała. - Będzie na to jeszcze mnóstwo czasu. - Pochyliła się i poklepała dłonią puste miejsce dla pasażera. - Jedźmy do domu, kochany. Chcę do domu.

Uśmiech Kita był smutny, ale Jacey nie dostrzegła tego.

- Jacey - powiedział tak łagodnie, jak tylko potrafił, otworzył drzwi, po czym pochylił się, jakby chciał ją pocałować. Jej twarz rozjaśniła się w triumfie. Ucieszyła się, że wygrała i że Kit pojedzie razem z nią.

- Wiedziałam, że wreszcie pójdziesz po rozum do głowy - westchnęła, czekając na pocałunek.

Ale Kit, zamiast ją pocałować, pochylił się szybko, wyciągnął kluczyki ze stacyjki, wyskoczył z samochodu i cisnął je z całej siły gdzieś ponad kamienny murek w kępę rododendronów. Tam, gdzie ich nigdy nie znajdzie.

- Nasz czas się skończył - powiedział spokojnie, odwracając się do niej, zatrzasnął drzwiczki samochodu i sięgnął na tylne siedzenie po swój bagaż. - Zamierzam zostać serowarem.

Jacey, z twarzą wykrzywioną wściekłością i szokiem, zacisnęła dłonie kurczowo na kierownicy.

- Pieprzyć cię! - wrzeszczała w furii, rzucając na boki głową. - Pieprzyć cię!!! Przynies mi w tej chwili pieprzone kluczyki, ty cholerny dupku!

- Może ty nie żałujesz, Jacey - dodał cicho - ale ja tak. Naprawdę mi przykro.

- Dostanę połowę wszystkiego, co należy do ciebie, ty cholerny skurczybyku, nie myśl, że nie! - skrzeczała Jacey, w jej rysach nie było teraz nic ładnego.

- Z przyjemnością oddam ci połowę wszystkiego, co posiadam - oświadczył Kit - zasłużyłaś na to. - Zrzucił torbę na plecy i ruszył w drogę powrotną. Nie martwił się, że czeka go daleki marsz, jak długo był to marsz do Coolarney House... jeśli Coolarney House zechce go znowu.

- Nie możesz mi tego zrobić! - wrzeszczała Jacey do jego pleców. - Co niby mam zrobić?

- Złap stop na lotnisko! - odkrzyknął, odwracając się raz jeszcze, Kit. - Wracaj do domu, Jacey. I powodzenia.

Jej wyzwiska docierały do niego coraz słabiej i słabiej, kiedy się od niej oddalał, powracając do najlepszego, co przydarzyło mu się w całym życiu. W miarę jak droga wznosiła się na jego powitanie, ramiona mu się prostowały, a pustka, która połknęła go w chwili, gdy Jacey powróciła do jego życia, została zastąpiona oczekiwaniem na przyszłość.

Gdy znalazł się na szczycie wzgórza, jeszcze raz ujrzał morze, które wcześniej wydawało mu się bez życia. A jednak teraz, choć słońce znajdowało się już niżej, niebieska woda lśniła, otoczona połyskliwą zielenią pastwisk. Kit nie był człowiekiem, który łatwo żegnałby się z małżeństwem, i w ogóle lekko żegnałby się z czymkolwiek, ale gdy tak wędrował drogą zachodniego Cork, wiedział bez cienia wątpliwości, że nie było mu pisane zostać z Jacey. Nie postąpił dobrze, uciekając od niej, od ich małżeństwa i od prawdy, ale jeszcze gorzej byłoby do tego wrócić, ponieważ nie kochał Jacey. Nawet jej nie lubił. Został przez nią omotany i może nawet podobało mu się, jak ludzie spoglądali na niego, kiedy miał ją u swego boku, ale nie chciał być tym

mężczyzną, którym się przy niej stawał. Rozdzierało go poczucie winy, że jego małżeństwo nie wytrzymało próby czasu, jednak z każdym krokiem, który przybliżał go do Coolarney House i wszystkiego, co tam znalazł, jego sumienie się uciszało. W sercu Kita było miejsce na spokój i nadzieję.

Jacey da sobie radę. To wiedział. Znajdzie to, czego potrzebowała, przy boku innego mężczyzny. Przy kimś, kto pragnie tego samego, co ona. Pieniędzy. I bycia zauważonym. A Kit? Nie dbał ani o jedno, ani o drugie. On pragnął miłości i uczciwości i by ludzie, których kocha, mogli mu ufać. Chciał, aby Abbey mogła mu zaufać. Chciał Abbey.

Dochodził do zakrętu drogi, kiedy usłyszał jednostajny stukot motoru, wdzierający się coraz głośniej w jego myśli. Od chwili kiedy opuścił Jacey, nie minął go żaden samochód, a jedynym dźwiękiem był tupot jego własnych nóg i od czasu do czasu krzyk mewy nad odległym morzem. Doszedł do zakrętu i spojrzał w stronę jeszcze głośniejszego teraz stuk - stuk. Droga przechodziła w korytarz ocieniony z obu stron drzewami, zwieńczony na górze rodzajem baldachimu z liści, przez co panował tu mrok. Ale słuch go nie mylił, im bliżej słyszał warkot, tym bardziej przypominał mu on odgłos traktora Avis.

- Na litość - rozległ się z góry znajomy głos przekrzykujący starożytny silnik. - Tylko mi nie mów, że zjawilem się za późno.

W tym fantastycznym momencie, kiedy całkiem nagle zdajesz sobie sprawę, jak cholernie dobre jest to, co zrobiłeś, wiesz też, że było warte całego włożonego wysiłku.

„Dzienniki sera”, Joseph Feehan, z archiwów radiowych

Stary Pierdzący Tyłek brzęczał niczym ogromny owad, wiedząc doskonale, że to pierwszy wspólny i solowy występ Kita i Abbey w fabryce sera.

Zdezorientowana para stała jedno obok drugiego i spoglądała na pasteryzator. Wykonali dokładnie te same czynności, które pokazywał im codziennie rano Fee, a jednak wstrętna maszyna kaszłała i rzeziła i nie chciała ożyć.

Abbey wpatrywała się bezmyślnie i bezużytecznie w podłe urządzenie, ale jej myśli nie dotyczyły Starego Pierdzącego Tyłka. Myślała o chwili, gdy jej serce prawie wyrwało się z piersi, gdy zobaczyła Kita opierającego się o drzwi, kiedy ona sama zjawiała się pod fabryczką, jeszcze nieprzytomna po łożach i śnie, jakieś dziesięć minut temu.

Usłyszawszy jej kroki, podniósł wzrok. Ujrzała go, ale w porannym słońcu jego sylwetka była ciemna i złotawa, wyglądał nierealnie. Jednak gdy podeszła bliżej, zdała sobie sprawę, że to nie sen, że to on, że wrócił, więc może jeszcze nie wszystko jest stracone. Pod jego uważnym spojrzeniem poczuła się tak naga, że prawie nie mogła złapać oddechu; nie naga w znaczeniu bez ubrania, lecz tak, jakby nie miała skóry i ciała, i kości, jakby sama jej esencja zbliżała się ku niemu w letnim powietrzu.

- Jesteśmy dla siebie stworzeni - powiedział cicho, gdy zbliżyła się na tyle, by go usłyszeć. - Zrozumiałem to.

Abbey popatrzyła na niego, nic nie rozumiejąc, przeszła obok, otworzyła drzwi fabryki, wciągnęła kombinezon i kalosze, poklepała Pierdzący Tyłek po zbiorniku niczym

wiernego konia, po czym włączyła go i sprawdziła temperaturę. Nagle zrozumiała, dlaczego Fee był podczas śniadania tak irytująco radosny. Rozumiejąc, że wiedział o powrocie Kita, pojęła teraz, dlaczego zaproponował jej przyłożenie do czerwonych bolących oczu plasterków surowego ogórka. Nie wynikało to, jak pomyślała wtedy, z braku współczucia. Jej dziadek też uśmiechał się nad tostem z marmoladą, ale jego dobry humor nie był tak przekonujący. Wiedziała, że martwi się o nią, co z kolei ją martwiło, ale jednocześnie cudownie było wiedzieć, że ktoś o ciebie dba.

A teraz stała tu ze spuchniętymi oczyma, z włosami, które wyglądały jak peruka włożona przez jakiegoś oberwańca, a jej serce biło tak mocno, że była wdzięczna Staremu Pierdzącemu Tyłkowi, iż robi taki hałas - inaczej huk z jej piersi ogłuszyłby Kita. Pomyślała, jak cudownie bezcieleśnie czuła się parę minut temu, i po chwili zrozumiała, że gdyby odrzuciła towarzyszące jej bez przerwy strach, wątpliwości i poczucie winy, mogłaby się tak czuć przez cały czas. Na samą tę myśl dostała gęsiej skórki.

- Kto jest dla siebie stworzony? - zapytała, odwracając się, by spojrzeć na Kita.

Wyrwała go z zadumy. Myślał, że może: „Jesteśmy dla siebie stworzeni” nie było najlepszym, co powinien powiedzieć. Może raczej należało zacząć od: „Przepraszam” albo „Wybacz mi” lub „Cała ta sprawa z żoną...”.

- Jesteśmy dla siebie stworzeni - powtórzył, rozkładając ręce w geście bezradności. To właśnie chciał jej powiedzieć. Nigdy nie był niczego tak pewien jak tego.

Abbey wydawała się niepokojąco nieprzekonana.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że ty i twoja nie - tak - całkiem - nieżywa cudowna blond supermodelka i żona jesteście stworzeni dla siebie, czy też chcesz mi powiedzieć, że ty... ty i...? - I nagle wybuchnęła gniewem. Była tak

przerazona, że go straciła, że przygotowała mnóstwo gniewu, na wypadek gdyby okazał się jej potrzebny, a ta reszka nadziei, która jej została, walczyła teraz o swoje miejsce. - Ponieważ z powodu wszystkich tych istot, co żyją lub nie, i wysokich obcasów, i wyjeżdżania sobie, nie powiedziawszy nawet nikomu do widzenia, a później wkradania się z powrotem nie wiedzieć kiedy, można całkiem zgłupieć, chyba że ktoś wreszcie postawi sprawę jasno - wyrzuciła z siebie Abbey, a jej twarz była teraz równie czerwona jak obwódki oczu utkwionych w kaszlącym pasteryzatorze.

Kit o mało nie zemdlał z ulgi, wyciągnął ręce i ujął jej twarz w obie dłonie. Podszedł tak blisko, jak tylko mógł, że aż czuł jej słodki oddech na szyi i mógł wdychać jej świeży cytrusowy zapach. Uniósł ku sobie jej twarz z jaśniejącymi oczami w czerwonych obwódkach.

Przez całą noc starał się zrationalizować wszystko, co się wydarzyło, co się dzieje i co on czuje, ale jakoś nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Miał za mało danych. Widział problemy. Zbyt wiele niewiadomych. Gdyby to był interes robiony na Wall Street, odradzałby go swojemu klientowi. Ale nie był. Sam nie potrafił określić, co to właściwie jest. A około czwartej rano, gdy jego kości przestały wreszcie czuć to, co zrobił z nimi traktor Fee, Kit doszedł do wniosku, że to wszystko nie ma znaczenia. Wiedział tylko, że chce zostać z Abbey i być serowarem. Po prostu.

- Mam takie uczucie - powiedział - że jeśli pozwolimy się temu rozwijać, gdy już jakoś na siebie trafiliśmy, nie wiem jak, bo to czary, że spotkaliśmy się w odpowiednim miejscu i odpowiednim czasie, wszystko powinno się ułożyć. Czy wiesz, o czym mówię?

- Ale twoja żona... - zaczęła protestować Abbey.

- Jeśli pozwolisz, by to trwało. - Kit nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- Ale twoja żona, twoja żyjąca żona, jest całkiem sporą przeszkodą w tym trwaniu - odpowiedziała Abbey z pasją. - Kłamałeś, mówiąc o niej, a potem z nią uciekłeś. Porzuciłeś mnie w tej samej chwili, w której ona się pojawiła. Czułam się jak niewidzialna. Gorzej niż niewidzialna. Miałabym po prostu o tym zapomnieć?

- Popełniłem błąd w związku z moją żoną - przyznał Kit, a w jego wzroku było tyle pewności, że Abbey poczuła zazdrość. - Z moją żoną popełniłem wiele błędów i jeśli będziemy mieli czas, opowiem ci o nich. Powiem ci wszystko, co tylko będziesz chciała wiedzieć, Abbey. Ale facet, który oszukiwał sam siebie, że jego żona nie żyje, facet, który wsiadł z nią wczoraj do samochodu i odjechał, to nie byłem ja, Abbey, musisz mi uwierzyć. Ja stoję teraz tutaj przed tobą i w tym miejscu chciałbym pozostać.

- Jak mogę być tego pewna? - wyszeptała.

- Ponieważ mówię ci to, Abbey, i obiecuję, a jestem tego tak pewien jak tego, że stoję koło atrapy pasteryzatora, którego nawet nie potrzebujemy, bo tylko udajemy, że go używamy. Już nigdy w życiu ci nie skłamię. I będę cię kochał. Będę się tobą opiekował. I będę ci pomagał robić najlepszy ser na całym świecie. Zrobię dla ciebie wszystko, jeśli mi tylko pozwolisz.

- Boję się - powiedziała Abbey i nagle zdała sobie sprawę, że mówi prawdę. - Jak dotąd miłość ludzi do mnie nie wyglądała tak, jakbym tego chciała.

- Ale jesteś tu, Abbey, w tym właśnie miejscu i ze mną. Najtrudniejsze już za nami. Wszystko, co musisz teraz zrobić, to pozwolić, by farma, powietrze, deszcz, księżyc i pomieszczenie, w którym się znajdujemy, mogły wykonać swoją robotę, na tym polega magia Coolarney. - Uśmiechnął się, słysząc, jak słowa starego mądrego Fee padają z jego ust, jakby przynależały do tego miejsca.

- Kim jesteś? - zapytała Abbey. Z każdym upływającym momentem jej ciało było coraz lżejsze i lżejsze.

- Jestem po prostu zwyczajnym chłopakiem z Burlington w Vermoncie i z jakiegoś powodu, którego prawdopodobnie sam dobrze nie poznam ani nie zrozumieć, znalazłem się w tym szczególnym miejscu w tym szczególnym czasie razem z tobą, Abbey. Ty i ja jesteśmy dla siebie stworzeni - powiedział. - Ty i ja. Czy to wystarczająco jasne? - Pochylił się i pocałował ją z namiętnością, która nie musi się spieszyć, bo wie, że ma przed sobą całe życie.

Kawałek dalej, w kuchni, Fee nalewał sobie kolejną filiżankę herbaty i brał czwarty kawałek placka.

- No, nareszcie - westchnął, wznosząc oczy do nieba.

- Nareszcie co? - zapytał Corrie, spoglądając sponad „Irish Timesa”.

- Nareszcie twoja wnuczka i ten chłopak z Nowego Jorku poradzili sobie.

- Poradzili sobie z czym? - zapytał podejrzliwie Corrie, odkładając gazetę i przyglądając się uważnie przyjacielowi.

- Ze wszystkim - uśmiechnął się Fee, kiwając głową w kierunku fabryczki, po czym z entuzjazmem wbił zęby w placek. - I naprawdę mam na myśli wszystko - dodał z pełnymi ustami, z których wyprysnęły na wszystkie strony drobiny masła i miodu.

Twarz Corriego wydłużyła się ze zmartwienia.

- Czy jesteś pewien, że to właśnie on? - zapytał znowu. - Czy jesteś w stu procentach pewien?

- Josephie, byłem tego pewien w chwili, gdy go ujrzałem. A po spędzeniu z nim trzech i pół godziny na traktorze jestem podwójnie, potrójnie, poczwórnienie - co jest po poczwórnienie? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, dodał: - Jestem tego tak pewien, jak tylko potrafię być. To jest właśnie ten.

- Co się tam wydarzyło? - chciał wiedzieć Corrie.

- Jego żona ma w sobie coś z Maggie, Josephie, taką siłę przyciągania. Ale zabrało mu tylko trzydzieści mil, by dojść do wniosku, że nim manipuluje, a w dodatku jest po alkoholu, więc zmusił ją do zatrzymania samochodu, wyrzucił kluczyki i zaczął wracać piechotą do Coolarney.

- Co za mężczyzna porzuca żonę gdzieś na drodze? - zmartwił się Corrie.

- To jest dokładnie to miejsce, w którym niektóre żony powinny się znaleźć - odparł Fee - i dwa razy tyle mężów. Dużo więcej potrzeba siły, by odejść od złej osoby, niż by przy niej zostać, Josephie, i nie mówię tu wcale o tobie, tylko o Kicie Stephensie. A jeśli już to powiedziałem, to dodam, że w tym chłopcu jest bardzo wiele z ciebie, za co powinniśmy być prawdziwie wdzięczni.

- Ale jak możesz być tak pewien, że oni są odpowiedni dla siebie? - zapytał Corrie.

- Co ja ci zawsze powtarzam? - Fee powoli już tracił cierpliwość.

Corrie nie odpowiedział. Przyjaciel zawsze mówił mu tyle rzeczy, w dodatku połowa nie miała żadnego sensu.

- Zawsze ci powtarzam, byś mi zaufał - kontynuował Fee.
- Zawsze ci powtarzam, żebyś się nie martwił i że wszystko się ułoży.

Na twarzy Corriego musiało się nadal malować z wątpienie, ponieważ Fee tylko westchnął i popatrzył na przyjaciela bardzo poważnie.

- Zbyt dużo się martwisz, Josephie, nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę - powiedział. - I chciałbym, żebyś przestał, bo nie masz absolutnie żadnego powodu.

- Martwię się o ciebie - odrzekł Corrie - i o Abbey, i...

- Martwienie się o mnie lub o Abbey nie zaprowadzi cię nigdzie - w oczach przyjaciela błyskały wesołe iskierki - a poza tym, powiadam ci, nie ma żadnego powodu do

zmartwienia. Zaoszczędziłbyś sobie wielu zmartwień, gdybyś choć raz w życiu mnie posłuchał. Twoja dziewczynka i ten chłopak razem będą robić najlepszy ser pod słońcem, Josephie, i staną się także znakomitą parą. Nie tak często się zdarza, że dwie równie dobre i uczciwe dusze się spotkają, sam o tym wiesz. Ostatnim razem to byłeś ty, Josephie, i ja. Takich jak my nie ma tak wielu, ale udało się, bo oto mamy kolejnych dwoje. To nie jest zwykły dzień, mój przyjacielu, i na pewno nie powinniśmy siedzieć dzisiaj z nosami na kwintę.

- Czy jest jakiś cud, którego nie pamiętam, a o którym ty zawsze mówiłeś, jeśli zawsze tak wiele mi mówisz? - zamruczał Corrie, jednak słowa Fee uspokoiły nieco jego skłopotane serce. - Uważasz więc, że ona tu zostanie?

- Na zawsze i jeden dzień - rozpromienił się Fee, pochylając się nad stołem do przyjaciela. - Zrób mi tę uprzejmość, Josephie. Zaufaj mi.

Corrie, zmęczony swymi wątpliwościami i zmartwieniami, postanowił zrobić mu tę uprzejmość. Przyglądał się staremu przyjacielowi, który właśnie znalazł kroplę miodu na brodzie i zabrał się do jej zlizywania, i pozwolił sobie nawet na luksus uwierzenia, że wszystko jest w porządku ze światem. Czuł się lepiej niż przez cały ubiegły tydzień.

Stary Pierdzący Tyłek nagle włączył się z taką mocą, że Kit i Abbey odskoczyli od siebie w panice.

- Co za piekielna maszyna! - roześmiała się Avis, wysuwając głowę w drzwi. - Przysięgłbyś, że ma oczy. Mleko nadchodzi. Abbey, nie wiem, co takiego zrobiłaś z Lucy, ale dzisiaj to inna dziewczyna. Wczoraj wieczorem zadzwoniła do swojej mamy do Dublina, uwierzysz w to? A dzisiaj wstała najwcześniej ze wszystkich i przygotowała herbatę i tosty. Gdyby nie dredy i kolczyk w języku, przysięgłabym, że to sobowtór.

Abbey się roześmiała.

- To nie było nic takiego. Po prostu dziewczynska pogawędka. Wydaje mi się, że nie zdawała sobie sprawy, co to znaczy mieć dom z matką i ojcem jednocześnie. Wygląda na dojrzałą, ale to tylko dziewiętnastoletni głuptas.

Avis podeszła i objęła Abbey ramieniem.

- Tobie też przydałby się ktoś taki, kiedy sama miałaś dziewiętnaście lat.

Zmieszana Abbey potrząsnęła głową.

- Miałam Rose - odpowiedziała. Avis przytuliła ją po matczynemu.

- Komuś takiemu jak ty przydałby się ktoś lepszy. Pracowali ramię przy ramieniu, rozładowując mleko, a potem, gdy Avis odeszła, zasuwali sami, szykując formy i kontenery na twaróg, podczas gdy mleko podgrzewało się do odpowiedniej temperatury. Po godzinie Kit otworzył zawór i mleko spłynęło z sykiem do kadzi na ser. Abbey czuła, jak krew w jej żyłach płynie szybciej, kiedy patrzyła ponad cysterną na Kita, i zastanawiała się, czy to możliwe, że czuje się taka szczęśliwa, taka na swoim miejscu, tak jak zawsze wyobrażała sobie, że czują się szczęśliwi ludzie. Kit stał naprzeciwko niej z szerokim uśmiechem na twarzy, zaczarowany magią mleka spływającego do cysterny, gdy tańczące krople wykonywały swe ostatnie solo, zanim dołączały do chóru na dole. W odpowiednim czasie Kit wsypał zaczyn, a kiedy to robił, na jego ustach błąkał się tajemniczy uśmiech.

- Czy kiedyś zastanawiałaś się - zapytał jakiś czas później, gdy już dodał podpuszczkę do mleka - na czym Corrie i Fee zarabiają pieniądze?

- Na serze, ty głupku - roześmiała się Abbey.

- Zastanów się - odparł Kit. - Robią go sto dwadzieścia kilogramów dziennie, pięć dni w tygodniu. Gdyby sprzedawali to po piątce za kilogram, mieliby z tego trzy tysiące funtów

tygodniowo, po odjęciu podatków i kosztów stałych prawdopodobnie zostałyby jakieś tysiąc pięćset funtów. Z tego siedemset pięćdziesiąt wypłacają Ciężozaurusom, a to oznacza, że kolejne siedemset pięćdziesiąt zostaje na prowadzenie farmy, domu, na pensje dla nich, a jeszcze są Ruby i Marie.

Abbey zastanowiła się. Kiedy tak podliczył to wszystko, rachunek rzeczywiście się nie zgadzał.

- Błagam, tylko nie mów mi, że są dilerami narkotyków - jęknęła. - Tego bym nie zniosła.

- Nie są - roześmiał się Kit.

- W takim razie kim są?

- To dwaj wielcy spryciarze, oto kim są. Lars i Peder Nielsen. Bracia Nielsen.

Abbey wyglądała na zmieszaną.

- Nie rozumiem - przyznała.

Kit wyciągnął do niej paczkę z podpuszczką. Napis na niej głosił: „Brodrene Nielsen, Mejeri. Denmark”.

- Mleczarnia braci Nielsen - przetłumaczył jej z uśmiechem Kit. - Kiedy Corrie i Fee zdali sobie sprawę, że przyszłością w ich dziedzinie są fabrycznie produkowane zaczyny i podpuszczki, zainwestowali w to pieniądze, jeszcze w latach sześćdziesiątych. To były wspaniałe czasy. Teraz staruszkowie siedzą na kopalni złota w Danii. Fee mówił mi, że faceci nie są w stanie nadażyć za pieniędzmi, jakie z tego płyną. To międzynarodowy wielomilionowy biznes, pamiętam, kiedy pojawili się na nowojorskiej giełdzie. Wartość akcji rosła w tempie astronomicznym. Mają też udziały w innej duńskiej firmie produkującej cysterny. Abbey, oni nawet nie potrzebują robić tego sera. Co na to powiesz? Coolarney gold jest po prostu pracą z miłości.

Abbey wyglądała, jakby w nią piorun strzelił. Stała w milczeniu, ściskając w ręce zniszczony uchwyt od swojej

krajarki. Kit przestraszył się nagle, że rozwiął jakieś jej dziecięce marzenie czy coś takiego.

- Posłuchaj, przykro mi - powiedział, podchodząc bliżej, by ją przytulić. - Nie chciałem...

Abbey oparła się o niego i podniosła wzrok w górę.

- Nie - przerwała, oczy jej lśniły. - To cudowne. Cudowne jest, że robią to tylko z miłości.

Wzięła się w garść i mocniej chwyciła krajarkę, czując pod palcami miejsca odcisnięte przez palce jej dziadka, a wcześniej jeszcze jego dziadka. W jakiś sposób im było to śmieszniejsze, tym stawało się bardziej racjonalne. Jej życie nagle się ułożyło. Ale na świętowanie tego będzie czas później. Mnóstwo czasu. Teraz należało zrobić ser.

Zerknęła do wnętrza cysterny i dreszcz przebiegł jej po krzyżu. Żadne z nich nie zauważyło, kiedy tłuste kremowe mleko znikło, a pojawił się lśniący miękki twaróg pływający w serwatce. Bez słowa chwycili za ostrza i rozpoczęli zsynchronizowany taniec, który miał ich doprowadzić do sera. Prawie od razu wpadli w jeden rytm, każde skupiało się na innej części. W pomieszczeniu panowała cisza wypełniona jedynie kapaniem wody, od czasu do czasu przyjacielskim uderzeniem stali o stal i szumem mieszanej serwatki. Kiedy twaróg był już pocięty na odpowiednio małe okruchy, Kit i Abbey spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się szeroko, oboje mokrzy z wysiłku, ale jaśniejący zadowoleniem.

- Bomby gotowe do odpalenia? - spytała Abbey.

- Gotowe - odrzekł Kit, wyciągnął zatyczkę i odsunął się, pozwalając, by serwatka wyleciała strugą na podłogę, a następnie niczym wijący się wąż popłynęła do kratki ściekowej. Fabryczka nigdy nie pachniała lepiej niż w tym momencie, z wypływającą serwatką, twarogiem w cysternie i powietrzem pełnym obietnic. W tym właśnie momencie Corrie i Fee, nie mogąc wytrzymać już ani chwili dłużej,

pojawił się w drzwiach, przepychając się, który pierwszy, i przynajmniej raz zwyciężył mały i gruby.

- Na Boga! - wykrzyknął Fee. - Myślę, że im się udało!

- Na Boga? - powtórzył Corrie. - Od kiedy powołujesz się na siłę wyższą?

Ale sam czuł to również. Wszystko było takie jak trzeba, z dodatkiem jeszcze czegoś, czegoś niezdefiniowanego, czegoś, co tylko oni potrafili wywołać w Coolarney. Kit z uśmiechem zaprosił ich, by spróbowali sera, ale w tym właśnie momencie gwałtownie otworzyły się drzwi i wpadła przez nie Lucy, bez tchu, z szeroko otwartymi oczyma, w stanie hysterii.

- Wilhie! - zdołała wymówić. - Wilhie!

Abbey oddała swoje ostrze Kitowi i podeszła do Lucy, próbując ją uspokoić.

- Wilhie zaczęła rodzić - wysapała dziewczyna. - Nie mogę nigdzie znaleźć Avis i nie mam pojęcia, co robić, a jak na mój gust wszystko się dzieje cholernie szybko.

- Gdzie ona jest? - zapytała spiesznie Abbey.

- W dużej kuchni - odparła Lucy. - Pomyślałam o nagraniu wody i...

- Kit - odezwała się Abbey, w jednej chwili przejmując dowodzenie. - Idź i znajdź Avis. Ja pójdę z Lucy i zabierzemy Wilhie do mojego pokoju. Czy mógłbyś tam przyprowadzić Avis, jak tylko ją znajdziesz? A wy dwaj, czy moglibyście włożyć ser do form? - zapytała, spoglądając na Fee i Corriego. - Tak mi przykro, wiem, że dzisiaj miał być dzień...

- Idź - powiedział jej dziadek, o mało nie pękając z dumy, że ma taką mądrą, serdeczną i w ogóle cudowną wnuczkę. - Idź.

Poszła, a Kit i Lucy za nią, tak więc dwóch staruszków zostało w fabryczce samych.

- Co ja takiego zrobiłem, że zasłużyłem na nią? - zapytał Corrie w zachwycie, a stary przyjaciel poklepał go po plecach i odparł:

- To, że w ogóle zadajesz takie pytanie, powoduje, że jesteś takim człowiekiem, jakim jesteś. - I zajął swoje miejsce po drugiej stronie kadzi. - Gotowy? - zapytał.

Corrie skinął głową.

- Jesteś pewien? - zapytał jeszcze raz Fee.

Corrie przytaknął ponownie.

Fee pochylił się nad cysterną, sięgnął ręką po twaróg i podniósł go do nosa. Twaróg pachniał wybornie. Słodko i nadzwyczajnie. Ciepło i zapraszająco. Czysto i prosto. Po prostu wybornie. Cofnął rękę, tak by Corrie mógł zobaczyć jego uśmiech, po czym podsunął twaróg do warg i położył go na języku, zamknął usta, zacisnął powieki i delektował się wrażeniem.

Rozkosz.

Twaróg był doskonały. Bezbłędny. A nawet daleko więcej. Był wyjątkowy. Najlepszy.

Najlepszy na całym świecie.

Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Twaróg Abbey i Kita był najsmaczniejszym twarogiem, jakiego Fee kiedykolwiek próbował, i sama myśl, jakim mógł pewnego dnia stać się serem, wywoływała w nim dreszcz od czubków palców u nóg po końce ostatnich włosów na głowie.

- Jezu najśłodszy, Josephie - westchnął. - A oni dopiero go pocięli. Będą najlepszymi serowarami na całym świecie. To cholerni serowi geniusze! Wiedziałem! Wiedziałem!

Corrie, spoglądając na uszczęśliwioną twarz przyjaciela, poczuł, jak ciepła fala przepływa przez jego stare ciało i ogarnia go wielki spokój.

Błogość była cudownym stanem. To moment, z którego będą się zawsze cieszyć i który będą zawsze pamiętać.

Pochylił się nad cysterną i zanurzył w niej rękę gestem tak znajomym, że nawet nie czuł, kiedy go wykonywał. Zagarnął twaróg i poczuł mrowienie na skórze, jakby nagle stała się nadwrażliwa, nawet na jedwabistą ciepłą pulpę, którą trzymał w dłoni. Przez moment wydało mu się, że potrafi odróżnić każdą molekułę, każdy atom, każdy pierwiastek, który ścisnął palcami. Tak jakby trzymał coś więcej niż twaróg. Jakby trzymał w dłoni wszystko. Każdą rzecz, którą w życiu zrobił. Każde miejsce, jakie kiedykolwiek widział. Każdą osobę, którą kiedykolwiek poznał.

Z trudem, którego nie rozumiał, uniósł słodką miękką masę do warg. Smak wybuchł mu w ustach z taką siłą, że przez całe jego ciało przeszedł dreszcz sięgający do każdej pojedynczej komórki.

Nagle wszystko zaczęło się dziać jak w zwolnionym tempie; w oczach mu zamigotało, jakby oglądał stary film na wideo. Spróbował. Przełknął. Wiedział, że Fee miał rację. To było lepsze niż doskonałe. Było najlepsze. Jego ręka opadła i złapał się cysterny. Drugą rękę położył na piersi, którą ogarniało odrętwienie. Nadal wszystko działało się jak w zwolnionym filmie. Wszystko. Powoli. Próbował. Przełknął. Zrozumiał. Oczy rozszerzyły mu się w panice, kiedy już pojął, co się dzieje, i z wysiłkiem podniósł głowę, by spojrzeć na przyjaciela.

Fee stał jak rażony piorunem, wciąż po drugiej stronie kadzi, usta zastygły mu w niemym O, po policzkach spływały łzy.

Cały świat się zatrzymał. Słońce przestało świecić. Ser nie miał już żadnego znaczenia.

To ja, pomyślał Corrie, jego twarz zastygła na wpół w uniesieniu nad cudownością sera, na wpół w rozpacz nad tym, co się z nim działo.

- To ja - wyszeptał, nogi ugięły się pod nim i osunął się na ziemię, uderzając głową o gładkie kafle, gdy zimna łapa śmierci zaciskała się jeszcze raz na jego sercu.

- To ja - wyszeptał znowu, gdy Fee ukląkł obok na podłodze i wciągnął go na kolana, tak że sam siedział oparty o cysternę, a jego wierny stary przyjaciel leżał, oddychając z trudem, i nadal nie wierząc w to, co się działo w jego piersi.

- To nie chodziło o ciebie - powiedział Corrie, patrząc przed siebie, ale nie mając tam niczego, na czym by mógł skupić wzrok - to byłem ja.

Fee ucałował czubek głowy starego druha, mocząc obficie łzami jego wspaniałe siwe włosy.

- Tak, oczywiście, że to byłeś ty - wyszeptał. - Ale cóż mogłem na to począć? - Kołysał Corriego, jego krótkie tłuste ramionka obejmowały dużego mężczyznę, gdy masował mu delikatnie klatkę piersiową poniżej miejsca, gdzie przenikliwy ból atakował serce. - Nie chciałem ci tego powiedzieć, Josephie - wyznał. - Nie chciałem, żebyś się tym martwił. Pragnąłem, byś cieszył się do ostatniej chwili...

- Ale ja nie... - Corriemu mąciło się w głowie.

- Ciii - uspokajał go Fee. - Zrobiłeś wszystko, co należało.

- Nie zrobiłem. - Corrie zmagął się ze słowami. - Nigdy tego nie potrafiłem.

- Och, Josephie, zrobiłeś. Tylko nie wiesz o tym - wyszeptał Fee. Przycisnął przyjaciela do siebie i przez chwilę milczał. Myślał o tych wszystkich rzeczach, które mówił Corriemu, a które nic nie znaczyły, i wiedział, że to, co za chwilę powie, będzie czym innym. - Zawsze wiedziałeś, że jesteś tu, by zrobić coś specjalnego, Josephie - wyszeptał w ucho swego oszołomionego przyjaciela. - Zawsze wiedziałeś, że jesteś inny i nie bez powodu, bo miałeś rację, Josephie Corrigan, miałeś rację, tyle tylko że byłeś inny nie tak, jak myślałeś. - Czuł ramię Corriego na swoim i czuł we własnym

sercu jego udrękę. - To nie był ser - powiedział, uwalniając na chwilę rękaw, by wytrzeć oczy. - Och, ser był dobry, nawet najlepszy, aż do tej chwili, ale to nie chodziło o ser, Josephie. I nie chodziło też o Rose, chociaż Bóg jeden wie, że zasługujesz na medal za kochanie tej małej sekutnicy po wszystkim, co ci zrobiła. - Zbliżył usta do krzaczastych brwi przyjaciela i znowu go pocałował, spod zaciśniętych powiek ciekły mu łzy.

- Abbey - powiedział Corrie lub myślał, że powiedział, nie potrafił już tego rozróżnić.

- Nie chodziło nawet o nią - wyszeptał Fee - chociaż przynosi chlubę tobie i twoim genom i jest w stanie kontynuować twoje dzieło. Możesz być z niej dumny i z tego, czego dokona, Josephie, wiesz to. Przybyła tu na czas.

Corrie uśmiechnął się lub tylko pomyślał, że się uśmiecha, ale ból w piersi stał się nie do wytrzymania.

- W takim razie po co żyłem, powiedz - błagał przyjaciela, chociaż już prawie nie mógł wymówić słowa. - Po co to wszystko?

- Dla stu siedemdziesięciorga czworga innych dzieci, które urodziły się szczęśliwe i zdrowe tylko dzięki tobie, ty głupcze - łkał Fee - i dla stu sześćdziesięciu dziewięciu dziewcząt, których nikt nie chciał, kiedy najbardziej kogoś potrzebowały. Po to właśnie żyłeś, Josephie. I to właśnie zdarzało się przez cały czas pod twoim nosem.

- To nie było nic ważnego - Corriemu wydawało się, że odpowiada staremu przyjacielowi. - To była przyjemność. To nie było nic. Każdy zrobiłby to samo.

- I na tym właśnie polega twoja inność - płakał Fee - ponieważ nie każdy zrobiłby to samo.

- Ty tak. Ty byś zrobił to samo.

- Bez ciebie nie - wyszeptał jeszcze Fee. - Sam bym tego nie zrobił.

I w tej chwili poczuł, jak Corrie sztywnieje, walcząc z ogromnym ogarniającym go bólem, by następnie się rozluźnić, kiedy ból odszedł lub kiedy postanowił już się z nim nie zmagać.

W tym momencie Corrie myślał o tym wszystkim, czego nie zdołał zrobić. Nie pogodził się z córką. Nie wypełnił kwartalnego zeznania podatkowego. Nie porozmawiał z Ruby i Marie o ich odmowie przyjęcia podwyżki. Nie powiedział najlepszemu przyjacielowi, jakiego można sobie w ogóle wyobrazić, jak bardzo go kochał i jak bardzo nie chciał go zostawiać samego na świecie.

- Nie musisz, stary przyjacielu - wyszeptał mu do ucha Fee. - Ja wiem.

Pojedyncza wielka łza wypłynęła z lewego oka Corriego i potoczyła się powoli po jego policzku.

- Nie bój się odejść, Josephie - wyszeptał mu Fee, podczas gdy jego własne łzy spadały na twarz Corriego i ciekły po jego policzku. - Bez ciebie życie nie będzie już takie samo, nie będzie doskonałe, ale będzie toczyć się dalej. Zaufaj mi.

A Corrie, wiedząc, że po to właśnie są przyjaciele, zaufał mu. I czując, że choć nie jest doskonały, ale i tak miał wiele szczęścia i był kochany, i nagle wiedząc, że to jego czas, pozwolił sobie odejść.

Epilog

Fee kołysał dzidziusia imieniem Corrie na kolanach i przyglądał się niemieckiej lesbijce.

- Moja dziewczyna o niczym nie wie - opowiadała. - Byłam na safari w Afryce i piłam razem z młodym Australijczykiem, i nagle... - jej oczy rozszerzyły się na samo wspomnienie, jakby fakt, że zjawiała się w Coolarney House, nie stanowił jeszcze wystarczającego dowodu na to, co się wydarzyło - znalazłam się w jego śpiworze.

Fee pocałował malucha w główkę okoloną miękkimi blond włoskami, przyglądając się szerokim dłoniom Niemki. Miała duże silne knykcie i nie nosiła żadnej biżuterii. Idealne.

- Czy austriackie zakonnice budzą w tobie jakieś uczucia? - zapytał.

- Od bardzo dawna nie zastanawiałam się nad austriackimi zakonnkami. - W jej głosie pojawiło się lekkie zdziwienie. - Dlaczego?

- Właściwie nic takiego - odparł Fee. - Ale wspominałem już, że będziesz musiała śpiewać krowom, prawda?

- Tak - powiedziała - wspomniałeś.

Otworzyły się drzwi i weszła Abbey z twarzą rozjaśnioną na widok jej dziecka podskakującego na starych czerwonych spodniach roboczych dziadka Fee.

- Więc tu jesteś, moja cudna dziewczynko - powiedziała, sięgając po malutką Corrie, by ją wyciągnąć. - O, witaj - odezwała się do niemieckiej lesbijki. - Jestem Abbey, serowarka.

- Cześć, na imię mi Lili - odrzekła Lili. - Masz prześliczne dziecko. Ale zupełnie nie wygląda jak ty.

- Nie - roześmiała się Abbey, całując malutki nosek między dwoma jasnoniebieskimi oczkami - ale pachnie jak ja, a to się liczy najbardziej. A propos - zwróciła się w stronę Fee. - Właśnie dzwoniła Lucy, przyjeżdża na ten weekend, żeby się

spotkać z Jamiem i z nami oczywiście, i nie zgadniesz, przywozi ze sobą rodziców. Powiedziała, że po spotkaniu z Rose zrozumiała, że jej własna matka jest niemal święta. Czy to nie fantastyczne? Lucy jest jedną z naszych mam - wytłumaczyła Lili - i matką biologiczną tego cudu.

Uniosła Corrigan Lucy Stephens do góry i dmuchnęła na jej tłusty brzuszek.

- Zatrzymujecie wszystkie dzieci? - zapytała Lili.

- Chciałabym - roześmiała się Abbey - ale mój mąż ma inne zdanie na ten temat. Nie, większość wraca do domu ze swoimi mamami, Lili, ale na razie się tym nie przejmuj, masz mnóstwo czasu, żeby się zastanowić, czego tak naprawdę chcesz, a najlepiej wytłumaczy ci to Avis, która za chwilę się tu zjawi. Wydaje mi się, że jest w domku dojarek i przygotowuje dla ciebie pokój.

- Jak to możliwe? - zapytała Lili. - Przecież nie wiedziała, że tu przyjadę.

- No cóż, zrozumiesz. - Abbey się uśmiechnęła. - Na razie was zostawię, bo muszę wybrać ser na lunch. - Otworzyła w bibliotece „Sery świata” i pochyliła się nad półkami, podczas gdy Fee opowiadał nowo przybyłej historię Feehanów i Corriganów.

- Układ był zawsze taki sam - tłumaczył. - Corriganowie dostarczali krów, krowy dostarczały mleka, a Feehanowie zapewniali umiejętności robienia sera... i tak to się toczyło przez długi, długi czas i toczy teraz i to całkiem dobrze, czego rezultatem jesteśmy my.

Abbey przerwała to, co właśnie robiła, i odwróciła się, spoglądając dziwnie na Fee i poprawiając sobie malutką Corrie na biodrze.

- Corriganowie dostarczają krów? - zapytała. - A Feehanowie umieją robić ser?

Fee spojrział na nią i skinął głową.

- Więc Corriganowie nie są serowarami?

- Pomagali robić ser - powiedział - ale byli głównie pastuchami. Tak działo się aż do twojego dziadka, niech odpoczywa w spokoju.

Abbey spoglądała na niego w osłupieniu.

- Corriganowie byli pastuchami?

- Przed twoim dziadkiem, w większości, tak.

- I co się wydarzyło? - zapytała.

Lili spoglądała na nich średnio zainteresowana.

- Okazało się, że twojego dziadka krowy w ogóle nie interesowały - odrzekł Fee. - Prawdę mówiąc, nie potrafił znieść tych stworzeń. Nienawidził tego, jak wyglądały, jak ryczały, nienawidził ich dotykać, a także ich zapachu. Dostawał przy nich szału. Myślę, że to była jakaś fobia. Zaczął sprzedawać ser, jak miał dwanaście lat, i w ten sposób mógł zapłacić komuś, kto się zajmował za niego tymi obrzydliwymi stworzeniami. W ten sposób zaczęliśmy.

- A co ze wspianiałą starą tradycją i tym, że ma się robienie serów we krwi i wszystkimi rzeczami, o których zawsze opowiadasz? - zapytała Abbey, podciągając sobie małą Corrie wyżej na biodro.

- A, to. Sekret leży nie w ślepym podążaniu za tradycją, ale żeby wiedzieć, kiedy należy ją zmienić - powiedział Fee i zaczął rozśmieszać małą, pokazując jej język.

Abbey wyciągnęła kawał stiltona, zamknęła drzwi lodówki, kręcąc głową z niedowierzaniem, ale uśmiechała się znowu.

- Właśnie to wszystko wymyśliłeś. - Idąc do drzwi, nachyliła się, by cmoknąć go w łysinę.

- Słyszałeś to, Josephie? - zapytał Fee, patrząc na zegar. - Wykapana matka.

- Śpiewacie do krów, mówicie do ścian - odezwała się niemiecka lesbijka. - Co to za miejsce?